



***Joanna Hines***

**Anioły powodzi**

# Część I

## ROZDZIAŁ 1

### MARSJASZ

Co mógł odczuwać nieszczęśnik, którego ktoś żywcem obdzierał ze skóry, zastanawiał się David Clay. Potworny ból oczywiście. A strach przed taką karą musiał być obłądny. Było więc rzeczą co najmniej dziwną, że z twarzy delikwenta, który ukazał się właśnie na ekranie rzutnika, bije tak niezmacony spokój, jakby ci stojący dookoła ludzie tylko po to wyostrzyli klingi, aby zgolić mu zarost czy przeciąć nabrzmiały czyrak, nie zaś cał po calu pozbawić go całej skóry.

Ofiara tej operacji zwisała głową w dół z gałęzi, przywiązana do niej grubym sznurem za kostki — zgrabne włochate kostki, znad których sterczały zwrócone w dwie strony stopy. Ręce skazańca zwisające poniżej głowy omotane były drugą liną. Zważywszy, że w tej pozycji delikwent musiał cierpieć męki, w dodatku ze świadomością czekających go okrutnych tortur, jego pogodne oblicze wyglądało dość groteskowo.

— To Marsjasz, z którego za chwilę ci ludzie zaczną „drzeć pasy” — powiedziała Kate — czyli obdzierać go żywcem ze skóry. Uważał, że jest równy bogom, że wolno mu się z nimi mierzyć, i za to spotkała go kara ku przestrodze każdemu, kto by śmiał tak myśleć. Można zatem powiedzieć, że to przestroga i dla nas.

David, który przyszedł tu bez entuzjazmu, uznał teraz ten wykład za bardziej interesujący, niż można się było spodziewać. Przypadkowe zaproszenie od dawnej znajomej nie widzianej od wielu lat normalnie by go nie skłoniło do spędzenia popołudnia w sali wykładowej National Gallery, tym razem jednak — niemal w ostatnim momencie — górę w nim wzięła ciekawość. To była przecież Kate Holland, a nie jakaś zwykła znajoma. Tak więc pomimo letniej ulewy popędził w końcu do muzeum, gdzie z trudem zdołał znaleźć sobie miejsce w zatłoczonej sali, pomiędzy srogą siwowłosą damą a parą zagranicznych studentów, którzy uzbrojeni w ołówki i notatniki zastygli w oczekiwaniu, gotowi skrzętnie notować każde słowo znanej prelegentki.

Kate dosłownie zauroczyła publiczność na ponad czterdzieści minut. Mówiła świetnie i bardzo przystępnie, a temat wykładu okazał się fascynujący. David wprost nie mógł uwierzyć, że z powodu tremy nie lubi publicznych wystąpień, jak mu powiedziała przed paroma dniami, gdy nagle na siebie wpadli. „Nie mam pojęcia, czemu cię zapraszam — rzuciła ze śmiechem. — I tak mam okropną treść, a tu jeszcze stary przyjaciel na widowni!”

Nie, nie znać było po niej najmniejszego zdenerwowania. Sprawiała wrażenie pewnego siebie, wytrawnego mówcy. Wiek średni okazał się dla niej łaskawy. Miała ten rodzaj urody, który z próby czasu

wychodzi zwycięsko — inteligentną twarz, szczupłą i stanowczą, o wysokich kościach policzkowych, wyraziste brązowe oczy. Zachowała też dobrą figurę i umiała ją wyeksponować. Czarny żakiet z jedwabście lśniącej tkaniny uwypuklał jej pełne piersi, z bioder miękko spływała asymetryczna spódnica. Ten ubiór mówił zarówno o pozycji jego właścicielki, jak i o jej stylu, lecz jaskrawoczerwone sandały na wysokich obcasach ostrzegały patrzących przed zbytnimi uproszczeniami. Nie pozwalały jej zaszufadkować. Ubranie Kate przywodziło na myśl te same skojarzenia, co jej wykład: wysoki profesjonalizm, lecz i pewną nieprzewidywalność bez śladu pompy czy nudy.

Patrząc na nią, David doszedł do wniosku, że wygląda o niebo lepiej niż wtedy, kiedy widział ją po raz ostatni, to znaczy nie licząc przypadkowego spotkania przed kilkoma dniami przy South Bank — ponad ćwierć wieku temu. Nafaszerowana środkami przeciwbólowymi leżała wtedy na żelaznym łóżku włoskiego szpitala z głową grubo owiniętą bandażami.

Nagła śmierć Franceski rzuciła na nich swój cień. Wzniosła między nimi nieprzebyty mur. „Chcę zapomnieć — powiedziała Kate. — Idź sobie, nie chcę cię już widzieć, nigdy więcej.” Te słowa złamały mu serce. Dla młodego człowieka odrzucenie to koniec świata; przekonuje się dopiero później, że nawet najgorszy ból z czasem traci ostrze.

Kate zaczęła wyjaśniać zebranym, że widoczny na ekranie obraz to kopia słynnego płótna Tycjana, które znajduje się w Pradze.

— W oryginale, znacznie zresztą lepszym, na ciele Marsjasza dokonano już pierwszego cięcia i stojący pod drzewem piesek chłopce spływającą krew. Tu natomiast to wszystko ma się dopiero zdarzyć. — Zamilkła na moment, zakładając za ucho pasmo ciemnych włosów. — Cała makabra jest jeszcze przed nami — dodała cicho.

*Cała makabra jest jeszcze przed nami.*

Skąd ja znam te słowa? zastanawiał się David. Czy to fragment jakiegoś wiersza, zdanie z filmu? Nie. To było coś bardziej osobistego. Lecz skądkolwiek pochodziło to zdanie, z jakiegoś powodu otaczała je aura nieokreślonej groźby. I nagle z pamięci wypłynął mu obraz: zobaczył siebie w bardzo dziwnym domu, takim, jakie widuje się w snach, dalekim, odciętym od zwykłego świata. Był to dom tak piękny, że zapierało dech w piersiach, lecz jednocześnie dziwnie złowrogi. I choć nie umiał powiedzieć, co konkretnie budzi w nim niepokój, owo niejasne uczucie kazało mu trwożnie zerkać raz po raz przez ramię. Teraz uświadomił sobie nagle, że to tam usłyszał te słowa, wypowiedziane cichym kobiecym głosem. Głosem, który kojarzył mu się z chłodnym światłem ranka, trochę niesamowitym, bo jakby przefiltrowanym przez gęstą mgłę. A może był to dym? Pamiętał puste pokoje przesycone zapachem palonego drewna. Siła tego wspomnienia była tak przemożna, że na moment niemal zapomniał, gdzie jest.

Zmarszczył brwi, próbując znów skupić całą uwagę na Kate. Zrobiła właśnie krótką pauzę i zerknąwszy w stronę widowni, napotkała jego spojrzenie. Miał uczucie, że ją także coś niepokoi. Czyżby te słowa wyzwoliły i u niej podobne wspomnienia?

Odchrząknąwszy lekko, spojrzała w notatki.

— No tak — podjęła żywo — skoro jednak temat tej prelekcji brzmi: „Konserwacja sztuki jako śledztwo”, jakąż to tajemnicę kryje w sobie omawiany obraz? Widzieliśmy już przed chwilą, jak z pomocą promieni Roentgena my, konserwatorzy, potrafimy ujawnić niewidoczne dla oka działania artysty, innymi słowy, cały proces twórczy, ale płótno, które oglądamy, stanowi przykład innego zagadkowego problemu: wandalizmu w sztuce. Pokażę teraz państwu, co mam na myśli.

Ach, to jej głos tak na mnie działa, myślał David. Głosy mają jakąś iście magiczną zdolność wywoływania wspomnień i emocji... Nic dziwnego, że to śpiew syren, a nie ich uroda, przywołał żeglarzy do zguby... Głos Kate był chłodny i melodyjny, brzmiał jak flet w orkiestrze innych głosów, z leciutkim już tylko śladem staroświeckiej wymowy samogłosek, obowiązującej w czasach jej dzieciństwa. To brzmienie, od lat zapomniane, wciągało go teraz w przeszłość. Fragmenty pogrzebanej głęboko młodości zaczęły się nagle wyrwać na wolność, napływając przed oczy wartkim strumieniem nie powiązanych ze sobą zdarzeń, których doprawdy nie spodziewał się już oglądać: te dziwne tygodnie, przeżywane jakby poza czasem, kiedy to jako dziewiętnastolatek z ciałem pełnym wzburzonych hormonów pracował wraz z Kate w błocie i kurzu Florencji po katastrofalnej powodzi roku 1966. Jak mógł zapomnieć te tygodnie — najbardziej pracowite, najbogatsze tygodnie swego życia?

Dzisiejsza Kate przykuła znów jego uwagę; zaczęła pokazywać publiczności drugoplanowe detale omawianego obrazu. Był tam wąż wyłaniający się ze świeżo zrzuconej skóry — wyglądała jak lśniący strączek, namalowany perłową farbą kilkoma pewnymi uderzeniami pędzla.

— Nam ten symbolizm może się wydać trochę prostacki — rzuciła ze śmiechem, wywołując tym głośny pomruk aprobaty — i szczerze mówiąc, niezbyt stosowny. Wąż zrzuca skórę, aby się odmłodzić, podczas gdy dla Marsjasza oznacza to mękę i śmierć. No ale takie to były czasy, więc jak dotąd wszystko jest w porządku, choć oczywiście nie dla Marsjasza. Co jednak sądzić o tych oto dwóch elementach?

Zmieniła prezrocze i na ekranie ukazało się małe, podobne do szczura stworzenie trzymające w zębach jakiegoś owada.

— Widzimy tu szczura, który właśnie zamierza pożreć pszczołę, pewnie na przystawkę — oznajmiła żartobliwie, tonem niemal potocznej rozmowy, wskazującym wyraźnie, że to tylko dodatek do głównego wyводу. — Gdyby ktoś próbował odnaleźć w tym jakiś symbol, niepotrzebnie by tracił czas, gdyż szczegół ten został domalowany, i to bardzo niedawno. Nie wcześniej niż w ciągu ostatniego roku.

Kate nagle urwała, wlepiając w ekran szeroko otwarte oczy. Kiedy znów przemówiła, David odniósł wrażenie, że odeszła od swoich notatek i mówi teraz „na żywo” to, co przychodzi jej na myśl.

— Nie mamy pojęcia, co znaczy ten dziwaczny detal ani kto go dodał, ponieważ właściciel płótna, który mije przysłał, zastrzegł sobie pełną anonimowość. Dlaczego? Kolejne pytanie bez odpowiedzi. Gryzoń pożerający pszczołę... Może nasz wandal postanowił przedstawić drobny akt przemocy, by tym mocniej uwypuklić monstrualną zbrodnię na osobie biednego Marsjasza, tylko że...

Kate po raz drugi utknęła. David dziwił się coraz bardziej: czemu aż tyle uwagi poświęca temu obrazowi, który przecież dla jej wyvodu wcale nie jest najistotniejszy? Z takim napięciem patrzyła w ekran,

jakby nigdy dotąd nie oglądała tej scenki. Dwoje siedzących obok studentów zaprzestało gorączkowej pisaniny i wyczekująco podniosło głowy znad notatek.

— A zatem mamy tu zagadkę... Wiem, że już kiedyś musiałam coś takiego widzieć... — Kate nagle zaczęła mówić tak cicho, że mimo mikrofonu przypiętego do klapy żakietu brzmiało to niewyraźnie. David musiał porządnie nadstawiać uszu, by zrozumieć poszczególne słowa. — Tylko dlaczego zadano ją mnie? Kto mi przysłał ten obraz?

Kiedy tym razem zamilkła, było już rzeczą jasną, że nie jest to celowa pauza dla efektu, ale niezręczna, przedłużająca się cisza, nabrzmiała nieznośnym napięciem.

No dalej, Kate, jedź z tym cholernym wykładem, ponaglał ją w myślach David. Publiczność zaczynała się wiercić, przez salę przebiegł szmerek niezadowolenia. Wybitny prelegent nie powinien nagle tracić wątku. David czuł, że ze zdenerwowania zaczyna się pocić. Co się z nią dzieje? Czy to atak tremy? Nie zawał, Kate, na litość boską! Przecież jeszcze przed chwilą publiczność jadła ci z ręki. Zapomnij o tym, co cię rozprasza, cokolwiek to jest. Odłóż to sobie na później, a teraz mów dalej, kończ tę diabelną prelekcję.

Kate nadal milczała. Można było pomyśleć, że ci ludzie, ta sala zniknęli jej z oczu. Wciąż wpatrywała się w ekran. Niepomna na szum w audytorium, podniosła do ust lewy kciuk i w zamyśleniu przygryzła czubek paznokcia. Ten gest! Davidowi zakręciło się w głowie; miał wrażenie, że jakiś potężny wir przeniósł go raptem w przeszłość. Przypomniał sobie tę chwilę, gdy zobaczył Kate po raz pierwszy lub gdy po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę... A może było to wtedy, gdy ją uznał za przedmiot swych młodzięcych pragnień, za dziewczynę, w której gotów był się zakochać...? Pamiętał, że działo się to w którymś z florenckich barów czy kawiarni, lecz tło było nieostre, podobnie jak twarze otaczających ją osób. Widział tylko młodziutką Kate, świeżo po szkole, jej ciemne, sięgające ramion włosy, jej oczy błyszczące tym jakże szczególnym entuzjazmem, który jednał jej ludzi, przyciągał ich do niej jak magnes. Śmiała się głośno z czyjegoś dowcipu, najpewniej sprośnego — większość dowcipów, które mieli zwyczaj serwować członkowie tej grupy, była raczej mało przyzwoita — a potem ktoś rzucił jakąś uwagę, a może kolejny dowcip, którego nie rozumiała, bo uśmiech zniknął z jej twarzy. Odsunęła się od grupy, podniosła rękę do ust i w zamyśleniu przygryzła czubek paznokcia. A on w tym momencie zapragnął wziąć ją za rękę i pocałować — tam gdzie stali, przed wszystkimi. A teraz...

Teraz pragnął już tylko, żeby zaczęła mówić. Powiedz coś, Kate, pokaż tym ludziom, że panujesz nad sytuacją. Pochylony do przodu, zaczął zaklinać ją w myślach: No już, Kate, końcówka. Jeszcze parę zdań. Kończ to cholerstwo!

Wzdrygnęła się wreszcie jak człowiek wychodzący z transu i zwracając się znów do widowni, zamrugała nerwowo oczami: jakby zaskoczył ją widok tyłu ludzi w sali.

Marszcząc brwi, zerknęła w swój konspekt.

— Konserwacja sztuki jako śledztwo... Tak. Pasjonujące zajęcie, choć czasami dosyć frustrujące. Ten obraz jest tego przykładem. Zdumiał mnie i zaskoczył — wyznała posepnie. — Okazał się większą zagadką, niż mogłabym sobie życzyć. — Popatrzyła znów na słuchaczy i posłała im lekki uśmiech. Raczej

cień uśmiechu, lecz Davidowi wystarczył: wyprostował się z grymasem ulgi. W porządku. Wróciła na szlak. Słuchacze nie wyjdą stąd z przekonaniem, że znana prelegentka fatalnie się posypała.

Kate tymczasem zdążyła już odzyskać swój pewny, bezosobowy sposób mówienia — i na widowni ucichło. Napięcie znikło.

— Następny przykład, który państwu zaprezentuję, będzie o wiele bardziej jednoznaczny.

David omal nie zaczął klaskać. Zdumiała go żywość własnej reakcji. Nie mógł wprost sobie przypomnieć, kiedy to pragnął czegoś tak gorąco jak tego, by Kate zakończyła swój wykład tak samo chwalebnie, jak go rozpoczęła. A co jeszcze dziwniejsze, prawie na godzinę zapomniał o swoich problemach.

Urok Kate okazał się i teraz równie przemożny jak dawniej.

Pstryknęła pilotem i kłopotliwy szcurek z bezsilnym owadem w obnażonych zębach zniknął z ekranu, lecz nim się to stało, David niemal uwierzył, że ów mały gryzoń mrugnął do niego porozumiewawczo.

TLR

# ROZDZIAŁ 2

## LETNI DESZCZ

Trafalgar Square lśnił w słońcu kropelkami niedawnego deszczu; nawet gołębie były nie te same — koniuszki ich skrzydeł migotały złościście na tle cynowego nieba, z którego z pośpiechem umykały burzowe chmury. Turyści przeciwnie, zdejmując plastikowe płaszcze, poruszali się irytująco powoli, blokując drogę zwyczajnym przechodniom. Kate kipiała z niecierpliwości. Po każdym wykładzie rozpierał ją nadmiar energii, tylko że ta energia niebezpiecznie blisko sąsiadowała dziś z paniką, wzmagając szaleńcze pragnienie ucieczki. Do domu, jak najprędzej znaleźć się w domu! Gdyby przynajmniej wiedziała, od czego tak bardzo chce uciec, ale właśnie na tym polegał problem: nie miała pojęcia, co jej nie daje spokoju.

Miała za to bardzo konkretną świadomość obecności Davida u swojego boku. Zdziwił ją nieoczekiwanym przybyciem na wykład, a teraz najwyraźniej przyznał sobie prawo do zawłaszczenia jej osoby na pozostałą część dnia.

Pochwalił prelekcję, uznając ją za „bardzo interesującą”, powtórzył kilka pochlebnych uwag zasłyszanych podczas wykładu, a potem spytał niedbale:

— Jak to się stało, że się omal nie posypałaś?

— Aż tak to było widoczne?

— Tylko dla mnie.

Wiedziała, że kłamie; nie chce po prostu sprawiać jej przykrości.

— Sama nie wiem... — wykrztusiła. — To było... coś niesamowitego... Czułam się jakby... Wydawało mi się... — urwała, dając za wygraną. Nie sposób było wyjaśnić, dlaczego doznała takiego szoku, w chwili gdy na ekranie ukazało się wielkie zbliżenie tego szczura i jego ofiary. Nie pierwszy raz przecież widziała tę scenkę, a jednak... stało się to, co się stało. Do tego momentu gładko prowadziła wykład, z miłą świadomością, że zbliża się ku końcowi i że wszystko poszło bardzo dobrze, aż tu nagle poczuła się tak, jakby głową na dół wpadła w czarną czeluść. Rzeczywistość przestała istnieć, publiczność przestała się liczyć, ważny był tylko ten prymitywny malunek, ten zły mały gryzoń z bezsilnym owadem w zębach.

Powiedziała słuchaczom, że to akt wandalizmu. Przypadkowy. Czyjś nieprzemyślany kaprys. Nieprawda. Żaden przypadkowy bohomaz nie narzucałby się tak jej myślom.

— Chyba powinnaś się napić — zauważył David. — Czegoś mocniejszego.

— Napić się? Tak... Nie, Davidzie — natychmiast zmieniła zdanie. — Muszę zaraz wracać do pracowni. Chcę tam coś sprawdzić.

— W związku z tym obrazem?

— Mniej więcej.

— Mógłbym pójść z tobą? Nigdy jeszcze nie byłem w pracowni konserwatora.

— Dobrze. — Nie miała szczególnej ochoty, aby jej towarzyszył, ale prościej było ustąpić, niż się z nim sprzeczać. Sprawiał wrażenie człowieka, którego trudno zniechęcić.

Dziwnie się czuła, jadąc z nim taksówką w stronę Primrose Hill, gdzie w którejś z bocznych uliczek mieściła się jej pracownia. Gdyby miesiąc temu ktoś ją zapytał, jak wygląda ten David Clay, trudno by jej było go opisać, a jednak tam, przy South Bank, rozpoznała go momentalnie. Mimo szpakowatych włosów i przyciężkiej szczęki był niewątpliwie tym samym Davidem, z którym przed laty chodziła brzegami Arno podczas tych dziwnych florenckich tygodni, gdy w powietrzu unosiły się tumany pyłu, a ulice były śliskie od błota. Czyścili piwnice z mułu, obrzucali talkiem ściany baptysterium i o ile dobrze pamiętała, prawie zakochali się w sobie. Niezupełnie, ale mało brakowało. Miał dziś te same szerokie ramiona i płynne ruchy sportowca. W jego twarzy — nie była to już dawna twarz ładnego chłopca — rzucała się w oczy bystra inteligencja oraz brwi — zawsze stanowiły one dominujący element jego fizjonomii — które w przeciwieństwie do włosów pozostały czarne. Wyczuwała w nim spokój, pewność i niezawodność, cechy, które już wtedy określały jego osobowość i o których całkiem zapomniała. Przyszło jej na myśl, że taka osobowość działa na ludzi uspokajająco i że dobrze byłoby mieć go przy sobie, zwłaszcza teraz gdy tak ją dręczy cała ta zagadkowa sprawa, te dwa domalowane potworki w scenie kaźni Marsjasza. No dobrze, lecz czy to nie David przyczynił się wcale do tego, że wpadła w ów dziwny trans? Gdyby w pewnej chwili nie dostrzegła go na widowni, no i gdyby nie był człowiekiem tak bardzo związanym z wydarzeniami tych kilku pamiętnych tygodni, czy sam tylko obraz byłby w stanie zdeorganizować jej starannie obmyślony wykład?

Wciąż jeszcze o tym myślała, otwierając drzwi swej pracowni, wielkiego przewiewnego pomieszczenia z pięknym północnym światłem; zajmowało ono cały parter domu, a jego naturalne przedłużenie stanowił ogród. Zaraz po wejściu do środka David zajął się badaniem jej narzędzi pracy. Wydawał się tym szczerze zafascynowany. Podczas gdy ona sama odkładała na miejsce wykorzystane slajdy i notatki, on myszkował po kątach, poddając szczegółowym oględzinom każdy dosłownie przedmiot, począwszy od ultranowoczesnych szkieł powiększających, a skończywszy na kiju omotanym z jednej strony płótnem — starodawnym przyrządzie, od stuleci służącym artystom za podpórkę dla ręki z pędzlem.

— Chyba na jednym z autoportretów Rembrandt trzyma coś takiego w ręku, prawda? — zauważył z jawnym podnieceniem. — Ha, Kate — rzucił żartobliwie — o tobie przynajmniej można powiedzieć, że obracasz się w świetnym towarzystwie.

— Kiedy pominęła to milczeniem, pociągnął nosem i dodał:

— A wiesz, co mnie dziwi? Spodziewałem się tutaj zapachu terpentyny i olejów, a tymczasem zupełnie ich nie czuć.

— Bo do renowacji obrazów używamy farb akrylowych — wyjaśniła Kate. — Kolejnym konserwatorom łatwiej je usunąć, a poza tym to jedyny sposób uzyskania właściwych i trwałych odcieni. Farby olejne z czasem ciemnieją.



— A jeśli chcesz przywrócić stary obraz do takiego stanu, w jakim znajdował się przed konserwacją?

— Zdania w tej kwestii są podzielone. Część specjalistów uważa, że odnowione fragmenty powinny różnić się od oryginalnych. Najślynniejszym przykładem tego poglądu jest „Ukrzyżowanie” Cimabuego, prawie zupełnie zniszczone przez powódź. Pamiętasz? Widzieliśmy je we Florencji. Postanowiono wtedy nie odtwarzać żadnych zniszczonych fragmentów, tylko zastosować w tych miejscach kreskowanie krzyżowe jakąś neutralną farbą. Miało to przypominać widzom, czego doświadczył ten obraz. Dziś przeważa pogląd, że była to zbyt daleko posunięta pieczołowitość. W tej pracy nie ma po prostu metody, którą można by uznać za jedynie słuszną.

— Och, przecież to Marsjasz. — David właśnie zobaczył ten obraz stojący na sztaludze w drugim końcu studia. Kate pochłonięta poszukiwaniem czegoś w pudle ze slajdami nie spojrzała nawet w tę stronę.

— Zamierzasz usunąć z niego to graffiti?

— Czekam na instrukcje od właściciela.

— Wydawało mi się, że chce pozostać nieznany? Tak chyba mówiłaś?

— Owszem, ale mogę się z nim kontaktować przez pewnego marszanda, który działa jako pośrednik.

— Rozpoznałaś to płótno, prawda?

Kate zeszywniała. Z uczuciem, że jakaś żelazna obręcz uciska jej żebra, nie pozwalając oddychać, wykrztusiła:

— Ja... nie wiem.

— Wiesz. Rozpoznaliśmy je oboje — twardo stwierdził David. Spokojnie przemierzył całą długość studia i stanął z nią twarzą w twarz. Wydawało jej się, że jego wysoka postać wysysa całe powietrze z przestronnego wnętrza. Zrobiło się w nim tak duszno... — Pamiętasz? Widzieliśmy je...

— Naprawdę nie pamiętam, gdzie je widziałam — czym prędzej weszła mu w słowo.

— Pamiętasz. W willi Beatrycze. — Wymówił to z włoską. Kate dostrzegalnie drgnęła. Że też sama ta nazwa potrafi pozbawić ją tchu, i to po tylu latach!

— Możliwe — rzuciła przez ściśnięte gardło.

— Doskonale wiesz, że tak było.

— Możliwe — powtórzyła. Jej palce zręcznie przerzucające slajdy nagle znieruchomiały. Znalazła poszukiwane przezrocza, lecz nie miała ochoty ich wyjąć ani nawet dotknąć. Coś odrzucało ją od nich, jakby nasiąkły trucizną. I w pewnym sensie tak było.

— Co tam masz? — spytał David.

— Po prostu inny obraz.

— No i?

— W nim także dokonano zmian... — powiedziała po chwili wahania.

— I też przysłano go tobie? Skinęła głową.

— Kto ci go przysłał? Ta sama osoba?

— Nie wiem.

— Ale uważasz, że tak.

— Uhm, to prawdopodobne.

— Mogę go zobaczyć?

— Wiesz, Davidzie, to nie jest zbyt miły...

— Naprawdę chcę go obejrzyć.

Ostrożnie wyjęła przezrocze z osłonki i włożyła je do rzutnika. David dobrą chwilę wpatrywał się w ekran.

— Możesz to skomentować?

Kate oddaliła się o parę kroków i zaczęła obrywać zeschnięte listki geranium. Ich rześki, ostry aromat zwykle działał na nią kojąco, dziś jednak serce wciąż jej waliło jak młotem.

— Pod koniec zeszłego roku ktoś przysłał to płótno do mojej pracowni. Nie znamy nazwiska malarza, ale obraz wykazuje cechy szkoły włoskiej. To alegoria zatytułowana „Prawda jest córką czasu” — *Veritas filia temporis* — jak głosi inskrypcja u dołu z prawej. Kiedyś był to temat bardzo popularny. O co tu chodzi? Lubieżna para na pierwszym planie, która potajemnie oddaje się niecznym igraszkom, zostanie za chwilę zdemaskowana przez starego jegomościa stojącego parę kroków za nią. Jego postać uosabia czas. Umoralniające przesłanie autora brzmi: twoje zbrodnie w końcu cię dopadną. Niezbyt wyrafinowane, prawda?

— A kim jest ta włochata panna?

— Ta z prawej, która na nich patrzy? To personifikacja oszustwa. Ma twarz pięknej dziewczyny, a ciało i duszę potwora.

— Ach, znam ten typ — uśmiechnął się David. — Tutaj też ktoś dokonał zmian? Jakich?

Na twarzy Kate po raz drugi odbiło się wahanie.

— To pewnie zbieg okoliczności...

Gdy David kpiącym uniesieniem brwi dał jej do zrozumienia, że nie wierzy w to ani trochę, z westchnieniem wyjęła przezrocze z rzutnika i zastąpiła je innym. Zesztywniał, zerknąwszy w niewielki ekran.

— Mój Boże — szepnął, robiąc krok do przodu, żeby lepiej widzieć — więc tak wyglądał ten obraz, gdy go otrzymałaś?

Tak. — Wciąż pamiętała ów zimny październikowy ranek i uczucie głębokiego szoku po wyjęciu płótna z deszczulek, w które je opakowano. Już samo malowidło wyglądało dość przerażająco, a gdy sobie uświadomiła, jakich ktoś tu dokonał „korekt”, miała ochotę natychmiast zwrócić przesyłkę signorowi Barziniemu. I pewnie by tak zrobiła, gdyby nie uległa jakiejś chorej fascynacji tym obrazem, fascynacji, która sprawiła, że zlecenie zostało przyjęte.

— Ileż tu krwi — mruknął David. — Wygląda to groteskowo, całkiem jak scena z kiepskiego horroru.

— Rzeczywiście.

Usunięcie tej krwi wymagało od Kate wielu tygodni żmudnej, istic mrówczej pracy. Nic dziwnego, że właściciel malowidła wolał pozostać w ukryciu. Jakiś bezmyślny wandal zamalował szyję Oszustwa mnóstwem krzepnącej posoki — całkiem jakby ktoś podciął tej osobie gardło. Krew spływała strumieniem po ramionach i sukni, tworząc na ziemi szkarłatne jeziora. Lecz na pięknej twarzy Oszustwa nadal malował się słodki, absolutnie beztroski uśmiech, kompletnie irracjonalny w zestawieniu z poranionym ciałem. Praca nad tym płótnem przerodziła się u Kate w obsesję; nie pozwalała żadnemu ze swych asystentów nawet się do niego zbliżyć. Doprowadzenie obrazu do dawnego stanu stało się dla niej i punktem honoru, i czymś na kształt aktu pokuty. Jakby chciała w ten sposób przywrócić komuś tragicznie przerwane życie.

— Przypomnij mi, Kate, jak zginęła Francesca — cicho poprosił David, patrząc jej prosto w oczy.

— W wypadku drogowym — odrzekła krótko. Krócej już się nie dało.

— Tak, ale... Czekaj, teraz sobie przypominam. Jechała chyba na skuterze? Jakże on się nazywał... Vespa? I zderzyła się z małym fiatem? A kiedy ją wyrzuciło...

— Zgadza się — z pośpiechem wtrąciła Kate. — Upadła na szybę ochronną skutera, a może to było lustro, w każdym razie jedno lub drugie przebiło jej szyję i... — i niemal odcięło głowę, dokończyła w myślach. Nawet po tylu latach te słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

— Przepraszam cię, Kate, zachowałem się jak tęp, nietaktowny prostak. Zapomniałem, że byłaś przy tym.

— Tak, ale nic nie pamiętam. Straciłam przytomność.

— I nie ty prowadziłaś ten samochód.

— To prawda.

— Kate, czy ty źle się czujesz?

— Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

— Świetnie. Pójdziemy na spacer i nie będziemy już o tym mówić. Pogadamy sobie o czymś innym. — Uśmiechnął się dość ponuro. — Proponuję wyłącznie tematy neutralne, takie jak, powiedzmy, sytuacja na Bliskim Wschodzie, eutanazja czy polowanie na lisa. Pasuje?

Przytaknęła skinieniem głowy. Niech to będzie cokolwiek, byle można się było oderwać od tych okropnych obrazów.

Pomysł Davida okazał się dobry, przynajmniej z początku. Zawędrowali na szczyt Primrose Hill, by spojrzeć stamtąd na Londyn. Niektóre połacie miasta przepięknie skrzyły się w słońcu, inne przesłaniała szara opona deszczu. Gawędzili jak dwoje ludzi, którzy nie widzieli się przez całe lata — o małżeństwach, narodzinach dzieci, o znajomych, którzy już odeszli. Kate opowiedziała krótko o swoim pierwszym małżeństwie ze studentem architektury imieniem Martin. Rozpadło się wkrótce po narodzinach ich syna Luke'a.

— Martin nie dojrzał do ojcostwa ani wtedy, ani nawet teraz — powiedziała — chociaż ostatnio między nim i Luke'em układa się trochę lepiej. Stali się sobie bliżsi.

Jej drugie małżeństwo z Benem Luminsem, pracownikiem opieki społecznej, skończyło się trzy lata temu. Z tego związku urodziła się Tara, obecnie studentka szkoły plastycznej.

— A od tego czasu...?

— Od tego czasu wolę żyć solo i nawet to lubię. A jak jest z tobą?

— Troje dzieci, dwadzieścia pięć lat małżeństwa, półtora roku temu rozwód — odrzekł David, nie odrywając oczu od pięknej panoramy miasta. — Wolałbym o tym nie mówić.

— Przepraszam.

— Nie trzeba, Kate, źle mnie zrozumiałaś. Widzisz, cała ta sprawa stała się moją obsesją. Ostatnio po prostu żyję tylko nią. Bez przerwy opowiadam ludziom o swoich problemach, o swoim pogmatwanym życiu. Stałem się nudziarzem do potęgi entej. Ale wyobraź sobie, że podczas twojego wykładu w ogóle nie myślałem o tym wszystkim. Wierz mi, to dla mnie prawdziwa ulga.

Kate zerknęła na niego podejrzliwie — czyżby się z niej nabijał? Trudno było sobie wyobrazić, aby poruszane przez nią zagadnienia mogły u kogokolwiek zagłuszyć natrętne myśli. Konserwatorskie śledztwa nie są aż tak frapujące. Sądząc jednak po wyrazie twarzy, David mówił szczerze. Już w drodze do domu zadała sobie pytanie, czy aby nie spodziewa się on czegoś więcej niż kolacja i butelka wina. Miała nadzieję, że nie. W jej planach na dzisiejszy wieczór nie leżało fundowanie chwilowej rozrywki mężczyźnie, który wciąż jeszcze nie wylizał się z ran po rozwodzie. Zwłaszcza że ten rozwodnik uparcie przywodził jej na myśl czas, miejsce i sprawy, o których chciała zapomnieć. Tak postanowiła — jeszcze tam, we Florencji.

Już miała sfabrykować jakąś historyjkę o wcześniejszych zobowiązaniach na dzisiejszy wieczór, gdy spadły pierwsze wielkie krople deszczu — i zaraz potem runęła ulewa. Spłoszeni spacerowicze zaczęli umykać z parku. Żakiet Kate przemókł do suchej nitki, nim jeszcze zdążyła naciągnąć na głowę kołnierz. David miał na sobie tylko koszulę, która przylepiła mu się do ciała; kiedy dotarli do bramy parku, wyglądał jak wyjęty z wody.

Ulice opustoszały. Przechodnie kulili się w bramach, obserwując istne wodospady tryskające z rozpiętych nad drzwiami markiz. Z rynsztoków wypływała woda, zmieniając chodniki w rwące potoki. Światła przejeżdżających z szumem samochodów z trudem przebijały się przez nagłą ciemność.

David i Kate przystanęli.

— Chcesz się gdzieś schronić? — Twarz Davida ociekała wodą.

— A po co? — roześmiała się Kate, otrząsając z włosów wodną aureolę.

Śmiali się biegnąc do domu, a potem stojąc w holu i patrząc na wielkie kałuże tworzące się na dywanie.

— Nie ruszaj się, przyniosę ci ręcznik! — zawołała Kate, pędząc na górę.

W sypialni zrzuciła żakiet i spódnicę, z grubsza wytarła włosy i przebrała się w rzeczy wiszące na oparciu krzesła — luźne treningowe spodnie i bluzę. Gdy wróciła na dół z ręcznikami, stało się dla niej jasne, że i David powinien się przebrać. Zaprowadziła go zatem do drugiej sypialni, gdzie znalazła dla nie-

go jasnoniebieski dres Luke'a, o wiele za mały, lecz przynajmniej suchy, po czym wyprawiła gościa do łazienki.

Zanim pojawił się w kuchni, zdążyła przygotować dwie lampki wina i zaczęła szperać w lodówce w poszukiwaniu czegoś na kolację.

— Masz szczęście — rzuciła z uśmiechem — mogę ci zrobić pastę z wędzonym łososiem i sałatką.

— Dla mnie pycha.

Chyba ta nagła ulewa zmieniła jej nastawienie. Już zapomniała, że zaledwie pół godziny temu postanowiła go splawić. Stojący w drzwiach kuchni David w niebieskim owerolu Luke'a, za luźnym dla jej szczuplutkiego syna, rozciągniętym zaś do granic możliwości na ramionach i udach obecnego użytkownika, ten David wydał jej się kimś zupełnie innym niż ów prawie obcy mężczyzna siedzący w sali wykładowej. A poza tym... Poza tym jakież to dziwne oglądać ubranie syna na mężczyźnie, który znał ją w czasach, kiedy nawet jej się nie śniło, że zostanie czyjąś matką, który nie ma pojęcia, co z niej wyrosło i jaką osobą jest dziś tamta Kate. Który musi znać takie jej cechy — oczywiście jeśli je pamięta — jakich nigdy by się nie domyślił żaden z dzisiejszych znajomych.

Snując te rozważania, zaczęła przygotowywać kolację. Wyjęła cztery pomidory, zręcznie nacięła im skórkę i na pół minuty włożyła do garnka z wrzątkiem. Wyłowiwszy je następnie łyżką cedzakową, ułożyła na desce do siekania warzyw. David tymczasem podkraślił się do niej po cichu — był boso — i objąwszy ją od tyłu w pasie, oparł się podbródkiem o jej ramię.

— Mogę ci w czymś pomóc?

Kate znowu poczuła tę obręcz na żebrach. Nie zmieniając pozycji, opuściła ramiona, aby strząsnąć z siebie jego głowę.

— Możesz zobaczyć, co z tą diabelną ulewą.

— Hm... — Podszedł do okna i spojrzał na ogród. — Przestało padać — oznajmił.

Kate zaczęła zdejmować skórkę z pomidorów, choć były jeszcze gorące i parzyły ją w palce.

— Po co to wszystko? — rzuciła gniewnie. — Kompletnie tego nie rozumiem. Po jakiego diabła ktoś bazgrze na tych obrazach, a potem mi je przysyła? Kto to robi? I czego chce?

Z furią zaczęła kroić pomidory. Była zła na siebie, że znów podjęła ten temat. Z żadnym ze swych kolegów nie dyskutowała o tych malowidłach, choć „Marsjasz” był u niej od kilku tygodni, a „Córka czasu”, odesłana do Florencji trzy miesiące temu, leżała tu równie długo. No tak, ale z Davidem to inna sprawa: on tam był. Trudno też udawać, że wszystko, co się wydarzyło, to tylko dawno zapomniany koszmar, gdy jeden z aktorów owego koszmaru stoi boso w kuchni w za ciasnym, dobrze znanym dresie.

— Od którego z tych pytań mam zacząć? — Odciągnął od stołu metalowe krzesło i usiadł.

— Czuję się jak zwierzyzna, którą ktoś podchodzi! — wybuchnęła Kate, nazywając wreszcie po imieniu nieokreślone uczucie towarzyszące jej od miesięcy. — Potrafisz to zrozumieć? Wyobrazić sobie, że ma cię na oku jakiś pokrecony świrus, a ty go nie widzisz... I nic nie możesz zrobić, jesteś bezsilny. To okropne — zakończyła z drzeniem w głosie.

— Jesteś pewna, że ktoś przysłał te obrazy tobie? Może po prostu wybrał tylko twoją pracownię?

— Nie. Na zleceniu widniało moje nazwisko, a poza tym marszand oświadczył, że wydano mu surowy zakaz udzielania jakichkolwiek informacji.

— Uważasz, że to niezwykle?

— Tak, choć zdarzały się takie przypadki. Właściciele cennych dzieł sztuki z obawy przed ich kradzieżą ukrywają czasami swoją tożsamość.

— Cenne dzieła sztuki? Mówiłaś chyba, że „Marsjasz” to kopia.

— Owszem, lecz mimo to jest bardzo cenny. Tycjan sam wykonywał kopie swoich płócien lub robili to jego pomocnicy.

W tych sprawach nie ma pewności. Pamiętaj, że w owych czasach nie było urządzeń technicznych, dzięki którym artysta mógłby zreprodukować swój obraz, namalowany na przykład na zamówienie patrona. Dlatego prawie wszyscy robili kopie tych dzieł, które z jakichś powodów pragnęli zachować dla siebie. Wszystko, co wyszło spod pędzla Rubensa czy powiedzmy, sir Joshui Reynoldsa, ma dziś ogromną wartość, nawet gdy w gruncie rzeczy jest to tylko kopia. — Przerwała na moment, marszcząc brwi. — Nie wiem, kto namalował te dwa obrazy, ale jedno jest pewne: za nisko je oszacowano. Widać to po kwotach, na które zostały ubezpieczone. Warte są o wiele więcej.

— Zaraz — wtrącił zaintrygowany David — chcesz powiedzieć, że jakiś nieznany właściciel kolejno przysyła ci dwa obrazy i oba są źle oszacowane?

— Właśnie.

— I te zmiany, których ktoś dokonał, nawiązują do śmierci Franceski?

— Zgadza się.

— Gdzie mieszka ten marszand?

— We Florencji.

Ciemne brwi Davida powędrowały w górę.

— No więc? Jaki stąd wniosek?

— Cóż... Widocznie jest to osoba, która wie... która zna okoliczności jej śmierci... — mruknęła Kate, wkładając łyżkę masła do płytkiego rondla, po czym energicznie zmiażdżyła nożem dwa obtoczone w soli ząbki czosnku, z których po posiekaniu powstała gładka, jednolita masa. Pracowała dziś szybciej i bardziej nerwowo niż zwykle, wkładając w każdą czynność całe skumulowane napięcie.

— Przecież toczyło się śledztwo — przypomniał jej David — i wszystkie szczegóły wypadku były powszechnie znane.

— Ale po co wywlekać je teraz? — Wrzuciwszy pomidory i czosnek do rondla ze stopionym masłem, posypała je serem feta i szczyptą czarnego pieprzu. — Co za sens zadawać sobie tyle trudu z domalowywaniem tej krwi czy gryzonia, a potem przysyłać mi te obrazy z poleceniem, że mam je przywrócić do dawnego stanu? Po co to wszystko? Przecież to absurd!

— Może działają tu dwie osoby — zasugerował David, głęboko wciągając powietrze. — Och!... Co za zapach! Fantastyczny!... Jedna z nich psuje obrazy, a druga chce je naprawić.

— Możliwe.

Pomidory stopniowo miękły w maśle i czosnku; ich delikatny koralowy miąższ biało nakrapiany serem przypominał marmurek. Z szyją Oszustwa było podobnie, tylko w odwrotnym układzie kolorów: akrylowa czerwień na bieli. Ale to ten drugi obraz prześladował ją bardziej, choć w gryzoniu i pszczole nie było na pozór nic groźnego; wyglądały całkiem niewinnie, prawie jak postacie z kreskówek. Tylko co miały znaczyć? Bo nie ulegało wątpliwości, że musiały kryć w sobie jakieś istotne znaczenie. Kate czuła, że odpowiedź ma w głowie, schowaną tak głęboko, że nie umie się do niej dogrzebać. Nie umie czy nie chce?

— Kiedy odkryjesz, kim jest nadawca, dowiesz się też „dlaczego”.

— Może lepiej tego nie wiedzieć. — Wrzuciła pół paczki makaronu do wielkiego garnka z wrzącą wodą i dużym drewnianym widelcem zaczęła mieszać zawartość. Bardzo energicznie.

— Czy rodzina Franceski nadal mieszka w willi Beatrycze?

— Mieści się tam teraz siedziba jakiejś fundacji dla młodych artystów. Myślę, że rodzina Bertonicz uczestniczy w tym przedsięwzięciu.

— Więc tam właśnie trzeba zacząć śledztwo — stwierdził David.

Kate błyskawicznie obróciła się w jego stronę. Na jej twarzy malował się popłoch.

— Co?! — wykrzyknęła. — Miałabym jechać do Włoch?

— Czemu nie?

Z takim niedowierzaniem pokręciła głową, jakby ją wysyłał rakieta na Księżyc, po czym znów zajęła się kolacją. Pokroiła łososia w paseczki i dodała je do pomidorów. Davidowi się zdaje, że to takie proste. Jedź do willi Beatrycze i dowiedz się, o co chodzi. Czy on w ogóle wie, co mówi?

— Nie pojedę — powiedziała sucho. — Nie lubię, kiedy ktoś mną manipuluje. Dlatego że jakaś wariatka nie ma nic lepszego do roboty, niż bazgrać po cennych obrazach, nie będę pędzić przez pół Europy. Co mnie to wszystko obchodzi! Jedyne, co muszę zrobić, to usunąć te bohomyzy i wysłać jej rachunek.

— Powiedziałas „jej”.

— Doprawdy? Równie dobrze może to być „on”.

— Ale ty uważasz, że to kobieta, co oznacza, że się chyba domyślasz, kto to robi.

Kate pominęła milczeniem tę kwestię. Wlała do sosu trochę śmietany, wyjęła z lodówki sałatkę i przełożyła do miski.

— Możemy siadać do stołu, jak tylko odcedzę makaron.

— Pozwól, że ja to zrobię — zaofiarował się David. Zdjął z kuchenki garnek z makaronem, stanął nad zlewem i zaczął wylewać zawartość na cedzak. Kłęby pary wzniosły się w powietrze. — No więc kto ci przysłał te obrazy?

Kate nadal milczała.

Wyciągnawszy przed siebie ręce z garnkiem, David odchylił głowę, by uniknąć kontaktu z gorącym strumieniem pary. Cała górna część jego ciała na moment zniknęła w gęstym białym obłoku, a Kate na ten widok ogarnęło uczucie grozy. Nawiedziło ją mętne wspomnienie czyichś sylwetek niewyraźnie widzianych przez szybę, bo coś przesłaniało pole widzenia. Co to było? Mgła? Jakaś rozpylona ciecz? A może kurz? Te półwidoczne postacie kręciły się bezładnie jak ogarnięte paniką mrówki przy swoim zniszczonym gnieździe. A w niej przez cały ten czas rosło przerażenie. *Cała makabra jest jeszcze przed nami.* Ale jaka makabra? Co takiego miało się wydarzyć?

Najwyższym wysiłkiem woli nakazała sobie powrócić do rzeczywistości. Do licha, trzeba pozbyć się tych półwspomnień. Musi istnieć na to jakiś sposób.

— Możemy jeść? — zapytała. — Nie chcę już o tym mówić.

Kate skłamałaby mówiąc, że nie miała pojęcia, co się stanie. Że nie było żadnego ostrzeżenia.

Skoro temat obrazów został zdjęty z porządku dziennego, David powrócił do sprawy, która jak sam przyznał, stała się jego obsesją — zaczął mówić o swoim zmarnowanym życiu. Kate próbowała go słuchać z całą życzliwą uwagą. Opowiedział jej historię bystrego dziewiętnastolatka, który po powrocie z Florencji postanowił pójść na łatwiznę, przyjmując pracę w rodzinnej firmie. Tak się złożyło, że były to pralnie chemiczne — cała sieć tych placówek — ale równie dobrze mógłby to być handel samochodami, sklepy spożywcze czy jakakolwiek inna branża — było mu to całkiem obojętne. Wystarczyło, że płaca była dobra, a praca nie wymagała wysiłku. Bystry młodzik uważał, że to tylko zabawa w życie, gra, którą można przerwać w każdej chwili. Postanowił brać forszę i żyć wygodnie, dopóki się nie przekona, co by naprawdę chciał robić. I tak to trwało. Czekał na moment olśnienia, nie zauważył, że minęły lata; wtedy dopiero zaczął powoli sobie uświadamiać, że to już nie zabawa, że gra się dawno skończyła. Był szefem firmy, zależał od niego los wielu ludzi, miał żonę i troje dzieci — za późno już było na zmiany.

Doskwierała mu jałowość własnej egzystencji, próbował więc wypełnić pustkę pić i przygodnymi miłośkami, czekając — znowu! — na moment, kiedy wreszcie wyrwie się na wolność i rozpocznie całkiem nowe życie. Prawdziwe. A potem nagle, parę lat temu, wszystko wymknęło mu się z rąk. Rodziną firmę połknął ogólnokrajowy gigant, żona, która do tego czasu zmieniła się w chodzący banał, uciekła ze swoim instruktorem fitnessu, a on, wysadzony z siodła podstarzały facet, został na swojej połowie zimnego małżeńskiego łóżka, spoglądając wieczorami na stojącą naprzeciw fotografię młodej roześmianej pary, której nawet już nie rozpoznawał.



# ROZDZIAŁ 3

## PUŁAPKA NA MYSZY

Kate próbowała go słuchać, lecz wbrew własnym chęciom co chwila wracała myślami do dzisiejszych wydarzeń w muzeum. Ten diabelny obraz! Jak to się stało, że tak ją wytrącił z rytmu, irytowała się w duchu i trochę tej złości skrupiało się na Davidzie. Uszczknęła jedno dojrzałe grono z dorodnej kiści piętrzącej się pośrodku stołu w ładnej seledynowej misie i trzymając je w palcach, zaczęła kontemplować delikatną szarawą plamkę na rubinowej skórce i cudowny doprawdy sposób, w jaki miąższ owocu absorbuje światło. W głowie tymczasem kłębiły jej się stale te same pytania: kto, u licha, przysłał te obrazy i dlaczego. David musiał to w końcu zauważyć.

— Kate, czy ja cię aby nie nudzę?

— Co? Och nie, oczywiście że nie... Tylko... no wiesz, to był długi dzień.

— Nie taki znów długi — odparował cierpko. — Wciąż o tym myślisz, co? — dodał po chwili.

— Ależ skąd! — Zerwała się z krzesła i zaczęła zbierać talerze, ziewając ostentacyjnie. — Napijesz się kawy przed wyjściem?

— Nie, dziękuję. I wiesz, co ci powiem? Trzeba się dowiedzieć, o co chodzi z tymi obrazami. Przecież musi być na to jakiś sposób. Trzeba go tylko wymyślić — stwierdził, marszcząc brwi. Najwyraźniej nie zamierzał dać za wygraną. — Ludzi, którzy wiedzieli, co cię łączyło z Francescą, nie może być w końcu tak wielu. Pomyśl, Kate. Jeśli nie rozwikłasz tej intrygi, będziesz tu siedzieć i czekać na kolejną przesyłkę, która...

— Och przestań, na litość boską! — Ku jego zdziwieniu Kate wpadła w furję. — Już mnie mdli od myślenia o tych cholernych obrazach! A ty... Może byś sobie poszedł! Nic mnie nie obchodzą te bohomyzy, rozumiesz?

— Kate, przepraszam cię, ale...

— Ta sprawa cię nie dotyczy, więc się w to nie mieszaj, bo tylko wszystko pogarszasz. Pewnie myślisz, że skoro tam byłeś, jesteś w stanie odnaleźć właściwy trop, ale się mylisz, grubo się mylisz! Ty po prostu nic nie wiesz, nic nie rozumiesz, absolutnie nic!

— Dobrze już, dobrze. — Wstał od stołu i aby jej pomóc w sprzątanii, podniósł misę z winogromi.

— Zostaw to! — krzyknęła wściekle, sięgając po misę, lecz ta wysliznęła jej się z ręki i rozbiła z hukiem na podłodze. Stanęli oboje jak wryci, patrząc na żalostną mieszaninę jasnozielonych skorupki i czerwonych winogron, rozsypaną na podłodze u ich stóp. — Och nie! — jęknęła Kate bliska płaczu. Całe nagromadzone przez ten dzień napięcie znalazło w końcu ujście. — Cholera! Cholera jasna! — Opała na kolana, gorączkowo zbierając niebezpiecznie ostre kawałeczki. Któryś z nich przeciął jej palec i na czubku ukazała się kropelka krwi.

— Kate, przestań! — David przykucnął obok. — Zbieranie tego nie ma sensu. Wstań, zaraz to posprzątam.

— Nie, ja je posklejam! — Wciąż gorączkowo łowiła porcelanowe odłamki.

— Nie, Kate, nawet tobie się to nie uda. Tych kawałków jest chyba z tysiąc. — Spróbował ją objąć, lecz gdy odtrąciła go gniewnie, odsunął się od niej. — Strasznie mi przykro, Kate.

— To była moja ulubiona misa. — Podniosła do oczu garstkę skorupki i łza jej kapnęła na rękę.

David wstał.

— Kupię ci taką samą.

— Gdzie? Kupiliśmy ją z Benem w Palermo — powiedziała z westchnieniem, siadając na piętach. — Och, Davidzie, ty nie możesz wiedzieć, jak to jest, kiedy...

— Wiem, że to moja wina.

— Nie chodzi o misę. — Wytarła oczy i wstała z podłogi. — Chodzi o te obrazy. Nie wiem, dlaczego tak mnie denerwują, ale... ale powiem ci, jak się czuję. Jakby ktoś próbował wleźć mi do mózgu. I wywlec to wszystko na zewnątrz. Tylko po co? Po tylu latach? Komu to potrzebne? Czego ta osoba chce ode mnie?

— To znaczy kto?

— Francesca.

— Daj spokój, ona nie żyje.

— Wiem. Wiem, że to, co mówię, nie ma sensu, a wciąż o niej myślę. I nie mogę przestać. W żaden sposób. — Pociągnęła nosem, poklepała się po kieszeniach i dodała z łzawym uśmiechem: — Do diabła, nie mam nawet chusteczki.

— Sięgnęła do kontuaru, urwała kawałek papierowego ręcznika i głośno wysiąkała nos. David czekał w milczeniu, aż skończy. Był bardzo blisko — tuż przy niej.

— Kate?

— Tak?

Stała nieruchomo, może tylko troszkę wyciągając szyję, gdy dotknął jej warg ustami. Lekki dreszcz przebiegł jej po ciele. A niech tam, pomyślała, może właśnie tego mi trzeba, może to jedyny sposób, żeby się odprężyć.

— Nie przestawaj. — Przysunęła się do niego bliżej, objęła za szyję i mocno pocałowała, a potem wsunęła ręce pod jasnoniebieską bluzę, by poczuć pod palcami jego ciało.

— Jeszcze nigdy nie kochałam się z mężczyzną ubranym na niebiesko — mruknęła z uśmiechem.

— Nie wiesz, ile straciłaś — odszepnął ochryple.

— Możemy iść na górę, jeśli chcesz.

Ale on wolał zostać w kuchni. Całowali się jeszcze chwilę, a potem stulonymi dłońmi ujął ją za pośladki i przyparł do drzwi lodówki. Trochę zmieszana błyskawicznym tempem, w jakim się dokonał tak radykalny zwrot w ich stosunkach — wszak jeszcze przed kilkoma minutami chciała się go pozbyć — za-

dała sobie pytanie: czy na pewno o to mi chodziło? Czy naprawdę chciałam aż tak się zapomnieć? Ale potem nastąpiła krótka szarpanina z zamkami błyskawicznymi i bielizną, podczas której musnęli się palcami, a później jej ręka natrafiła na jego erekcję i Kate z zaskoczeniem poczuła, że jest równie podniecona jak on. Na dworze znów się rozpadało. Gwałtowna ulewa bębniła o szyby, łącząc się z rytmem tętna bijącego jej w skroniach, ze zdyszaniem oddechem Davida i jej własnym westchnieniem satysfakcji, gdy pozwoliła zmysłom i doznaniom stłumić ciche protesty rozsądku. Kiedy zaczął się w niej poruszać, zalała ją fala przyjemności, mimo że drzwi lodówki gniotły ją w plecy i w łydki i że zmuszona była stać na palcach, by wyrównać różnicę wzrostu. A gdy poczuła, że nadchodzi moment zatracenia, w którym słowa przestają się liczyć, coś kliknęło jej w mózgu i w błysku olśnienia nagle zrozumiała...

Wydała okrzyk triumfu, czując zarazem rozkosz rozchodzącą się falami aż po czubki palców.

Oparta policzkiem o ramię mężczyzny, przywarła do niego całym ciałem, czekając, by on także osiągnął swój szczyt. Czowała, że krąży w niej teraz istna rzeka nowej energii.

Rozwiązała zagadkę.

Nareszcie wszystko rozumiała.

Kate mocnym ruchem otworzyła na oścież okno sypialni. Deszcz ustał, lecz powietrze wciąż jeszcze było pełne wilgoci. Jej niewielki ogród przeistoczył się na chwilę w tropikalną dżunglę przesyconą zapachem mokrej ziemi i roślin. Tylko dobiegające z oddali stłumione odgłosy ruchu ulicznego przypominały o miejscu i czasie. Gdzieś zawyła syrena pogotowia, rozdzierając londyńską noc sygnałem nieznaną tragedii.

— Moje spodnie wciąż jeszcze nie wyschły — w drzwiach sypialni ukazał się David.

— Możesz zostać na noc. Tutaj. W innych okolicznościach zaproponowałabym ci pokój gościnny, ale teraz już na to za późno. Szybki z pana zawodnik, panie Clay.

— Szybki? — Przeciągnął to słowo, ukazując w uśmiechu wszystkie zęby. — Czekałem wszak tylko dwadzieścia pięć lat i trochę. To chyba najdłuższe zaloty w historii.

— Och, jeśli tak chcesz to ująć.

— Zupełnie jak w tych tasiemcowych południowoamerykańskich gniotach.

Skwitowała to uśmiechem.

— Nie, nie zapalaj światła — dodała szybko, widząc, że sięga ręką do kontaktu.

— Wedle rozkazu.

Przemknął przez ciemny pokój i stanął obok przy oknie. Ją tymczasem rozpieierało podniecenie — tak bardzo chciała mu powiedzieć, jakiego to doznała objawienia, w chwili gdy się kochali, lecz kobieca intuicja kazała jej to przemyśleć. Pomału. Bądź ostrożna. Jeśli mu powiesz, co wywołało ten okrzyk triumfu, jego męskie ego poważnie ucierpi.

— Jakie to dziwne, nie sądzisz? Mówię o tym, co stało się w kuchni. Po tylu latach! Ciebie to nie dziwi?

— Dziwi.

— Davidzie — nie mogła się już powstrzymać — w końcu zrozumiałam, co znaczą te dwa detale.

— Naprawdę? Chodzi o tego szczura i pszczołę?

— To nie szczur. I nie pszczoła.

— Jak to?

— To mysz i osa.

— Skąd wiesz?

— Posłuchaj. Francesca zginęła, jadąc na vespie. A *vespa* to po włosku...

— Co?

— Osa.

— No a mysz?

— To samochód, którym ja jechałam. Był to jeden z tych małych fiatów, które Włosi nazywają *topolino*.

— O Jezu! Rzeczywiście. *Topolino* to po włosku myszka.

— I ta myszka pożera osę. *Topolino* gruchocze vespe, rozumiesz?

— Ależ to chore! Pomysłowe, a nawet dowcipne, ale jednak chore.

— Właśnie. Zupełnie jakby ktoś uważał, że śmierć Franceski to jakiś żart. — Przebiegł ją dreszcz.

— Skóra od tego cierpnie. — Na chwilę oboje zamilkli. Nad ogrodem zapadła już noc. Ostatni ptak przestał nagle śpiewać.

David szybciej ocknął się z zamyślenia.

— Musisz to rozwikłać, Kate. Koniecznie.

— Ale jak?

— A gdybyś odwiedziła tego pośrednika?

— On mi nic nie powie.

— No to spróbuj w willi Beatrycze.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

Kate popatrzyła mu w twarz. W półmroku łatwo było sobie wyobrazić, że David prawie się nie zmienił od czasów Florencji i że stoi przed nią tamten młody chłopak. Przez tyle lat nie spotkała żadnego z członków swojej grupy, nikogo, kto znał Francescę... I przez tyle lat te jakże szczególne ścieżki pamięci były dla niej zamknięte...

— Nigdy nikomu o tym nie mówiłam — wyznała cicho — ale... ale matka Franceski winiła mnie za jej śmierć.

— Co? Ależ to śmieszne! Przecież to był wypadek, a ty nawet nie prowadziłaś tego wozu. Byłaś tylko pasażerką.

— Pewnie, że to wariactwo, ale cała jej rodzina była szalona, nie pamiętasz?

— Nie znałem ich tak dobrze jak ty.

— Nawet sama Francesca była trochę... no wiesz, różniła się trochę od wszystkich.

— Doprawdy?

— Ale ja... ja ją kochałam, Davidzie. Ja ją naprawdę kochałam. O tym też nikomu nie mówiłam, bo co by to miało za sens? Ten kto jej nie znał, i tak by nic nie rozumiał. Ty to co innego, ty wiesz, jaka była. Chyba zawsze żałujemy ludzi, którzy odeszli tak młodo, ale Francesca... ona była kimś wyjątkowym. A ja jej tyle zawdzięczam. Właściwie wszystko. Gdyby nie ona, nie byłabym osobą, którą dziś jestem. Pewnie bym została sekretarką i przez całe życie byłabym nieszczęśliwa. Dzięki niej tak się nie stało. Czuję się jej dłużniczką.

— Tylko że ona nie żyje, a ten wypadek to nie twoja wina.

— Wiem, ale to wszystko jest takie... niesamowite. Niedawno ktoś mi się śnił. Ktoś zamknięty w ciemnym pokoju i śmiertelnie przerażony. Bo znalazł się w pułapce. I wiesz, wołał do mnie, błagając o pomoc, a ja... ja go zlekceważyłam. Kiedy się ocknęłam, byłam zdruzgotana swoją obojętnością. Jak mogłam odejść, nie udzielić pomocy bliźniemu w potrzebie? To niewybaczalne. Czuję się strasznie winna. I wiesz, jestem pewna, że między tym snem i obrazami istnieje jakiś związek.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Myślisz, że te malunki to jakby wołanie o pomoc?

— Kto wie? Może tak właśnie jest.

— A może to pułapka? Zastawiona przez jakiegoś niebezpiecznego psychologa z zadawnioną obsesją na punkcie śmierci Franceski.

— Cóż, może być i tak. David westchnął ciężko.

— Rozumiem, Kate, że nie masz ochoty tam jechać, ale gdybym ja pojechał z tobą? Poczekaj, wysłuchaj mnie do końca. Tak się składa, że w Rzymie studiuje moja najmłodsza córka, a ja od miesiący wybieram się do niej w odwiedziny. Moglibyśmy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Mnie też intrygują te twoje obrazy. Prawie tak samo jak ciebie. No więc? Co o tym myślisz?

Kate na długą chwilę zamilkła.

— Nie myślałam o niej od lat, a teraz nie mogę przestać — powtórzyła cicho. — Pamiętasz tę noc, gdyśmy poznali Francescę? Byliśmy w restauracji...

— Nie. Na przyjęciu w konsulacie.

— O Boże, kompletnie o tym zapomniałam.

— Wracaliśmy stamtąd.

— Rzeczywiście! A ona stała na moście.

— Myślisz, że chciała rzucić się do rzeki?

— Któż to może wiedzieć? Z nią niczego nie mogłeś być pewny. Po prostu taka była — szepnęła Kate.

David objął ją w pół i oboje w milczeniu zapatrzyli się w ciemność. A potem zaczęli wspominać.

# ROZDZIAŁ 4

## LUNGARNO CORSINI DUE

Florencja miała jakiś dziwny urok, choć nad głowami wisiała im wciąż szara mgielka, a wszystko przenikał zapach mokrych tynków, rynsztoków i mułu — wszelkich rodzajów mułu. Był wszędzie, rządził ich życiem. Po dniu ciężkiej pracy w mule musieli brnąć znowu przez niebezpiecznie śliskie ulice pokryte warstwami zdradzieckiego błota. Tylko nieliczni kierowcy mieli odwagę zapuszczać się na tereny najbardziej dotknięte przez powódź; tu nawet piesi musieli stale mieć się na baczności, aby nie wpaść w czyhające co krok pułapki. Po zerwanych przez wodę nawierzchniach pozostały grząskie, wyboiste ścieżki; w różnych miejscach ziały głębokie wykopy, gdyż zaczęto wymieniać rury, na rogach ulic piętrzyły się cuchnące sterty nieczystości i gruzu. W wielu punktach miasta powódź zabrała z sobą całe fragmenty nadrzecznych wałów, które wciąż jeszcze nie doczekały się napraw.

Miasto zajmujące zaszczytną pozycję na liście światowego dziedzictwa kultury, zwane często kolebką zachodniej cywilizacji, powalił na kolana — o ironio! — zmasowany atak nieczystości i gruzu. W styczniu 1967 roku, dwa miesiące po katastrofie, renowacja Florencji i jej dalsze losy stały pod wielkim znakiem zapytania. Nad wszystkim wisiała niepewność. Życie straciło swój zwykły rytm. Czas stanął w miejscu.

Ta dziwna, trochę niesamowita atmosfera wieczorami stawała się jeszcze dziwniejsza. Mgielka wywoływana przez opary wysychającego mułu gęstniała, tworząc wokół latarń ulicznych — tych, które jeszcze działały — mętne postrzępione aureole. Skażenie środowiska było tak ogromne, że niemal wszyscy florentyńscy, którzy nie zdołali uciec z miasta, cierpieli na infekcje płucno-oskrzelowe, lecz dla młodych ochotników wszystko to pogłębiało jedynie niezwykłość sytuacji i jej romantyczną aurę. Anna, która miała ambicje poetyckie, pisała w swych wierszach o florenckich lampach ulicznych, że to „rozregulowane dmuchawcowe zegary”.

Był piątek; dla Kate drugi piątkowy wieczór we Florencji. Jej kilkusobowa grupa wyłoniła się właśnie ze skromnego schroniska, gdzie zakwaterowano młodzież z zagranicy; po wyjściu z bramy młodzi ludzie wzięli się za ręce i ślizgając się w błocie, ruszyli ze śmiechem w stronę konsulatu Wielkiej Brytanii. Po kilkudniowej harówce w zalanych mułem piwnicach nadeszła pora na zabawę i relaks. Kate z tej okazji wystroiła się w czyste dzinsy i haftowaną rustykalną bluzkę, wpięła w uszy ulubione wiszące kolczyki, wydłużyła rzęsy mascarą i nawet umalowała sobie usta modną bladą różową szminką. Odkąd się tu znalazła, była w świetnym nastroju, który sięgał szczytu, gdy przychodziło jej na myśl, jakie miny mieliby jej starzy, gdyby mogli ją teraz zobaczyć. Plany państwa Hollandów wobec siedemnastoletniej córki sprowadzały się do nader skromnego schematu: wydać ją za męża, a do tego czasu ulokować dziewczynę w jakimś solidnym biurze (gdzie nie będzie myśleć o głupstwach) w charakterze maszynistki albo sekretarki. W ich mniemaniu studia uniwersyteckie były dobre tylko dla chłopców; dziewczynom takie wykształcenie

mogło jedynie zaszkodzić — odstraszało mężczyzn, skazując nieszczęsną na staropanieństwo, najgorszą życiową klęskę.

Och, gdyby wiedzieli, w jakim towarzystwie obraca się teraz ich córka, ależ byliby wstrząśnięci! Po prawej stronie Kate, trzymając ją za rękę, kroczył Aiden, młodzieniec o długich włosach ufarbowanych na kolor musztardy, okutany w czarną pelerynę. Krążyły plotki, że w początkowej fazie swego pobytu w Londynie trudnił się stręczycielstwem. A inni! O Annie opowiadano, że jest nimfomanką, o Donie, że na całych rękach ma blizny po heroinowych „strzałach”, że nie pasujący do siebie duet, piękny Gordon i podobny do gнома Mike, świata poza sobą nie widzą. Kate nie była pewna, czy można wierzyć tym pogłoskom, lecz bez względu na to, do jakiego stopnia skłonna im była dać wiarę, jedno nie ulegało wątpliwości: postawy życiowe tych ludzi odbiegały bardzo daleko od standardów statecznego a nudnego świata, w którym się wychowała. I to właśnie było cudowne. Mimo wszechobecnego brudu, ciężkiej pracy, prymitywnych kwater dosłownie promieniała szczęściem. Odkąd sięgała pamięcią, dorosłość była dla niej synonimem odpowiedzialności i nudnej powagi, a tu proszę! Skończyła szkołę, była osobą dojrzałą i najbardziej beztroską dziewczyną na świecie, nareszcie wolną. Okazało się, że życie może być cudowną przygodą.

— Spójrz! To znów ta dziewczyna.

Kate widziała już tę nieznajomą, kiedy wracała z pracy. W samotnej postaci dziewczyny było coś takiego, co przyciągało uwagę, nawet w tym wielkim zbiorowisku wyalienowanych dziwaków, wszelkiego rodzaju lumpów i cudzoziemców.

Wysoka i dobrze ubrana, wydawała się stanowczo zbyt wytworna jak na ochotniczkę. Miała na sobie elegancki płaszcz z podniesionym aksamitnym kołnierzem — dla ochrony przed wieczornym zimnem — na rękach czarne skórkowe rękawiczki, a jej torebka z czarnej lakierowanej skóry idealnie pasowała do pantofli. Lecz jeden z szylkretowych grzebieni spinających jej bujne jasnobrązowe włosy wysunął się z miejsca, w które go wpięto, i masa wzburzonych loków opadła jej na policzek, psując symetrię fryzury, zaś drogie pantofelki unurzane były w błocie, szarym florenckim błocie, które wielkimi kropkami poplamiało też jej pończochy. Nieznajoma niespiesznym krokiem szła z naprzeciwka — ku grupie roześmianych cudzoziemców. Gdy tak szła ze wzrokiem wbitym w ziemię, wydawało się, że ta młoda nieznana kobieta żyje w jakimś własnym świecie, który sądząc po niej, bynajmniej nie należał do szczęśliwych.

Na jej widok wrzawa i śmiechy ucichły, łańcuch rąk został przerwany; grupa rozstała się na boki, aby otworzyć jej przejście.

Tego wieczoru dobry nastrój Kate osiągnął takie rozmiary, że pragnęła wszystkich obdzielić swym szczęściem — znajomych i nieznajomych.

— *Buona notte* — pozdrowiła dziewczynę po włosku, uśmiechając się zachęcająco, lecz ta, ignorując jej dobrą wolę, przeszła między nimi zupełnie jak lunatyczka.

— Nadęte krówsko — sarknął Don.

— Ale nogi ma dobre — zauważył Aiden.

Nieznajoma pozostawiła po sobie lekki, acz wyraźny zapach kosztownych perfum. Kate odprowadziła ją wzrokiem. Przy końcu ulicy dziewczyna przystanęła, jakby niezdecydowana, czy iść w kierunku Piazza Signoria, czy wejść na most. A gdyby ją poprosić, żeby poszła z nimi? pomyślała nagle Kate. Porzuciła po chwili ten pomysł z obawy, że po raz drugi zostanie potraktowana jak intruz.

Don swoim zwyczajem rozładował sytuację, proponując niezawodne, szybko działające remedium na humory samotnych wymuskanych ślicznotek, na co wszyscy wybuchnęli śmiechem. Aiden ponownie wziął Kate za rękę i poszli dalej. O eleganckiej nieznajomej wkrótce zapomnieli.

Lungarno Corsini Due, budynek, w którym miał swą siedzibę konsul brytyjski, stał nad brzegiem Arno, zwrócony frontem do rzeki, nic więc dziwnego, że nosił na sobie wszelkie ślady szaleństwa żywiołu. Droga biegnąca przed gmachem była ciągle jeszcze nieprzejezdna. Sprawiała wrażenie, jakby rzeka wyjadła z niej potężny kęs, pozostawiając w tym miejscu nieregularną wyrwę, otoczoną teraz linami.

Gdy jednak przybysze weszli do środka, otworzył się przed nimi całkiem inny widok: rzucała się tu w oczy niebywała wprost ilość wszelkiego rodzaju trunków i eleganckich kanapek na olbrzymich tacach, roznoszonych przez wytworną służbę w liberiach, oraz trzy gatunki papierosów w srebrnych kasetkach rozstawionych w różnych punktach sali. Aż trudno było uwierzyć, że cały ten luksus przygotowano dla nich, zwykłych ochotników. Co więcej, wyglądało na to, że pozostałych gości zaproszono jedynie po to, aby im mogli wyrazić swe najwyższe uznanie za heroizm i poświęcenie.

— Zasłoń mnie, Kate — szepnął Don, zajęty przekładaniem papierosów ze srebrnej kasetki do swej obszernej kieszeni.

— Może byś zostawił ze dwa? Pusta kasetka będzie zwracać uwagę... Co sobie o nas pomyślą?

— Za późno — beztrąsko odrzekł jej towarzysz, chwytając lampkę wina z tacy przechodzącego obok kelnera.

Po drugiej stronie sali Aiden chował właśnie pół butelki wódki do wewnętrznej kieszeni swojej peleryny; niewątpliwie miała ona sporo zalet. Kate, widząc to, westchnęła w duchu: oby konsul nie pożałował swojej gościnności.

— Och, Kate, wyglądasz fantastycznie! Obróciła się szybko — stał przed nią David.

— Kiedy tu przyszedłeś?

— Z pół godziny temu. Zawsze lepiej przyjść wcześniej przed taką hałastrą. Zanim zdąży wszystko zwędzić.

Kate lubiła Davida, ale w tym okresie lubiła wszystkich florenckich kolegów. Był o parę lat od niej starszy, lecz stanowił ujmującą mieszaninę naiwności i pewnego wyrafinowania. Przyjechał do Florencji zaraz po Nowym Roku, podobnie jak ona, i natychmiast całym sercem włączył się w działalność „aniołów od błota”, jak ich tutaj zwano. Miał gęste czarne brwi, a zarys jego szczęki mówił o sile i zdecydowaniu. Przystojną, gładko wygoloną twarz okalały starannie przycięte włosy; niektórym wydawał się przez to zbyt



„gładki”, ale szybko się to zmieniło. Teraz włosy opadały mu na kołnierz, a głos nabrał chrapliwych tonów — od papierosów i wszechobecnych wyziewów.

— Co to za facet, do którego Anna robi słodkie oczy? — zainteresowała się Kate, patrząc w przeciwny koniec sali, gdzie jej koleżanka z dużym powodzeniem odgrywała rolę seksownego kociaka na użytek dość osobliwego indywiduum. Był to osobnik w średnim wieku z zabawną kozią bródką, który sądząc z wyglądu, czułby się chyba lepiej forsując górskie zbocze w grubych butach i skórzanych portkach, niż uczestnicząc w wytwornym przyjęciu. — Nie wydaje mi się, aby był w jej typie.

David roześmiał się głośno.

— Ale prowadzi casting, i to się liczy. To znaczy casting w stylu florenckim. Mówiąc serio, przysłano go tu z Londynu; ma zorganizować pracę w Galerii Uffizi i właśnie dobiera ludzi. Dla Anny przedstawia dużą wartość: może jej załatwić ciekawszą robotę, no i o wiele lżejszą niż wywijanie łopata.

— Doprawdy? Więc to jakiś ekspert? — Kate z nowym zainteresowaniem spojrzała na jegomościa z bródką. — Jak się nazywa?

— Profesor Fuller. Mogę cię przedstawić. Chcesz?

— Jeszcze jak! — Napelniając ponownie kieliszek, podjęła męską decyzję: oczaruje tego profesora. Od początku pragnęła brać udział w ratowaniu wielkich dzieł sztuki. Marzyła o takiej pracy.

Sprawa okazała się zadziwiająco łatwa. Profesor Fuller bardziej niż chętnie dokooptował do swego zespołu jeszcze jedną ładną dziewczynę. Zgodził się nawet przyjąć Davida — chcąc pewnie uniknąć posądzeń, że zatrudnia wyłącznie ładne przedstawicielki płci żeńskiej. Gdy po trzech lampkach wina i sześciu pasztecikach Kate w towarzystwie Davida wyszła z konsulatu, oboje nie posiadali się ze szczęścia. Ależ im się powiodło!

— Chodźmy to uczcić — zaproponował David. — Stawiam ci kolację.

— Nie zaczekamy na resztę?

— Nie, chociaż raz pobądźmy we dwoje — powiedział trochę niewyraźnie, otaczając ją czule ramieniem.

Kate doszła wtedy do wniosku, że kiedy mężczyzna wleje w siebie pewną ilość alkoholu, jego opiekuńcze ramię staje się zadziwiająco ciężkie, ale co tam, nie zamierzała narzekać, zwłaszcza że sama nie była zbyt trzeźwa. Ten chłopak był atrakcyjny, umiał świetnie się bawić, a ona nie miała nic przeciwko temu, żeby spędzić z nim wieczór. Perspektywa małego flirtu i ewentualnie kilku pocałunków — jeśli sprawy tak się potoczą — była nawet całkiem kusząca. Nie całowała się jeszcze z Davidem. Z Aidenem owszem — chyba wszystkie się z nim całowały. Zachowywał się w taki sposób, jakby to był ich obowiązek. Będę strasznie rozczarowany, mówiło jego spojrzenie, jeśli mi odmówisz. Całowała się też z Hugonem, którego przydzielono do konsulatu, do jakichś zadań specjalnych. Pozwoliła mu na to, gdyż okazał jej ogromne zainteresowanie zaraz po przyjeździe, a poza tym nie umiała wymyślić żadnej wymówki. No i to było wszystko. Dalej się nie posunęła. Inni też chyba nie. W ich grupie bez przerwy gadało się o seksie, lecz na tym rzecz się kończyła, jeśli nie liczyć tych mało konkretnych plotek o Annie.

Całowanie i petting tak, było tego nawet sporo, ale do prawdziwych zbliżeń jakoś nie dochodziło. Pewną przeszkodę stwarzały oczywiście koszarowe warunki życia, ale nie był to jedyny powód. Nikt chyba nie chciał zrywać przyjacielskiej więzi łączącej wszystkich członków grupy, a gdyby powstały pary, musiałoby się tak stać. Kate osobiście była bardzo zadowolona, że jest tak, jak jest. Jej to odpowiadało — przynajmniej na razie. Seks uprawiała dotąd zaledwie pięć razy — wyłącznie z Mattem, swym stałym chłopakiem w Anglii, i choć wolałaby umrzeć, niż się do tego przyznać, podczas owych zbliżeń doświadczyła głównie uczucia dyskomfortu i zażenowania. Ucieczka od Matta i jego pospiesznych poczynań — bardziej przypominających zapasy niż miłość — była jednym z ukrytych powodów jej wyjazdu do Włoch.

— Dokąd idziemy? — spytała Davida.

— Chodźmy na tamten brzeg.

— A jest tam coś do jedzenia?

— Musi być — odrzekł z przekonaniem.

Przeszli na drugi brzeg Arno przez Pont'alla Carraia. Nad rzeką powietrze było jeszcze chłodniejsze — z czarnych wód biła w górę przenikliwa wilgoć. Kate nie po raz pierwszy przyszło na myśl, że wieczorami Arno wygląda doprawdy złowieszczo. Za dnia ta rzeka przecinająca centrum Florencji wydawała się całkiem łagodna; wprost trudno było uwierzyć, że mogła się tak rozszaleć, by przewracać nawet wielkie ciężarówki. O zmroku wszystko się zmieniało; teraz z wód Arno, tak cichych i obojętnych rankiem, emanowała jakaś pierwotna potęga, okrutna przyczajona siła niszczycielskiego żywiołu. Nawet w towarzystwie Davida Kate czuła się trochę niepewnie. Ogarnęła ją ulga, gdy znaleźli się na drugim brzegu.

Przeszli jeszcze kawałek, prawie do Ponte Santa Trinita, gdzie przystanęli w pobliżu jednej z działających latarń — na tym brzegu Arno zostało ich bardzo niewiele. Ulica ziała pustką — żadnych ludzi ani samochodów. Lekko zamroczona winem, niewyraźnie widziała uśmiech Davida, gdy pochylił się nad nią i zaczął całować. Jego chłodne wargi miały smak papierosów i szkockiej whisky. Zamknęła oczy i oddała mu pocałunek, a gdy wsunął jej język do ust, polizała go czubkiem własnego. W grupie nieustannie toczono dyskusje na temat najlepszych technik pocałunku, a ona lubiła je sprawdzać. Gdy wreszcie obojgu zabrakło powietrza, ich wargi były już gorące. I w tym momencie Kate ją zobaczyła.

— Spójrz — powiedziała — to znów ta dziewczyna.

— Jaka dziewczyna — wymamrotał David z twarzą w kołnierzu jej płaszcza.

Chciał ją znów pocałować, ale trafił nosem w jej nos, bo akurat odwróciła głowę, robiąc zarazem krok w tył. W postawie dziewczyny stojącej pośrodku mostu Kate dostrzegła coś takiego, co wzbudziło jej czujność, przepędzając całe odurzenie pocałunkami i winem.

— Widziałam ją już dzisiaj. Popatrz. Co ona robi? — David westchnął ciężko, ale spojrzał we wskazaną stronę. Kate tymczasem zaczęła się denerwować. — Davidzie, ona wygląda, jakby chciała skoczyć do rzeki!

— Tak myślisz? — Najwyraźniej trudno mu było zainteresować się kimkolwiek poza Kate. To ona skupiała na sobie całą jego uwagę. Ta nieznajoma mało go obchodziła. — Wiesz co? — mruknął. — Lepiej się w to nie wtrącać.

— Co ty mówisz? — obruszyła się Kate. — Tak nie wolno! Musimy coś zrobić.

Dziewczyna przewieszona połową ciała przez kamienną balustradę mostu z jakąś dziwną fascynacją wpatrywała się w czarne wody rzeki. Na widok nieznajomej pary wyprostowała się szybko i położywszy dłonie na murze, podciągnęła się, by usiąść na jego wąskiej krawędzi — w bardzo niebezpiecznej pozycji. Lada chwila mogła stracić równowagę, a wtedy...

Kate ze strachu zrobiło się zimno. Impulsywnie ruszyła w stronę mostu, stanęła jednak w pół kroku.

— Davidzie — szepnęła — musimy się tak zachowywać, jakbyśmy nic nie widzieli. Nie wolno nam jej spłoszyć, bo... no wiesz, może skoczyć. Udawajmy, że się całujemy... — Objęła go wpół i z ustami na jego ustach zaczęła iść w stronę mostu, zerkając ukradkiem na elegancką kobietę, którą jakby przyciągał ten ciemny morderczy nurt, bo coraz niżej pochylała głowę i ramiona.

Kiedy podeszli bliżej, Kate zobaczyła, że dziewczyna podnosi rękę do ust i zębami zdejmuje rękawiczkę. Po chwili sennie powolnym ruchem wyprostowała ramię i otworzywszy stuloną dłoń, wypuściła z niej rękawiczkę. Mały czarny przedmiot zniknął w ciemności, nim zdążył uderzyć w wodę. Na twarzy dziewczyny pojawił się lekki uśmiezek. Takim samym gestem jak poprzednio wyciągnęła ramię z torebką. Ją także wrzuciła do rzeki...

W chwili gdy znaleźli się na środku mostu, Kate była mokra z napięcia. Najwyższym wysiłkiem udało jej się na tyle opanować nerwy, by powiedzieć możliwie niedbałym tonem:

— O, cześć! Czy to ty, Louise?

Zaskoczona dziewczyna obróciła się do niej twarzą i Kate zobaczyła jej oczy, najcudowniejsze oczy, jakie można sobie wyobrazić. Może nie tyle piękne, co urzekające. Minęła chwila. Nieznajoma przyglądała im się w milczeniu. Z jej twarzy nic się nie dało wyczytać.

— Wydawało mi się, że spotkałyśmy się dziś po południu. Nie? Coś takiego! A mogłabym przysiąc... — paplała Kate, rejestrując zarazem kątem oka, że David przesunął się w taki sposób, by zająć pozycję przy drugim boku dziewczyny.

— Och, bardzo przepraszam, widocznie się pomyliłam. A przy okazji: mam na imię Kate. Wracamy właśnie z fety w konsulacie, co tak zaostriło nam apetyt, że postanowiliśmy pójść gdzieś na kolację. Nie poszłabyś z nami?

Stała teraz tuż przy dziewczynie. W razie czego miałyby szansę chwycić ją za rękaw. Tymczasem trajkotała dalej:

— Jesteś Angielką? — Nie zmieniając kamiennego wyrazu twarzy, tamta z wolna pokręciła głową.

— Och, ale przynajmniej mówisz po angielsku. Głupio by mi było, że tyle się nagadałam i wszystko to poszło w powietrze. Nie lubię robić z siebie idiotki. — Przerwała, by złapać oddech. — Bardzo tu pięknie, prawda?

Właśnie w tym momencie dziewczyna odchyliła się do tyłu — być może straciła równowagę — Kate jednak uznała, że wygląda to tak, jakby miała zamiar stoczyć się siłą bezwładu wprost do ciemnej, pełnej wirów wody. Jednym susem rzuciła się naprzód i zdołała złapać ją za płaszcz. David też zareagował błyskawicznie: mocnym chwytem w pasie ściągnął nieznajomą z balustrady. Odetchnęli oboje. Nioszona samobójczynie stała teraz bezpiecznie na twardym gruncie, oni jednak na wszelki wypadek trzymali się blisko niej.

— Omal nie straciłaś równowagi — powiedział David, jakby chciał usprawiedliwić swoją interwencję.

— Trochę mnie wystraszyłaś. — Kate uśmiechnęła się zachęcająco. Powiedz coś wreszcie, dodała w duchu.

Tamta zamruwała powiekami. Ach, cóż to za niesamowite oczy, pomyślała znów Kate. Nioszona ofiara rzeki zerknęła przez ramię na wodę i przeszedł ją dreszcz, a potem przyjrzała się własnej ręce, tej w rękawiczce.

— Upuściłam torebkę — powiedziała po angielsku.

— Tak — potwierdziła Kate.

W kącikach ust nieznajomej zaigrał przelotny uśmiech.

— Myśleliście pewnie, że zamierzam skoczyć... — Lekkie podniesienie głosu przy końcu tej wypowiedzi sprawiło, że zabrzmiała niemal jak pytanie. Jej akcent... Kate nie potrafiła go zlokalizować. Na pewno nie brytyjski, ale też nie włoski.

— Ależ skąd! — zaprzeczyli chórem oboje z Davidem.

— Tak strasznie dziś zimno. — Nieznajoma skrzyżowała ręce na piersi. — Czasami aż mąci się od tego w głowie.

— No właśnie — szybko wtrącił David. — Może skoczylibyśmy gdzieś na drinka? Warto by się trochę rozgrzać.

W niezwykłych oczach załśniły łzy.

— Ale ja... Wszystkie pieniądze miałam w torebce. I mój bilet bagażowy.

— Tym się nie przejmuj. Dzisiaj ja stawiam.

— Naprawdę? Tylko że... — w jej głosie dało się słyszeć wahanie.

Kate miała wrażenie, że dziewczynę żenuje hojność Davida. Ona sama wciąż podziwiała jej oczy. Były fascynujące — wydłużone i tajemnicze; takie oczy widuje się nieraz na obrazach z czasów renesansu. Oczy, których nie sposób zapomnieć.

— Chodźmy się ogrzać — powiedziała. — Dobrze ci to zrobi.

— Okej. — Zabrzmiało to dość ostrożnie. Jakby właścicielka tych niezwykłych oczu nie mogła uwierzyć w czyjąś zwyczajną życzliwość. Po chwili jednak musiała sobie chyba uświadomić, że w tej sytuacji nie ma wielkiego wyboru, bo wyciągnęła rękę do Kate: — Bardzo wam dziękuję. Mam na imię Francesca.



# ROZDZIAŁ 5

## LA VALLETTA

Miało być sielankowo. Kate wynajęła florencką taksówkę i zaczęła się niespieszna jazda przez zalany wrześniowym słońcem krajobraz, utrwalony w setkach znanych płócien — z małymi miasteczkami na wzgórzach i krętymi dolinami — krajobraz pełen wiecznie zielonych cyprysów i szarych oliwnych gajów, gdzie na poboczach drogi widać było przyprószone pyłem niebieskie i żółte kwiaty, sygnały późnego lata, a pod drzewami błyszcząły jak gwiazdki jaskraworóżowe cyklameny. Im bliżej było willi Beatrycze, tym otoczenie stawało się dziksze. Widoczna w perspektywie panorama — faliste wzgórze, ukryte wśród nich doliny górskich rzek i strumieni, powleczone sinym cieniem lasy — wyglądała prawie tak samo jak na obrazach mistrzów renesansu. Minione stulecia nie odcisnęły na niej swego piętna. W powietrzu unosił się zapach schnących w słońcu liści, a wszędzie panowała głęboka cisza przeniknięta rytmicznym graniem cykad, graniem, które sprawia, że owa cisza wydaje się jeszcze głębsza, jeszcze bardziej wszechogarniająca.

Powinno być sielankowo, ale nie, nie było. Przez cały ten czas Kate musiała walczyć z przemożną chęcią ucieczki — z powrotem do Florencji, do Rzymu, gdzie David odwiedzał córkę, do Londynu i własnego bezpiecznego świata. Być gdziekolwiek, byle nie tu.

Gdy po opuszczeniu wiejskiej drogi znaleźli się na krętym trakcie biegnącym w górę ku willi, Kate pomyślała, że oto wkracza w strefę zakazaną. Ziemię Bertonic. Czy mogła przypuszczać, że jeszcze kiedykolwiek będzie je oglądać? Wcale zresztą tego nie pragnęła. Ukryła przecież to miejsce w lamusie niechcianych wspomnień. Wspomnień, które tak skutecznie pogrzebała na całe lata, że ich powrót wydawał się już niemożliwy. Jeszcze kilka miesięcy temu była pewna, że rozstała się z nimi na dobre, a teraz... Uczucie, że otacza ją świat całkiem inny od znanej rzeczywistości, wolny od zgiełku współczesnego życia, było takie samo jak wtedy, podczas jej pierwszej wizyty. Co ja tu robię? pomyślała w pewnej chwili. Dopiero widok leżącej obok, starannie opakowanej kasetki z obrazem kazał jej się skupić na zadaniu, dla którego się tu znalazła: trzeba się dowiedzieć, kto przysłał jej te obrazy, a następnie przekonać właścicieli, że jeśli w przyszłości zechcą skontaktować się z nią samą lub innym konserwatorem, powinni to zrobić w sposób bardziej konwencjonalny niż poprzez brutalne akty wandalizmu wobec tak cennych dzieł sztuki. Załatwić to i wyjechać. Proste i jasne.

Tak, tylko że nic, co miało związek z rodziną Bertonic, nigdy nie było proste ani jasne.

Dlaczego postanowiła tu właśnie rozpocząć śledztwo? Rodzice Franceski, jeśli jeszcze żyli, musieli być teraz ludźmi po siedemdziesiątce czy nawet osiemdziesiątce, trudno byłoby zatem brać ich pod uwagę, ale mieli przecież jeszcze jedną córkę, młodszą od Franceski. Jakże jej było na imię? Sylvie? Sandra?... Jakoś tak albo podobnie... Wszystko przemawiało za tym, aby zacząć od niej.

Powtarzając sobie, że „to logiczne” i że wszystko „jest zupełnie proste”, Kate usiłowała opanować nerwy, mimo to serce wciąż jej waliło jak młotem. Miejsce, do którego dowiózł ją właśnie kierowca, wydawało się znajome i zarazem zupełnie inne niż w ów ostatni tragiczny weekend. Tyle rzeczy uleciało jej z pamięci. To przede wszystkim, jak piękna jest sama willa. Budowla po prostu urzekła pięknem już od chwili, gdy w połowie drogi dojazdowej zobaczyło się ją wysoko przed sobą — strzelistą i białą jak skrzydło łabędzia. Przypominała zresztą wspaniałego kamiennego ptaka, który przysiadł jedynie na wzgórzu, by za chwilę zerwać się do lotu. Pobudowany z cudownym wyczuciem scenerii dom emanował pięknem, od którego ścisnęło się gardło, tak uwodzicielskim, że czyniło człowieka ślepym i głuchym na wszelkie niebezpieczeństwo.

Z bliska ten urok stawał się wprost przytłaczający. Gdy tu była jako nastolatka, Kate tylko w jeden sposób potrafiła dać wyraz swojemu wrażeniu: że. to najładniejszy budynek, jaki kiedykolwiek oglądała. Teraz był to dla niej najdoskonalszy przykład stylu palladiańskiego z początków osiemnastego wieku. Ciągące się po obu stronach klasycystycznej fasady szeregi białych kolumn przypominały ramiona rozpostarte w szerokim powitalnym geście. Masywne kamienne bloki użyte do ich budowy wycięto ze skały z tak ogromną znajomością rzeczy, że zdawały się nic nie ważyć; wyglądały jak kolumny światła, lecz zarazem tak naturalnie, jakby wyrosły z gleby, w której je osadzono.

Kate wysiadła z taksówki, zabierając ze sobą kasetkę z obrazem; kierowcy poleciła czekać. Wciąż nie mogła pozbyć się uczucia, że ziemia, po której stąpa, to jakaś zaklęta kraina pełna dziwów i groźnej magii. Śmieszne, zbeształa się w duchu. Weź się w garść, kobieto. Widziałaś napis. To nie zamek Sinobrodego, tylko młodzieżowe centrum sztuki. Całkiem prozaiczne, prawda? Czary! Dobre sobie!

Po szerokich a niskich stopniach dotarła do wejścia, nad którym na białej marmurowej tablicy widniała prosta inskrypcja: „Pamięci Franceski Bertoni 1946—1967”. Imię, nazwisko i daty, nic więcej. Stała tam jeszcze, wpatrzona w wryte litery, gdy w drzwiach pojawiła się ruda kobieta, która grzecznie spytała, czym może służyć. Usłyszawszy, że nowo przybyła chce się widzieć z signorą Bertoni, siostrą nieżyjącej patronki ośrodka, odrzekła, że pani Simona jest w La Valetcie; w tej chwili w teatrze odbywa się próba.

Kate przybrała taki wyraz twarzy, jakby wszystko było dla niej jasne.

Simona. Rzeczywiście. Tak miała na imię ta młodsza siostra. Simona.

Czuła, że nerwy napinają jej się jak postronki; a więc rodzina Bertonich wciąż tu mieszka. W głębi duszy liczyła na to — tak w pięćdziesięciu procentach — że zastanie nowych właścicieli i że obraz wysłano skądinąd, będzie więc musiała uznać tę wyprawę za porażkę, wrócić do Florencji i oddać zagadkowe płótno tamtejszemu pośrednikowi. Tymczasem Simona tu jest... Ta Simona, którą po raz ostatni widziała przez chmurę szarego pyłu, biegnącą w rozpaczliwej panice na chwilę przed śmiercią Franceski...

— Skoro chce się pani z nią widzieć, signora... — Słowa rudowłosej wyrwały Kate z zamyślenia.

— Tak, tak. Kiedy wróci?

— Teatr jest tutaj, na terenie posiadłości — odrzekła z uśmiechem kobieta. — Zaprowadzę panią.

Okrążywszy pół willi, ruszyły dalej długą zwirowaną ścieżką, biegnącą wśród rzadko rosnących drzew od wymuskanych francuskich ogrodów na otwartą przestrzeń, widoczną u końca ścieżki. La Valletta, jak się okazało, nazywano tu amfiteatr zbudowany w obszernej niecce wydrążonej nieopodal w stoku.

— Zawiadomić panią Simonę, że ma gościa? — zapytała ruda przewodniczka.

— Nie, bardzo dziękuję, zaczekam, aż skończy.

Stojąc na skraju niecki, spojrzała w dół, na arenę. Odbywało się tam pewnie coś w rodzaju warsztatów teatralnych, choć wyglądało to raczej na jakiś dziwny rytuał, zrozumiały wyłącznie dla wtajemniczonych. Mniej więcej dwadzieścia osób pełzało w kółko po trawie, ale która z nich była Simoną? Wszystkie nosiły sztywne białe maski. Maski zawsze wprawiły Kate w nieokreślony niepokój, trudno powiedzieć dlaczego. Wiedziała jedynie, że te białe nieruchome plamy zamiast twarzy z nie pasującymi do nich oczami jakoś źle na nią działają. I ten brak jakichkolwiek wskazówek co do cech charakteru... przekształcający żywego człowieka w abstrakcję... Siostra Franceski mogła kryć się za każdą z tych masek.

Wydobyła z torebki komórkę i karteczkę z numerem Davida. Zgłosił się prawie natychmiast.

— Już tam jesteś? No i jak?

— Dziwnie. Oglądałam akurat jakąś awangardową grupę teatralną.

— Znalazłaś tę siostrę?

— Chyba na nią patrzę, ale nie jestem pewna.

— Dobrze się czujesz?

— Tak, wolałabym jednak, żebyś tu był.

— Mogę przyjechać jutro, jeśli sobie życzysz.

— Już jutro? Nie układa ci się z Lucy?

— Nie, wszystko w porządku, tylko... No cóż, jeśli mam być szczery, mogłoby być lepiej.

— Możemy spotkać się jutro, ale nie tutaj. Wyjeżdżam za jakąś godzinę czy dwie. Zatrzymałam taksówkę. Davidzie...

— Co?

— Właśnie sobie myślałam... jakie to dziwne znaleźć się tutaj po tylu latach. Pewne rzeczy są niby takie jak dawniej, a jednak wszystko jest zupełnie inne. Jakbym oglądała faksymile tej znanej nam kiedyś willi. Taka sama, ale nie ta sama. A moje wspomnienia są tak poplątane i tak niekompletne, jakby latami leżały w wilgotnym i ciemnym schowku, gdzie zajęły się nimi myszy i korniki. Wiesz, powinien powstać nowy zawód: konserwatora wspomnień. Ci ludzie naprawialiby nam pamięć tak jak ja obraży. — Roześmiała się z lekkim zakłopotaniem. — No i co o tym myślisz? Chciałbyś mieć kogoś takiego?

Z krótkiej ciszy, która zapadła w słuchawce, łatwo się było domyślić, że David doskonale wyczuł jej niepokój.



— Kate — powiedział w końcu łagodnie — ustal nadawcę obrazów, każ mu zaprzestać tych praktyk i wyjedź. Nic więcej nie rób. Jutro się spotkamy.

— Ale... — Kate zniżyła głos. — Muszę kończyć, ktoś tutaj idzie. Zadzwoń do ciebie później.

Podczas rozmowy z Davidem któraś z biało ubranych figur, chyba kobieta, spojrzała na nią — dało się to zauważyć, bo maska zabłysła w słońcu — po czym odłączyła się od grupy. Wyglądała na zdenerwowaną; widać to było mimo osłoniętej twarzy. Barki i układ ramion odchylonych lekko od tułowia zdradzały wewnętrzne napięcie. Kobieta wspinała się teraz po spadzistym zboczu, zmierzając ku krawędzi niecki. Szła długim, swobodnym krokiem, bardzo zdecydowanym. Kate szybko schowała telefon i mocniej przycisnęła do siebie kasetkę, osłaniając się nią jak tarczą.

W połowie zbocza postać przystanęła, by zdjąć maskę, spod której wysypała się masa brązowych włosów przyprószonych leciutko siwizną. Kate na ten widok cofnęła się o pół kroku. Mój Boże!

Czyż mogła przypuszczać, że młodsza siostra tak bardzo przypomina starszą? W młodości też oczywiście istniało między nimi spore podobieństwo. Obie miały te dziwne, szeroko rozstawione oczy w kolorze morskiej zieleni, gęste brązowe włosy i ten nagły, rozbrajający uśmiech jak z reklamy pasty do zębów, ale przy swojej olśniewająco urodziwej siostrze Simona była tylko brzydkim kaczątkiem. Przyciężka, niezręczna i strasznie zażenowana swoją pączkującą kobiecością, garbiła się, chcąc ją ukryć, a z powodu klamer na zębach wołała się nie uśmiechać. Tak, ale kiedy to było! W końcu nic w tym dziwnego, że brzydkie kaczątko przekształciło się z czasem w pięknego łabędzia — z pomocą najlepszego pewnie ortodonta. Bo nie ulegało wątpliwości, że ta zbliżająca się do Kate kobieta, wysoka, smukła i silna, jest doprawdy bardzo atrakcyjna. Wprost uderzająco.

— Simona Bertoni?

— Tak, to ja.

— Jestem Kate Holland.

Ale tamta była już tego świadoma. Zdradziły ją oczy. Ich wyraz. Widać było, że wie doskonale, kto przed nią stoi. Trwało to tylko ułamek sekundy; potem błysk rozpoznania zniknął — jakby ktoś nagle opuścił przyłbicę — ustępując miejsca chłodnej czujności.

— Cóż to cię tutaj sprowadza?

Głos też był znajomy. I akcent. Ten amerykańsko-brytyjsko-włoski akcent był taki sam jak u siostry. Mógł pochodzić zewsząd i znikąd.

Kate nie kwapiła się z odpowiedzią. Jeśli to Simona przysłała obrazy, niech sama wykona pierwszy ruch. Niczego ci nie ułatwię, pomyślała.

Simona przez kilka sekund mierzyła się z nią wzrokiem, a potem jej spojrzenie ześliznęło się na kasetkę.

— Przywiozłaś obraz?

— Znasz go?

Odpowiedzią był ledwo dostrzegalny ruch głowy — i słowa:

— To „Marsjasz”.

— A wiesz, że wprowadzono w nim zmiany?

Simona przez chwilę wpatrywała się w nią w milczeniu.

— Dlaczego nie dałaś znać, że przyjeżdżasz?

Och, jesteś zdenerwowana, pomyślała Kate. Widać to gołym okiem.

— Sądziłam, że się mnie spodziewasz — powiedziała głośno.

— Miałam nadzieję, że... — Simona urwała. Głos jej się załamał.

Kate w tym momencie poczuła, że zdobyła nad nią przewagę. Zaskoczenie zrobiło swoje.

— Muszę zwrócić to płótno signorowi Barziniemu, jako że on mi je przysłał, pomyślałam sobie jednak, że być może dowiem się od ciebie, kto spaskudził te dwa obrazy, bo to już drugi, który dotarł do mnie w takim stanie. Przy okazji muszę ci powiedzieć, że to skrajna nieodpowiedzialność pozwalać wandalom bazgrać po tak cennych płótnach.

— Kate, proszę cię, przestań. — Simona zdobyła się na uśmiech, lecz nie miała go w oczach. Nadal wyglądała na spłoszoną. — Tak mnie zaskoczyłaś... a ja... Nie wiesz, jak bardzo chciałam cię tu ściągnąć. Nie gniewaj się, Kate. To dla mnie ogromnie ważne.

— A więc to ty domalowałaś te detale. Dlaczego, na miłość boską?

— Och, z wielu powodów. Ale ty... ty powinnaś mnie była uprzedzić.

— Zupełnie cię nie rozumiem. Skoro chciałaś, żebym przyjechała, czemu nie zaprosiłaś mnie w normalny sposób?

— A przyjechałabyś?

— Możliwe, chociaż... — Kate zawahała się lekko. Simona skwapliwie wykorzystała tę przerwę, by natychmiast wejść w rolę dobrej gospodyni.

— Chodźmy do domu, Kate. Jak się tu dostałaś? Musisz być spragniona po podróży. Taki kawał drogi. Masz jakiś bagaż? — Nie przestając mówić, poprowadziła Kate w stronę domu, pokazując jej zmiany i ulepszenia dokonane na terenie posiadłości, po czym krótko streściła działalność fundacji. — Przez całe lato prowadzimy tu różne kursy. Dzisiaj ostatni dzień zajęć. Uroczystość końcowa odbędzie się jutro. Zawsze jest to wielkie wydarzenie. Spodoba ci się, zobaczysz. Na szczęście tym razem La Rocca nie gości żadnych oficjeli, więc miejsca do spania jest dosyć.

— La Rocca?

— Pamiętasz chyba ten dom, a raczej wieżę. Mieszkał tam nasz stryj.

Och! Kolejne wspomnienie przedarło się na światło dzienne i Kate przebiegł dreszcz.

— Nie mogę zostać — powiedziała. — Czeka na mnie taksówka.

— Ależ ty musisz zostać! Mamy sobie tyle do powiedzenia, tyle do nadrobienia! — zawołała Simona, a widząc, że Kate chce zaprotestować, dodała stanowczo: — W każdym razie teraz nie pojedziesz. Przecież jesteś tu dopiero kilka minut. Jeśli później zdecydujesz się wyjechać, odwiezie cię mój kierowca. Proszę cię, Kate, zostań jeszcze trochę!

Gdyby istniał jakikolwiek logiczny powód do odmowy, Kate z pewnością by go przytoczyła, nic takiego jednak nie przyszło jej na myśl. Zaczęła nawet dochodzić do wniosku, że lepiej byłoby zostać. Trzeba dogrzebać się przyczyn całej tej dziwacznej sprawy, warto się też dowiedzieć, kto tak nisko wycenił te płótna. Poza tym nie miała planów na pozostałą część dnia — David zjawi się dopiero jutro — a perspektywa spędzenia kilkunastu godzin w jednej z najpiękniejszych włoskich posiadłości była nie do pogardzenia. Interesowała ją także działalność fundacji, tak więc argumentów za przyjęciem zaproszenia było sporo, przeciwko zaś tylko dwa — to, że na samą myśl o pozostaniu ścisła ją w dołku i że tak ślepo pragnęła stąd uciec.

Pozwoliła Simonie odprawić taksówkę. Ta, widząc kwotę wręczoną przez Kate kierowcy, z niedowierzaniem parsknęła śmiechem.

— To niesłychane, ile kosztowała cię ta podróż! Gdybyś zadzwoniła do mnie z Florencji, posłałabym po ciebie kierowcę. — Pochwyciwszy walizkę Kate, umieściła ją w swym kabriolecie. — Dobrze się stało, że wzięłam dziś wóz. La Rocca jest tak blisko, że zwykle chodzę piechotą. Może przeczuwałam, że będzie potrzebny.

Kate przystanęła z ręką na drzwiach wozu.

— Powiedz mi: jak mnie znalazłaś?

Simona odegrała małą komedię, udając, że zastanawia się nad odpowiedzią, lecz dla Kate było jasne, że to tylko gra.

— Musiałam zobaczyć twoje nazwisko w jakimś czasopiśmie... Tak, parę lat temu wpadło mi w ręce „International Conservation”. Był tam twój artykuł... chyba o podróbce Goi, którą przysłano ci do renowacji. Było też zdjęcie, a pod nim twoje personalia. Dobrze, że zachowałam panięskie nazwisko. To ułatwiło mi sprawę.

— Nadal nie rozumiem, czemu nie mogłaś po prostu napisać.

— No cóż — roześmiała się Simona, choć jej oczy pozostały czujne — znasz to powiedzenie: obraz znaczy tyle co tysiąc słów. — Szybko usadowiła się za kierownicą, sięgając zarazem po klamkę, by otworzyć drzwiczki przed swą pasażerką.

Wymigujesz się od odpowiedzi, pomyślała Kate z irytacją. Pragnęła nareszcie usłyszeć, o co w tym wszystkim chodzi, czuła jednak, że im mocniej będzie naciskać, tym później się tego dowie. To, że inicjatywę przejęła teraz Simona, nie było dla niej korzystne, cóż, kiedy chwilowo nie umiała nic na to poradzić.

— Szybciej, Kate, musimy uciekać, zanim się do mnie dobiorą! — zawołała jej gospodyni na widok wyłaniającej się zza domu grupy młodych rozgadanych ludzi. — Pewnie znowu mają jakiś problem.

Z pośpiechem ruszyła z miejsca, zaledwie Kate zdążyła zatrzaskać drzwi.

— Właśnie z tego powodu musiałam wynieść się z willi — mówiła dalej, jadąc pnącym się pod górę szlakiem. — Po prostu nie mogłam już tego wytrzymać. Z młodzieżą nie było większych kłopotów, ale ten personel! Dosłownie nie miałam chwili spokoju. Och, to szalenie oddani ludzie, pełni poświęcenia!

Jestem szczęśliwa, że ze mną pracują, ale wystarczy, że znajdę się w zasięgu wzroku, i natychmiast jestem potrzebna. Przylatują do mnie z każdym najmniejszym głupstwem. Ciekawe, że gdy mnie nie widzą, jakoś potrafią poradzić sobie ze wszystkim. Istny cud, prawda? Dlatego przeprowadziłam się do wieży. To zaledwie paręset metrów od willi, a jaka różnica! Myślę, że taki układ lepszy jest i dla nich.

Kate pozostawiła to bez komentarza, skupiając całą uwagę na drodze wijącej się wśród rzadko rosnących drzew. Pamiętała tę drogę, ale wtedy była zima. Teraz panował upał, pachniało kurzem i rozgrzanym sosnowym igliwem. Czowała strużkę potu spływającą spomiędzy łopatek, a na udzie ostry kant kasetki. Dobrze, że już niedaleko...

La Rocca błysnęła zza drzew, aby zaraz znów zniknąć — do chwili gdy po pokonaniu ostatniego zakrętu wyłoniły się z cienia na słońce. Miały teraz przed sobą kwadratową średniowieczną wieżę, zbudowaną pod samym wierzchołkiem wzgórza. Wyżej wznosiła się już tylko naga trójkątna skała. W zimie ta dawna warownia wyglądała ponuro i przytłaczająco, ale teraz, w gorącym popołudniowym słońcu oświetlającym jej mury obwieszane girlandami pnączy, które już zaczynały przybierać ogniste barwy jesieni, nie tylko straciła całą swą posepność, lecz nawet sprawiała wrażenie przyjaznej ludzkiej siedziby.

— Pamiętasz? — uśmiechnęła się Simona. — Tu właśnie mieszkał nasz stryj. W willi dwie osoby mogą się szukać przez cały dzień i nie znaleźć — dodała żartobliwie. — La Rocca jest w sam raz.

— Jesteś zamężna? — spytała Kate, sądząc, że jej towarzyszka mówi o swoim partnerze.

— Nie — odrzekła Simona, odwracając się od niej, by otworzyć drzwi. — Kiedyś byłam zamężna, ale... nie wyszło. Mieszkam teraz z matką.

Matka? Kate poczuła zimny dreszcz na grzbiecie. Signora Bertoni. Szalona kobieta, która ją, Kate, uczyniła przedmiotem swojej nienawiści. Oczywiście z żalu i rozpacz, nie zmieniało to jednak w niczym sytuacji. Przybył jej teraz jeszcze jeden powód, aby skrócić tę wizytę do minimum.

— A twój ojciec...?

— Nie żyje od sześciu lat. Po jego śmierci matka przez jakiś czas mieszkała jeszcze w Weronie, ale ostatnio zaczęło mieszać jej się w głowie, więc ściągnęliśmy ją tutaj. Uważaliśmy, że będzie to najlepsze wyjście.

„My”? zastanawiała się Kate. Kogóż to może dotyczyć?

— Współczuję ci z powodu śmierci ojca — powiedziała głośno, dodając w duchu: chcesz się bawić w konwencjonalne grzeczności, proszę bardzo. Ja też to potrafię, nie gorzej niż ty.

— Zmarł na raka — wyjaśniła rzeczowo Simona. — Zostaw swój bagaż, Kate — rzuciła już zupełnie innym tonem. — Dino się nim zajmie.

— Wybacz, ale nie. Dopóki nie zwrócę obrazu signorowi Barziniemu, muszę go mieć przy sobie.

Na twarzy Simony odbiło się zdumienie i coś na kształt szoku.

— Przecież to mój obraz! A poza tym zaraz zadzwonimy do Barziniemu i powiadomimy go o wszystkim. Czy tak będzie dobrze?

— Chyba tak, ale najpierw obejrzyj „Marsjasza”. Musisz sprawdzić, czy wszystko w porządku.

— Na pewno. Ufam ci, Kate.

— Och, na litość boską, nie o to chodzi! — wybuchnęła Kate. Już sam fakt, że ta kobieta zmusiła ją do udziału w jakiejś niezrozumiałej intrydze, mógł doprowadzić do pasji, ale tak bez troskie traktowanie dzieł sztuki było wręcz niewybaczalne.

— Oba te obrazy, które mi przysłałaś, są warte małą fortunę. Tylko Bóg jeden wie, bo ja nie mam pojęcia, dlaczego je ubezpieczyłaś na tak śmieszny kwotę.

— Przecież to tylko kopie.

— Ale niezwykle cenne. Nie badałam ich szczegółowo, podejrzewam jednak, że „Marsjasz” pochodzi z końca szesnastego wieku; możliwe nawet, że powstał w pracowni samego Tycjana. A ten drugi został namalowany nie później niż w połowie siedemnastego wieku.

— Jesteś pewna? — Simona wyglądała na zaskoczoną.

— Osoba, która ostatnio oglądała te obrazy, utrzymuje, że to takie sobie kopie. Dziewiętnastowieczne.

— Cóż to za osoba?

— Och... pewien dealer.

— Barzini?

— Nie. Dajmy temu spokój, przecież to nieważne.

— Wprost przeciwnie, Simono, bardzo ważne. W grę wchodzi kwota około miliona funtów — oznajmiła Kate, uważnie obserwując wyraz twarzy swojej rozmówczyni. O tak, to nią wstrząsnęło. — Zebrałam trochę informacji o obecnych cenach — kontynuowała, zastanawiając się równocześnie, jak to możliwe, aby właścicielka cennych dzieł sztuki mogła nie mieć pojęcia, co posiada. — Dowiedziałam się, że obraz z tego samego okresu, tyle że trochę większy, sprzedano ostatnio na aukcji za czterysta osiemdziesiąt tysięcy funtów. Cena wywoławcza twojego wyniosłaby, lekko licząc, jakieś ćwierć miliona.

Simona robiła, co mogła, aby ukryć wrażenie, jakie na niej wywarły te kwoty.

— I kto by to pomyślał — rzuciła z fałszywą bez troską.

— A co z tym drugim? Mówię o „Córce czasu”. Też został źle oszacowany? Za nisko?

— Bezwzględnie tak. O jakieś czterysta tysięcy.

— A to dopiero... — Półprzymtomnie zapatrzyła się w przestrzeń, lecz po chwili wzięła się w garść.

— Mam szczęście, że przyjechałaś, co? — spróbowała zażartować.

— Nie rozumiem, dlaczego ten twój doradca tak źle cię poinformował. Kto to jest?

— Musiała pewnie zająć jakaś pomyłka... — Wątpliwe, pomyślała Kate. Były już prawie przy drzwiach, gdy nagle Simona chwyciła ją za ramię. — Posłuchaj — powiedziała — muszę prosić cię o przysługę. Nie wspominaj nikomu ani o tym, co domalowałam, ani o wartości tych obrazów. W ogóle nic o nich nie mów. Możesz mi to obiecać?

— Powiedzmy, że mogę to zrobić, ale pod jednym warunkiem: jeśli dowiem się, o co tu chodzi.

— Dowiesz się, Kate, ale teraz przyrzeknij... Dla wszystkich w tym domu wpadłaś tu przypadkiem. Po prostu tędy przejeżdżałaś, no i przyszło ci na myśl odwiedzić naszą posiadłość. A te obrazy... Zrozum, nikomu nie mówiłam, że ci je wysłałam... Proszę cię, przyrzeknij, że o nich nie wspomnisz. To dla mnie bardzo ważne. Będę ci ogromnie zobowiązana.

Gdyby Kate potrzebne było przypomnienie, jak to jest, gdy człowiek znajdzie się w świecie Bertonic, wystarczyłaby ta prośba Simony, by zobaczyć w całej okazałości ów świat sekretów i intryg i poczuć się w nim jak aktor, który nie zna roli, a żaden z pozostałych bohaterów dramatu nie ma czasu zapoznać go ze scenariuszem.

Były już teraz w holu, chłodnym i mrocznym, gdzie na kamiennej posadzce leżały wzorzyste maty, a pod ścianą stały białe lilie w wielkim antycznym wazonie. Pachniało tu jak w każdym starym domu, gdzie cała armia służących wciąż tylko poleruje, odkurza i czyści, gdzie każdy centymetr powierzchni musi błyszczeć jak guziki carskich oficerów. Leżący w kącie stary pies, wielki i biały jak niedźwiedź polarny, tyle że o wiele łagodniejszy, podniósł się ze swego legowiska i stukając pazurami po posadzce, podszedł obwąchać gościa.

Kate po namyśle doszła do wniosku, że szybciej dowie się wszystkiego, spełniając prośbę Simony. Przysługa zobowiązuje.

— Dobrze — powiedziała. — Masz moje słowo.

— Przyrzekasz?

— Powiedziałam przecież, że tak.

— Upewniam się tylko, bo to dla mnie takie ważne! Pamiętaj, po prostu tędy przejeżdżałaś... O obrazach ani słowa. Uwierz mi, Kate, mam swoje powody, żeby o nich nie mówić. Nikt, rozumiesz, nikt nie powinien o niczym wiedzieć... personel, moja matka czy... Mario — dodała na koniec sztucznie niedbałym tonem.

— Mario? — Na sam dźwięk tego imienia Kate uchwyciła się krawędzi starego dębowego stołu.

— Tak. — Simona umknęła wzrokiem i zajęła się psem, drapiąc go pieszczotliwie za uszami. — Wiem, Rollo, wiem, że ci gorąco.

— Mario Bassano?

— Zgadza się. Pamiętasz go? — spytała Simona zwodniczo słodkim tonem.

Kate poczuła się tak, jakby ktoś ją kopnął w żołądek, postanowiła jednak przyjąć narzucone reguły gry.

— Tak, chyba tak. Był lekarzem, prawda? — Rozprostowała palce kurczowo zaciśnięte na krawędzi stołu i w odpowiedzi na uśmiech Simony posłała jej własny, z pozoru równie naturalny. I równie fałszywy.

Mario Bassano. *Il dottore.*

Przecież to niemożliwe, myślała, żeby samo brzmienie nazwiska mogło na kogokolwiek tak podzia-  
łać. Niemożliwe? A jednak. Najlepszym tego dowodem był gwałtowny przypływ adrenaliny i przyspieszo-  
ne bicie serca. Galopowało jak wściekłe.

— Tak — potwierdziła Simona. — Nadal praktykuje jako psychiatra. Dwa dni w tygodniu.

— Widujesz go?

— Nawet bardzo często. Bez niego nie byłabym w stanie założyć fundacji. Ogromnie mi pomógł,  
zresztą jak zawsze. Jest wprost cudowny. — Falszywa słodycz tej pochwały nie uszła uwagi Kate.

Wciąż trudno jej było przyjąć do wiadomości to, co usłyszała od Simony. Mario Bassano był  
postacią z odległej przeszłości, tak głęboko, tak nierozzerwalnie związaną z tym, co minęło i zostało  
zapomniane — dziewczęcymi marzeniami o szczęściu, z pierwszą miłością, ze światem oferującym nie-  
przebraną mnogość możliwości — że dzisiejszej Kate trudno było sobie wyobrazić, by ktoś taki jak Mario  
mógł istnieć i działać we współczesnym świecie. To nie był jego kontekst, jego tło.

Widząc, że Simona bacznie ją obserwuje, próbowała coś powiedzieć — i nie mogła.

— Właśnie go oczekuję — kontynuowała pani domu tym samym fałszywie słodkim tonem. —  
Odwiedza nas zwykle w piątkowe wieczory, więc będziesz się mogła z nim spotkać.

— Nie wiem, czy zostanę do wieczora...

Na twarzy Simony pojawił się uśmiech gracza, który właśnie wyłożył atutową kartę i jest już  
pewien zwycięstwa. Akurat w tym momencie z głębi domu wyłoniła się stara służąca, do której Simona  
powiedziała coś szybko po włosku, po czym zwróciła się do swego gościa:

— Kazałam Angelice przygotować dla ciebie niebieską sypialnię i zanieść tam twoje bagaże.  
Zadzwonimy teraz do signora Barziniego, a potem napijemy się czegoś na tarasie. — Jej migdałowe oczy  
płonęły triumfem. — Musisz być zmęczona po podróży. Odpręż się, Kate, teraz już możesz.

Odpręż się? Dobre sobie. Kate od niepamiętnych czasów nie była tak spięta jak teraz. Każdy jej  
nerw drżał jak naciągnięta struna, a wszystko przez tę kobietę, tak bardzo, tak boleśnie podobną do  
kochanej, utraconej przyjaciółki. Kate czuła, że zalewa ją fala irracjonalnej nienawiści. Ty przeżyłaś,  
myślała, zdążyłaś się nawet postarzyć, a ona? Jej życie było tak krótkie, tak brutalnie zostało przerwane. To  
niesprawiedliwe, tak być nie powinno. Byłoby całkiem inaczej, gdyby wtedy zamiast Franceski zginęła ta  
denerwująca młodsza siostra razem z jej zamiłowaniem do intryg i niewinnych z pozoru niespodzianek,  
które okazują się potem zastawioną zręcznie pułapką. Gdyby żyła Francesca... Mój Boże, ileż miałyby  
sobie teraz do powiedzenia.

Uśmiech Simony rozpląnął się z wolna i zniknął.

— Kate, czy ty się źle czujesz?

— Nie, to nie to, tylko wiesz... Tak bardzo przypominasz mi Francescę, a ja... ja nie byłam na to  
przygotowana. Och, wiem, że to rodzinne podobieństwo i powinnam się była z tym liczyć, a jednak...

— Przypominam ci Francescę?

— Tak.

— Dziękuję ci Kate, naprawdę bardzo ci dziękuję. — Kate ze zdziwieniem spostrzegła, że w oczach Simony zalśniły łzy. — Nawet sobie nie wyobrażasz, ile to dla mnie znaczy.

Irracjonalna antypatia wyparowała z Kate równie szybko, jak się pojawiła, co nie znaczy, że Simona przestała ją denerwować. O pełnej akceptacji również nie mogło być mowy. Fundacja owszem, takie osiągnięcie mogło budzić uznanie i podziw, ale sama Simona była najwyraźniej osobą nie zrównoważoną psychicznie. Kolacja w jej towarzystwie nie budziła w Kate entuzjazmu. Znała lepsze sposoby na udany wieczór. Ale potem pomyślała o Mariu... Ciekawe, jak teraz wygląda, co działo się z nim przez te lata. Ten powód zadecydował: postanowiła zostać.

## ROZDZIAŁ 6

### MARIO

Mario Bassano przebył w życiu bardzo długą drogę. Długa podróż wymaga, jak wiadomo, przede wszystkim dobrego obuwia, a on w dodatku, tak jak wielu ludzi wychowanych w biedzie, miał słabość do pięknych rzeczy. Każdej jesieni i wiosny kupował sobie w Mediolanie parę ręcznie robionych, sezonowych butów, wykonanych specjalnie dla niego z najlepszej cielejącej skóry. Przylegały do stopy jak rękawiczka, lecz gdy tylko pojawiło się na nich najlżejsze choćby zadrapanie lub gdy zauważył, że obcas zaczyna się ścierać, natychmiast się ich pozbywał. O żadnych naprawach nie mogło być mowy, gdyż zapach warsztatów szewskich, gdzie łątano stare obuwie, natychmiast przywodził mu na myśl całą nędzę jego dzieciństwa: wyrzucone przez kogoś stare trampki, które nigdy nie pasowały, bolesne pęcherze, ściśnięte, obolałe stopy. Niezależnie od owych specjalnych zamówień realizowanych przez słynną firmę Salviniego Mario nie potrafił oprzeć się pokusie dodatkowych zakupów. Im droższy był sklep, tym bardziej go pociągał. Tak też się stało tego popołudnia. Kiedy po pracy w ośrodku wyszedł na ulicę, urzekły go brązowe mokasyny, fantastycznie wystebnowane — i nieprzyzwoicie drogie.

Kosztowne obuwie było zresztą jedyną ekstrawagancją, na którą sobie pozwalał. Od czasu separacji z żoną mieszkał bardzo skromnie, rzecz by można nawet, po spartańsku. Ubrania miał drogie, ale nie ostentacyjnie, samochód — dwuletnie audi — którym właśnie zjechał z autostrady, by rozpocząć powolną wspinaczkę na wzgórze, był zupełnie przyzwoity, jeśli chodzi o szybkość czy estetykę, w żadnym jednak razie nie ekstrawagancki, zważywszy na pozycję jego właściciela.

Na zwięźeniu drogi zmienił bieg na niższy, jak przystało dobremu kierowcy, a że i wóz był dobry, cała operacja przebiegła jedwabście gładko. Odczuł z tego powodu niemal zmysłową przyjemność. Z tym większą przykrością stwierdził — w chwili gdy wcisnął sprzęgło — że nowy mokasyn lekko ociera mu piętę.

Spoępniał. Jeśli nowo zakupione buty od początku nie były idealne, pozbywał się ich również. Wyglądało na to, że tak właśnie będzie z dzisiejszym nabytkiem. Z tłumioną irytacją włączył radio — i



splęnęła na niego chłodna, matematyczna doskonałość Bacha. Po tygodniu obcowania z tłumem nieszczęśników — furiatów, dewiantów, niedoszłych samobójców, ludzi cierpiących na różne psychozy — mógł się nareszcie odprężyć w świecie porządku i cudownie logicznych współbrzmień. Muzyka zawsze działała na niego kojąco, chociaż nie umiał powiedzieć, na czym to polega. Jedną z jego licznych pretensji do losu była ta, że w młodości nie miał dość czasu na gruntowne poznanie teorii muzyki. Swą obecną wiedzę w tej dziedzinie uważał za zbyt powierzchowną.

Gdyby pacjenci doktora Bassano znali ogrom jego frustracji i żalów, byłiby pewnie zdumieni. Uważali go przecież za chodzącą doskonałość — uosobienie spokoju, dojrzałej mądrości i wszelkich możliwych cnót. Wiadomo, skąd się to bierze, dumął Mario. Lekarze, a zwłaszcza psychiatry zastąpili dziś ludziom kapłanów, zajmując ich miejsce w panteonie męskich idoli. A jeszcze kiedy psychiatra był w dodatku przystojny, szarmancki i miły, tak jak „doktor Mario”, nic dziwnego, że zarówno większość pacjentek, jak i spora część personelu zaczynała go darzyć uwielbieniem.

Był tego świadom i niezbyt cieszyła go rola bożyszczka, zdawał sobie bowiem sprawę, jak głęboka przepaść dzieli ludzkie wyobrażenia od rzeczywistego Maria. Czuł się tym upokorzony, toteż wyłaził ze skóry, by dorosnąć do tych wyobrażeń. Żaden chyba lekarz nie był bardziej sumienny, bardziej pracowity i bardziej oddany chorym. I nikt tak jak on nie starał się ukryć swych zasług. Tego na przykład, że od lat dwudziestu pracuje w Misji Świętej Cecylii bez żadnego wynagrodzenia. Niech rozkapryszone hrabiny i znudzone żony przemysłowców subsydują te rzesze życiowych rozbitków tłoczących się co dzień u wrót dobrych sióstr.

Po jakichś dziesięciu minutach od chwili zjazdu z autostrady zobaczył boczną drogę prowadzącą do mieszkania w Montombroso. O, jakże pragnął być już w domu, wziąć prysznic, przebrać się i wypić coś chłodnego! Miał za sobą bardzo wyczerpujący tydzień, a poza tym był już teraz pewien, że lewy mokasyn ociera mu piętę.

Minął dom i pojechał dalej. Jego obowiązki nie kończyły się niestety wraz z końcem tygodnia. Miał na głowie dwie córki, którymi w weekend trzeba się było zająć, i do tego opuszczoną żonę. Była jeszcze fundacja kończąca właśnie dziesiąty sezon działalności, no i była Simona.

Ostatnimi czasy martwił się o nią bardziej niż zwykle. Przyczyną jej złych nastrojów była najprawdopodobniej matka. Ich wzajemne stosunki nigdy nie układały się dobrze, ale odkąd signora Bertoni zamieszkała w wieży, kryzys wprost wisiał w powietrzu. Ileż to razy Simona wylewała przed nim swą wściekłość! „Ach, cóż za suka z tej mojej matki! Jak ja jej nienawidzę! Nie mogłaby wreszcie umrzeć?” Ale Mario wiedział doskonale, jak to jest z nienawiścią między dziećmi a rodzicami: zawsze pozostaje tam trochę miłości. Prawda, że zatrutej, wykoślawionej, przeklinanej i odrzucanej, zawsze to jednak miłość, nawet wtedy, gdy tak jak w przypadku Simony jest ona nie mniej toksyczna niż najzjadliwsza nienawiść.

Niepokoił się o Simonę, tym bardziej że do niedawna była przecież w znakomitej formie. Odkąd wpadła na pomysł założenia fundacji, zmieniła się nie do poznania — odnalazła spokój i pogodę ducha,

których przedtem tak jej brakowało. Był z niej zadowolony i dumny. Jednakże to ostatnie dziesięciolecie, pracowite i pełne sukcesów, uspiło jego czujność, łudząc jakże fałszywym poczuciem bezpieczeństwa. Tak dalece utracił przez to kontrolę nad sytuacją, że nie był teraz w stanie dotrzeć do źródeł problemu. Dawniej miał do czynienia z jawną agresją, a nawet aktami przemocy — teraz było zupełnie inaczej. Simona zachowywała się bardzo spokojnie, lecz była roztargniona i pełna dziwnej rezerwy; miał wrażenie, że coś ukrywa. I to właśnie martwiło go bardziej niż wszystkie poprzednie szaleństwa. Jej zachowanie było dla niego zagadką, a doktor Bassano bardzo nie lubił tajemnic.

Zjechał z wąskiego mostu na drogę biegnącą wzdłuż rzeki. Kawałek dalej stał opuszczony domek myśliwski, przy którym znajdował się zakręt; stąd było już blisko do posiadłości Bertonich. Widok tej ziemi zawsze mu sprawiał przyjemność. Na horyzoncie ukazywał się najpierw nagi skalisty wierzchołek w kształcie psiego zęba, pod którym widniała La Rocca. Gdy podjeżdżało się bliżej, szczyt wzgórza znikał za drzewami, gdyż teren był tutaj gęsto pokryty lasem, cienistym i tajemniczym. Dopiero w połowie drogi dojazdowej można było zobaczyć willę Beatrycze. Prześwietlona słońcem kolumnada sprawiała takie wrażenie, jakby ze zbocza góry biło białe światło. Zbliżając się do rezydencji, Mario zawsze doznawał dwóch sprzecznych uczuć: że oto wraca do domu, a równocześnie, że zamykają się za nim bramy ciężkiego więzienia.

Zerknął na zegarek: siedemnasta trzydzieści. O tej porze «Simona zazwyczaj była jeszcze w willi, zajęta sprawami fundacji, tym razem jednak stwierdził ze zdziwieniem, że jej nie ma. Zdziwił się jeszcze bardziej, dowiadując się od jednej z administratorok, że przyjechała jakaś Angielka i że obie z Simoną udały się już do wieży. Ponadto signora Bertoni zostawiła wyraźne instrukcje: nie wolno jej przeszkadzać, chyba że się zdarzy coś wyjątkowo ważnego. Czyżby Simona wspominała o czyjejs wizycie, a on o tym całkiem zapomniał? Nie. Mario był pewien, że nie. Wiedział, że na jutrzejszą uroczystość zamykającą dziesiąty już rok fundacji ma przyjechać wielu dygnitarzy, wątpliwe więc, żeby Simona zapraszała w przeddzień jakichś gości. Nigdy dotąd tego nie robiła.

W zamyśleniu przejechał ostatnie pół mili. W porównaniu z oficjalną elegancją willi Beatrycze — w związku z planowaną uroczystością przystrzyżono tam dosłownie każdy krzaczek, a na tarasach najbystrzejsze oko nie wykryłoby ani pyłku — La Rocca wydawała się zwykłym prywatnym domostwem. Wszystko tu było znajome i tak bardzo swojskie. Zachodzące słońce rzucało długie cienie na frontowy dziedziniec, nad wieżą jak czarne strzałki śmigały chmary jerzyków, napęlniając powietrze pełnym podniecenia gwarem. Dla Maria ten ptasi świergot stał się nieodłącznym elementem tutejszych letnich wieczorów.

Wysiadł z samochodu i na chwilę przystanął, by poklepać Rolla po grzbiecie. Mądre z ciebie psisko, pomyślał; wiesz, że na dworze zrobiło się chłodniej, więc wyszedłeś zaczerpnąć świeżego powietrza. Witając się z psem, rozejrzał się po dziedzińcu: powinien tu przecież stać wóz tej Angielki, stwierdził jednak, że wszystkie widoczne przed domem pojazdy są mu dobrze znane. Pomyślał, że pewnie

zostawiła samochód przy willi. Znając zwyczaje panujące w tym domu, postanowił od razu udać się na taras: o tej porze Simona tam właśnie zabawiała gości.

Miał rację. Obie kobiety siedziały w wielkich wiklinowych „leniwcach”, pijąc szampana z wąziutkich rzeźbionych kieliszków. Jeszcze nim je zobaczył, usłyszał śmiech, w którym jego ucho dobrego psychiatry z miejsca rozpoznało fałszywą nutę. Tak śmieją się ludzie, którzy chcą uchodzić za przyjaciół i robią, co mogą, by sprawiać takie wrażenie. Pierwsza zobaczyła go Simona. Angielka siedziała do niego tyłem, tak że nad wysokim oparciem fotela widział tylko jej ciemne włosy.

— Mario! — wykrzyknęła pani domu. — Punktualny jak śmierć! — W jej oczach dostrzegł rozbawienie i... co to było? Czyżby błysk triumfu? Tak, chyba tak. — Właśnie mówiłam Kate, że zaraz tu będziesz. Pamiętasz Kate Holland, prawda?

Och, to był strzał! Oddany zdradziecko z za węgła. Nic dziwnego, że doznał szoku. O tak, pamiętał Kate Holland. Jakże by mógł ją zapomnieć? Ach, ta Simona! Mogła go przecież uprzedzić! Był na nią wściekły. Nie lubił niespodzianek, zwłaszcza w takich chwilach jak ta: gdy po długim tygodniu pracy był i tak już skrajnie wyczerpany, a tu jeszcze stawia się go w sytuacji przypominającej spacer po zdradliwym lodzie. Cóż jednak miał teraz począć? Robiąc dobrą minę do złej gry, z udaną swobodą podszedł do Kate. Ach, rozpoznałby ją wszędzie. W jej ciemnych włosach nie było śladu siwizny, co zawdzięczała pewnie dobrym fryzjerom, ale jej oczy... W tych znajomych brązowych oczach zobaczył tę samą bezwzględną szczerłość i absolutną uczciwość, które kiedyś wydawały mu się tak pociągające, choć zarazem wprawiały go w popłoch. Patrząc na nią, uświadomił sobie z irytacją, że Kate dobrze widzi jego zaskoczenie, choć tak bardzo starał się je ukryć. Rozumieli się bez słów i to także go denerwowało. To nagłe poczucie bliskości było teraz całkiem nie na miejscu. Od kiedy Simona planowała ten niewczesny żarcik? I co, do diabła, robi tu Kate Holland?

Przywołując na pomoc całą długoletnią praktykę psychiatryczną, zdołał przywdziać maskę zdawkowej grzeczności:

— Witaj, Kate! Cóż za niespodzianka! Wspaniale wyglądasz! Śliczna jak zwykle!

Gładko podjęła tę grę.

— Tylko mi nie mów — rzuciła z uroczym uśmiechem — że się nic nie zmieniłam.

— Jedyne na lepsze. Jesteś jeszcze piękniejsza. Witamy w starej warowni. — Podszedł do stojącego z boku stolika i nalał sobie dużą porcję szkockiej. Potrzebował czegoś mocniejszego niż szampan. — Simona słówkiem mi nie wspomniała, że cię tu zaprosiła — oznajmił swobodnie. — Przyjechałbym wcześniej, gdybym wiedział.

— No cóż... — Kate opuściła wzrok na swój kieliszek.

— Och, Mario, czyż to nie nadzwyczajne? — włączyła się szybko Simona. — Wyobraź sobie, że Kate akurat tędy przejeżdżała, no i przysła jej chętna popatrzeć na naszą posiadłość... Nie zamierzała się nawet ujawniać, ale ja oczywiście zaraz ją poznałam, no i namówiłam, żeby została na noc.

— Doskonale — stwierdził Mario. — Zostawiłaś samochód przy willi? — zwrócił się do Kate. — Tu go nie widziałem.

— Bo go nie mam.

— Ale Simona mówiła...

— Przyjechałam taksówką.

— Zatrzymałaś się gdzieś w pobliżu? Może w Montombroso?

— Przyjechałam z Florencji. Dziś po południu.

— Taksówką? — W głosie Maria zabrzmiało niedowierzanie, którego nie zdołał ukryć. — Przypadkiem przejeżdżałaś tędy taksówką?

Kate roześmiała się głośno. Jej śmiech zawsze go urzekał. Perlił się jak szampan, był pogodny jak sama radość i tak zaraźliwy! Tylko że Mario nie miał teraz ochoty do śmiechu.

— Cóż, ekstrawagancka ze mnie podróżniczka. Chyba już ostatnia na tym świecie — wyjaśniła niefrasobliwie, choć na policzki wystąpił jej lekki rumieniec. — Za granicą nigdy nie prowadzę. Po prostu... — Uśmiech nagle zniknął z jej oczu. — Po prostu tego nie robię — mruknęła, pochylając się naprzód, żeby odstawić kieliszek. Między brwiami pojawiła jej się zmarszczka.

Mario dowiedział się już dosyć, aby się mieć na baczności. Postanowił zmienić temat.

— Jak tam twoja matka? — zwrócił się do Simony. — Zejdzie na kolację?

— Przypuszczam, że tak. Ranek był kiepski, ale przespała całe popołudnie i teraz jest podobno w całkiem dobrej formie.

Zapowiedziała, że zamierza zjeść z nami kolację, co nie znaczy, że nie zmieni zdania. Z nią nigdy nic nie wiadomo. Jest tak nieprzewidywalna!

Mario opadł na fotel, zamykając oczy. Porcja szkockiej rozluźniła mu trochę napięte mięśnie na karku, co powitał z zadowoleniem, lecz mimo zewnętrznych oznak relaksu wewnętrznie pozostał czujny. Nie śmiał odprężyć się ani na chwilę.

Owszem, matkę Simony można było nazwać nieprzewidywalną, ale tacy byli przecież wszyscy w tej rodzinie, a już najbardziej Simona. Co się tyczy rodziny Bertonich, pewne jest tylko jedno, pomyślał z ciężkim westchnieniem: z tymi ludźmi niczego nie można być pewnym. Przekonał się o tym dotkliwiej, niżby można było sobie życzyć.

# ROZDZIAŁ 7

## UWIEŻONA WE MGLE

Annette Bertoni nie była pewna, gdzie się w tej chwili znajduje. Mgła była dzisiaj bardzo uporczywa i bardzo gęsta. Nawiedzała ją na długie chwile, zaćmiewając światło i umysł. Zdarzały się dni, kiedy białe opary rozstępowały się trochę na boki, tworząc coś w rodzaju tunelu; mogła wtedy dostrzec wąziutką ścieżkę biegnącą tym korytarzem, choć nigdy nie miała pojęcia, dokąd to draństwo prowadzi. Ale były też takie momenty — bardzo zresztą rzadkie — gdy niespodziewanie oblewał ją potok światła, przypominający kaskady słonecznego blasku spływające na leśną polanę za domem jej dziadka w Maine, gdzie kiedyś lubiła się bawić. W takich chwilach widziała wszystko wyraźnie, lecz zupełnie jej to nie cieszyło — choć przecież powinno — gdyż odsłaniające się przed nią widoki były bardzo, bardzo nieprzyjemne. Czy można więc było uznać za poprawę te rzadkie momenty jasności? Nie, w żadnym razie.

Teraz akurat mgła była tak gęsta, że Annette widziała tylko jakąś plamkę na rękawie swojej lnianej bluzki. Coś szarego w kształcie ślimaka. Potrząsnęła ręką, aby się przekonać, czy to nie jakiś kłaczek, a potem potarła to miejsce długim kościstym palcem. Nie pomogło.

— Nancy!

— Jestem tu, signora, ale na imię mam Giulia.

— Nie bądź bezczelna, ty wstrętna dziewucho! Chodź tu i zobacz, ta bluzka jest brudna! Przynieś mi inną!

— Och nie, signora, bluzka nie jest brudna. To płótno po prostu ma taką fakturę.

— Nie sprzeciwiaj mi się! Patrz tutaj! Widzisz?

— Tak jest, signora. Zaraz przyniosę...

Zmiana bluzki z płóciennej na jedwabną kosztowała Annette mnóstwo nerwów. Kurcząc się z odrazy przed dotykaniem tej ordynarnej dziewczyny, przeklinała własną bezradność. Być zależną od tego pomiotła! Wprawiło ją to w taką złość i frustrację, że chyba tylko cudem nie buchnęła ogniem jak ten okrągły, syjący iskrami fajerwerk zwany kołem świętej Katarzyny. Ha, dobrze byłoby tak odejść! Fontanna kolorowych ogni, a potem pach! — i koniec. Błogosławiona nicość. Gdybyż to było możliwe...

— Jest już gotowa — dobiegł ją głos pokojówki. Ta nędzna istota mówi o mnie, skonstatowała z furią. Co oni sobie myślą? Że jestem głucha?

— Wcale nie jestem gotowa! — wrzasnęła. — Kto ci pozwolił tak mówić?

Och, jak to wzdycha, jak patrzy tymi krowimi ślepiami. Tępa, cierpliwa krowa.

— Czego pani sobie życzy, signora?

Pytanie zbiło ją z tropu. Coś... jakaś rzecz musiała jej być potrzebna, ale co to takiego? Nie mogła sobie przypomnieć. Kiedy po raz pierwszy przyjechała do Włoch jako młoda narzeczona, wiadomo było szczegółowo, co powinna mieć przy sobie młoda dama; istniały w tej sprawie dokładne przepisy.

Rękawiczki... trzeba je było nosić w każdej sytuacji. Bibułka... Do czego potrzebna była bibułka...? Do pakowania bielizny. Co jeszcze...? Ach tak, tuż przed krótką podróżą z Werony na południe — miała tam pojechać z przyjaciółką — odbyła rozmowę z teściową. Starsza pani Bertoni powiedziała wtedy: „Młoda dama zawsze musi mieć przy sobie...” Co? Co, do licha, było tak nieodzowne dla młodej kobiety?

Z całych sił uczepliła się tego wspomnienia, by już po chwili uśmiechnąć się z zadowoleniem. Przypomniała sobie bowiem to uspokajające uczucie pewności, w chwili gdy jej palce napotkały twardy metalowy przedmiot pod haftowanym jedwabiem... Z wysiłkiem zaczęła podnosić się z krzesła, odtrącając młodą służącą, kiedy ta próbowała jej pomóc.

— Odejdź! Dam sobie radę sama! — krzyknęła na dziewczynę.

Zacisnąwszy jedną rękę na oparciu krzesła, drugą wyciągnęła w stronę toaletki i po dwóch drobnych kroczkach w taki sposób stanęła przed lustrem, żeby zasłonić szuflady i to, co zamierza zrobić. Wybałuszaj sobie teraz swoje krowie oczy, pomyślała z cichą satysfakcją. Ale zaraz... która to szuflada? Trzecia z prawej. Zapuściwszy rękę pod kilka szyfonowych szali, pachnących lawendą i zwietrzałym pudrem, namacała gładki i chłodny korpus pistoletu w jedwabnym, bogato haftowanym futerale. Czy jeszcze działa? Trzeba to będzie sprawdzić. Nie, teraz nie, kiedy indziej. Dobrze wiedzieć, że ten chłodny kawałek metalu leży na swoim miejscu, i to na razie wystarczy.

Zatrzasnęła szufladę i okręciwszy się niezdarne, oparła o toaletkę. Niech ta krowa nie widzi, że bez tego mogłabym upaść, pomyślała.

— Teraz jestem gotowa — oznajmiła. — Zawołaj Dina.

— Już jestem, signora.

Musiał czekać z uchem przy drzwiach. Z pośpiechem przeszedł przez pokój i wziął ją pod rękę. To także nakazywały reguły bon tonu: dama powinna schodzić na kolację wsparta na ramieniu dżentelmena.

Ha, ale z Dina nie taki znowu dżentelmen!

Można jednak na nim polegać. Wierny z niego sługa, trzeba mu to przyznać. Za to też cenila go najbardziej.

To prawda, że brzydko pachniał i że nie był zbyt urodziwy. Głowę miał łysą jak kula bilardowa i straszny był z niego prostak. Ale czy to ważne? Był dobry i silny. Całkiem jak jego zapach.

— Dino, czy ty się nigdy nie kąpiesz? Cuchniesz jak stara obora.

Zamiast odpowiedzieć, po prostu wyszczerzył zęby. Miał gębę jak Humpty Dumpty, jak okrągły półmisek, na którym ktoś namalował wielki nieustający uśmiech. No cóż, mogło być i tak, że nie zrozumiał pytania. Możliwe, że zadała je po angielsku. Czasami trudno jej było odróżnić jeden język od drugiego.

Zejscie ze schodów też było trudne; wymagało pełnej koncentracji. No ale teraz była już na dole. Na równej podłodze poczuła się pewniej. Z jadalni dobiegały czyjeś głosy. Ach tak, kolacja, towarzystwo. Czekają na nią. Niech sobie czekają. Któż to taki? Ten tam to Mario... widocznie to już znowu weekend... obok Simona... i chyba... chyba jakiś gość. To dobrze. Dodatkowa osoba może wnieść tu odrobinę życia. Najwyższy czas.

W następnej chwili obłok białej mgły owinął ją znów tak szczelnie, że przestała widzieć otoczenie, pozostało jej zatem tylko jedno: skupić całą uwagę na jedzeniu i winie. Teraz już żadna potrawa nie miała takiego smaku jak kiedyś, jednak sam proces jedzenia sprawiał jej pewną przyjemność. Tyle że trzeba mu było poświęcić mnóstwo uwagi. Jedzenie wyprawiało dzikie harce; raz po raz jakiś kąsek złośliwie ześlizgiwał się z widelca, a potem w podskokach umykał z talerza. Czasami nawet uciekał z ust, gdy prawie już miała go połknąć. Za to wino rozjaśniało jej w głowie, choć i ono chybotąło się w kielichu niczym wzburzony ocean. Wypiła je duszkiem, trochę przy tym siorbiąc, ale co tam! Najważniejsze, że się udało.

Od razu zrobiło się jaśniej. Mgła zrzędła, dały się słyszeć głosy. Signora Bertoni rozejrzała się dookoła. Naprzeciwko siedziała ciemnowłosa kobieta. W jej twarzy i głosie było coś znajomego... Ta twarz należała do kogoś z przeszłości... ale kto to był? Za diabła nie mogła sobie przypomnieć. Ogarnęło ją jednak bardzo niemiłe uczucie, rozchodzące się z brzucha po całym ciele. Coś jakby strach, ale przecież Annette Bertoni nigdy w życiu nie drżała przed nikim, więc to nie mógł być strach. To było zresztą mroczniejsze od strachu. Przypominało... nienawiść. Och tak, to była nienawiść! W następnej chwili coś załomotało jej w głowie... jakieś czarne łopocące skrzydła... a potem nagle poczuła grozę, straszną, niewyobrażalną panikę przed utratą kogoś bliskiego... A wszystko przez tę kobietę. Nie powinna tu siedzieć, kimkolwiek jest. Powinna stąd wyjść. Natychmiast.

— Kim ty jesteś, do diabła? — zapytała. Głosy ucichły. Spojrzały na nią trzy pary oczu.

— Och, mam, przed chwilą ci ją przedstawiłam. To przecież Kate Holland, nasza przyjaciółka z Anglii. Poznałaś ją wiele lat temu, ale pewnie nie pamiętasz.

— Pamiętam bardzo dobrze. Nie mam zaników pamięci, więc mi ich nie wmawiaj.

— Dobrze, mam, skoro tak twierdzisz... Mówiłam tylko, że dziesięć minut temu przedstawiłam ci Kate, a ty już o tym zdążyłaś zapomnieć...

Annette przyjrzała się mówiącej. Ta przemądrzała kobieta to bez wątpienia jej córka, pytanie tylko która? Głos? Brzmiał trochę jak głos Franceski, kiedy zaczynała się buntować, ale i Simonę trudno było ostatnio utrzymać w ryzach, a zresztą Francesca... Co się stało z Francescą...?

Znów miała uczucie, jakby ktoś owinął jej mózg ciemnoczerwoną szmatą. I ten ból... Ból po czyjejś stracie... Spychający ją coraz głębiej w ciemność. Gdzie moje "dziecko"?

— Coście z nią zrobili? — spytała płaczkliwie, ale tamci rozmawiali dalej, jakby jej tu nie było. Musi zwrócić na siebie uwagę tych ludzi, zanim całkiem pochłonie ją ciemność. — Znam cię — powiedziała głośno do obcej kobiety. — Byłaś tu już kiedyś.

— To prawda — odrzekła tamta. — Dziwię się, że pani pamięta.

— Och, pamiętam aż za dobrze. Jakże bym mogła zapomnieć? Byłaś tu wtedy, gdy zginęła moja córeczka. Byłaś...

— *Mamma*, proszę cię, przestań. Tylko się zdenerwujesz. I po co? — Ach, to Simona. Udaje przykładną córkę. Kto by jej nie znał, ten by ją kupił!

— Będę mówić, co mi się podoba, i nie waż się mi przerywać! A ty powtórz no, jak się nazywasz.

— Kate. Kate Holland.

— Och, tak! Chciałaś odebrać mi córki, prawda? Myślałaś, że ci się uda zamącić w mojej rodzinie!

A potem próbowałaś uciec i...

— *Mamma*, przestań natychmiast!

Nic z tego. Piekielny młynek w jej głowie osiągnął maksymalną prędkość. Teraz nikt by go już nie zatrzymał, nawet ona sama.

— Zabiłaś moje dziecko! — zawyła. — Jej śmierć to twoja wina! Wszystko to twoja wina!

To nimi wstrząsnęło. Całą trójką. Nareszcie wszyscy zwrócili na nią uwagę. Bomba zrobiła swoje, i to jak! Annette omal się nie roześmiała, widząc ich głupie miny. Nawet ten zawsze spokojny doktorek, ten cholerny elegancik Mario, wyglądał jak wiejski przygłup.

Ta jakaś Kate siedziała z otwartą gębą i cała się trzęsła, jakby właśnie zmoczyła sobie majtki, ha, ha! A ta bezczelna córka — która to z nich dwóch? — miała taką minę, jakby chciała udusić matkę. O, ale się nie ośmielisz!

I nagle — wszystko gdzieś odpłynęło. Słyszała tylko jakieś szuranie, czyjeś stłumione głosy... Trwało to chwilę, a potem wszyscy zaczęli gadać — jeden przez drugiego.

— *Mamma*, do diabła, przestań pleść bzdury!

— Signora Bertoni, pani się myli...

— Annette... — już tylko Mario mówi jej po imieniu — ...nie wolno ci się tak ekscytować.

— Nie wolno? A niby dlaczego? Mam powód! Ona zabiła moją córeczkę! Niech zapłaci za to taką samą cenę jak ja!

— Dość tego, mamo!

Znów jakieś szmery, stłumione szepty, krzątanina. Annette uśmiechnęła się do siebie. Dobrze było znowu stać się choć na chwilę najważniejszą osobą w całym towarzystwie. Zawsze to bardzo lubiła, ale teraz... teraz poczuła się nagle tak strasznie zmęczona! Pragnęła już tylko położyć się i zasnąć. A potem spać cały tydzień. I tak było zawsze, gdy opuszczała ją mgła. Zawsze musiała wtedy zobaczyć czy usłyszeć coś takiego, czego nienawidziła, co ją denerwowało i tak okropnie męczyło, że potem pragnęła już tylko zwinąć się w kłębek i odpłynąć w sen. Ale dziś przynajmniej dała niezłą szkołę tym trojgu. Teraz już nie będą jej lekceważyć.

— Gdzie Dino? Chcę pójść do swego pokoju. — Lepiej było wycofać się godnie, niż czekać, aż ją wyproszą.

Jej córka — musiała to być Simona — mruknęła coś o łasce boskiej i zadzwoniła po Dina. Zjawił się natychmiast. Pomógł jej podnieść się z krzesła i była mu za to wdzięczna. Poczuła się znowu malutką dziewczynką. Bardzo zadowoloną z siebie i bardzo, bardzo niegrzeczną.

Dzisiaj rzeczywiście zachowała się okropnie, ale to nic. Małym niegrzecznym dziewczynkom wszystko uchodzi na sucho. Nie ma się czym przejmować.



# ROZDZIAŁ 8

## LA GUARDIA

— Dlaczego tu przyjechałaś?

Ktoś mógłby pomyśleć, że to niewinne pytanie. Ktoś obcy, ale nie Kate. Nie od razu też odpowiedziała. Spontaniczne odpowiedzi nie wchodziły grę. Nie tutaj. Tu trzeba było uważać na każde słowo.

Siedzieli z Mariem w jadalni. Signora Bertoni przed paroma minutami wycofała się na górę, uczepiona ramienia swojego wiernego giermka. Chwała Bogu! Kate jeszcze nie doszła do siebie po tym dzikim wybuchu nienawiści. Simonę poproszono do telefonu. Chodziło o jakiś problem związany z fundacją. Stała teraz w holu, skąd słychać było wyraźnie urywki owej rozmowy: długie pauzy przerywane krótkim *si...si...si...* a potem wartki potok słów po włosku.

Kate pociągnęła łyk wina.

— Bez szczególnego powodu — odrzekła spokojnie w odpowiedzi na pytanie Maria. Gdyby nie starsza pani Bertoni, czułaby się teraz doskonale. Kolacja była wyśmienita, w stylu typowo włoskim: przepyszne *raviolini in brodo*, istny pokarm bogów! — takich można skosztować tylko we włoskim domu — a po nich malutkie soczyste steki i sałatka. Na deser postawiono przed nimi półmisek z różnymi gatunkami serów i owoce. Na jednej paterze leżały świeże figi, na drugiej dorodne brzoskwinie o jasnokremowym miąższu. Cały posiłek był wprost doskonały w swojej niezwyklej prostocie. Tym większa szkoda, że signora Bertoni popsowała wszystkim apetyt. Ha, trudno. — David chciał spędzić parę dni w Rzymie — spokojnie mówiła dalej. — Pamiętasz Davida Claya? Był we Florencji w sześćdziesiątym siódmym. Mario pokręcił głową.

— Nie, nie pamiętam.

Kate nie bardzo chciało się w to wierzyć. Jeśli rzeczywiście zapomniałeś o Davidzie, myślała, to pewnie tak postanowiłeś. Czy tylko o nim chciałeś zapomnieć?

— Jego córka studiuje w Rzymie — podjęła przerwany wątek — a ja po prostu miałam ochotę zobaczyć raz jeszcze te strony.

— Czemu nie powiadomiłaś Simony, że się tu wybierasz?

— Nie przyszło mi na myśl, że rodzina Bertonich może wciąż jeszcze tu mieszkać.

— Czy to rozsądne jechać tak daleko bez zaproszenia?

— O co ci chodzi, Mario? Można by pomyśleć, że mnie tu nie chcesz.

— Owszem — powiedział, mierząc się z nią wzrokiem — można by tak pomyśleć.

To było przykre. Z zażenowania zaczęły ją piec policzki. Dlaczego tak ją potraktował? Kolejne pytanie bez odpowiedzi. Było ich tak wiele! Tych dawno pogrzebanych, które teraz zaczęły całą chmurą wydobywać się na powierzchnię, i tych nowych. Kiedy postanowiła tu zostać, perspektywa spotkania z

Mariem, konfrontacji swych dawnych i obecnych uczuć do tego mężczyzny, wydawała się intrygująca. Był przecież człowiekiem, o którym kiedyś myślała, że jest miłością jej życia, i którego strata dotknęła ją znacznie boleśniej niż rozpad pierwszego małżeństwa. Czy mogła przypuszczać, że to spotkanie po latach okaże się nie tylko intrygujące, lecz i bulwersująco przykre?

Więc taki jest dzisiaj jej dawny ideał. Zewnętrznie niewiele się zmienił. Miał nadal tę szczupłą twarz i żywe, inteligentne oczy, dzięki którym wydawał się zawsze bardziej pociągający niż wielu przystojniejszych mężczyzn. Zmienił się natomiast jego sposób bycia, a zwłaszcza jego angielski. Kate pamiętała, jak to było kiedyś. Wtedy zaledwie liźnął trochę angielszczyzny. Posługiwał się nią w sposób śmiesznie prymitywny, który jej wydawał się uroczy. Teraz mówił bezbłędnie, z leciutkim, prawie niedostrzegalnym śladem obcego akcentu. Kate zmuszona była przyznać, że to bardzo elegancka angielszczyzna, podobnie zresztą jak cała jego powierzchowność plus maniery. W przeszłości wydawał się zagubiony w wytwornym świecie Bertonic — zupełnie tak samo jak ona — obecnie sprawiał wrażenie, że czuje się jak ryba w wodzie w tym obcym niegdyś żywiole. Jest tylko trochę zbyt gładki, pomyślała cierpko. Zbyt dobrze odżywiony. Wygląda jak człowiek, który ceni sobie drobne przyjemności życia, i to mu wystarcza do szczęścia.

— Czy signora Bertoni często się tak zachowuje? — spytała w miarę obojętnie.

— Nie — odrzekł Mario. — Twoja obecność obudziła w niej złe wspomnienia.

— To szalona kobieta.

— No cóż, po śmierci Franceski nigdy tak naprawdę nie wróciła do normy, a teraz w dodatku jest już bardzo stara... Wspomnienia po prostu budzą w niej silne emocje. Za silne jak na jej psychikę. Nie bierz tego do siebie.

— Nie bój się, nie będę. Uśmiechnął się na to.

— Zawsze taka stanowcza?

Kate postanowiła zignorować jego pytanie. Stanowcza? Dziwne, że akurat to zapamiętała.

Mario wybrał sobie brzoskwinie i zaczął zdejmować skórkę. Robił to bardzo starannie. Przyglądając się jego krótkim palcom, Kate doszła do wniosku, że przypominają palce robotnika. Cóż za kontrast z wytwornym ubraniem i resztą.

— Opowiedz mi o sobie — poprosił niedbale. — Jesteś zamężna? Pracujesz?

— Rozwiedziona. I tak, pracuję.

Wziął małego nożyk z rękojeścią z kości słoniowej i zaczął kroić brzoskwinie na ćwiartki.

— A czym się zajmujesz?

— Obrazami. Jestem konserwatorką sztuki.

— Och, to naprawdę interesujące! Szkoda, że większość kolekcji Bertonic została sprzedana na sfinansowanie fundacji. Uchowało się jednak jeszcze kilka płócien, które mogą cię zainteresować. Musisz poprosić Simonę, żeby ci je pokazała, jeśli będzie na to dość czasu. Kiedy wyjeżdżasz? Mówiłaś, zdaje się, że...

— Nic nie mówiłam.

— Ach tak. — Więc powiedz, mówiło spojrzenie, którym ją obrzucił.

Aż tak ci na tym zależy? pomyślała.

— Sądzę, że mogłabym zostać parę dni — powiedziała powoli, obserwując go przy tym spod oka. Przez twarz przemknął mu wyraz niezadowolenia. Widać było wyraźnie, że perspektywa odświeżenia wspomnień w towarzystwie Kate Holland nie budzi w nim entuzjazmu. Postanowiła chwycić byka za rogi:

— Czy moja obecność tutaj to dla ciebie jakiś problem?

— Dla mnie nie, oczywiście że nie. Jestem uszczęśliwiony tym, że cię widzę. — Zdążył już odzyskać swą profesjonalnie bezosobową uprzejmość. — Ale dla innych w tym domu...

— Mówisz o pani Bertoni?

— Nie. Jest stara i pomyłona. Ona się nie liczy. — W jego głosie zabrzmiała bezwzględność.

— Więc o co chodzi? Cóż to za problem?

Mario zerknął w stronę półotwartych drzwi do holu, skąd nadal dobiegał ich głos Simony.

— Chodzi o Simonę — powiedział z westchnieniem. — O naszą kochaną Simonę. Ona stanowi problem. Nie powinna była cię tu zatrzymywać.

— To jej dom. Może tu zapraszać kogo chce. Przez chwilę rozważał te słowa.

— Ona cię tu zaprosiła? Wydawało mi się, że mówiłaś co innego. Że nic nie wiedziała o twoim przyjeździe.

— Tak było, ale gdy mnie zobaczyła, od razu zaczęła nalegać, żebym spędziła z nią parę dni. I to wszystko. — Wyglądało na to, że Mario chce ją przyłapać na kłamstwie. Tylko dlaczego? głowiła się Kate. Przypomniała sobie, jak bardzo zależało Simonie na ukryciu przed Mariem sprawy obrazów; tego między innymi, że obie znają ich prawdziwą wartość. Czyżby zamieszany był w jakąś aferę? Próbę oszustwa? — Czy jest jakiś szczególny powód — zapytała — dla którego Simona nie powinna mnie była zapraszać, jak to przed chwilą ująłeś?

— Trudno to wyjaśnić.

— Może jednak spróbujesz?

Znów westchnął, wygodniej usadowił się w fotelu i wlepił oczy w starannie ułożone na talerzu równiutkie ćwiartki brzoskwini.

— Simona jest... bardzo wrażliwa. — Z takim namysłem ważył każde słowo, jakby dokonywał kalkulacji, co i ile może powiedzieć. — Reaguje inaczej niż większość ludzi, zwłaszcza w sytuacjach wiążących się z jej zmarłą siostrą. A ty jesteś przecież osobą, która dobrze знаła Francescę...

Czy to déjà vu? Kate miała niejasne wrażenie, że kiedyś już prowadzili podobną rozmowę. Gdzie to było? Chyba w jakimś barze... mało eleganckim... kilka zwykłych stolików i gdzieś w głębi szafa grająca... Tak, była taka rozmowa. Mario wtedy też rzucał podobne aluzje, tylko że dotyczyły one Franceski. Czyżby próbował jej wmówić, że obie siostry Bertoni to istoty tak niesłychanie kruche i wrażliwe, iż kontakt z kimś takim jak ona może je wytrącić z równowagi, zagrozić ich zdrowiu psychicznemu? I co właściwie

łączy go teraz z Simoną? Pytań wciąż przybywało, ale tak tu było zawsze: mnóstwo pytań, mało odpowiedzi.

— Twierdzisz, że Simona źle się czuje w towarzystwie znajomych swojej siostry. Dlaczego więc chce mnie zatrzymać?

— Chodzi o to... — zaczął mówić i urwał. W drzwiach ukazała się Simona.

— Przepraszam za to długie interludium — powiedziała, obrzucając oboje uważnym spojrzeniem. — Ostatnie poprawki w programie jutrzejszej gali. Wiesz, Kate, fundacja może sobie pogratulować tak wielkiej popularności! Jutro się o tym przekonasz. Odkąd odnieśliśmy sukces, wszyscy oczywiście chcą się do niego podpiąć. Nawet Ministerstwo Kultury deleguje jakąś grubą rybę, wyobrażasz sobie?

— Kate chyba nie będzie mogła zostać na cały jutrzejszy dzień — poinformował ją Mario.

— Och, musi zostać! Przecież dopiero co przyjechała.

— A wiesz, że Kate jest konserwatorką sztuki?

— To prawda, Kate? — Simona zręcznie udała zdumienie. — Ależ to fascynujące! Jutro rano ruszymy na zwiedzanie tego, co zostało z naszych dawnych zbiorów. Nie mamy już tylu obrazów co za czasów mojego stryja, ale to wciąż jeszcze zupełnie niezła kolekcja. Jak na prywatny zbiór, oczywiście.

— Możesz pokazać jej teraz — zasugerował Mario.

— Teraz? Wieczorem? O nie! W świetle dziennym obrazy prezentują się o wiele lepiej. A co do dzisiejszego wieczoru: powiedz, Kate, jak byś go chciała spędzić? Masz ochotę na jakieś rozrywki?

— Kate jest pewnie zmęczona po tak długiej podróży taksówką — wtrącił Mario, kładąc lekki, acz wyraźny nacisk na ostatnie trzy słowa. Podejrzewa, że kłamie, pomyślała Kate. Nie wierzy, że znalazłam się tu przypadkowo.

— Och, nie nudź, Mario! Jest jeszcze wcześniej — zaprotestowała Simona. — Jedź do domu, jeśli nie masz ochoty dotrzymywać nam towarzystwa, ale wiesz, co ci powiem? Te ostatnie letnie wieczory są tak wyjątkowe, tak niepowtarzalne, że marnować je byłoby grzechem. — Teatralnym gestem klasnęła w dłonie. — Już wiem! Chodźmy na La Guardię! Jest prawie pełnia. Może nawet zaśpiewają nam słowiki.

— La Guardia? — zdziwiła się Kate. — Czy to nie lotnisko?

— „La Guardia” to po włosku „punkt widokowy”. To najwyżej położone miejsce na terenie naszej posiadłości. Nic się nie bój, można się tam dostać bez lin i raków! — zawołała ze śmiechem Simona. Jej nagły entuzjazm dla nocnej wycieczki wydał się Kate wymuszony. Może próbuje pozbyć się Maria, by pomówić z nią w cztery oczy? — Z La Guardii — trajkotała dalej Simona — widać połowę drogi do Florencji. W nocy to cudowny widok.

— Mnie już przekonałaś — powiedziała Kate. — Pójdę po zakiet.

— I włóż jakieś rozsądne buty — poradził jej Mario. — A ty nie zapomnij uprzedzić Dina — zwrócił się do Simony.

— Och, do północy będzie siedział w kuchni, popijając *grappę*.

— Lepiej mu jednak powiedz. Na wszelki wypadek.

— Dino? Co on ma z tym wspólnego? — zainteresowała się Kate. Z jakiego powodu ten okrągłoci-  
cy strażnik signory Bertoni musi znać ich plany? Wydawało się to dziwne i trochę niepokojące.

— Ma za zadanie patrolować nocami posiadłość — wyjaśnił Mario. — Przecież to odludzie. Takie  
miejsca przyciągają mnóstwo podejrzanych typów. Ostrożność jest tu konieczna.

— Idziesz z nami, Mario, czy wracasz do domu? — zagadnęła go Simona.

— Oczywiście, że idę — odrzekł z uśmiechem. — Bardzo dawno nie byłem nocą na szczycie. —  
Simona zamilkła. Jeśli rozczarował ją swoją decyzją, skrzętnie to ukryła.

Po kilku minutach zebrali się przy tylnym wejściu. Simona niosła latarkę, lecz na razie  
przynajmniej była ona zbędna. Zbliżający się do pełni księżyc świecił bardzo jasno; w jego blasku  
wyraźnie widać było ścieżkę wijącą się wśród głazów i skalnych odkrywek w stronę ciemnego szczytu. W  
chłodnym powietrzu nocy unosił się nadal słodkawy aromat suchego listowia. Gdzieś za wzgórzami  
przetoczył się głuchy łoskot gromu, niegroźna dziś jeszcze zapowiedź potężnych nawałnic nawiedzających  
te tereny zimą.

Szli gęsiego — Simona prowadziła, Mario zamykał stawkę. O dziwo, było tak zimno, że chłód aż  
szczypał w policzki. I to po takim upale! myślała zdumiona Kate. Ale to nawet lepiej. Czuła, że ten chłód  
działa na nią ożywczo, oczyszczając umysł z lekkiego odurzenia mieszaniną szampana i wypitego przy  
kolacji wina.

Ścieżka biegła stromo pod górę. Gdy po chwili spojrzeli za siebie, zobaczyli w dole światła La  
Rokki, a pół mili niżej okryte poświatą drzewa, w miejscu gdzie stała willa. Mająca w półmroku  
sylweta La Rokki zdradzała teraz wyraźnie swój średniowieczny rodowód — potężnej obronnej twierdzy.  
A te widoki! Już teraz zapierały dech w piersiach. Choć od Florencji dzieliła ich ledwie godzina drogi,  
mogło się wydawać, że znaleźli się w innej epoce. Wszędzie dookoła wznosiły się strome lesiste wzgórza,  
a w leżącej pomiędzy nimi dolinie wiała się rzeka jak lśniąca srebrzysta wstążka. Kate od tak dawna  
mieszkała w mieście, że już zdążyła zapomnieć, jak wspaniale wygląda nocne niebo wolne od dymów i  
miejskich świateł. Przystanąła na chwilę, aby złapać oddech i nacieszyć się tym widokiem.

— Pięknie, prawda? — zagadnął ją Mario, wyłaniając się zza jej pleców. Jego głos po raz pierwszy  
brzmiał niemal przyjaźnie.

— Cudownie.

Oboje zamilkli, podziwiając usiane gwiazdami niebo.

Simona tymczasem wysforowała się naprzód, wspinając się imponująco pewnie po stromej,  
kamienistej ścieżce. Widać było, że czuje się tu jak w domu. Po chwili zniknęła im z oczu za wznoszącym  
się nieco wyżej ostrym występem skalnym, nie widzieli więc, co się stało; usłyszeli tylko przeraźliwy  
okrzyk i łoskot osypujących się drobnych kamieni. A potem zapadła cisza.

— Simona! — krzyknęła Kate. — Jesteś cała?

— Simona! — Głos Maria drżał z przerażenia.

Kate rzuciła się naprzód, ale on był szybszy. Odepchnął ją szorstko i pognał w górę jak wariat.

Okrażywszy skałę, zobaczyli leżącą przy ścieżce nieruchomą postać. Na ich widok poruszyła się lekko, a potem z wysiłkiem dźwignęła na nogi.

— Nic mi nie jest — powiedziała, otrzepując spodnie. — Kości w każdym razie mam całe.

— Jesteś pewna? — dopytywał się zdyszany Mario.

— Mój Boże, Simono, mogłaś przecież... Powinnaś być ostrożniejsza. Dobrze wiesz, jak diabelnie niebezpieczny jest ten zakręt... — Nie przestając utyskiwać, jął oglądać ją ze wszystkich stron. W jego głosie ani zachowaniu nie było tym razem nic sztucznego. Ten gładki, ugrzeczniony Mario był bliski autentycznej paniki. Ludzie tylko wtedy reagują w ten sposób, gdy coś zagraża komuś bliskiemu, osobie, którą kochają, myślała Kate, obserwując jego krzątanie. Wiele by dała, żeby się dowiedzieć, jaki związek łączy tych dwoje.

Autentyczne przerażenie Maria kazało jej uważniej przyjrzeć się miejscu, w którym nastąpił wypadek. Był to wąski pasek nierównego gruntu z paroma karłowatymi krzaczkami i niewielkim otoczkami, a za nim... ziało urwisko. Grunt opadał tu nagłą stromizną, od której widoku kręciło się w głowie. Setki metrów pionowej ściany. Stracony z krawędzi kamyczek wielokrotnie odbił się od skały, zanim wreszcie zniknął w przepaści. Odgłosu upadku nie usłyszała. Czując, że robi jej się słabo, cofnęła się od krawędzi.

„Mogłaś się zabić”, brzmiało niedokończone zdanie Maria. Teraz burknął tylko:

— Powinnaś była włożyć porządne buty.

— Przestań zrzędzić, to drobiazg — odrzekła Simona. — Lepiej już chodźmy, jesteśmy prawie na miejscu.

Mimo tych buńczucznych odzywek mocno utykała na ostatnich pięćdziesięciu metrach dzielących ich od La Guardii. Posuwali się teraz powoli i bardzo ostrożnie i po kilku minutach dotarli na miejsce. Była to niewielka owalna platforma pod samym wierzchołkiem góry. Simona miała rację, warto było nawet skrócić nogę, myślała zachwycona Kate, chłonąc roztaczający się przed nimi widok. Człowiek ma tu uczucie, że stoi na czubku świata, że wystarczy wyciągnąć rękę, aby musnąć palcami gwiazdy...

Przez chwilę stali bez słowa. La Rocca i willa Beatrycze były stąd niewidoczne. W całym polu widzenia, liczącym wiele kilometrów, migotało zaledwie kilka świateł. Kate zdumiewała ta pustka, ta pierwotna dzikość krajobrazu. W jej pojęciu Italia była krajem wielkich miast, przedzielonych pasami uprawnych gruntów — i oczywiście malarstwa.

— No i jak ci się podoba? — Simona zdążyła już przykuśtykać do wyciętego w skale siedziska. Odpoczywała tam teraz z wyciągniętą przed siebie nogą.

— Jest tak fantastycznie, że brak mi słów. Dziwię się tylko, że Francesce nie przyszło na myśl mnie tu przyprowadzić.

— Wtedy jeszcze nie było tej ścieżki. Pewnego razu wdrapałyśmy się tutaj obie, ale lepiej nie mówić, co się działo, kiedy matka odkryła, gdzieśmy były! Dopiero parę lat temu wynajęłam ludzi i kazałam wytyczyć ten szlak.

Zza skały wyłonił się Mario, który dotąd stał tam w milczeniu. Przykucnął obok Simony i ujął w dłoń jej stopę.

— Skaleczyłaś się! — syknął. — Widzę krew.

— Doprawdy? — zdziwiła się Simona, zerkając na nogę. Na kostce rzeczywiście widać było strużkę krwi.

— No to zobacz. — W jego głosie brzmiała troska pomieszana z gniewem.

Oderwawszy jedną rękę od stopy Simony, podwinął nogawkę jej spodni, spod której ukazało się brzydkie rozcięcie. Sączyła się z niego krew, spływając strumyczkiem do buta. Patrząc na tych dwoje, Kate poczuła nagle falę pożądania. W tej samej chwili ożyła jej pamięć, podsuwając przed oczy jakże podobną scenę! Wtedy była to jej stopa, zdrętwiała z zimna, a on, świeżo upieczony lekarz, tak samo ujął ją w dłoń i zaczął rozcierać. A potem... Nie umiałyby powiedzieć, czy to, co czuje, zbudziło się w niej teraz, czy może jest echem tamtego pragnienia.

— Cholera — mruknęła Simona — już po butach.

— Buty to akurat najmniejsze zmartwienie! — sarknął Mario. — Poruszaj palcami. Dobrze. Boli, gdy tu dotykam? — Odpowiedziało mu głośnie syknięcie. — Trzeba to opatrzyć. Wracamy do domu.

— Przecież dopiero przyszliśmy.

— A teraz idziemy z powrotem.

— Ale Kate...

— Kate może zostać, jeśli ma ochotę, ale ciebie zabieram.

Mimo dalszych protestów Simony pozostał nieubłagany.

— Posiedzę tu jeszcze parę minut — postanowiła Kate. Mario tymczasem pomógł wstać Simonie. Może sprawiało to światło księżyca, ale wyglądała bardzo blado.

— Weź latarkę — poprosiła, wręczając ją Kate. — Na dół prowadzi tylko jedna droga, więc chyba nie zbłądzisz... Jesteś pewna, że dasz sobie radę?

— Najzupełniej.

— Po prostu trzymaj się ścieżki.

— Nie martw się o mnie.

Objąwszy w pól ranną, Mario poprowadził ją wolno w dół zbocza. Do Kate jeszcze przez chwilę dobiegały ich stłumione głosy. Burczeli na siebie jak długoletnie małżeństwo. On bardzo łagodnie strofował ją za nieostrożność, ona powtarzała, że nic się nie stało. Ciekawość Kate rosła. Wciąż nie mogła rozgryźć, co łączy tych dwoje. Simona wspomniała, że Mario ma żonę, więc... jak to jest między nimi?

Przestała ich słyszeć, gdy na dobre zniknęli jej z oczu za tym feralnym zakrętem. Mogła teraz usiąść i napawać się do woli otoczeniem. Dookoła panowała tak kojąca cisza! Już od lat nie zdarzyło jej się samotnie obcować z naturą, a co dopiero w tak pięknym i odludnym miejscu.

Upłynęło może pięć minut i ciemność ożyła mnóstwem szmerów, szelestów i dźwięków. W rosnących poniżej krzakach coś zachrząściło, zgrzytnął żwir na ścieżce... Czy to jakieś zwierzę? Jakie gatunki zwierząt żyją tak wysoko? Węże? Borsuki? A może wilki?

Poczuła, że włoski na karku zaczynają jej się podnosić, jakby lekko musnęła je czyjaś ręka albo wiatr powiał nagle od szczytu; ale przecież w powietrzu panował zupełny spokój. Gdzieś w głębi doliny jakieś nieszczęsne stworzenie wydało przedśmiertny okrzyk, padając zapewne łupem większego drapieżcy. A Simona mówiła o słowikach... Poczekam jeszcze chwilę, pomyślała. Spojrzała w górę, by odnaleźć znane konstelacje, gdy nagle w skałach tuż za jej głową coś się poruszyło.

To coś leciało tak bezszelestnie, że tylko wrażenie ruchu kazało odwrócić Kate głowę. Ach! W odległości może dwóch metrów zobaczyła błysk białych skrzydeł. Sowa! A potem ten piękny nocny drapieżnik, nie zważając na jej obecność, miękko pofrunął w ciemność.

Pomyślała nagle, że nie ma prawa tu siedzieć. Chyba nigdy i nigdzie nie czuła się takim intruzem. Na tym pustym pozornie wierzchołku mieszkało najwidoczniej wiele dzikich stworzeń. To było ich terytorium, ich dom. Ludzie nie powinni mącić im spokoju. Postanowiła wracać, zwłaszcza że znowu rozległ się huk gromu. Słowiki będą musiały poczekać...

Wstając z miejsca, usłyszała jakiś rumor w karłowatych krzewach zarastających zbocze pod La Guardia. Musiało się tam kryć coś dużego. Wolała sobie nie wyobrażać, jakiej wielkości jest zwierzę, które robi aż tyle szumu. Próbowała się uspokoić, powtarzając sobie, że nocą każdy szelest wydaje się strasznie głośny. Może to tylko jeź albo jakiś gryzoń. Czy jednak we Włoszech są jeże?

Włączyła latarkę i zaczęła powoli schodzić na dół. Nie ma powodu się spieszyć ani wpadać w panikę, powiedziała sobie, by zwalczyć pokusę, która ją pchała do biegu. To dopiero byłoby niebezpieczne! Bardzo ostrożnie pokonała wąski fragment ścieżki, gdzie Simonie osunęła się stopa i gdzie niemal nie runęła w przepaść. Z góry to straszne urwisko wyglądało jeszcze okropniej. Poczuła, że serce zaczyna jej bić jak szalone. Żałowała teraz swej lekkomyślnej decyzji: trzeba było wrócić razem z Simoną i Mariem. Dla żadnego widoku nie warto fundować sobie tyle strachu, a co do słowików...

Rozmyślenia przerwał jej znowu trzask łamanych gałęzi; sprawca tych odgłosów musiał być duży i ciężki jak krowa. Nonsens. Krowy nie chodzą samopas po górach. Człowiek? Zwolniła kroku na tyle, by zerknąć za siebie. W tańczącym szaleńczo świetle latarki — tak mocno trzęsły jej się ręce — dostrzegła jakiś ruch w zbitej kępie rachitycznych drzewek i krzewów. To nie było zwierzę. Ktoś przedzierał się przez zarośla. Ale przecież to niemożliwe! Simona mówiła, że na szczyt prowadzi tylko jedna ścieżka, więc gdyby to był człowiek, musiałby wybrać tę drogę, bo kto przy zdrowych zmysłach urządzałby sobie nocną wspinaczkę po zboczu?

Na chwilę zapadła znów cisza, w której słychać było tylko jej rwący się oddech i suchy chrząst żwiru na ścieżce. Kate z takim napięciem starała się łowić wszelkie najcichsze odgłosy, że huk eksplozji niemal ją ogłuszył. Usłyszała najpierw świst kuli, a po ułamku sekundy, gdy pocisk z impetem wszedł w skałę, tak przeraźliwy trzask, jakby ktoś jej nad uchem uderzył w czoło.



Mimo potężnego szoku refleks jej nie zawiódł; zareagowała błyskawicznie.

— Hej tam! Nie strzelać! Jestem tutaj! — krzyknęła, przypuszczając, że jakiś kłusownik (bo któż inny polowałby nocą?) myśli pewnie, że jest na wzgórzu sam.

Drugi strzał pozbawił ją złudzeń. Wprawdzie znów trafił w skałę, znacznie jednak bliżej niż pierwszy. O Jezu! Mierzy do niej jakiś wariat! Tym razem nie wydała głosu. Przykucnąwszy za wielkim głazem, zgasiła latarkę i zgięta we dwoje ruszyła pędem w dół zbocza. Bieg w tej pozycji był niebywale męczący, w dodatku zgubiła buty, a jakaś kolczasta gałąź rozdarła jej spodnie, była jednak ślepa i głucha na wszystko. Liczyło się tylko jedno: biec! Jak najszybciej! Do światła! Do ludzi! Chyba nigdy w życiu nie biegła tak szybko, ale jej wydawało się wciąż, że za wolno, że waży przynajmniej tonę, a porusza się tak ociężale, jakby brodziła w mule. W płucach czuła ogień, w nogach ołów. Najgorsze było wrażenie, że jest wielka jak słoń i tak doskonale widoczna, jakby biegła w świetle reflektorów. Nie sposób wprost jej nie trafić. Lada chwila usłyszy świst kuli i...

Ścieżka usunęła jej się spod nóg. Runęła kolanami na ostre kamienie, w dłoń wbiły jej się kolce. Wstawaj, Kate, trzeba uciekać! Resztką sił na oślep rzuciła się naprzód i — och! Była przed domem! Chwała Bogu. Tyłne drzwi były otwarte. Już tylko parę kroków...

Krew tętniła jej w uszach, z płuc wydobywał się głośny, urywany oddech. Czyżby na dodatek wyobraźnia płatała jej figle? Mogłaby przysiąc, że w chwili gdy wbiegła w snop światła bijący z otwartych drzwi, usłyszała znad głowy gromki wybuch śmiechu.

— Kate, co się stało? — Simona spokojnie siedziała w salonie. Na nodze miała biały bandaż.

— Ktoś... ktoś strzelał... — z trudem wykrztusiła Kate.

— Strzelał? — Simona zerwała się z miejsca.

— Do... do mnie!

— Co takiego?!

— Ktoś... próbował... mnie zastrzelić — powtórzyła Kate.

— Niemożliwe!

Simona natychmiast znalazła się przy niej. Wbrew temu, co powiedziała, była najwyraźniej przerażona. Kate mimochodem przemknęło przez głowę, że zastosowana przez Maria kuracja musiała być bardzo skuteczna: pacjentka prawie przestała kuleć. Jej samej tymczasem nogi odmówiły posłuszeństwa i ciężko klapnęła na fotel.

— Strzelał do mnie jakiś cholerny wariat! — sapnęła, myśląc zarazem, że brzmi to zgoła niedorzecznie, zwłaszcza tu, w świetle świec i kominka, w otoczeniu tylu pięknych rzeczy. Idiotyczne. To nie może być prawda. Czuła, że za chwilę wybuchnie histerycznym śmiechem. Ale przecież nie oszalała. Ktoś oddał do niej dwa strzały.

Simona przykucnęła obok fotela, opiekuńczo otaczając ją ramieniem.

— Opowiedz mi dokładnie, co się stało.

— O Chryste, sama bym chciała to wiedzieć! Kiedy wracałam z La Guardii, usłyszałam w krzakach jakiś rumor. Ktoś tam był. No i strzelił do mnie. Dwa razy.

— Pójdę ostrzec Dina — zdecydowała Simona, podnosząc się szybko z podłogi i nagle zastygła w miejscu.

— O Boże! — Teatralnym gestem puknęła się w czoło: — Dino!

— Co: Dino?

— To musiał być on.

— Ale czemu, na litość boską, miałby do mnie strzelać?

— Och, Kate, Dino nie wiedział, że to ty. Uprzedziłam go przed wyjściem, że wybieramy się w góry, więc gdy później zobaczył mnie i Maria, musiał być przekonany, że ty również jesteś już w domu. Mój Boże, to niewiarygodne, że można być takim idiotą! Dobry z niego człowiek, ale myślenie to nie jego specjalność.

— Ale dlaczego strzelał?

— Bo jest naszym nocnym strażnikiem. Słyszałaś, co mówił Mario: każda taka posiadłość przyciąga całe chmary różnych zbirów, a o naszej krążą legendy! Mam tu podobno istną beczkę skarbów. Och, Kate, strasznie mi przykro, że spotkało cię coś takiego, ale wierz mi, tak naprawdę nic ci nie groziło. Dino tak kiepsko widzi, że nie trafiłby w cel, nawet gdyby chodziło o życie, a poza tym strzela ślepakami.

— Ależ nie! To były prawdziwe kule!

— Niemożliwe.

— Mówię ci, że tak. Obie przebiły skałę. Słyszałam.

— Musiało ci się wydawać.

— O Jezu, Simono, omal nie zginęłam, a ty mi wmawiasz, że ponosi mnie wyobraźnia! — krzyknęła Kate, trzęsąc się jak w febrze.

— Och, Kate, przepraszam, nie chciałam... pozwól, naleję ci brandy. I weź mój szal.

Była teraz istnym uosobieniem czulej troski. Kate nadal się trzęsła, ale ciepły szal i porcja brandy zaczynały robić swoje. Poczowała się troszeczkę lepiej.

— Pójdę poszukać Dina. Dowiem się, co mu strzeliło do głowy — powiedziała Simona. Widać było, że coś ją niepokoi.

Kate nie miała ochoty zostać sama. Samotnicze tęsknoty mieszczaucha opuściły ją już bezpowrotnie.

— Mario jeszcze tu jest?

— Och, chyba nie — bąknęła niejasno Simona. — Myślę, że już wyjechał. Posiedź tu chwileczkę, moja droga. Ja zaraz wrócę.

Dziwne, że nie wiesz, gdzie jest Mario, pomyślała Kate i odprowadzając wzrokiem wybiegającą z pokoju panią domu, kwaśno dodała w duchu: I to, że prawie już nie kulejesz, też jest dziwne.

Słyszając podniesione głosy w głębi domu, zaczęła nerwowo przechadzać się po salonie, przystając od czasu do czasu, aby łyknąć brandy i poczuć przyjemne ciepło spływające z gardła do żołądka. Och,

dobra ta brandy. Trzask polan płonących w kominku też działał uspokajająco. Puls i oddech powoli wracały do normy.

Trudniej było pozbyć się uczucia, które towarzyszyło jej w górach: że jest wielkim ruchomym celem wystawionym na morderczy strzał. To fatalne uczucie nękało ją nadal.

TLR

# ROZDZIAŁ 9

## SŁODKIE SNY

— Signora Bertoni, pójdzie już pani do łóżka? — Giulia stłumiła ziewnięcie.

Odpowiedzi nie było. No tak, starucha udaje głuchą. Och, te jej sztuczki! Zna ich więcej niż cyrkowy szympans. Prawie pół godziny już stoi przy oknie uczepiona parapetu i gapi się jak sroka w gnat, tylko nie wiadomo na co. Giulia już kilka razy próbowała ją odciągnąć od tego okna, ale gdzie tam!

— Widzieliście? — zawołała nagle, choć oprócz Giulii w pobliżu nie było nikogo. — Widzieliście, jak pędzi? Ha, ha!

— Signora, już bardzo późno — błagalnie poprosiła Giulia. — Od szóstej jestem na nogach, a muszę jeszcze położyć panią do łóżka. Proszę mi pozwolić!

Żadnej odpowiedzi. A jakże!

Giulia westchnęła cicho. „Tobie to dobrze”, mówiły jej przyjaciółki, ale niechby któraś spróbowała tego miodu! Ona sama marzyła o tym, żeby pracować gdzie indziej — najlepiej w kawiarni czy w sklepie. Tam przynajmniej po pracy można iść do domu. No i ma się trochę czasu dla siebie. Można pójść do kina, zabawić się z przyjaciółmi, a tutaj? Czasami przychodziło jej na myśl, że traktuje się ją tutaj nie lepiej niż niewolnicę. Signora Bertoni wyglądała tak krucho i dystyngowanie jak te starsze wytworne damy z filmów, ale opiekować się nią nikt by nie chciał, bo to prawdziwy koszmar. Była jak dziecko, tylko dużo sprytniejsza i bardziej przewrotna. Nieraz robił się z niej istny potwór. No, może nie zawsze, ale często. Giulia okropnie bała się signory, choć nikomu o tym nie mówiła. A to jej mamrotanie! Trudno było zrozumieć, o co jej chodzi, a gdy już człowiek zrozumiał... och, było to jeszcze gorsze. Na świecie jest wielu nieznośnych ludzi, o czym Giulia w swym krótkim życiu zdążyła się już przekonać, ale chyba nikt nie miał w sobie tyle złości i zapiekłej żółci, co starsza pani Bertoni.

Nawet gdy ta wiedźma robiła się milsza, co też się czasem zdarzało, trzeba było dobrze mieć się na baczności. W zeszłym miesiącu na przykład wyjęła ze szkatułki malutką broszkę, mówiąc: „Weź ją, dziewczyno. To tylko tania błyskotka i nigdy jej nie lubiłam. No bierz ją, mówię, jest twoja”. Lecz gdy w najbliższą niedzielę spostrzegła tę broszkę przypiętą do bluzki Giulii, zaczęła skrzeczeć jak borsuk w pułapce: „Moja broszka! Jak śmiałaś ukraść moją cenną broszkę? Oddaj ją natychmiast!” Na nic się zdały tłumaczenia. To stare zwariowane babsko wrzeszczało, że zadzwoni na policję, a żyły tak jej nabrzmiały, że Giulia wpadła w popłoch. Mniejsza o policję, ale jeśli ta wariatka będzie dalej tak szaleć, może dostać apopleksji i umrzeć. Giulia nie miałaby wprawdzie nic przeciwko temu, ale co by to było, gdyby ktoś się dowiedział, że w jakikolwiek sposób przyczyniła się do śmierci signory Bertoni. Lepiej nawet o tym nie myśleć.

— Signora, proszę odejść od okna — powiedziała drewnianym głosem. — Jest zimno. Zaziębi się pani na śmierć.

— O moją śmierć się nie martw, ty głupia. — Chrapliwy głos signory brzmiał jak krakanie wrony.  
— Widziałaś, jak biegła? Jak się wywalila? Ha, dobrze jej tak, do diabła! Bardzo dobrze!

Giulia nie miała pojęcia, o czym ona głądzi. I wcale nie chciała wiedzieć. Obchodziło ją tylko to, że stara może tak sterczeć jeszcze bardzo długo, gapiąc się w ciemność, jakby na coś czekała. Gdy parę chwil temu huknęły strzały — było ich dwa — z podniecenia omal nie wypadła z okna. Wariatka i tyle. Pewnie jacyś mężczyźni chcieli przepłoszyć wioskowych wyrostków.

Wszyscy nosili tu broń i strzelali z niej bez potrzeby. Tak być nie powinno. Kiedyś źle się to skończy — ktoś w końcu zostanie ciężko ranny. Parę lat temu syna Molliny ostrzelano doprawdy jak kaczkę i choć odniósł tylko powierzchowne rany, jego rodzinie trzeba było zapłacić za milczenie. No ale panie Bertoni mają z czego płacić. Chłopak chełpił się później w miasteczku tą forszą i swoim wyczynem. Wszyscy miejscowi młodzicy lubili takie zabawy. Gra polegała na tym, żeby wkraść się na teren posiadłości Bertonich i zająć tak daleko, jak tylko się da, dopóki ich ktoś nie przyłapie.

Gdyby to było możliwe, Giulia już dawno rzuciłaby pracę w tym domu. Błagała ojca, żeby pozwolił jej odejść. Znajdzie sobie co innego. Może robić wszystko i wszędzie, byle nie tu. Cóż, kiedy nie chciał o tym słyszeć. „Niech wszystko zostanie w rodzinie” — powiedział. Łatwo mu tak mówić. On nie musi od rana do wieczora zajmować się tą starą suką.

— Signora...

O dziwo, signora Bertoni odwróciła się od okna, szczerząc zęby jak głupi do sera.

— Co? Ty jeszcze tutaj? Skoro tak, to możesz położyć mnie do łóżka.

Giulia nie mogła uwierzyć swemu szczęściu. Signora oparła się o jej ramię i wolno poczłapała do wielkiego łoża. Co więcej, pozwoliła ułożyć się na poduszkach, a potem przykryć kołdrą bez zwykłej szarpaniny i przekleństw.

— Dobra z ciebie dziewczyna — zakrakała niemal łagodnie. — Całkiem jak twój ojciec. Dino to dobry człowiek. Zawsze mogę na nim polegać.

Kiedy życząc jej dobrej nocy, Giulia gasiła światło, signora wciąż się uśmiechała.

# ROZDZIAŁ 10

## NOC

Kate nie mogła zasnąć. Gdy tylko zamknęła oczy, za każdym razem było tak samo: widziała oblaną mętным światłem wyboistą ścieżkę, czuła, jak narastająca fala paniki popycha ją do ucieczki...

To resztki tej paniki nie pozwalają jej zasnąć. Przestań histeryzować, nakazała sobie, zapalając światło. Spójrz na dobre strony swojej sytuacji. Jeśli już skazana jesteś na bezsenność, to czy mogłabyś sobie wymarzyć lepsze miejsce niż ta sypialnia? Gwarantuje ci ona nie jakąś zwykłą bezsenność, ale pięciogwiazdkową!

Jak wszystkie pokoje w tym domu tak i ten miał wysoki, pięknie belkowany sufit i wąskie a wysokie okna z drewnianymi okiennicami, zamkniętymi na noc dla ochrony przed zimnem. Każdy z niewielu mebli był prawdziwym dziełem sztuki: ogromne łóże z półbaldachimem, osiemnastowieczna malowana garderoba z tańczącymi nimfami i tłoczonym ornamentem w kształcie owoców i liści, stylowe biurko i krzesła; nawet puszyste dywany wyglądały na zabytkowe. A już trzy wiszące na ścianach obrazy — piętnastowieczne zwiastowanie, jakiś krajobraz Claude'a oraz Sisleyowska scena ogrodowa — z pewnością warte były nieprzespanej nocy. Nic dziwnego, że Simona najęła strażnika.

Sprawa dzisiejszych strzałów wciąż jeszcze nie została wyjaśniona. Dina nie można było znaleźć, a Simona, chociaż o tym nie mówiła, najwyraźniej nadal trzymała się swojej wersji o ślepakach i kiepskiej kondycji Dina. W ostatnich latach tak bardzo popsuł mu się wzrok, powtórzyła po powrocie z kuchni, że od roku zaprzestał nawet polowań. Kate musiało się tylko wydawać, że kule strzaskały skałę.

Kate wiedziała swoje; była zła na Simone, że ta jej nie wierzy. Rozstały się dosyć chłodno.

Teraz jednak doszła do wniosku, że istotnie musiał to być Dino. A dlaczego strzelał? No cóż, może chciał przepłoszyć jakichś zbirów, a może po prostu lubił straszyć niechcianych gości. Nie podobał jej się ten człowiek. Lizus, pomyślała już w chwili, gdy sprowadzał ze schodów zwariowaną matkę Simony. Razem wyglądali zresztą jak istna karykatura starych, oddanych sobie małżonków: krucha, wytworna dama i głupkowaty prostak z głową jak wielka dynia. I do tego ten służalczy uśmiech, który nigdy nie znika mu z gęby. Ciekawe, czy też się uśmiechał, podnosząc do swego półślepego oka jakąś archaiczną strzelbę?

Kate włożyła szlafrok i cicho podeszła do okna.

Czy to prawda, że jej nie widział? Znów przyszło jej na myśl, że po raz pierwszy w życiu — i miejmy nadzieję, ostatni! — została wzięta na muszkę. Przeżyła prawdziwy horror, a tu jej się wmawia, że był to prostu wypadek. Fatalna pomyłka, jak mówi Simona. Ale przecież nic się nie stało. No, rzeczywiście. Powinna się uspokoić. Niebezpieczeństwo minęło.

Minęło? Więc skąd ten strach? Czy to tylko nerwy, czy może jednak coś tu jest na rzeczy? Dlaczego każdy szelest, każde skrzypnięcie deski w tym prastarym domu przyprawia ją o zimne poty? Rozmawiała o tym z Davidem; próbował ją uspokoić, mówiąc, że jutro przyjedzie. Zdecydują na miejscu,

co dalej robić: zostać dzień lub dwa u Simony, czy od razu wracać do Florencji. Jego zdaniem nie ma powodów do obaw. Wszystko jest w porządku.

Może by i było, gdyby nie kilka drobnych wątpliwości.

Kilka faktów po prostu nie zgadzało się z wersją Simony lub nawet ją wykluczało: to, że padł drugi strzał, mimo że strzelec musiał słyszeć ostrzegawczy okrzyk. Mógł być ślepy, lecz przecież nie głuchy. To, że Simona tak szybko przestała utykać. To, że Mario opuścił La Roccę, nie czekając, aż ona, Kate, wróci. To wreszcie, że tych wątpliwych faktów nie dało się połączyć w żadną logiczną całość.

Jaki stąd wniosek? zadała sobie pytanie. Czy oznacza to, że Dino strzelał do niej z pełną świadomością? Że tylko po to wybrał się w góry? Gdyby założyć ten wariant — jaki miałby motyw poza sadystyczną przyjemnością z napędzania strachu gościom swej chlebobawczyni?

Więc może to jednak nie Dino. Ale jeśli nie Dino, to kto? Czyżby Mario? Zaczęła rozważać i taką możliwość. Mario od początku nie ukrywał niezadowolenia z jej „przypadkowej” wizyty. Dlaczego jej tutaj nie chciał? Bo miał nieczyste sumienie z powodu niedoszacowania tych dwóch cennych płócien? On sam utrzymywał, że chodzi mu o Simonę, choć nie sposób było ustalić, co ma konkretnie na myśli. Zakładając nawet, że mówił prawdę, czy w trosce o dobro Simony posunąłby się tak daleko, żeby aż strzelać do kogoś, kto rzekomo zagrażał jej samopoczuciu? Wydawało się to wątpliwe. Kto używa młota kowalskiego, żeby rozłupać orzech...?

Ale gdyby jednak? Przyszło jej na myśl, że przecież Mario nie musiał sam strzelać. Wystarczyło parę słów do Dina... Powiedzmy, że w chwili gdy przyprowadził do domu Simonę (ciekawe, czy jeszcze kulą?), pan doktor rzucił niedbale: „Wiesz, Dino, przy La Guardii widziałem wilka. Gdybyś chciał sobie postrzelać, to masz teraz świetną okazję”. A ten półślepy, głupawy służalec natychmiast wziął strzelbę i poszedł...

Ale zaraz... Zostawmy na razie Maria. Czyż to nie dziwne, że Simona zraniła się w nogę akurat w tym miejscu? Pod samym szczytem? Znała przecież ten zakręt jak własną kieszeń. Mogła to wszystko sobie zaplanować, myślała gorączkowo Kate. Chciała wrócić do domu z Mariem, a mnie zostawić na szczycie. Nie mogła oczywiście być pewna, że się na to zgodzę, ale co jej szkodziło spróbować. O Jezu!

Tak nią wstrząsnęła ta myśl, że pobiegła do łazienki — luksusowej ogromnej łazienki, wyłożonej czarnym marmurem — gdzie spryskała sobie twarz zimną wodą. Nie, to szaleństwo! Simona na spółkę z Mariem miałyby zaaranżować cały ten incydent? Przecież zachowuje się dosyć dziwnie, odezwał się w niej drugi głos.

Dość tego, Kate, nakazała sobie ostro. Nie popadaj w paranoję. To do ciebie całkiem niepodobne. Zawsze byłaś osobą rozsądną i trzeźwą.

Tak, ale nikt przedtem do ciebie nie strzelał, szepnęło jej drugie „ja”. Prawda, że zakrawa to na paranoję, co jednak wcale nie znaczy, że ktoś nie próbował cię zabić.

Zabić? Wielki Boże! Już myśl, że ktoś chciał ją nastraszyć, i to w taki okrutny sposób, była przerażająca — ale zabić? Świadomie i z zimną krwią?

I to Simona miałyby być morderczynią? Nie, to już bardziej Mario pasowałby do tej roli. Powiedział przecież bez ogródek, że wolałby jej tu nie widzieć, podczas gdy Simona przyjęła ją nie tylko z otwartymi rękami, lecz zadała sobie nawet sporo trudu, żeby ją tutaj ściągnąć! No i jaki mogłaby mieć motyw?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, lecz nic sensownego nie przyszło jej na myśl, póki nie zadźwięczały jej w uszach słowa signory Bertoni: „Zabiłaś moją córkę”.

O Boże, jęknęła znów w duchu, a jeśli Simona kieruje się tą samą wariacką logiką co matka? Jeżeli jej zdaniem to ja jestem winna śmierci Franceski? Jak mogłam sobie wyobrażać, że mijające lata zatrać wspomnienie takiej tragedii? Wprawdzie to absurd obarczać mnie winą za to, co się stało, miałam w tym jednak swój udział, a im to pewnie wystarczy. Signora Bertoni jest stara i pomyłona; nietrudno zrozumieć, myślała, dlaczego akurat na mnie przelała swoją nienawiść.

Prawdą jest przecież, że byłam przy śmierci Franceski i że w tej tragedii odegrałam pewną rolę.

Stwierdziła nagle, że siedzi na brzegu łóżka z twarzą zalaną łzami. Panika minęła, ustępując miejsca zupełnie innym uczuciom. Francesca... Teraz już wiedziała, co ją tu przygnało. Obrazy owszem, do pewnego stopnia; ciekawość, kto je przysłał i w jakim celu, nie był to jednak zasadniczy powód.

David też się do tego przyczynił. Wspólna podróż mogła dać odpowiedź na pytanie, czy ich związek ma przed sobą przyszłość. To zresztą był jego pomysł. „Ja spędzę parę dni z Lucy, ty w tym czasie odwiedzisz swych przyjaciół w Sienie, a później pojedziemy razem do Willi”. To ona zmieniła te plany. W ostatniej chwili postanowiła od razu jechać do dawnej siedziby Bertonich. Wolała być sama, przynajmniej z początku. To miejsce wywarło tak ogromny wpływ na jej życie...

Dlatego chciała tu przyjechać. Po prostu dla samej siebie. To był główny powód. Osiągnęła już wiek, kiedy człowiek zaczyna oglądać się wstecz i zadawać sobie pytanie, czemu podjął tę właśnie, a nie inną decyzję i który to moment odegrał w tym kluczową rolę.

Jednym z takich momentów w jej życiu był na pewno pobyt we Florencji. Praca w tym mieście po wielkiej powodzi i przyjaźnie, które tam zawarła, zadecydowały o wyborze jej drogi życiowej. A najważniejsza i najbardziej znacząca ze wszystkich okazała się przyjaźń z Francescą Bertoni. Obie były „aniołami od błota” i obie jednakowo chciały się przekonać, jak to jest być osobą dorosłą i wolną. A potem Francesca przywiozła ją tutaj, do posiadłości stryja, i tak oto Kate Holland weszła w życie rodziny Bertonich. Tylko na jeden weekend — cudowny i jakże fatalny. Jeden krótki weekend, a tyle się wydarzyło. Przeżyła tu pierwszą miłość, szaloną i tak pełną złudzeń, jaka zdarza się tylko w młodości, kiedy wszystko wydaje się możliwe. I tak, to prawda, że miała swój udział w całym łańcuchu wydarzeń zakończonych tragiczną śmiercią Franceski.

Całymi latami myślała, że od przeszłości można się odciąć. Wystarczy zatrzaskać drzwi. Iść naprzód. Ułożyć sobie życie. Dokonała tego. Jej życie było udane. Zaznała nawet chwil szczęścia. Ale wróciła tutaj i znowu zaczął się koszmar. Czuła, jak ją osacza.



Wszystko w niej krzychało: uciekaj! Uciekaj, póki jeszcze możesz! Nawet teraz, o czwartej rano, możesz wezwać taksówkę i na drugie śniadanie być w Rzymie.

Wciąż jednak siedziała bez ruchu, pozwalając łzom spływać po twarzy. Tęsknię za tobą, Francesco... — powiedziała szeptem. Nie wyobrażałam sobie, że po tylu latach będę za tobą tak tęsknić.

Na nic się zdało powtarzanie, że trzeba się z tego otrząsnąć, pomyśleć o jutrze, zdecydować, co dalej robić. Im bardziej się o to starała, tym silniejsze i bardziej natarczywe stawało się wspomnienie tych kilku florenckich tygodni, kiedy splotły się losy dwóch szalonych dziewczyn — Kate i Franceski. Życie było wtedy tak fascynujące, a one cieszyły się każdym dniem, wierząc święcie, że świat należy do nich, że trzeba brać z życia garściami, że mają przed sobą przyszłość, która tylko czeka, by im ofiarować setki i tysiące możliwości.

Głupia, dziecinna wiara, lecz jakże piękna...

T L R

# Część II

## ROZDZIAŁ 11

### POWÓDŹ

Listopad 1966

Tak mokrej jesieni dawno nie było we Włoszech. Poziom wody w rzekach przekroczył stan alarmowy, gleba nasiąkała wilgocią jak gąbka. Na początku listopada górskie potoki w północno-wschodniej części kraju gwałtownie wystąpiły z brzegów, powodując obsunięcia się stoków, zrywając mosty, niszcząc drogi i linie kolejowe. Wzburzone morze przedarło się przez zapory, zalewając masami słonej wody znaczną część doliny rzeki Po. Mocno ucierpiał cały obszar Wenecji Julijskiej; dwie wyspy — Pellestrina i Sant'Erasmus — w całości znalazły się pod wodą. W gazetach pojawiła się informacja, że w samej Wenecji z kanałów ściekowych wyszły chmary ogromnych wygłodniałych szczurów, które zaatakowały grupę małych dzieci.

Gwałtowne sztormy szalejące na wielkim obszarze — od Sycylii po przełęcz Brenner — sprawiły, że przelewające się morskie wody przecięły środek półwyspu, dzieląc go na połowy. Jeden z pilotów opowiadał, że środkowa część kraju przypomina wzburzony ocean; na całej trasie przelotu widać było tylko wystające z wody wieże kościołów i gdzieś wierzchołki najwyższych drzew.

Trzeciego listopada po południu, kiedy książę Filip, małżonek królowej Elżbiety II, oraz pięciu jego towarzyszy ładowali do toreb myśliwskich prawie dwieście pięćdziesiąt bażantów ustrzelonych podczas inauguracji sezonu łowieckiego w Sandringham, ulewne deszcze nawiedziły Florencję i jej okolice. Wieczorem te gwałtowne ulewy przeszły w opady ciągłe; deszcz lał nieprzerwanie przez całą następną dobę. Na każdy metr kwadratowy spadło osiemnaście centymetrów wody.

Z licznych dyskusji radiowych prowadzonych wtedy na ten temat wiało pesymizmem. Specjaliści twierdzili, że powstała szczególna sytuacja meteorologiczna: układy odpowiedzialne za tak fatalną pogodę stanęły w miejscu. Nic nie wróżyło rychłej poprawy.

Poziom Arno rósł w szalonym tempie; w ciągu zaledwie kilku godzin podniósł się o prawie dziewięć metrów, po czym rzeka przerwała wały. Niszczycielska siła żywiołu była tak ogromna, że rozpędzone masy ciemnobrunatnej wody pomieszanej z mułem i olejem opałowym — wskutek uszkodzenia sieci centralnego ogrzewania — runęły w ulice z prędkością sięgającą siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, porywając największe nawet samochody i spiętrzając ich wraki w olbrzymie sterty. W niektórych punktach miasta woda sięgała sześciu metrów. Na Ponte Vecchio powódź zmyła prastare sklepy jubilerskie. W wyrwach, które powstały po zmiecionych przez żywioł obiektach, tkwiły samochody, pnie obalonych drzew, a nawet rozdęte bydłęce zwłoki.

Przez dwadzieścia cztery godziny Florencja była kompletnie odcięta od świata; wszelkie próby dotarcia do miasta kończyły się niepowodzeniem. Nie było wody w kranach ani prądu, nie działały telefony. Archiwa Biblioteki Narodowej tonęły w trującej mieszaninie mułu i ropy, ale już tej pierwszej fatalnej nocy mieszkańcy samorzutnie ruszyli na pomoc miastu. Utworzono żywy łańcuch, podając sobie z rąk do rąk mokre książki i dokumenty, aby złożyć je w bezpiecznym miejscu. Uratowano część cennych zbiorów. Dla wielu skarbów kultury było już jednak za późno.

Wieczorem czwartego listopada, gdy deszcz nieco zelżał i wody zaczęły się cofać, widziano płaczącego człowieka, który brnąc po kolana w mule, dźwigał resztki wielkiego drewnianego krucyfiks. Szeregiem szli za nim milczący ludzie — robotnicy, zakonnicy, studenci. Profesor Ugo Procacci, kustosz Galerii Uffizi, niósł to, co zostało z „Ukrzyżowania” Cimabuego, największego malarza trzynastego wieku. To nieodżałowane dzieło sztuki, tak strasznie zniszczone przez powódź, że każda próba renowacji byłaby daremna, miało stać się później symbolem tragedii, która spotkała Florencję.

Powódź zostawiła po sobie grube warstwy szlamu i mułu, sterty zardzewiałych samochodów, zrujnowane domy mieszkalne i sklepy. Jeszcze po upływie dziesięciu dni, licząc od momentu ustąpienia wody, znaczna część Nowego Rynku była tym, w co zamieniła ją powódź: gigantyczną kupą kompostu utworzoną przez masy rozkładających się ryb, owoców morza i warzyw; za kościołem Santa Croce nadal gniły zwłoki potopionych zwierząt.

Potrzebna była szybka pomoc. Na apel władz miejskich pierwsza zgłosiła się młodzież, ofiarowując miastu swój czas, siły i zapał. Uczniowie, studenci, zagraniczni goście, wszyscy pracowali bez wytchnienia — w chłodzie i strasznych warunkach. W ciągu następnych tygodni w ich ślady poszli młodzi z innych rejonów Włoch i innych krajów — Wielkiej Brytanii, Skandynawii, Kanady i Stanów. Pracowali przy czyszczeniu ulic i zalanych piwnic — jak długo kto mógł; niektórzy przez kilka dni, inni nawet przez kilka miesięcy. Ci młodzi ochotnicy zyskali sobie wdzięczność i wielki sentyment mieszkańców, którzy wkrótce zaczęli mówić o nich czule: „nasze anioły od błota”. Czasami nazywano ich także „aniołami powodzi”.

# ROZDZIAŁ 12

## UFFIZI

Kate nigdy dotąd nie łączyły tak bliskie stosunki z czyjąś głową. Właściciel tej głowy, liczący jej zdaniem jakieś piętnaście lat, był dosyć przystojnym młodzieńcem o prostym nosie i mnóstwie ciasno skręconych loczków. Po kilku dniach pracy tak dokładnie już знаła każdy szczegół jego fizjonomii — mały dołek w podbródku, nozdrza, zagłębienie u podstawy szyi — jakby było to jej własne ciało, ale chłopak był na tyle atrakcyjny, że nie żałowała mu czasu i starań. Był tego wart.

To szesnastowieczne popiersie nieznanego młodzieńca leżało w podziemiach Galerii Uffizi, do których wtargnęła powódź. Po wydobyciu go z wody okazało się, że ropa naftowa i inne zanieczyszczenia głęboko wniknęły w marmur, tworząc na twarzy młodzieńca brzydkie ciemne łaty. Zadaniem Kate było zlikwidować tę „łaciatość” za pomocą specjalnej papki ze środkiem absorbującym, którą należało nałożyć na każdą najdrobniejszą włóknistość, a po upływie doby, gdy pasta wchłonęła część tych zanieczyszczeń, usunąć ją dokładnie, posługując się w tym celu wykałaczkami do zębów oraz mnóstwem ostrych, coraz to mniejszych pędzelków. Po zakończeniu całej operacji zaczynało się ją od początku.

Gdy jej wyjaśniono, co ma robić, Kate pomyślała, że będzie to bardzo nudne zajęcie, choć oczywiście nie do tego stopnia jak czyszczenie piwnic. Spotkała ją niespodzianka, bo oto wodząc palcami po drobnutkich loczkach, mocnych wargach, łagodnie zaokrąglonych policzkach, doznała uczucia niezwyklej bliskości nie tylko z samą materią kamienia, lecz także z rękami i umysłem nieznanego twórcy tej rzeźby. Jakie to dziwne i jakie wspaniałe, myślała, że ktoś umiał wydobyć tyle piękna ze zwykłej kamiennej bryły. I że ten młodziutki chłopak ma już ponad czterysta lat. To, że można doznawać wrażeń artystycznych przez dotyk, stało się dla niej istnym objawieniem.

Ich miejscem pracy było długie, skąpo umeblowane pomieszczenie na parterze pałacu Uffizi. Stało tu kilka wysokich stołów oraz zwykle drewniane ławy i jak w całej Florencji tak i tutaj nad wszystkim unosił się zapach mokrych kamieni i gnijących szczątków. Woni tej towarzyszyło przenikliwe zimno, którego nie mogły pokonać mało wydajne grzejniki.

Przy sąsiednim warsztacie stała Francesca, zajęta czyszczeniem złoczonej osiemnastowiecznej ramy, ogromnej i bardzo brudnej. Wymagało to niezwyklej cierpliwości, lekkiej ręki i niekończących się dostaw bawełnianych płatków kosmetycznych. „Traktuj tę ramę jak skrzydło motyla — poinstruował ją profesor Fuller. — Te listki to dmuchane złoto, jest więc bardzo kruche.”

Kate już zauważyła, że Francesca należy do osób, którym zawsze i wszędzie powierza się najbardziej delikatne prace. Mieszkały teraz razem. Po incydencie na moście oboje z Davidem zabrali ją do schroniska, gdzie bardzo szybko, bo w ciągu jednego weekendu, zdołała się zainstalować, i to całkiem nieźle. Mimo braku kwitu z przechowalni w jakiś tajemniczy sposób odzyskała nawet swój bagaż. W przeciwieństwie do większości ochotników Francesca miała mnóstwo pieniędzy, nigdy jednak nie

wspomniała, z jakiego pochodzą źródła. Z dołączeniem jej do grupy Anglików zatrudnionych w pałacu Uffizi nie było żadnego problemu. Po dwóch dniach pracy w piwnicach wyszło zresztą na jaw, że chyba nigdy w życiu nie miała do czynienia nawet z pospolitą szczotką i śmietniczką, a co dopiero mówić o szpadlach. Na szczęście londyński ekspert chętnie zatrudniał atrakcyjne młode kobiety, a Francesca, co zgodnie przyznawali wszyscy, była wyjątkowo atrakcyjna.

W tej grupie aniołów od błota tylko ona wyglądała w miarę anielsko, a już z całą pewnością — dzięki swym niezwykłym, wydłużonym oczom, pięknie uformowanym kościom policzkowym i gęstym jasnobrązowym włosom — śmiało mogłaby uchodzić za postać ze starego fresku.

— Czy zauważyli państwo — spytał któregoś dnia profesor Fuller — że żaden wizerunek anioła nie przewyższa urodą pięknych młodych kobiet czy mężczyzn?

Anna, ładna osóbką o długich włosach, które przestała obcinać, odkąd ktoś powiedział, że nadają jej one prerafaelicki wygląd, uznała, że profesor mówi o niej, Kate jednak spostrzegła, że obiektem jego adoracji jest Francesca. Wyglądała w tej chwili przepięknie: padający przez okno snop światła zapalał w jej włosach isierki mieniające się wszystkimi kolorami tęczy. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że ktoś jej serwuje komplement, bo nawet nie podniosła głowy.

Jako że nikt ze słuchaczy nie zauważył w aniołach większego piękna niż ludzkie, profesor zdecydował się rozwinąć temat, spoglądając nadal na Francescę.

— Nasza ograniczona wyobraźnia nie pozwala nam stworzyć wizerunku istoty doskonalszej od tych, które znamy — powiedział z tęskną zadumą. — Może właśnie dlatego nawet nasz Stwórca przybrał w pewnej chwili postać ludzką. Być może gdzieś w innych wymiarach istnieją doskonalsze formy piękna, ale gdyby nawet nam się objawiło, nie umielibyśmy go dostrzec, przekraczałoby to bowiem granice naszej percepcji.

Być może ton tej wypowiedzi zwrócił w końcu uwagę Franceski, bo podniosła głowę i napotkała nagle spojrzenie profesora. Pewnie uświadomiła też sobie, że to właśnie ona stała się natchnieniem dla jego „anielskich” wywodów, gdyż oblała się ciemnym rumieńcem i nie patrząc na niego, spytała dziwnie wymuszonym tonem:

— A jeśli anioł ma nieczyste myśli? To chyba niezbyt normalne?

W pracowni zapadła cisza. Nikt nie miał pojęcia, co mogło wywołać tak osobliwą reakcję. Nawet profesor wydawał się zakłopotany. Najmniej zdziwiła się Kate, która już zdążyła zauważyć, że takie zaskakujące uwagi nie są czymś niezwykłym u jej przyjaciółki, przeciwnie, ma do nich wyraźną skłonność, zwłaszcza gdy chce zmienić temat. Aby rozładować atmosferę, zaczęła podśpiewywać „Teen Angel”, a potem w sukurs przyszła jej Anna, intonując piosenkę „Venus in Blue Jeans”. Pozostali jęknęli chórem i kazali im się zamknąć, nie zważając na żadne protesty. Atmosfera wróciła do normy.

To, że osoba Franceski intryguje profesora Fullera, widoczne było od początku. Już gdy podała mu swoje nazwisko, spytał z ciekawością:

— Jesteś może krewną signora Bertonięgo?

— A kto to taki? — spytała Francesca z kamiennym wyrazem twarzy.

— Umberto Bertoni to znany kolekcjoner sztuki. Mieszka w willi Beatrycze, jakieś trzydzieści kilometrów od Florencji. Niektórych obrazów nigdy nie pokazuje obcym, a mówi się, że właśnie one stanowią najcenniejszą część jego kolekcji. Pomyślałem więc, że może ty...

— Nawet o nim nie słyszałam — oświadczyła sucho Francesca. — A poza tym... jestem Amerykanką.

Bujasz, moja droga, pomyślała Kate. Gdybyś rzeczywiście nie знаła tego Umberta, zachowałabyś się inaczej. Byłabyś ciekawa. Chciałabyś dowiedzieć się czegoś o sławnym człowieku noszącym to samo nazwisko. A twoja mina... Kate pamiętała, że w taki sam sposób — bez mrugnięcia okiem — patrzyła na dyrektorkę swojej szkoły, gdy została przyłapana na niedopuszczalnym przestępstwie: zamiast brać udział w biegu przełajowym, siedziała sobie w kawiarni w towarzystwie całej chmary chłopców.

Lecz jeśli nawet Francesca ukrywała swoje pochodzenie, Kate tak naprawdę nie miała jej tego za złe. To samo robiło przecież wielu innych. A te ich życiorysy! Pomijając już całkiem niewiarygodną historyjkę pewnej dziewczyny o jej wielkim romansie z Agą Khanem, inne też budziły wątpliwości. Czy na przykład Jenny, z zawodu tancerka, naprawdę pracowała na West Endzie, biorąc udział w słynnych musicalach, czy ojciec Dido był faktycznie członkiem gabinetu lub czy Aiden rzeczywiście przemycił kiedyś narkotyki na zlecenie jamajskiego barona tej branży? Skąd się brały wszystkie te romantyczno-awanturnicze pomysły? Chyba z diametralnej różnicy między życiem ochotników tu, we Florencji, i tam, u siebie. Chyba właśnie ta inność skłaniała ludzi do różnych eksperymentów z własną tożsamością. Każdy po prostu wymyślał siebie na nowo. Na przykład chudy jak szczapa Larry, obdarzony na dodatek niezwykle piskliwym głosem, pozował na wielkiego intelektualistę, choć naprawdę był tylko skromnym pracownikiem w urzędzie poboru podatków. Hugo zatrudniony obecnie w konsulacie brytyjskim, gdzie wykonywał same najczarniejsze prace — takie jak sprzątanie po powodzi — mówił o sobie, iż „w rzeczywistości jest dziewiczo czysty”, które to zdanie nigdy nie zostało wyjaśnione w sposób zadowalający, mimo że koledzy poddawali je bez końca drobiazgowym analizom. Nie brakowało też ludzi pragnących uchodzić za młodzików pozbawionych rodzin, wolnych więc od wszelkich zobowiązań, chociaż naprawdę wzięli sobie urlop od nudnych małżonek i pracy. Tych nietrudno było rozszyfrować. Byli o wiele za starzy, żeby pracować za darmo i dyskutować o seksie z młodymi chłopakami — świeżo po szkole czy studiach. Nawet sama Kate, która w zasadzie nie kłamała, pragnęła, by ją brano za dojrzałą i bardzo światową kobietę, choć przecież ledwie pół roku wcześniej pożegnała szkołę.

Francesca tym się różniła od wszystkich, że niemal stawiała na głowie, aby być taka jak wszyscy. Chciała być zwykłą, przeciętną dziewczyną, co jednak nie bardzo jej się udawało. Brakowało jej nie tylko wspólnego języka z resztą obecnych kolegów, lecz także, a może przede wszystkim, podstawowej wiedzy o sprawach oczywistych dla jej rówieśników. Konwersacje prowadzone w czasie pracy zwykle dotyczyły filmów, telewizji, słynnych zespołów rozrywkowych, wkrótce więc wyszło na jaw, że Francesca nigdy nie

słyszała o „Top of the Pops” czy „Avengers”, a nawet o tak znanych amerykańskich filmach jak „Ostatni kowboj” czy „Bonanza”.

— Gdzieś ty się wychowała? — wykrzyknęła Jenny w odpowiedzi na jej pytanie o związki rodzinne w „Peyton Place”. — Na bezludnej wyspie?

— Oczywiście, że nie! — warknęła Francesca. — Głupie gadanie! — dodała jeszcze, po czym na resztę popołudnia popadła w pełne urazy milczenie.

Wróciła do sprawy dopiero wieczorem, gdy obie z Kate były już w domu. Odkąd zaczęły pracować w Uffizi, wyniosły się ze schroniska i na spółkę z Anną wynajęły sobie pokój w mieście. W tym samym korytarzu mieszkały też Dido i Jenny. Właścicielka lokalu była na szczęście na tyle tolerancyjna, że jak dotąd nie narzekała na tabuny różnych „przyjaciół” kocujących w pokojach jej sublokatorek nieraz nawet przez kilka dni.

Szykowały się właśnie do wyjścia, gdy Francesca rzuciła przez zęby:

— Oni mnie nie lubią! — Patrząc w ścienne lustro, zaczęła malować sobie powieki pożyczoną od Kate białą kredką, a ukończywszy tę czynność, dodała: — Wszyscy uważają mnie za dziwadło, a to przecież kompletna bzdura! Wcale nie jestem dziwna!

Kate była jeszcze na tyle młoda, że poczuła się mile połączona okazaniem jej zaufaniem.

— Wszyscy jesteśmy dziwni — odrzekła — więc się tym nie przejmuj. Wcale nie musisz się zmieniać. Byłoby nawet o wiele lepiej, gdybyś tak się o to nie starała. Są ludzie, których to razi.

— Ty też mnie krytykujesz?

— Nie, wcale nie. Mówię szczerze. Chodzi mi tylko o to, że niepotrzebnie utrudniasz sobie życie. Ludzie lubią cię taką, jaka jesteś. Gdybyś nawet naprawdę wychowała się na jakiejś bezludnej wyspie, też by cię lubili.

Francesca na długą chwilę wlepiła w nią szeroko otwarte oczy. Kate spodziewała się wybuchu złości, lecz o dziwo, w zielonych oczach przyjaciółki nagle zabłyśły łzy.

— Ty naprawdę tak myślisz, Kate?

— O czym? O tym, że cię lubią taką, jaka jesteś? Owszem, tak właśnie myślę.

Francesca z pośpiechem odwróciła głowę.

— I to dopiero jest dziwne — powiedziała zdławionym głosem. — Zupełnie was nie rozumiem.

— Och, pewnie że to niepojęte! — zakpiła Kate. — Bo niby dlaczego ktokolwiek miałby cię lubić?

Francesca przyjrzała jej się badawczo, po czym spytała niepewnie:

— Czy to był żart?

— To się nazywa „ironia”. Mądrzejsza siostra sarkazmu.

Francesca westchnęła ciężko. Wydawała się skonfundowana zarówno samym żartem, jak i wiadomością, że nikt nie ma do niej zastrzeżeń. Czyżby uważała, że nie można jej zaakceptować? Było to tym dziwniejsze, że naprawdę cieszyła się w grupie ogromną popularnością, choć czasami bywała dość irytująca. Mimo to od początku traktowano ją jak maskotkę. Wszyscy wiedzieli o jej niedoszłej próbie

samobójczej i to, że tak szybko poweselała, każdy poczytywał sobie za zasługę. Już po dziesięciu dniach wspólnej pracy Francesca dosłownie rozkwitła.

— Chcesz pożyczyć moje kolczyki? — spytała nagle.

Och tak, Kate miała na to ogromną ochotę. W życiu nie widziała piękniejszych ozdób. Zrobione były z emaliowanego srebra, a nadano im formę jakichś niezwykłych ptaków. Z prawdziwym zachwytem wzięła je do ręki.

— Co to za ptaki?

— Feniksy. Właściwie nie powinno się mieć dwóch, bo przecież te biedne stworzenia nigdy nie mają partnerów — stwierdziła z powagą Francesca. — Trochę pożyją, a potem buchają ogniem i pozostaje z nich tylko popiół.

— To skąd się biorą następne, skoro nie mają potomstwa?

— Legenda mówi, że Feniks odradza się z własnych popiołów — Francesca uśmiechnęła się lekko. — Trochę tak jak ja.

— Ja bym tak nie chciała, bo co to za życie bez seksu — westchnęła Kate, wpinając kolczyki do uszu. Zerknęła przy tym na przyjaciółkę, licząc, że może się czegoś dowie. Jako jedyna w grupie Francesca ani razu nie wspomniała o żadnym chłopcu, a gdy Aiden wyraził pogląd, że musi być jeszcze dziewicą, pozostawiła to bez komentarza. Teraz też czym prędzej zmieniła temat.

— Wiesz, jaka to starość? — powiedziała, wskazując kolczyki. — Mają już ponad dwie setki.

— Muszą być bardzo cenne.

— Pewnie tak.

— Och, więc lepiej ty je weź. Strach pomyśleć, co by było, gdybym gdzieś posiała taką rzecz.

— Przecież to tylko błyskotka — odrzekła niedbale Francesca.

Kate przejrzała się w lustrze i na widok swego odbicia uśmiechnęła się z satysfakcją. Mój Boże, nigdy nie miała na sobie czegoś tak pięknego!

— Bardzo ci w nich do twarzy — orzekła Francesca.

— Musisz je zatrzymać.

— Nie wygłupiaj się! — zaśmiała się Kate. — Ale dzisiaj je sobie pożyczę. Chcę dziś wyglądać szalowo. W końcu ile razy zdarza nam się taka okazja?

Tego dnia zaproszono je do trochę droższej restauracji niż mała tawerna w piwnicy, gdzie jadały najczęściej, serwowano tam bowiem tanią *pastę*. Jenny obchodziła urodziny, a ponieważ akurat dostała pieniądze za kręconą w lecie reklamówkę, postanowiła je wydać na wystawną kolację dla przyjaciół. Nikt oczywiście nie miał nic przeciwko temu.

W pierwszych tygodniach pobytu we Włoszech pieniądze nie odgrywały dla Kate większej roli. Wszyscy wolontariusze mieli zapewnione darmowe noclegi w schronisku oraz całodzienne wyżywienie. Gotówki potrzebowali jedynie na papierosy i drinki. Sytuacja uległa zmianie, gdy zaczęli pracować w Uffizi i pobierać wynagrodzenie. Odtąd zmuszeni byli sami zaspokajać wszystkie swe potrzeby, a nie było



to bynajmniej łatwe, gdyż wskutek osobliwych zwyczajów płatniczych panujących w Galerii Uffizi permanentnie brakowało im pieniędzy. Formalnie płacono im w piątek po południu, cóż z tego, kiedy człowiek, który miał ten obowiązek, już w południe wyjeżdżał na weekend. Trzeba było czekać na następny piątek, ale wtedy sytuacja znów się powtarzała. W tych warunkach powstał niesłychanie zawiły system pożyczkowy, w którym ta sama osoba bywała dla jednych dłużnikiem, dla innych zaś wierzycielem, tak że w końcu wszyscy zaczęli się w tym gubić. Ośrodkiem tej pajęczej sieci zobowiązań był Hugo, który jako jedyny regularnie otrzymywał pensję wypłacaną przez konsulát brytyjski. Hugo w zabawny sposób łączył w sobie cechy skrajnego abnegata z niewinną buzią ministranta i choć miał wyjątkową skłonność do ulegania wypadkom, nieustannie tryskał entuzjazmem. Był przy tym tak niezwykle hojny, że w dniu wypłaty zawsze zabierał kogoś na wyzerkę, a potem pożyczał wszystko, co mu zostało w kieszeni, tak że w rezultacie lądował jeszcze gorzej niż cała reszta zespołu. Nic dziwnego, że w tej sytuacji perspektywa darmowej uczyt wybudziła powszechny aplauz.

Jej fundatorka była tancerką, „pauzującą” chwilowo, jak to nazywała, przed jakimś kolejnym angażem. Miała czarne zmierzwione włosy i grację dzikiego kota, a z jej postaci i ruchów wprost biła leniwa zmysłowość. Hugo zwierzył się Kate, że przeraża go ta dziewczyna, Aiden i Larry natomiast łazili za nią jak cienie. Jenny niestety nie dawała im żadnych nadziei. Traktowała swój pobyt we Włoszech jak coś w rodzaju wakacji, bardzo zresztą pracowitych, podczas których nie miała zamiaru wdawać się w żadne romanse. Fascynowali ją wyłącznie mieszkańcy Florencji, zwłaszcza ci najubożsi, którzy teraz stanowili tu większość, bogaci woleli bowiem wyjechać z miasta. Po zajęciach w Uffizi miała zwyczaj wędrować po ulicach z aparatem fotograficznym, pstrykając setki zdjęć ukazujących, jak mówiła, cierpienia i nędzę tych ludzi. Czy były coś warte? Nikt z grupy ich nie oglądał, gdyż od razu wysyłała filmy do Londynu.

W chwili gdy Kate i Francesca dotarły do restauracji, Jenny wyglądała na mocno przybitą.

— Nie wiedziałam, że mam tu aż tylu przyjaciół — powiedziała cierpko, rozglądając się po sali, w której na oko sądząc, siedziało już ponad dwadzieścia osób, znęconych zapowiedzią darmowego jada.

Gdy po kilku karafkach taniego wina wśród gości zapanował szampański nastrój, nawet ona przestała martwić się rachunkiem. Aiden, rzucając jej czułe spojrzenia spod strzechy żółtych włosów, z niesłychaną ekspresją wykonał na gitarze własną wersję utworu „Mam w sercu wieczny żal”, a Kate i David odegrali scenę jedzenia spaghetti z „Damy i włóczęgi”. Nowozelandczyk Ross, który nie odrywał oczu od Franceski, koniecznie chciał zaśpiewać „Walca z Matyldą”, ale go zakrzyczano. Sama solenizantka i Dido szeptem wymieniały opinie o wadach i zaletach męskich genitaliów. Główne pytanie brzmiało: czy większy zawsze jest lepszy? Kilku gości nie kryło niezadowolenia z hałaśliwego sąsiedztwa. Widać było, że chętnie zmieniliby lokal.

Beztroski nastrój prysnął na widok rachunku — Jenny zabrakło pieniędzy. Ofiarny jak zwykle Hugo natychmiast opróżnił kieszenie; wydobywszy z nich dwa banknoty olbrzymich doprawdy rozmiarów, szarmancko wręczył je Jenny. Zgodziła się przyjąć jeden, drugi kazała mu schować. Kate,

Dido i Ross wysupłali po kilka monet, paru innych również. Spośród tych, którzy przyszli w ogóle bez pieniędzy, jedynie Aiden wydawał się mocno strapiony, pozostali bez skrupułów dojadali resztki. Właściciel lokalu, który witając gości, rozplątywał się cały w uśmiechach, patrzył na nich teraz z miną nie wróżącą nic dobrego, a gdy Kate i David wystąpili z propozycją anulowania części rachunku w zamian za zmywanie naczyń, obrzucił ich tylko spojrzeniem pełnym pogardy.

W tym jakże krytycznym momencie do akcji wkroczyła Francesca. Kate zbyt słabo znała włoski, by zrozumieć, co takiego powiedziała, cokolwiek to jednak było, wywarło prawdziwie magiczny wpływ. Właściciel, znów cały w uśmiechach, pognął na zaplecze, skąd po chwili wrócił z likierami.

— Jak to zrobiłaś? — zdumiała się Jenny.

— Czyżbyś zaofiarowała mu własne ciało? — tęsknie zapytał Hugo.

— Powiedziałam po prostu, że zapłacę za całe przyjęcie — oświadczyła z uśmiechem Francesca. — Pozwól mi, Jenny, to dla mnie wielka przyjemność. Uznaj to za prezent urodzinowy. — Gdy po tych słowach wyjęła z torebki pełną garść banknotów, wszyscy wydali głośne westchnienie ulgi.

Wszyscy z wyjątkiem Jenny, która odsunęła od siebie pieniądze.

— Dzięki, Francesco, ale nie.

— Dlaczego? — zapytała ofiarodawczyni, najwidoczniej całkiem zbita z tropu.

— Bo to moje przyjęcie i ja zobowiązałam się za nie zapłacić.

— Ale skoro nie masz takiej kwoty, a ja mam...

— Jakoś ją zdobędę.

— Więc pozwól mi zapłacić choć połowę. W ten sposób będzie to nadal twoje przyjęcie.

Larry i Aiden z miejsca zaakceptowali takie rozwiązanie, mówiąc, że jest fair.

— Nie — ucięła Jenny.

— Dlaczego ona jest taka uparta? — jęknęła Francesca.

— Proszę cię, Kate, przemów jej do rozumu.

Kate chciała już spełnić tę prośbę, gdy nagle zmieniła zdanie. Kolczyki! Miała niemiłe uczucie, że wymaga się od niej poparcia, i to niekoniecznie dlatego, że akurat Francesca ma rację, lecz że ona, Kate, jest do tego zobowiązana. Pożyczyłam ci kolczyki, więc powinnaś trzymać moją stronę. Ta myśl wzbudziła w niej sprzeciw.

— To nie moja sprawa — powiedziała sucho, skręcając sobie papierosa, by nie widzieć twarzy przyjaciółki. — Tylko Jenny może o tym decydować.

Francesca powolnym ruchem przesunęła stertę banknotów w stronę solenizantki.

— Proszę cię, weź te pieniądze.

— Nie! — Jenny odepchnęła je z powrotem.

— Powiedz mi, dlaczego.

— Nie chcę twojej forsy, i koniec.

Francesca wzięła papierosa z leżącej na stoliku paczki, pstryknęła zapalniczką i przez chwilę patrzyła w płomyk, pozwalając mu w końcu zgasnąć. Powoli zgmiotła nie zapalonego papierosa w talerzu pełnym odpadków i zerknęła spod oka na Jenny, a potem na stosik niechcianych pieniędzy. Na twarz jej wypłynął rumieniec.

— Naprawdę ich nie chcesz? Jenny w milczeniu skinęła głową.

— Ja je wezmę! — zaofiarował się Ross, lecz Francesca puściła to mimo uszu.

Wyjęła z kupki jeden banknot i trzymając go w palcach, starannie podkręciła mechanizm zapalniczki, która tym razem buchnęła płomieniem jak żagiew. Róg banknotu zajął się ogniem.

— Francesco, nie bądź idiotką! — Kate próbowała wyrwać jej banknot, lecz Francesca uchyliła się zręcznie, trzymając go nadal w ogniu, dopóki płomień nie zaczął parzyć jej w palce. Wtedy dopiero wypuściła z ręki kompletnie zwęglone resztki. Wszyscy zastygli w bezruchu. Nikt się nie ruszył i później, gdy kolejne banknoty, aż do ostatniego, zamieniały się w kupkę popiołu. Zakończywszy tę demonstrację, Francesca wstała i bez słowa opuściła lokal.

Jenny zapaliła papierosa.

— Ale numer! — mruknął Aiden, strojąc gitarę, po czym zagrał melodię piosenki „Nikt cię nie kocha, gdy jesteś na dnie”. Zdaniem Kate wyjątkowo niestosownie.

— Ona jest stuknięta — orzekła Dido, która miała się w tych sprawach za eksperta; jej matka, żona rzekomego ministra, od lat poddawała się psychoterapii.

— Jasne — poparł ją Ross — a my to nie? Widzieliśmy, co ona robi, i nikt nawet palcem nie kiwnął! Jak można było do tego dopuścić?

— Hej, Jenny, czemu nie pozwoliłaś jej zapłacić? — spytał David.

— Właściwie nie wiem... — odrzekła z wahaniem. — Ona ma tyle pieniędzy... Po prostu źle bym się czuła.

— Nie chcesz jej nic zawdzięczać?

— Możliwe. — Porzucając dalsze wyjaśnienia, Jenny poszła pertraktować z właścicielem. — Dostanie resztę pieniędzy — rzuciła na odchodnym. — Chyba zgodzi się zaczekać parę dni.

Zabawa trwała dalej, ale Kate skończył się już dobry nastrój. Źle się czuła z powodu konfliktu z Francescą i wolała być teraz sama. Zapewniwszy Jenny, że gdy tylko dostanie pieniądze, pomoże jej spłacić rachunek, wyszła na ulicę.

Wolnym krokiem szła w stronę swojej kwatery, delektując się samotnością i tą dziwną egzotyką wczesnej florenckiej nocy: wonią wilgoci i brudu, mokrych tynków i pełnych rynsztoków. To smutne, sponiewierane miasto miało dla niej szczególny urok. Czuła, że to urok chwili, która nigdy już się nie powtórzy.

Dzisiaj to miasto jest moje, myślała, ostrożnie stawiając kroki, by ominąć kolejną wyrwę, kolejną kupę gruzu i błota. Wiedziała, że jeśli tu kiedyś wróci, zobaczy inną Florencję — pełną gwaru, turystów i

świateł, radosną i pewną siebie, ale teraz to zranione miasto należało do niej, do wszystkich, którzy w ciężkiej chwili przyszli mu z pomocą.

Na ulicach nie było prawie ludzi z wyjątkiem paru prostytutek. Tutejsze panienki były młode i zawsze bardzo eleganckie mimo styczniowego chłodu i wszechobecnego błota. Jedną z nich wszyscy ochotnicy z grupy Kate znali już dobrze z widzenia, rezydowała bowiem na trasie, którą zwykle wracali do domu. Towarzyszył jej zawsze mały zabawny piesek. Nazywali ją księżną, gdyż sprawiała wrażenie prawdziwej arystokratki wśród swych koleżanek po fachu, mimo że i one były przecież dziewczynami z klasą. W pewnym momencie narodził się nawet pomysł, żeby zrobić rzutkę i z okazji dziewiętnastych urodzin Hugona zafundować mu u niej godzinę. Projekt upadł, gdyż solenizant, jakkolwiek mocno podekscytowany ową frapującą perspektywą, stchórzył w ostatnim momencie, do czego wstydliwie przyznał się Kate. Mijając teraz dziewczynę, Kate pozdrowiła ją grzecznie, lecz jej „*buona notte*” zostało zignorowane.

Na rogu następnej ulicy, w świetle samotnej latarni otoczonej postrzępioną aureolą, kojarzącą się Annie z dmuchawcem, stała inna prostytutka, która w tym momencie miała chyba kłopoty z klientem. Wyglądało to na kłótnię. Odprawiwszy petenta niecierpliwym gestem, kobieta szybko ruszyła przed siebie, on jednak nie dał za wygraną — dogonił ją jednym skokiem i chwycił za ramię. Próbowwała mu się wyrwać — nic z tego, był dla niej za silny. Zaczęła wtedy krzyczeć, ale i to nie pomogło.

Kate nie wiedziała, co robić. Instynktownie chciała pobiec na pomoc dziewczynie, ale czy powinna? Może takie sceny to element targu, myślała. Cóż ja wiem o prostytutkach, a zwłaszcza tutejszych? Co kraj, to obyczaj.

W następnej chwili zaparło jej dech ze zdumienia: to nie żadna prostytutka! To przecież Francesca!

Rzuciła się naprzód jak lwica broniąca swego potomstwa. Włosi bywali czasami natrętni, ale nigdy nie spotkała się z takim nachalstwem! Co za typ! Jak on śmie! Ślizgając się po skręplonym błocie, na gwałt próbowała sobie przypomnieć, jak się mówi po włosku: „spieprzaj, draniu”, złość jednak zaćmiła jej umysł, krzyknęła więc tylko: „zostaw ją”, ale za to na całe gardło.

Zaskoczony podrywacz cofnął rękę z ramienia Franceski.

— Zostaw ją w tej chwili! — krzyknęła Kate jeszcze głośniej! — Wynoś się!

Francesca i ten niegodziwiec obrócili się wtedy w jej stronę — i Kate zobaczyła dwie jednakowo zdumione twarze. Mężczyzna rzucił jakieś pytanie po włosku, Francesca zaś odrzekła po angielsku, „ta dziewczyna to moja przyjaciółka”, na co intruz skinął głową i obrzucił Kate długim spojrzeniem, pełnym nieskrywanej ciekawości. Przyjrawszy mu się uważniej, zmuszona była przyznać, że jest znacznie przystojniejszy od większości ulicznych podrywaczy, z którymi dotychczas miała do czynienia, i że nie brak mu pewnej ogłady. Czyżby sytuacja nie była tak jednoznaczna, jak można było przypuszczać?

— Wszystko w porządku, Francesco? — zdecydowała się spytać.

— Tak, myślę, że tak.

Mężczyzna znów zaczął trajkotać po włosku, lecz Kate, nie zwracając na to uwagi, powiedziała krótko i stanowczo:

— Nie zostawię cię tu samej. Idziemy do domu.

— Dobrze, dziękuję.

Kate objęła w pół przyjaciółkę, lecz nieznajomy wciąż jeszcze nie rezygnował. Chwycił Francescę za rękę i obrócił ją twarzą do siebie. Oburzona jego bezczelnością Kate przypomniała sobie włoskie słowa, które zwykle odnosiły skutek:

— *Va via!* — krzyknęła. — *Bastardo!*

Reakcja była tak zaskakująca, że całkiem zbiła ją z tropu. Mężczyzna przerwał w pół zdania swoją gwałtowną tyradę i wlepił w nią zdumione oczy, a potem oboje z Francescą wybuchnęli śmiechem. Co się dzieje, do licha? Poczwała się jak idiotka.

— O co chodzi, Francesco? Co cię tak śmieszy?

— Och, Kate, moja droga Kate, jakaś ty cudowna! Kocham cię, wiesz? Naprawdę!

Jeśli miało to być wyjaśnienie, to zupełnie chybiło celu. Kate teraz już w ogóle nic nie rozumiała.

— Powiedz mi, co to za człowiek?

— Później. — Odwróciwszy się w stronę mężczyzny, Francesca zaczęła coś mówić. Dla Kate brzmiało to tak, jakby chciała z nim dobić targu. Nie wydawał się tym zachwycony; parę razy wpadał jej w słowo, żądając, być może, wyjaśnienia jakichś wątpliwości, tym razem jednak nie próbował jej już zatrzymywać.

— Powiesz mi wreszcie, kim jest ten człowiek? — spytała znów Kate, gdy już oddaliły się o parę kroków.

— Po prostu przyjaciel rodziny — niedbale odrzekła Francesca. — Moi rodzice nie są zadowoleni z tego, co teraz robię, więc przysłali go z ważną misją: ma mnie sprowadzić do domu. Tylko że ja tego nie chcę! Mój dom jest teraz tutaj, przy tobie! Och, Kate, czy ty to rozumiesz? Uratowałaś mnie po raz drugi, mój ty aniele stróżu!

Przy końcu ulicy Kate popatrzyła za siebie: mężczyzna wciąż jeszcze nie ruszył się z miejsca, w którym go zostawiły. W mętym stożku światła wyglądał jak aktor na opustoszałej scenie, a z całej jego postaci bił przeraźliwy smutek.

Dziwnie to wyglądało, ale Francesca uznała widocznie, że już dość wyjaśnień, a Kate wiedziała, że naciskać jej nie ma sensu. Każde osobiste pytanie wywoływało zawsze tę samą reakcję: natychmiast otaczała się murem milczenia.

Po powrocie do domu Kate stwierdziła ze zgrozą, że zgubiła pożyczony koleczyk.

— O Boże! Musiał mi wypaść z ucha, kiedy ci biegłam na pomoc. Wrócę tam i poszukam. Na ulicy tak pusto, że nikt go chyba nie znalazł.

— Nie przejmuj się, Kate, przecież to Feniks — odrzekła z uśmiechem Francesca. — Odrodzi się z popiołów, zobaczysz.

— Daj spokój! Co ty mówisz?

— Mogę przecież zamówić kopię. Nie ma się czym martwić, prawda?

## ROZDZIAŁ 13

### LEKARZ

Ta powódź przyniosła przynajmniej jeden pożytek: tłok na drogach jest mniejszy, stwierdził Mario Bassano, wyjeżdżając z miasta. Wolał nie myśleć, co by to było, gdyby jego fiacik uległ jakiejś poważnej kolizji. Samochód był pierwszą rzeczą, którą nabył, gdy tylko odebrał dyplom. Jeździł nim dopiero pół roku, lecz auto było niemłode i dość narowiste. A jemu nadal tak brakowało pieniędzy! Miał na utrzymaniu młodszych braci i do tego całą górę długów. Miną lata, nim nie będzie musiał martwić się o każdy rachunek za taką czy inną naprawę, nie mówiąc już o kupnie nowego wozu.

Dziś miał jednak za dużo innych problemów, aby martwić się o pieniądze. Najważniejszym była Francesca. Po każdym spotkaniu mógł myśleć tylko o niej, zwłaszcza że w takich chwilach nawiedzała go fala wspomnień. Zaczynał przypominać sobie wszystko, co wspólnie przeżyli, począwszy od momentu, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Gdyby akurat nie płakała, chyba by się nie odważył do niej podejść. Wtedy, to znaczy cztery lata temu, był studentem ostatniego roku medycyny, który czuł się o wiele swobodniej wśród martwych ciał w prosektorium niż w towarzystwie młodych i pięknych kobiet.

Wrodzoną nieśmiałość Maria pogłębiało skrajne ubóstwo: nie stać go było nawet na postawienie komuś skromnej filiżanki kawy, nauczył się zatem obywać bez kobiet. Tak było, dopóki nie poznał Franceski.

Siedziała na ławce w niewielkim parku w samym centrum Padwy — nieopodal jego uczelni. Jak dobrze pamiętał to słoneczne, ciepłe popołudnie, cichy szum parkowych zraszaczy rozpylających delikatną mgiełkę nad kolorowymi rabatami i ten słodki zapach świeżo przyciętych bukszpanów. Przechodzący obok spacerowicze z ciekawością zerkali na zalaną łzami dziewczynę, ale ona, nieruchoma jak posąg, tak zatraciła się w żalu, że świat i ludzie przestali dla niej istnieć. Mario dobrze znał te symptomy: tak objawia się skrajna rozpacz, kiedy wreszcie znajdzie sobie ujście.

Nie on jeden dostrzegł tę dziewczynę; jak stado głodnych rekinów krążyli koło niej *alpini* — było ich chyba z sześciu — którzy właśnie przed chwilą wylegli z pobliskich koszar. Zataczając coraz mniejsze kręgi, stawali się też coraz śmielsi. Zaczęły się głupie odzywki i niewybredne żarciki. Z początku nie zwracała na nich uwagi, lecz gdy dwóch najśmielszych stanęło tuż przed nią z okrzykiem „*ciao, bella*”, drgnęła gwałtownie, przerażona widocznie tą nagłą inwazją.

Mario, niewiele myśląc, natychmiast ruszył w jej stronę i usiadł obok na ławce.

— Udawaj, że ucieszył cię mój widok — szepnął dziewczynie do ucha. — Niech pomyślą, że jesteśmy przyjaciółmi, wtedy dadzą ci spokój. Widzę, że jesteś bardzo nieszczęśliwa — dodał miękko.

— Nie mam chusteczki — szepnęła.

Dał jej swoją, a potem rozsiadł się wygodnie, wyciągając przed siebie nogi, aby sprawiać wrażenie, że od dawna zna tę dziewczynę, że to jego dobra przyjaciółka, a może nawet sympatia. Udawał swobodę, ale serce biło mu jak młotem. Dziewczyna delikatnie otarła łzy i podniosła ku niemu twarz, dziękując mu za chusteczkę. Wtedy dopiero zobaczył jej niezwykle oczy i poczuł się tak, jakby nagle doznał objawienia, choć nie miał pojęcia, co właściwie zostało mu objawione. Później zastanawiał się często, czy w chwili gdy zwróciła mu przetartą, setki razy praną chusteczkę, wiedział już, że jego życie zmieniło się na zawsze. Całkowicie i nieodwracalnie. Może jeszcze tego nie wiedział. Może tylko uświadomił sobie, że jest piękna ponad wszelki wyraz.

Początku rozmowy nie pamiętał. Pamiętał jednak, że wydała mu się strasznie zagubiona i równie wrażliwa, przemawiał więc do niej jak do dziecka, które czeka bolesny zabieg, lub osoby, której trzeba przekazać tragiczną wieść o kimś bliskim; takie sytuacje znane mu były z praktyki i potrafił sobie z nimi radzić.

Powiedziała mu, że mieszka w Weronie i że wczoraj uciekła z domu po okropnej kłótni z rodzicami. Ma dwadzieścia jeden lat; później się okazało, że skończyła dopiero siedemnaście. Rewanżując jej się, powiedział, że pochodzi ze wsi na południu, co było prawdą, i że ma dwadzieścia cztery lata, co już nią nie było, ale chciał, aby pomyślała, że są bliscy wiekiem. Faktycznie miał lat dwadzieścia siedem.

Kiedy wreszcie podniosła się z ławki, zachwiała się nagle tak mocno, jakby miała za chwilę zemdleć.

— Co ci jest? Jesteś chora? — zapytał. Choroba także była czymś znanym, z czym umiałby sobie poradzić.

— Nie, tylko głodna. To chyba z tego robi mi się słabo.

Wyznała mu w końcu, że noc spędziła przy dworcu autobusowym, kręcąc się tam w kółko, i przez całą dobę nic nie jadła — bo uciekła z domu bez pieniędzy. Zabrał ją do restauracji, gdzie zafundował jej pastę i soczysty stek z zielonym groszkiem.

— A ty nie jesz? — spytała, słysząc, że zamawia tylko dla niej.

— Moja gospodyni pewnie czeka już na mnie z kolacją.

Przyjęła to za dobrą monetę; nawet przez myśl jej nie przeszło, że ta kolacja to fikcja i że na jej posiłek wydał wszystkie pieniądze przeznaczone na cały tydzień. A co tam, niech się dzieje, co chce! Gotów był głodować przez miesiąc za jeden jej uśmiech. Zanim opuścili restaurację, Mario zakochał się po uszy — po raz pierwszy w życiu.

Namówił ją na powrót do domu, obiecując, że spotkają się znów za tydzień; tego dnia po południu nie miał żadnych zajęć. Później przez całe lato spotykali się już regularnie — mniej więcej dwa razy w tygodniu. Powoli zaczynał rozumieć, co skłoniło ją do ucieczki, a kiedy zrozumiał wszystko, był zdumiony i przerażony: nigdy by nie przypuszczał, że bogactwo i nędza mogą mieć tyle wspólnego. Zaczął układać plany na przyszłość. Nie rozstaną się do końca życia. Wezmą ślub, gdy tylko on ukończy studia i zacznie

zarabiać. Ale Francesca nie chciała czekać. Pewnego dnia zjawiała się w jego nędznym pokoiku. Miała ze sobą walizkę.

— Nigdy już nie wrócę do rodziców — oświadczyła twardo. — Od dziś mieszkam z tobą.

Wziął ją w ramiona, a potem, podjąwszy najcięższą w swym życiu decyzję, kazał jej wracać do domu.

— Jak to? — krzyknęła. — Więc mnie nie kochasz?

— Wiesz, że cię kocham i że będzie tak do końca życia, ale teraz nie możesz tu zostać. Musisz, kochanie, wrócić do rodziców.

— Wolę umrzeć!

Prosił ją i błagał, ale nie chciała go słuchać.

— Chcę zostać z tobą na zawsze. Czy ty nie pragniesz tego samego?

— Tak, oczywiście, nie możemy jednak żyć z sobą bez ślubu.

— Więc się pobierzmy.

— Nie miałbym cię za co utrzymać.

Ale Francesca, o czym już się przekonał, nie miała pojęcia, co naprawdę znaczy brak pieniędzy. Jej rodzice twierdzili, że są biedni, ale żyli jak książęta. Oskarżyła go o merkantylizm, po czym wyjęła z torebki całą garść biżuterii, mówiąc, że mogą to sprzedać. Chyba można się za to utrzymać, przynajmniej przez pewien czas?

Mario, który o biżuterii wiedział tyle samo co Francesca o biedzie, podejrzewał jednak, że leżący na stoliku stosik wart jest więcej niż on, Mario Bassano, mógłby zarobić przez rok jako lekarz. Mimo to nie zmienił zdania. W końcu zmęczeni kłótnią zasnęli na jego wąskim łóżku, objęci czule ramionami.

Nie, nie kochali się tej nocy ani nigdy przedtem. Była to zresztą jedyna noc, którą spędzili razem. Mario szanował tradycję — tak go wychowano. Pragnął, by w noc poślubną jego żona była dziewicą. Wpojono mu też przekonanie, że aby się ożenić, musi stać mocno na nogach, czyli zrobić dyplom i pospłacać długi, był więc w sytuacji bez wyjścia; nie pozostawało mu nic innego, jak tylko cierpliwie czekać.

Ojciec Franceski, który o czwartej rano zaczął łomotać do drzwi, inaczej ocenił sytuację. Widząc rozrzuconą pościel, a swoją córkę w bieliźnie i podobnie ubranego osobnika, postanowił mu dać nauczkę. Wyzwał najpierw Maria od ostatnich, a potem czując, że ten nie podniesie na niego ręki, wymierzył mu mocny cios w szczękę, córkę zaś, nie zważając na jej gwałtowne protesty, zawłókł do samochodu.

Po tym incydencie Mario nie widział Franceski przez całe trzy lata. Z początku pisywał do niej codziennie, lecz gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, zaczął się lękać, że stało się jej coś złego. Tam skąd pochodził, los niezamężnych dziewcząt, które „zhańbiły” rodzinę, był godny pożałowania — traktowano je wręcz okrutnie, a czasami nawet zabijano. Wiedział też od Franceski, że i jej rodzice potrafią na swój sposób być równie okrutni jak prymitywni wieśniacy, bał się więc coraz bardziej. W ostatecznej desperacji udał się do Werony, gdzie dopóty czyhał przed domem Bertovich, dopóki nie udało mu się przydybać



którejsz z ich służących. Z początku nie chciała nic mówić — ze strachu przed „państwem” — ale w końcu ją obłaskawił. Dowiedział się od niej, że Francesca jest w Ameryce. W jakimś college'u albo innej szkole. Bardzo nie chciała tam jechać, ale potem zachorowała i była za słaba, żeby się opierać. W takim stanie wsadzono ją do samolotu.

Mario omal nie dostał białej gorączki. Poprzysiągł sobie, że nigdy nie zrezygnuje z Franceski. Będzie o nią walczył. Musi w jakiś sposób przekonać Bertonich, że mylą się co do niego, że kocha ich córkę i nigdy by jej nie skrzywdził. Tylko jak to zrobić? Po tej brutalnej napaści pertraktacje z ojcem Franceski wydawały się niemożliwe, postanowił zatem zakrzętnąć się koło matki, tym bardziej że to właśnie signora Bertoni sprawowała rządy w tym domu. Ojciec niewiele miał tam do gadania, podobno też nigdy nie sprzeciwiał się swojej małżonce, z czego łatwo było wysnuć wniosek, że owa junacka brawura, którą zademonstrował tej feralnej nocy, nie leżała w jego charakterze. Cóż, od każdej reguły bywają wyjątki.

Szczęśliwym trafem Mario poznał signorę Bertoni podczas jakiejś dobroczynnej gali. Powiedziała mu od razu, że wie o nim wszystko, lecz znacznie mniej wrogim tonem, niż mógłby się tego spodziewać. Po chwili stała się całkiem łaskawa, a nawet serdeczna, jednak nie do tego stopnia, żeby zdradzić mu miejsce pobytu Franceski. Zaczął u niej bywać i pewnego razu znów dopisało mu szczęście. Gdy signorę na chwilę wywołano z pokoju, spostrzegł na biurku jakiś list. Rzuciwszy okiem na adres i podpis nadawcy, zorientował się, że jest nim dyrektor instytucji zwanej Maple Grove w Connecticut. List ten dotyczył Franceski, a Maple Grove nie było żadną uczelnią, tylko kliniką — i to psychiatryczną!

Maria ogarnęła zgroza. A on myślał, że dawno już minęły czasy, gdy rodzice nieposłusznych córek uciekali się do takich metod! Mój Boże, jak można było zamknąć normalną dziewczynę w pokoju bez klamek! Zapamiętał adres kliniki i natychmiast po powrocie do domu napisał list do Franceski. Odpowiedź otrzymał dopiero po dwóch miesiącach. W tym czasie zdążył już bardzo dyskretnie przeprowadzić medyczne śledztwo dotyczące stanu pacjentki. W rezultacie tych działań dyrektor Maple Grove zgodził się, acz niezbyt chętnie, wypisać Francescę z kliniki.

Kiedy w grudniu 1966 roku, czyli ponad miesiąc po powodzi, wróciła w końcu do Włoch, to właśnie Mario, teraz już dyplomowany, choć młody stażem psychiatra, powitał ją na lotnisku. Odwiózł Francescę do domu, nie wszedł jednak do środka, bo musiałby spotkać się z jej rodzicami, a tego wolał uniknąć. Kochał ją tak jak dawniej, lecz był realistą; wiedział, że muszą poznać się na nowo, a na to potrzeba czasu. Przez te trzy lata zmienili się przecież oboje. On w każdym razie nie był już teraz tym pełnym kompleksów studentem, którego poznała w parku, przekonał się bowiem, że młody i przystojny lekarz przyciąga kobiety jak magnes. Cenią go zwłaszcza panie w pewnym wieku — znudzone małżonki równie znudzonych mężów.

Wszystko to sprawiło, że nabrał pewności siebie. Zaczął spłacać długi, a szło mu to na tyle gładko, że mógł się nareszcie ożenić. Zdawał sobie jednak sprawę, że z Francescą jest całkiem inaczej; że po trzyletnim pobycie w klinice chce przede wszystkim być wolna, więc choć sporo go to kosztowało,

postanowił jeszcze poczekać. Niech się nacieszy wolnością. Raz czy dwa odwiedził ją w Weronie, często rozmawiali także przez telefon. I choć żadne o tym nie mówiło, rozumiało się samo przez się — przynajmniej on sam tak myślał — że się niedługo pobiorą. I nagle w połowie stycznia Francesca zniknęła! Po tylu wysiłkach, które włożył w przekonanie państwa Bertonic, że gozden jest zostać ich zięciem, ona od niego ucieka! Był wprawdzie pewien, że Francesca kocha go tak samo jak on ją, zaczął się jednak obawiać, że pobyt w klinice mógł wywołać u niej niebezpieczną fobię: strach przed wszystkim, co wiązało się dla niej z jakimkolwiek ograniczeniem wolności, a więc i małżeństwem. Najgorsze, że nie miał pojęcia, co robić w tej sytuacji. Jeśli zacznie wywierać na nią presję, przerazi ją jeszcze bardziej, jeśli zaś postanowi trzymać się na dystans, Francesca pomyśli, że mu na niej już nie zależy. I bądź tu mądry! Lecz mimo tej ciężkiej rozterki uznał, że przede wszystkim musi ją odnaleźć.

Zajął mu to jakieś dwa tygodnie. Zdenerwował się mocno, widząc ją wśród zagranicznych ochotników. Mój Boże! Ta zawsze zadbana i tak elegancka Francesca paradowała teraz w brudnych dzinsach i męskiej koszuli! Co gorsza, ci młodzi cudzoziemcy zaczęli już sobie zyskiwać bardzo niedobrą sławę. Mówiono, że piją alkohol, śpią z kim popadnie, jednym słowem, nie uznają żadnych zasad. Mario owszem, zgadzał się na to, aby jego przyszła żona zabawiła się trochę przed ślubem, ale zadawanie się z jakąś międzynarodową cyganerią? Nie, na to nie mógł pozwolić. Życie bez zasad, bez jasno określonych granic moralnych było w jego pojęciu akurat tym, przed czym należało bezwzględnie chronić Francescę. Takie życie groziło jej równowadze psychicznej. Ktoś bardziej doświadczony potrafiłby może oprzeć się złym wpływom, ale nie ona. Jej tego nikt nie nauczył.

Próbował przemówić jej do rozumu, ale nie odniosło to żadnego skutku. Rozsądne myślenie niestety nie było jej specjalnością. Odprawiła go szorstko, a przecież zwłaszcza teraz powinien być przy niej. I oto wyjeżdżając tej nocy z Florencji znalazł wreszcie wyjście z sytuacji. Skoro umiał wkraść się w łaski jej rodziców, aby móc ją widywać bez przeszkód, może w taki sam sposób zjednać sobie tych cudzoziemców. Jeśli go polubią... Tak, to jest myśl.

Zaczął układać szczegółowe plany. Na początek weźmie pod ostrzał tę ciemnowłosą dziewczynę, która z taką furią zaatakowała go na ulicy, przekonana, że broni Franceski. Jakby to on stanowił dla niej zagrożenie!

Roześmiał się głośno: cóż za ironia losu! A ta dziewczyna... Gdybyż ona wiedziała, jak bardzo się myli!

# ROZDZIAŁ 14

## BAR DONATELLO

Zaczepekki uliczne zdarzały się tutaj tak często, że Kate już do nich przywykła. Można było odnieść wrażenie, że każdy z tych młodych Włochów snujących się po ulicach uważa za swój punkt honoru wystąpić z wiadomą ofertą pod adresem ładnej cudzoziemki. Bywało to nieraz męczące, lecz dopóki obie strony przestrzegały ustalonych zasad, nie działo się nic złego. Kate też nigdy dotąd nie czuła się zagrożona, tym razem jednak było inaczej. Już od dłuższej chwili miała uczucie, że ktoś za nią idzie, wprost czuła na karku czyjeś spojrzenie, choć nie słysząc było żadnego „*Ciao, bella*” ani „*Heloł, to ja, twój latyński kochanek!*”, nie dostrzegła też w pobliżu nikogo podejrzanego.

Był późny ranek. Kate o tej porze zwykle była w pracy, ale dzisiaj zdarzyła się mała awaria: jej miesięczna przypadłość pojawiła się dwa dni wcześniej, zastając ją nie przygotowaną na tę okoliczność. Zazwyczaj w takich wypadkach można było pożyczyć coś od którejś z dziewczyn, tego dnia jednak żadna nie mogła służyć jej pomocą — musiała więc wrócić do domu.

Dobrze, że chociaż pogoda była dziś bardzo łaskawa. Pięknie świeciło słońce, po raz pierwszy też chyba, odkąd tu przyjechała, lekki wiatr niósł z sobą woń wiosny, a wraz z nią i nadzieję na lepsze czasy. Trudności nie będą przecież trwać wiecznie. Na ulicach panował nieco większy ruch niż przed tygodniem — ludzie zajęci własnymi sprawami kupowali żywność, przystawali pogadać z sąsiadami. Życie pomału wracało do normy.

Mimo to Kate wciąż nie mogła pozbyć się uczucia, że ktoś ją śledzi. Zaczynało ją to niepokoić. Zamiast jak zwykle iść skrótem, postanowiła trzymać się ruchliwszych ulic. Dopiero gdy zamknąwszy bramę domu, znalazła się na wąskich schodach, zaczęła oddychać swobodniej.

Wychodząc znów na ulicę po jakichś dziesięciu minutach, zupełnie już zapomniała o swoich dziwnych wrażeniach — i oto zaraz za bramą ktoś nagle zastąpił jej drogę.

— *Signorina, momento.*

Przestraszył ją ten intruz, więc jej pierwszą reakcją była złość.

— Odczep się! — krzyknęła. W następnej chwili rozpoznała stojącego przed nią człowieka: to przecież ten sam mężczyzna, którego ostatnio widziała po urodzinach Jenny. Stał pod latarnią i tak dziwnie patrzył za Francescą. Dobrze zapamiętała tę szczupłą poważną twarz.

— *Mi scusi, signorina.* Ja muszę z tobą rozmawiać.

— Ale ja nie muszę. I nie chcę — odrzekła szorstko. — To ty parę dni temu napastowałeś Francescę.

— Pastowałeś? — powtórzył z konsternacją. Widać było, że nie zna tego słowa. — *Pardon?*

— Widziałam cię tamtej nocy... z Francescą. — Francesca i ja, myśmy rozmawiali, tak.

— Inaczej to wyglądało. Ona wcale nie chciała z tobą rozmawiać. — Już wypowiadając te słowa, Kate przypomniała sobie gromki śmiech obojga, gdy rzuciła się Francesce na ratunek. Czuła też, że złość jej minęła, ustępując miejsca ciekawości: czego ten człowiek może od niej chcieć? — Dlaczego mnie śledzisz? — spytała.

— Ty jesteś jej przyjaciółka.

— No i co?

— Ja jestem przyjacielem Franceski też — powiedział bardzo łagodnie.

Kate zaczynała podejrzewać, że ten dziwny nieznajomy może się okazać wcale nie tak prymitywnym przeciwnikiem, za jakiego go uważała. Trzeba zachować ostrożność.

— To świetnie, że Francesca ma tylu przyjaciół! — rzuciła drwiąco. — Po prostu kapitalnie!

— Kapitalnie? — Wydawał się jeszcze bardziej skonsternowany niż przedtem i było mu z tym do twarzy. W tych okrągłych okularkach z cieniutkimi oprawkami ani trochę nie przypominał znanych już Kate tubylców. A gdyby jeszcze ubrać go w opończę, pomyślała, takąż początków dwudziestego wieku, mógłby śmiało uchodzić za jednego z tych rosyjskich rewolucjonistów, którzy wszystkie pieniądze wydawali na książki, zapominając zarazem, że trzeba też czasem coś zjeść. Łapiąc się na tym, że łagodnieje, spytała zaczepnie:

— Przysłała cię tutaj rodzina Franceski, prawda?

— Ach, nie! — spłoszył się jej rozmówca. — Francesca... ona chce być w sekrecie przed rodziną. Ja... hm... nie zdradzam moja przyjaciółka.

Kate znów powiedziała sobie, że powinna się mieć na baczności, choć zmuszona była przyznać, że w tej chwili ów dziwny znajomy Franceski wcale nie wygląda groźnie. Prawdę mówiąc, prezentował się rewelacyjnie. Kiedyż to ostatnio rozmawiała z mężczyzną ubranym w garnitur? Chyba na przyjęciu w konsulacie.

— Jeśli nie szpiegujesz Franceski, to co tutaj robisz? — indagowała go dalej.

Twarz mu posmutniała.

— Francesca, tak. Hm... Ona jest powodem, że ja się martwię.

— Martwisz się o nią?

— Tak. Ja się bardzo martwię.

W innych okolicznościach pewnie by ją ujął tą swoją zabawną angielszczyzną — tym powtarzanym wciąż „ja”, komiczną składnią, tym krótkim „hm” przy poszukiwaniu właściwych zwrotów, ale teraz nie działało to na nią w ten sposób. Była po prostu ciekawa, co właściwie łączy go z Francescą.

— Muszę wracać do pracy — poinformowała go sucho. — Możesz mnie odprowadzić, jeśli masz ochotę. — Kiwnął głową, lecz nim zdążył cokolwiek powiedzieć, uprzedziła go, mówiąc: — Nie wydaje mi się, żeby Francesca chciała się z tobą przyjaźnić. Może kiedyś, ale nie teraz. Czy tamtej nocy kłóciliście się właśnie o to? — Ciekawe, ile z tego zrozumiał, pomyślała.

— Ja jestem przyjacielem też dla jej rodziny. Oni nie wiedzą, gdzie ona jest. Kazała mi... hm... zrobić *la promessa*...

— Złożyć obietnicę?

— *Si, la promessa*, że ja im nie mówię, gdzie ona jest. Ale oni są... hm... bardzo zatroszczeni o nią. Kate zaczynało to bawić. A więc grasz po stronie rodziców Franceski, pomyślała.

— Rozumiem, że ty także jesteś nie tylko zmartwiony, ale i zatroskany — zakpiła lekko, gdy jednak uroczyście kiwnął głową, zrobiło jej się trochę głupio. Nie wypada kopać leżącego. Zapagnęła mu to jakoś wynagrodzić. — Słuchaj — powiedziała — mam teraz przerwę w pracy. Jeśli chcesz, możemy pogadać przy kawie.

Zgodził się bardzo skwapliwie.

— O tak, ja bardzo chcę!

Tylko już bardziej nie mięknij, upomniała siebie Kate. Wyciągnij z niego, ile się da, i powtórz wszystko Francesce. Może wymknie mu się coś ważnego. On tymczasem zatrzymał się przed małym barem i grzecznie puścił ją przodem. Z taką galanterią zachowywał się jedynie Hugo, za co zresztą strojono sobie z niego żarty. Kate mimo woli pomyślała, że prowadzenie śledztwa może być nawet przyjemne, gdy jego obiektem staje się ktoś taki jak tajemniczy przyjaciel Franceski.

W barze, który nosił nazwę „Donatello”, dwóch starych mężczyzn prowadziło krzykliwą rozmowę z barmanem. Znając tutejsze zwyczaje, można było przypuszczać, że mówią po prostu o pogodzie, choć brzmiało to tak, jakby chodziło co najmniej o sprawę życia i śmierci.

Strapiony przyjaciel Franceski zamówił u barmana dwa malusieńkie *espresso*, szarmancko wysunął krzeselko dla Kate, a potem wyciągnął do niej rękę ze starannie przyciętymi paznokciami i tak wyszorowaną, że Kate wymieniwszy z nim uścisk, czym prędzej ukryła swoją pod stolikiem.

— Mario Bassano — uroczyście przedstawił się jej towarzysz. Brakowało jeszcze tylko tego, żeby głośno stuknął obcasami.

— Kate Holland — powiedziała z uśmiechem. Ze śmiertelną powagą usiadł naprzeciwko.

— Kejtli Ollander?

Choć opuścił początkowe „H” w jej nazwisku i zabawnie przeciągał samogłoski, nie chciała go poprawiać; w tej formie brzmiało nawet lepiej, jakby mniej agresywnie.

— Kate to skrót od Katherine — wyjaśniła tylko. — Po włosku Caterina.

— Tak, oczywiście — potwierdził z powagą, akcentując „o” w słowie „oczywiście”. — Ty jesteś Amerykanką?

— Angielką. Większość zespołu pracującego w Uffizi to Brytyjczycy.

— Hm.

Sądząc po minie, chyba znowu czegoś nie zrozumiał. Czyżby chodziło o słowo „zespół”?

— Grupa — spróbowała mu pomóc. — Angielska grupa. Po włosku pewnie „gruppa”?

— *Gruppo*, tak! Ja rozumiem... hm... chociaż ja rozmawiam niedobrze. Jak studiuje, wiele książek jest po angielsku. Ale do mówienia ja nie jestem dobry.

— Mówisz całkiem nieźle.

— Dziękuję. Jesteś bardzo miła. Ja jestem szczęśliwy, że Francesca ma dla siebie dobrą przyjaciółkę.

Zaczynał jej się podobać. Pomyślała, że jest czarujący. Nie szarżował, nie starał się jej olśnić ani zasypywać pochlebstwami, co często zdarzało się Włochom, miał w sobie natomiast jakąś szczerą i delikatność. Czuła jednak, że mimo tych gorących zapewnień, iż jest przyjacielem Franceski, działa ręką w rękę z jej rodziną, od której przecież Francesca tak bardzo chciała się odciąć.

— Owszem, jesteśmy sobie bardzo bliskie — powiedziała twardo. — Francesca to wspaniała osoba.

Twarz mu się rozjaśniła. Po raz pierwszy spojrzał jej w oczy zza tych swoich śmiesznych okularków i — och! — było to dziwnie niepokojące.

— Francesca jest piękna... hm... jak poranek.

Kate nagle straciła rezon. Żartuje czy mówi serio? Czyżby był aż tak pretensjonalny?

— Cóż — bąknęła wreszcie lekko ochryłym głosem — rzeczywiście jest bardzo ładna, ale martwić się o nią naprawdę nie masz powodu. Może i wyglądamy na bandę oberwańców, nie jesteśmy jednak tacy źli. Możesz mi wierzyć: nikt z nas by jej nie skrzywdził. Francesca po prostu świetnie się bawi. Tak jak my wszyscy.

— Tak, ale ona nie jest taka jak inni ludzie.

— Pewnie, że nie wszyscy jesteśmy piękni jak poranek, ale poza tym...

— *Signorina*, ty nie rozumiesz mej troski. Francesca jest... hm... wyjątkowa, całkiem inna od innych. Ona jest... bardzo krucha.

— Krucha? — Wymówił to w taki sposób, że Kate woląla sprawdzić, czy faktycznie chodzi mu o kruchość.

— Tak, czasami ona jest krucha w umyśle. Potem... hm... potrzebuje opieki. Rodziny i dobrych przyjaciół.

— Takich jak ty?

— Tak. Ja jestem *dottore* medycyny. Mój specjał... specjalność to psychologia. — Do słów „specjalność” i „psychologia” dodał tyle sylab, że zabrzmiały zgoła egzotycznie.

Jednakże to, co powiedział, dało Kate do myślenia. Przypomniała sobie wyraz twarzy swojej przyjaciółki, w chwili gdy Jenny odmówiła przyjęcia pieniędzy. W oczach Franceski wpatrzonych w płomyk zapalniczki widać było tyle napięcia, tyle dziwnej determinacji... Chyba rzeczywiście odbiegało to trochę od normy...

— Chcesz powiedzieć, że jest stuknięta? No wiesz, że ma świra?

— *Pardon?*

— Myślisz, że ma źle w głowie? Zmarszczył brwi.

— Jest czasami wrażliwa za bardzo. Ma wielkie i hm... hojne serce i jest bardzo serio. Dla niej proste rzeczy są czasami skomplikowane. Życie jest ciężkie. Dla niej.

— A więc nie jest szalona?

Zachnął się mocno, najwyraźniej zszokowany tą sugestią.

— *Certo non.*

— Dzięki, sprawiłeś mi ulgę.

— Ale czasami ona robi szalone rzeczy.

— To już gorzej. Na przykład jakie? Zawahał się lekko.

— *E difficile per me.* To trudne. Ja jestem w środku. Ja szanuję... hm... jej ochotę, żeby być wolna i mieć nowe życie, i też wiem, jak jej rodzice się martwią.

— Aha. I sam też się o nią martwisz, tak?

— Teraz nie. Bo teraz mam rozmowę z tobą. Ty jesteś zaufanie. Ja dam ci mój telefon od domu i pracy i proszę, żebyś ty zadzwoniła, jak będzie jakieś zmartwienie.

„Zaufanie”? Kate bardzo się to spodobało. Nikt jeszcze jej tak nie nazwał. Przypomniała sobie jednak, że wciąż nie wie, czy jemu można zaufać.

— Powiem Francesce o naszej rozmowie — oznajmiła.

— *Signorina, no!* — jęknął błagalnie. — Ja nie lubię mieć sekretów, ale powiedzieć Francesce to dla niej bardzo niedobrze. Może zrobić szaloną rzecz. Uciec albo...

Albo rzucić się z mostu, pomyślała Kate. Bardzo nie chciała ukrywać swojego spotkania z Mariem, doszła jednak do wniosku, że po tym, co usłyszała, nie może niestety postąpić inaczej. Ten człowiek jest przecież psychiatrą, dłużej też zna Francescę i o wiele lepiej niż ona.

— No dobrze, na razie nic jej nie powiem — mruknęła z przykrym uczuciem, że popełnia zdradę.

— To dobrze — uśmiechnął się z ulgą. — Ja dam ci teraz moje numery. — Wyjął z kieszeni notatnik, szybko wypisał dwa schludne szeregi cyfr, wyrwał karteczkę i podał ją Kate.

— Tu jest dom, a tu praca. Musisz obiecać, że zadzwonisz do mnie, kiedy ty się zmartwisz.

— Obiecuję. — Ten uśmiech, którym ją obdarzył, sprawił jej skrytą przyjemność. Ale czy nie za wiele poczyniła ustępstw, nie otrzymując nic w zamian? Nie dowiedziała się przecież niczego, co by mogło się przydać Francesce. A gdyby tak spotkać się z nim jeszcze raz... Dziś ją zaskoczył, nie była przygotowana do takiej rozmowy... — Powinniśmy chyba zobaczyć się znowu — powiedziała głośno. — To znaczy... no wiesz, gdyby Francesca zrobiła coś dziwnego.

— Tak. Zadzwoń do mnie.

Rozstali się przed barem. Powiedział, że musi się spieszyć, by zdążyć na drugą do Lukki: czekają na niego pacjenci. Na pożegnanie znów bardzo ceremonialnie uściskał jej rękę.

Odprowadziwszy go wzrokiem do rogu ulicy, za którym stał jego samochód, Kate wolnym krokiem ruszyła w stronę pracowni. Kiedy stanęła w progu, Jeremy z wielkim przejęciem opowiadał chłopakom, jakim objawieniem stała się dla niego *Piąta Symfonia* Mahlera, gdy będąc kiedyś w Edynburgu, wysłuchał

jej w pewnym sklepie z płytami, Dido i Jenny chichotały jak szalone, rozprawiając o możliwych zastosowaniach batoników mars dla podniesienia doznań seksualnych, Francesca zaś usiłowała się w tym połapać, pytając dziewczyny, czy ten mars to to samo co hershey i dlaczego Jeremy po prostu nie kupił tej płyty, zamiast słuchać jej w sklepie?

Kate zazwyczaj chętnie włączała się do rozmów — te jednak wydały jej się głupie i zarazem pretensjonalne. Woląła się zająć loczkami swojego efeba. W czasie przerwy na lunch opuściła kolegów pod pretekstem, że musi załatwić jakąś ważną sprawę, po czym chyłkiem pobiegła nad Arno.

Jedząc kanapkę, myślała o nowym znajomym. Nie, nie spodobał jej się — to byłoby śmieszne! — zastanawiała się tylko, jak by się czuła, gdyby jakiś młody, urodziwy lekarz

— na przykład któryś z kolegów Maria — powiedział jej w pewnym momencie, że jest piękna jak poranek.

Po południu, obserwując Francescę pracującą nad swoją ogromną ramą — prawie już przywróconą do dawnego stanu — ciągle nie mogła zrozumieć, co właściwie miał na myśli Mario, mówiąc, że jest taka krucha.

## ROZDZIAŁ 15

### POWÓDŹ

Listopadowa powódź 1966 roku wydobyła z mieszkańców Italii najlepsze i najgorsze cechy, pisał w swoich raportach konsul brytyjski. Ci, którym żywioł spustoszył domy czy miejsca pracy, działali z bezprzykładnym poświęceniem, a ich zapal nie miał sobie równych. Taką samą ofiarnością wykazali się studenci i uczniowie szkół średnich, którzy w decydujący sposób przyczynili się do oczyszczenia ulic i ważnych obiektów publicznych. Nie dało się tego niestety powiedzieć ani o władzach lokalnych, ani o włoskim rządzie. W wielu wypadkach to właśnie, funkcjonariusze państwowych służb bezpieczeństwa, wysłani na objęte powodzią tereny, by położyć kres patologiom i przywrócić porządek publiczny, utrudniali podjęcie jakichkolwiek skutecznych działań.

Pod ostrzałem krytyki znalazł się też Włoski Czerwony Krzyż; zarzucano mu brak inicjatyw i zdecydowania. Działacze Międzynarodowego Czerwonego Krzyża mieli związane ręce: obowiązujące zasady polityczne nie pozwalały światowym organizacjom prowadzić akcji charytatywnych bez współpracy z władzami lokalnymi, te zaś cechował całkowity bezwład. Włoski rząd centralny, broniąc się przed zarzutem, że w niewystarczający sposób pomaga ofiarom klęski, zastosował znaną metodę „poprawiania” rzeczywistości. Zapewniano opinię publiczną, że sytuacja nie jest tak tragiczna, jak przedstawiała ją media. To samo robiły władze Florencji — z obawy, że prawda może odstraszyć turystów, wskutek czego zmniejszą się dochody, będzie więc mniej środków na przywrócenie miastu podstawowych funkcji i renowację zabytków.



Bogaci Włosi, nie dowierając własnym organizacjom zbierającym fundusze na te cele, woleli przekazywać pieniądze komitetom zagranicznym — brytyjskim bądź amerykańskim. Na fundusz działający w Anglii pod przewodnictwem sir Ashleya Clarka dotacje płynęły strumieniem. W tej sytuacji wyraźnie wzrosło zapotrzebowanie na usługi angielskiej grupy ochotników działającej w pałacu Uffizi. Okazali się wręcz niezbędni w Bargello i Santa Croce. Jedną z grup przydzielono także do prac w baptysterium.

Ta ośmioboczna budowla, wyłożona zielonym i białym marmurem podobnie jak stojąca obok katedra Santa Maria del Fiore, uważana jest za najstarszy obiekt we Florencji. Niektóre fragmenty jej murów datowane są nawet na czwarty wiek naszej ery. Chrzest przyjął tu cały poczet sławnych florentyńczyków, między innymi Dante. W nocy czwartego listopada baptysterium zostało zniszczone przez powódź. Woda, która się tu wdarła, wypełniła wnętrze do wysokości ponad sześciu metrów. Rozszalały żywioł zerwał i uszkodził kilka kasetonów Porta del Paradiso — bezcennych drzwi z brązu wykonanych przez Ghibertiego w połowie piętnastego wieku. Drzwi te zostały zdjęte i oddane do reperacji, oczyszczenie murów natomiast powierzono grupie ochotników.

## ROZDZIAŁ 16

### BAPTYSTERIUM

W pierwszych tygodniach pracy we Florencji najważniejszym elementem życia ochotników było wszechobecne błoto, teraz gdy zaczęli działać w baptysterium, miejsce czarnej mazi zajął talk.

Był on dla nich istną rewelacją. W niczym nie przypominał perfumowanego proszku o mdląco słodkim zapachu, sprzedawanego w małych pojemniczkach z fiołkiem, które na przykład David ofiarowywał na gwiazdkę swym ciotkom. Był to zwykły preparat przemysłowy, przywożony w szarych fabrycznych workach, który nie miał żadnego zapachu i gdy zanurzyło się w nim rękę, zawsze wydawał się chłodny bez względu na temperaturę panującą akurat w pomieszczeniu. Metoda polegała na tym, by pokryć nim jak najdokładniej nasiąknięte wodą partie murów i zostawić tak przez parę dni, w czasie których drobinki talku miały wchłaniać wilgoć i wszelkie zanieczyszczenia. Zmijało się go potem zwyczajną domową szczotką, a następnie powtarzało cały zabieg. Byłoby to całkiem proste, gdyby nie jedna podstawowa trudność: proszek był sypki i nie chciał trzymać się ścian.

Próbowano różnych technik — wklepywania, smarowania i wcierania — podczas których wyszło na jaw, że talk tylko wtedy przylega do muru, gdy nakłada się go z pewną siłą. Najlepszym sposobem okazało się rzucanie, a pierwszą osobą, która do perfekcji opanowała tę technikę, była, o dziwo, Francesca. Stojąc w odległości dwóch metrów od celu, nabierała pełną garść talku, po czym z całej siły ciskała nim o ścianę, uzyskując przy dobrym rzucie pole rażenia o średnicy sięgającej sześćdziesięciu centymetrów. Cała sztuka polega na tym, mówiła, żeby wyczuć właściwy moment — i wtedy otworzyć pięść.

Innym szło różnie — raz lepiej, raz gorzej. Przez pierwsze dwa dni ściany baptysterium wyglądały jak tkanina w rzadko rozrzucone białe grochy, stopniowo jednak ludzie nabierali wprawy — i luki zaczęły zanikać. Każdego ranka, gdy wilgotne mury ziały jeszcze przenikliwym zimnem, odbywała się rozgrzewka — zupełnie jak przed grą w kule — po której dopiero zaczynały się właściwe rzuty. Każdy wprowadzał tu własne pomysły. Jenny na przykład wolała stać na krześle i rzucać z dołu do góry, Aiden natomiast stosował szeroki zamach jak przy puszczeniu „kaczek”.

Wkrótce też wszyscy doszli do wniosku, że ściany pokryte równą warstwą bieli to idealne tło dla rysunków i mniej lub bardziej dowcipnych sloganów. Po długonosym ludziku z podpisem „Tójtaj był Kilroy”, przyszła kolej na bardziej wymyślne teksty, takie jak na przykład „Przepraszam, że żyję, to się już nigdy nie powtórzy”, wprawiające nielicznych turystów w lekkie zakłopotanie. Odwiedzali oni czasem baptysterium, by ocenić efekty bohaterskich działań ratunkowych, o których tak szeroko donosiły media. Na razie jednak najbardziej widocznym efektem były rozsiane po murach „drabinki” po rozgrywkach w kółko i krzyżyk.

Nieuchronną kolejną rzeczą część talkowych pocisków lądowała na samych miotaczach. Już po godzinie pracy pokryci od stóp do głów białą mączką wyglądali jak duchy, ale kto by się tym przejmował! Bo na pewno nie panna Bertoni. Trudno w niej było rozpoznać tę wytworną młodą elegantkę sprzed ledwie paru tygodni. Nie różniła się teraz niczym od reszty brudnych aniołów od błota i nie tylko się tym nie martwiła, lecz wprost przeciwnie; widać było, że uwielbia to swoje nowe wcielenie.

Pewnego wieczoru, gdy po całodziennym deszczu ulice zamieniły się znów w grząskie błoto, Kate, powracając wraz z grupą z kantyny, pośliznęła się nagle na jakimś zdradzieckim fragmencie chodnika i runęła plecami w kałużę. Oszołomiona upadkiem, przez chwilę nie mogła się ruszyć, a gdy w końcu spróbowała się podnieść, taki ból przeszył jej biodro, że z powrotem opadła w kałużę.

— O, cholera! — jęknęła.

Stojący obok koledzy przyglądali się jej bez emocji.

— *Nostalgie de la boue* — stwierdziła Dido, cytując swoją ulubioną frazę. — Jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć, żeby ktoś potraktował to aż tak dosłownie.

— „Wszyscy siedzimy w rynsztoku, lecz niektórzy z nas patrzą w gwiazdy” — szybko dodał Larry. Zaczynało już wychodzić na jaw, że jego intelektualizm sprowadza się prawie wyłącznie do cytowania cudzych złotych myśli. Z własnymi było znacznie gorzej.

— Stendhal — wyrwała się Anna.

— Oscar Wilde — poprawił ją Larry.

— Czy nikt nie zamierza mi pomóc? — zirytowała się Kate.

— Na leżąco wyglądasz bardzo sexy — zauważył David.

— Pewnie jesteś z tych, których rajcują kobiece zapasy w błocie — prychnął Aiden. — Ja osobiście...

Dalszy wywód uniemożliwiła mu Francesca, rzucając się nagle w błoto obok Kate. A potem, leżąc na wznak, zaczęła wykonywać jakieś dziwne faliste ruchy rozpostartymi rękami. Co ona robi? przeraziła się Kate. Przyszło jej na myśl, że to chyba atak szaleństwa i że trzeba czym prędzej powiadomić Maria.

— Rób to co ja! — wychnęła zdyszonym głosem Francesca. — Ruszaj ramionami, jakbyś chciała fruwać. Będzie z tego anioł. W Stanach często robiliśmy takie anioły, tylko że na śniegu. Zobaczysz, jak wstaniesz!

Kate ogarnęło wzruszenie. Czy ktoś inny potrafiłby dla niej wytarzać się w błocie? To się nazywa przyjaźń! Odszukała rękę Franceski i mocno ją uścisnęła.

Przyjaciółka tymczasem ze śmiechem wygrzebała się z błotnistej mazi i pomogła jej stanąć na nogi, a Kate ze zdumieniem stwierdziła, że ból biodra litościwie zniknął.

— Teraz patrz! — zawołała Francesca, wskazując jej miejsce, gdzie obie leżały.

Na błotnistym kawałku chodnika rysowały się niewyraźne kontury dwóch wielkich aniołów z rozpostartymi skrzydłami. Niestety, szybko zniknęły.

— Szkoda, że nie ma śniegu — westchnęła Francesca. — Ma o wiele lepszą konsystencję.

W barze było pełno Włochów, głównie mężczyzn w roboczych ubraniach. Do Kate przyczepił się jakiś żółtodziób ze śladami ciemnego puszku nad wargą, który pragnął widocznie odświeżyć swoją romansową angielszczyznę przed oczekiwanym przez wszystkich napływem świątecznych turystów. Zbliżała się przecież Wielkanoc. Kate w żaden sposób nie mogła się pozbyć natręta. Skoro tak, pomyślała, to niech mi przynajmniej pomoże: chciała właśnie skorzystać z publicznego telefonu, a nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać.

Pokazał jej, co ma zrobić, a potem zapytał z nadzieją:

— Chcesz zobaczyć moje zdjęcie na koniu?

— Później. Teraz muszę zadzwonić.

— To bardzo ładne zdjęcie.

— Nie wątpię, ale teraz nie mogę. O, halo? — powiedziała do słuchawki, wyjmując skrawek papieru, na którym zanotowała sobie włoską wersję zwrotu „chcę mówić z panem X”.

— *Voglio parlare con Mario Bassano.*

— *Pronto.*

— *Mi scusi. Mario Bassano per favore.*

— *Pronto.*

Kate zaczynała wpadać w rozpacz. Co u diabła znaczy „pronto”? Obracając się wyłącznie w towarzystwie swoich rodaków, nie miała motywacji do nauki języka tubylców, toteż jej znajomość włoskiego sprowadzała się do kilku użytkowych zwrotów. Umiała zamówić kawę i coś do jedzenia, zapytać o drogę, i to właściwie było wszystko. Nim postanowiła zadzwonić do Maria, przećwiczyła sobie parę pytań, nie zastanawiając się przy tym, czy potrafi zrozumieć odpowiedzi.

— *Non parlo molto italiano* — wykrztusiła, po czym zapytała po angielsku: — Czy mogę mówić z panem Bassano?

— Słucham, tu Mario Bassano.

— Och, rozumiem. — Poczowała się jak idiotka. „*Pronto*” znaczy pewnie „słucham”. — Mówi Kate Holland.

— Ja wiem. Jakiś problem od Franceski?

— Trudno powiedzieć. Nie jestem pewna. — Od czasu spotkania w barze Donatello Kate kilka razy przyłapała się na tym, że myśli o swoim przystojnym rozmówcy. Przyjemnie było mieć włoskiego znajomego. Teraz gdy ochotnicy stali się już taką zgraną paczką, ich kontakty z miejscowymi praktycznie przestały istnieć. Mario tymczasem budził w niej coraz większą ciekawość: dlaczego tak bardzo interesuje go panna Bertoni? Widać było jasno, że to zainteresowanie wykracza poza sferę zawodową — ale jak dalece? — Francesca ostatnio zachowuje się trochę dziwnie — powiedziała ostrożnie. W tej właśnie chwili chłopak, który pomógł jej przy telefonie, wyciągnął z portfela jakieś wymiętoszone zdjęcie i podsunął jej pod sam nos.

— Patrz. To ja na koniu. Bardzo sexy, co?

— Nie! — warknęła, odwracając się do niego tyłem.

— Wcale nie sexy.

— *Mi scusi?* — zdziwił się Mario.

— Przepraszam. Ktoś mi tu trochę przeszkadza. A co do Franceski, to wszystko w porządku. Nie ma żadnych większych problemów. Chciałam tylko pomówić o paru drobiazgach.

— Ja słucham.

— Och, trudno o tym mówić przez telefon. Może wpadłbyś do Florencji? Moglibyśmy wtedy spokojnie podyskutować. Troszkę się o nią martwię. To pewnie nic wielkiego, ale... lepiej dmuchać na zimne, prawda?

— Jutro to niemożliwe.

— Więc może pojutrze? Au! — Odwracając się tyłem do amatora jeździectwa, Kate popełniła taktyczny błąd, z czego zbyt późno zdała sobie sprawę. Czując jego rękę na pośladku, obróciła się błyskawicznie twarzą do zuchwalca, piorunując go wściekłym spojrzeniem. — Wynoś się! — syknęła, nie zapominając tym razem zasłonić dłonią membrany. — Nie widzisz, że rozmawiam?

— Tak — usłyszała w słuchawce. — W czwartek.

— Wspaniale. Muszę kończyć, bo nie mam już drobnych. W barze Donatello?

— Okej. O piątej?

— Fajnie, do zobaczenia. *Ciao*, Mario.

— *Ciao*, Kate.

Jej natrętny „pomocnik” wciąż czekał.

— Teraz zobaczysz moje zdjęcie na koniu?

— Wolałabym zobaczyć, jak się smażyysz w piekle! — warknęła Kate. — Na wolnym ogniu!

Niefortunny kowboj nie zrozumiał pewnie życzenia, lecz jej ton mówił sam za siebie. Tym razem poskutkowało.

W czwartek zaraz po lunchu Kate popędziła do domu wziąć kąpiel i umyć włosy. Z łazienki prócz ochotniczek korzystało też kilka innych lokatorek, pracujących o dziwnych porach, odetchnęła więc z ulgą, widząc, że jest pusta. W łazience nie było prysznic, ale na to Kate nie narzekała: w domu też myła głowę w umywalce albo po prostu w kąpieli. Jedyne Francesca nieustannie podnosiła lament: jak można żyć bez prysznic? Jakoś można, powiedziała sobie Kate, wchodząc do pełnej wanny. Na wodzie prawie natychmiast utworzył się brzydki opalizujący osad — mieszanina talku i mydlin. Przydałby się jednak prysznic...

Po powrocie z łazienki starannie wyprasowała upraną wieczorem bluzkę pożyczonym specjalnie w tym celu żelazkiem swojej gospodyni — i zaczęła się ubierać. Po krótkim namyśle zdecydowała się włożyć obcisłe, prawie czyste dzinsy, choć mocno kusila ją minispódniczka, leżąca wciąż bezproduktywnie na samym spodzie walizki. Ale nie: taki ubiór wywołałby tylko mnóstwo niepotrzebnych pytań, a przecież Mario prosił o dyskrecję...

Już gotowa do wyjścia stanęła na łóżku, aby sprawdzić efekty swych starań w stanowczo za małym lustrze: tylko tak można było obejrzeć niektóre fragmenty sylwetki. Hm... Uważała podobnie jak wszystkie osiemnastolatki, że jej dolne partie są o wiele za obszerne, chociaż teraz oglądane z tej dosyć niezwykłej pozycji prezentowały się lepiej. No, dobre i to. Mocniej zacisnęła pasek, aby zwęzić talię, a potem w przyływie odwagi odpięła drugi guzik bluzki, odsłaniając apetyczny fragment naprawdę ładnego biustu. Zachęcona tym miłym widokiem odpięła trzeci guziczek. Niestety, nawet jej najlepszy stanik za bardzo już zszarzał od prania...

A poza tym wcale nie zamierzała uwodzić czy choćby kokietować Maria. Chciała po prostu wyglądać na tyle elegancko, żeby źle nie myślał o jej grupie. Powinien nabrać przekonania, że nowi przyjaciele Franceski to ludzie godni przyjaźni, jeśli nawet ich wygląd bywa czasem niekonwencjonalny. Podczas tego pierwszego spotkania zachowywał się wprawdzie niezwykle uprzejmie, Kate podejrzewała jednak, że z taką samą kurtuazją odnosi się do wszystkich, nie wyłączając najbardziej zaniedbanych i nieatrakcyjnych pacjentek. Po prostu taki jest. Siedząc z nim wtedy w barze, zdała sobie nagle sprawę, że jej wygląd pozostawia wiele do życzenia, pragnęła więc tym razem zrobić na nim lepsze wrażenie.

Czekał już na nią, gdy punktualnie o piątej wkroczyła do znanej salki. Wyglądał o wiele młodziej, niż go zapamiętała. Dlaczego odniosła tak mylne wrażenie? Pewnie przez jego zawód, powiedziała sobie. Jest lekarzem, a jej ta profesja kojarzyła się zawsze z ludźmi mniej więcej w wieku rodziców. Śmieszny błąd. Teraz wydawał się niewiele starszy od najstarszych kolegów z grupy. To porównanie pociągnęło za sobą dalsze. Uznała, że bije na głowę wszystkich jej kolegów elegancją i dobrym wychowaniem. Jest tak doskonale ubrany, tak prosto się trzyma... Pomyślała nagle, że nie tylko ona dostrzega jego zalety. Ta wąska, urodziwa twarz podoba się też pewnie innym kobietom...

Wstał na jej widok i szarmancko wysunął dla niej krzesło. Nie przyzwyczajona do takich gestów, omal nie usiadła na innym; och, całe szczęście, że w porę oprzytomniała!

— Jak się masz? — spytał uprzejmie.

— Dobrze, a ty?

— Bardzo dobrze, dziękuję. Napijesz się kawy? A może drinka?

— Poproszę campari z wodą sodową.

Prawdę mówiąc, największą przyjemność sprawiłaby jej teraz filiżanka gorącej czekolady, ale tak uwielbiała zamawiać campari! W Anglii jakoś nigdy nie natknęła się na ten napój i może właśnie dlatego stał się on dla niej nieodłącznym elementem Florencji.

Mario poszedł złożyć zamówienie i po chwili przyniósł jej campari, a dla siebie filiżankę czekolady. Sądząc po wyrazie twarzy, chciał jej chyba powiedzieć coś miłego. Już wchodząc do baru spostrzegła, że wyraźnie zaskoczył go jej widok. Patrzył na nią z jawną admiracją... I nagle dziwnie spochmurniał.

— To miło, że zrobiłaś sobie dla mnie czas — powiedział, marszcząc brwi.

— Och nie, daj spokój... Przecież to ja chciałam się z tobą spotkać. To znaczy... z powodu Franceski.

— Myślisz, że jest problem?

— Zależy, jak na to spojrzeć. Zachowuje się czasami trochę dziwnie, ale czy ja wiem? Nie umiem tego ocenić. Pomyślałam, że gdybym więcej wiedziała i o niej samej, i o tym, co właściwie cię w niej martwi, mogłabym lepiej ci się przysłużyć.

— Rozumiem. Ona... hm... zachowuje się dziwnie? Jak?

Kate zawahała się lekko. Z początku miała zamiar opowiedzieć mu o tym, jak oboje z Davidem zobaczyli Francescę na moście, zaczęła się jednak obawiać, że taki incydent mógłby za bardzo go zmartwić. W dodatku Francesca bardzo się przecież zmieniła. Nie, to nie byłoby dobre.

— Na przykład przedwczoraj spaliła trochę pieniędzy — powiedziała po chwili ciszy, a widząc, że oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia, pochyliła się w jego stronę, zamierzając rozwinąć ten wątek. Równocześnie poczuła, że cienki materiał bluzki napina jej się na piersiach, ściągając w to miejsce szybkie spojrzenie Maria. Jednak już po sekundzie umknął stamtąd wzrokiem. — Prawdę mówiąc — dodała z lekkim naciskiem — tych pieniędzy było bardzo dużo.

— Ona pali pieniądze? Dlaczego?

— Chyba ją trochę poniosło. Koleżanka zaprosiła całą naszą grupę na przyjęcie i skończyło się na tym, że jej zabrakło pieniędzy. Francesca chciała uregulować rachunek, a gdy Jenny się nie zgodziła, zaczęła palić banknoty. Wyglądało to dość dramatycznie.

Na chwilę zapadło milczenie. Mario zadumał się nad czymś, Kate zaś zaczynała doskwierać świadomość, że postąpiła trochę nieuczciwie, relacjonując ten incydent w taki sposób, jakby zdarzył się dopiero teraz, a nie przed ich pierwszym spotkaniem. Aby przerwać milczenie, zdecydowała się powtórzyć to, co mówiła już wcześniej.

— Rozumiesz teraz, o co mi chodzi? Po prostu nie wiem, czy takie zdarzenie jest dla ciebie ważne. W ogóle nic nie wiem. Mówiłeś na przykład, że Francesca jest bardzo krucha, ale co to znaczy konkretnie? Powinieneś mi powiedzieć, na co mam zwracać uwagę.

— Ona paliła pieniądze jeden raz?

— Widziałam to tylko wtedy.

— Niedobrze — westchnął Mario i zamilkł. — Jej rodzina jest... hm... skomplikowana — podjął po pauzie. — Kiedyś już zdarzały się... hm... epizody.

— Masz na myśli incydenty?

— Tak.

— Takie jak palenie pieniędzy?

— Gorsze.

— Na przykład?

— To niemożliwe teraz o tym mówić. Ale jeżeli ona pali pieniądze, to... hm... to jest zły znak. Francesca zawsze ma problem z pieniędzmi.

— To tak jak ja — wtrąciła Kate. Rozmowa o Francesce zaczynała ją nużyć. — Tam, skąd pochodzę, wszystkim brakuje pieniędzy.

Uśmiechnął się na to.

— Francesca lubi żyć w świecie... hm... w świecie marzeń, gdzie pieniądze nie mają żadnego znaczenia. Ona jest czasami jak dziecko. Zepsute dziecko.

Kate z lekkim westchnieniem spojrzała mu głęboko w oczy, jakby go chciała zapewnić, że ją również ogromnie martwi tak wielka beztroska Franceski.

— Ciekawe, czy chociaż zdaje sobie sprawę, jakie ma szczęście. Taki przyjaciel jak ty to przecież prawdziwy skarb — powiedziała gorąco.

Na widok lekkiego rumieńca, który zaróżowił mu policzki, przepełniło ją poczucie własnej siły. Jaki on wrażliwy, myślała, i zarazem śmiertelnie poważny, a przecież to młody człowiek. Nigdy pewnie nie zaznał zabawy ani tej wspaniałej beztroski, która dla niej i jej kolegów jest czymś zwykłym i tak naturalnym. I chociaż dobrze wiedziała, że musi być od niej starszy przynajmniej o dziesięć lat, zaczęło jej się wydawać, że pod wieloma względami to ona jest bardziej wyrafinowana, a już z całą pewnością przewyższa go doświadczeniem.

— Masz wspaniały zawód — powiedziała ciepło. — Och, jestem pewna, że wymaga mnóstwa pracy, ale jakie to cudowne uczucie, gdy pomyślisz, że pomagasz ludziom, a nawet ratujesz im życie.

— Czasami owszem, to jest dobre, ale tak często nic nie można zrobić albo jest za późno. Wczoraj miałem pacjentkę z biednej rodziny. Miała dopiero czternaście lat. Śliczne dziecko, a była w ciąży. I użyła takiego... — Urwał i skrzyżował ręce, którymi zaczął wykonywać drobne, rytmiczne ruchy.

— Mówisz o drutach do robót ręcznych?

— O tak, właśnie. O drutach... I gdy ona przybywa do *ospedale*, jest już za późno. Tyle razy ta... hm... ignorancja zabija ludzi. To bardzo tragiczne.

— To rzeczywiście okropne.

— Nie zawsze jest łatwo być lekarzem.

Kate znów poczuła wzruszenie: jest taki szczery! Wyobraziła go sobie w zatłoczonych szpitalnych salach. Włoski doktor Kildare. Ciepły i współczujący. Wprost widziała, jak krąży wśród chorych, pocieszając ich dobrym słowem, dotykiem swojej ciepłej ręki, przyjaznym milczeniem, które mówi więcej niż słowa... W porównaniu z tą pracą rzucanie talkiem o ściany, nawet tak szacowne jak te w baptysterium, wydało jej się nagle czymś strasznie trywialnym.

— Ja też pragnę robić coś pożytecznego — powiedziała żarliwie. Pomysł wpadł jej do głowy dopiero w tej chwili, ale już wypowiadając te słowa, uświadomiła sobie, że to prawda.

— Ty? — spytał z lekkim zdziwieniem.

— Tak, chociaż nie myślę o medycynie. Za dużo w tym smutku, brzydoty i cierpień. Nie chciałabym tak żyć. Lubię piękne rzeczy — wyznała w odpowiedzi na uśmiech Maria. — Kocham to, co robię tutaj. Nie mówię o rzucaniu talkiem o ściany, mówię o dziełach sztuki. Uwielbiam przywracać im dawny wygląd. To też coś w rodzaju leczenia, prawda? Bardzo bym chciała zostać konserwatorem sztuki albo pracować w jakiejś galerii.

— To jest hm... bardzo szlachetna ambicja — powiedział z aprobatą. — I ty to osiągniesz. Bo jesteś... hm... bardzo silną osobą. Ja myślę, że ty zawsze dostajesz, co chcesz.

Kate z wrażenia opadła na oparcie krzesła.

— Naprawdę tak myślisz? — Jeszcze nikt nie wyraził się o niej w ten sposób, nie okazał tyle wiary w jej charakter i determinację. I przecież to prawda, że istnieje tyle możliwości! Zobaczyła je nagle przed sobą i poczuła, że rosną jej skrzydła.



# ROZDZIAŁ 17

## VIAREGGIO

We Florencji zrobiło się schludniej. W miarę jak zimowe chłody zaczęły ustępować miejsca łagodniejszej aurze, zaczęły się też pojawiać pierwsze jaskółki poprawy. W zabytkowym centrum oczyszczono główne ulice, otwarto kilka sklepów, wszędzie warczały betoniarki, wszędzie też podejmowano desperackie prace remontowe. Desperackie, gdyż losy Florencji zależały od tego, ilu turystów przyjedzie tu na Wielkanoc i ile zostawią pieniędzy.

Podczas gdy miasto z wolna powracało do cywilizacji, większość ochotników zmierzała w przeciwną stronę, przekształcając się z bohaterów w rozwydrzoną bandę barbarzyńców — przynajmniej według miejscowych kryteriów. Sami ochotnicy nie przejmowali się złą reputacją. Tygodnie wspólnego życia i pracy wytworzyły między nimi tak bliskie i silne więzi, że stali się hermetyczni wobec ludzi z zewnątrz, a ich opinie kwitowali najwyżej uśmiechem pogardy. Nawet świetnie wychowany Hugo paradował teraz z długimi włosami. Obdarci i zaniedbani przechadzali się po Florencji krokiem prawowitych właścicieli, bo w ciągu tych paru tygodni zdążyli prawie uwierzyć, że miasto należy do nich.

Florentyńczycy teraz już rzadziej nazywali ich „aniołami”. Brak zasad i rozwiąłość, o które ich oskarżano, spotykały się na włoskim gruncie z bardzo surowymi ocenami — hasła rewolucji seksualnej nie zakorzeniły się tutaj na tyle, by taki styl życia nie budził gorących krytyk. Czasami na widok zagranicznej grupy przechodnie zaczęli krzyczeć *capelloni!* (beatnicy), a pewnego razu, gdy Kate i David wybrali się razem na lunch, jakaś starsza kobieta syknęła za nimi: *disgrazia!*

Wcale się tym nie zmartwili, przeciwnie, wszyscy członkowie grupy byli dumni z tego, że ludzie uważają ich za bezwstydników. W rzeczywistości bowiem ich rzekome ekscesy seksualne polegały bardziej na gadaniu niż działaniu. Owszem, krążyły różne plotki, ale ile było w nich prawdy? W tym na przykład, że Anna, dziewczyna o buzi psotnego elfa, ma podobno zwyczaj znikać czasami na kwadrans w tej czy innej restauracji, gdzie wpadł jej w oko jakiś urodziwy kelner. Plotkowano też o Jenny, przewidując, że prędzej czy później pójdzie do łóżka z Aidenem, chociaż na razie wołała godzinami przesiadywać z Larrym, słuchając jego wywodów o Nietzschem. Ona sama zwierzyła się Kate, że jest w prawdziwej rozterce: kocha Larry'ego za jego intelekt, lecz seksualnie pociąga ją Aiden. W tej sytuacji i jeden, i drugi ubiegali się o jej względy, próbując zarazem pognać rywala. Większość dziewczyn, nie wyłączając Kate, zabawiała się czasem z Aidenem pod osłoną jego czarnej peleryny, lecz choć głośno się chwalił, że to legendarne okrycie posłużyło mu kiedyś do odbycia stosunku na górnym piętrze londyńskiego autobusu linii numer 73, nie była to chyba najlepsza zachęta, gdyż żadna z członkiń florenckiej grupy nie zdecydowała się jeszcze zaliczyć z nim takiej trasy.

Z punktu widzenia Davida panujące w grupie obyczaje były za mało swobodne, a jego własne doświadczenia seksualne stanowczo zbyt skąpe. Ograniczały się one do jednej nocy spędzonej z młodą

ekspedientką z punktu sprzedaży frytek, gdy miał lat siedemnaście, i wakacyjnego romansu ubiegłego lata z niejaką Sarą Pringle, najgroźniejszą rywalką swojej siostry, w czasach gdy obie niezwykle ambitnie ściagały się na kucykach. Sara tak samo traktowała seks — jak pasjonujące zawody sportowe — lecz jej żywiołowy entuzjazm wcale go nie uskrzydlał, raczej wręcz przeciwnie. Zwłaszcza że nie rozumiał, co z tego ma sama Sara. Wprawdzie robiła ekstatyczne miny, wydając przy tym przepisowe jęki, a po wszystkim mówiła, że było bajecznie, ale on podejrzewał, że prawdziwa namiętność to chyba coś więcej.

Pośrednio potwierdził to Aiden, a że cieszył się opinią eksperta od seksu — jakkolwiek sam sobie wyznaczył tę rolę — jego zdanie miało swoją wagę. I oto wbrew temu, co można byłoby przypuszczać, okazało się nagle, że w sferze poglądów na temat spraw damsko-męskich potrafi być zadziwiająco romantyczny. Po sporej dawce czerwonego wina ze smutkiem zwierzył się kolegom, że zbyt często uprawiał seks, a o wiele za rzadko się kochał, David zaś pomyślał w tym momencie, że tak właśnie było między nim i Sarą. Po prostu uprawiali seks, i nic więcej. Teraz pilno mu było pójść o krok dalej; pragnął się kochać, dowiedzieć się wreszcie, na czym polega różnica pomiędzy jednym a drugim. Otwarta pozostała tylko kwestia wyboru partnerki. Jeszcze przed paroma tygodniami bez wahania wybrałby Kate, ale teraz nie był już tego tak pewny. Nie znaczy to, że przestał ją kochać, przeciwnie, myślał o niej nadal, kłopot jednak polegał na tym, że zakochał się też we Francesce. Częściowo dlatego, że ostatnio traktowała go niezwykle ciepło, podczas gdy Kate wyraźnie ochłodziła, częściowo zaś dlatego, że była bardzo piękna i co najmniej równie tajemnicza. Nikt w grupie nic o niej nie wiedział, ani tego, czy jest dziewicą, ani nawet, ile ma lat. Dido twierdziła, że dwadzieścia dwa, trudno więc było przypuszczać, aby w tym wieku mogła zachować dziewictwo, ale któż to mógł wiedzieć na pewno?

Seks stał się istną obsesją Davida. Jeśli nie rozmawiał o tym z kolegami, to oddawał się samotnym rozmyśleniom o dziewczynach i snuciu miłosnych fantazji.

Tym też pochłonięty był w sobotę rano, kiedy w dziesięć osób ładowali się do autobusu, który miał ich zawieźć do Viareggio. Mogli sobie na to pozwolić, gdyż w przeddzień zdarzył się cud: płatnik nie wyjechał w ten piątek na weekend! Siedział w swym biurze, jak Pan Bóg przykazał, i bez gadania wręczył każdemu pokaźny rulon brunatnożółtych banknotów. Nie wierząc własnemu szczęściu, odbyli następnie dłuższe posiedzenie w pobliskim barze, podczas którego odłożono najpierw pieniądze na spłatę zaległości za czynsz i jedzenie, a potem przystąpiono do spłacania osobistych długów. Jakkolwiek większość tych wierzytelności należała do Hugona, cała sprawa była tak skomplikowana, że dopiero po paru godzinach udało się ją rozwikłać. Okazało się wtedy ku ogólnemu zdumieniu, że to, co zostało w kieszeniach, wystarczy na pokrycie kosztów jednodniowej wycieczki nad morze. I tak się znaleźli w Viareggio.

Już pierwszy powiew ostrej adriatyckiej bryzy uświadomił im w całej pełni, jakim toksycznym paskudztwem oddychają stale we Florencji. Upojeni morskim powietrzem, przez chwilę hasali po plaży, goniąc się z wrzaskiem jak dzieci, a potem zrzuciwszy obuwie, zaczęli taplać się w wodzie. Niestety już po minucie nogi zdrętwiały im z zimna. David zafascynowany nagimi stopami Franceski, podbiegł do niej od tyłu i dobrze plasowanym pchnięciem pozbawił ją równowagi. Pisnęła ze strachu i wpadła mu prosto w

ramiona — właśnie tak, jak sobie zaplanował. Leżąc w jego objęciach, uśmiechnęła się tak cudownie tymi niesamowitymi oczami o wprost nieprawdopodobnym kroju, że zupełnie stracił głowę i nie bardzo wiedząc, co robi, pochylił się nad nią i zaczął całować. Przestała się uśmiechać, lecz była to z jej strony jedyna reakcja. Nawet nie drgnęła. Po prostu leżała jak martwa z głową na jego ramieniu, patrząc na niego nieruchomym wzrokiem. Z jej szeroko otwartych oczu nic się nie dało wyczytać.

— Brawo, stary — odezwał się stojący nieopodal Ross, pozornie zajęty puszczeniem kaczek.

Kate, która również stała niedaleko, z widocznym zdziwieniem obserwowała tę scenę. David poczuł się nagle nieswojo. Postawił Francescę na nogi i uśmiechając się niezbyt szczerze, bąknął z zakłopotaniem:

— Powinniśmy kiedyś znów tego spróbować. Co ty na to? Popatrzyła na niego uważnie, nic jednak nie powiedziała.

Odwróciła się po prostu i odeszła, wzbijając drobnymi kopniakami całe fontanny piasku. Kate, zerknąwszy ukradkiem na Davida, powoli ruszyła za nią. Ross puścił kolejną kaczkę.

— No i jak tam? — spytał fałszywie obojętnym tonem.

— Jak się czuleś, całując nasze dziewicze bóstwo?

— Dobrze — odrzekł zagadnięty, choć jeszcze w tej chwili trudno mu było oddychać.

— Próbowałem tego parę dni temu — kontynuował Ross.

— Reakcja była identyczna. Myślę, że to frygida.

— Może po prostu żaden z nas jej nie rajcuje.

— Więc czemu zwyczajnie tego nie powie? Normalna dziewczyna tak by zrobiła, a ona? Dlaczego leży jak martwa i tylko tak patrzy, że człowieka przechodzą ciarki? Nie! — Ross znowu cisnął kamykiem, który tym razem wykonał aż trzy długie skoki. — Mówię ci, że to frygida.

David też chwycił kamień i cisnął nim tak daleko, jak tylko się dało. Drugi, dużo większy, przeleciał zaledwie parę metrów i z pluskiem uderzył w wodę. Do diabła! Czuł, że rozsadza go wściekłość. Był tak sfrustrowany klęską swych nadziei i szaleństwem wzburzonych hormonów, że nagle zląkł się o siebie. A jeśli się od tego rozchoruje albo zacznie zachowywać się jak furia?

Dziewczyny gdzieś poszły i po chwili wróciły z prowiantem — chlebem, salami i serem oraz papierową torbą pełną żółtych pomarszczonych jabłek, które mimo dziwnego wyglądu odznaczały się przepyszny smakiem. Siedząc później kręgiem na piasku, z apetytem pochłonęli lunch, popijając jedzenie kilkoma flaszkami miejscowego wina. Francesca usiadła naprzeciw Davida, Kate natomiast ku jego zdziwieniu zajęła miejsce obok niego, a co jeszcze dziwniejsze, zachowywała się wprost uroczo, wkładając mu w usta plasterki salami i pojąc winem z butelki. Zarumieniona od trunku i słońca, wyglądała w dodatku tak pięknie, że zupełnie zapomniał o Francesce. Przyszło mu to bez trudu, ale przecież to Kate była jego pierwszą wybranką.

Po południu, gdy cienie zaczęły się z wolna wydłużać, wszyscy nadal siedzieli na plaży, pławiąc się w chłodnym zimowym słońcu. Larry, pólleżąc na piasku, jął deklamować zasłuchanej Jenny wiersze Audena i Keatsa. Aiden, który z ponurą miną śledził ich ukradkiem spod grzywy żółtych włosów,

postanowił przebić rywala. Korzystając z króciutkiej przerwy w recytacji, chwycił gitarę i zaczął śpiewać — najpierw „Nikt cię nie kocha, gdy jesteś na dnie”, a potem „Mam w sercu wieczny żal”, próba ta jednak chybiła. Wszyscy już teraz znali na pamięć cały jego repertuar, a zwłaszcza te dwie piosenki, nikt więc go nie chciał słuchać — część podśpiewywała refreny, inni gadali dalej, toteż gdy wreszcie zakończył swój występ, wydawał się jeszcze mniej kochany i bardziej żalony niż zwykle. Larry, ignorując go totalnie, wyrecytował poemat o hymenach i gazometrach, który okazał się jego dziełem. Jenny oświadczyła, że jest piękny i że to wspaniały materiał na krótką impresję baletową w ultranowoczesnym stylu. Pewien jej przyjaciel, choreograf, będzie nim zachwycony.

Aiden bez większej nadziei zgłosił chęć napisania muzyki. Nie zdziwił się też zbyt, gdy jego propozycję pominięto głuchym milczeniem.

Słońce powoli zmierzało ku zachodowi, lecz nikt nie myślał jeszcze o powrocie. Zrobiło się zimniej, skupili się więc ciaśniej wokół pustych butelek i resztek pikniku, tylko Kate i David pozostali na swych dawnych miejscach. Ulegając czarowi jej ciepłej bliskości, musnął palcami delikatne włoski na jej karku, a gdy w odpowiedzi przyłgnęła policzkiem do jego twarzy, zapragnął jej tak bardzo, że był już teraz zupełnie pewien swych uczuć. Powiedział sobie, że to musi być prawdziwa miłość.

— Kocham cię, Kate — wymruczał w wełniany kołnierz jej swetra.

— Mhm — odmruknęła.

Otarli się o siebie twarzami, wdychając swój zapach, pozwalając rosnać pożądaniu. Mimo kilku warstw ubrań David czuł gwałtowne bicie jej serca, a może były tak oba? Siedzieli tak blisko, że trudno było rozróżnić. Zaczął się zastanawiać, gdzie by się mogli pokochać. Czy we włoskim autobusie byłoby to możliwe?

— Kocham cię, Kate — powtórzył.

— Naprawdę? — Odchyliła się do tyłu, aby mu się przyjrzeć. — Powiedz, czy dla ciebie jestem piękna jak poranek?

Szczerze mówiąc, nic takiego nigdy nie przyszło mu na myśl, ale teraz powiedziałby jej wszystko.

— Piękniejsza od wszystkich poranków, jakie widziałem w życiu — odrzekł z głębokim uczuciem. Westchnęła i mocniej wtuliła się w jego ramię.

Pozostali toczyli dyskusję o różnicach w podejściu obu płci do seksu.

— Żeby czerpać z tego prawdziwą przyjemność, dziewczyna musi kochać swojego partnera — stwierdził Jeremy. Jego ojciec był pośrednikiem w handlu antykami, a on sam chciał pracować w jakimś wielkim domu aukcyjnym. Anna, wychylając delikatną buzię spod osłony jego marynarki, energicznie pokiwała głową. — Mężczyzna natomiast — kontynuował Jeremy — odczuwa przyjemność bez względu na to, jaką ma partnerkę. Wyłączając oczywiście zgrzybiałe staruszki czy jakieś rażące anomalie.

— A ja uważam, że kobieta nie musi być zakochana, żeby jej było przyjemnie — oświadczyła z przekonaniem Dido.

— Ale to trochę inna przyjemność.

— Inna, ale równie miła.

Aiden nadal zazdrośnie obserwował Jenny. Larry trzymał rękę na jej udzie, a ona póležała w jego ramionach z lekko rozchylonymi wargami i mgiełką w oczach. Westchnął cicho na ten widok i powiedział z odrobiną złośliwości:

— Widziałem kiedyś kobietę kochającą się z bokserem. Wracając o świcie z jakiegoś przyjęcia, szedłem na przełaj przez pole golfowe i omal ich nie nadepnałem. Ta kobieta sprawiała wrażenie ogromnie zadowolonej.

— Z bokserem? Ja też zwariowałam kiedyś na punkcie pewnego sportowca — oznajmiła Francesca. — To był jakiś sławny zapaśnik, nie pamiętam, jak się nazywał. Zobaczyłam go w telewizji i strasznie mi się spodobał. No, ale miałam wtedy niecałe szesnaście lat.

— To nie taki bokser, o jakim myślisz — uśmiechnął się Aiden. — To był pies.

David wyobraził sobie nagle Francescę obejmującą wielkiego doga — i przeszedł go dreszcz. Był wstrząśnięty erotyczną siłą tej wyimaginowanej sceny.

— Och nie! To niemożliwe! Kobieta i pies? Daj spokój Aiden, wymyśliłeś tę historyjkę.

— Wierz mi, naprawdę to widziałem. Niektóre kobiety lubią takie rzeczy.

Kilka osób roześmiało się z zakłopotaniem.

— W siedemnastym wieku stracono pewnego osła za sodomie — powiedział profesorskim tonem Larry. — Zmusiła go do tego jakaś biedna sfrustrowana dziewczka, a sąd uznał zwierzaka winnym. Oboje zostali powieszani za zbrodnię przeciw naturze. Obrona próbowała apelować, ale...

— Przestańcie zmyślać! — weszła mu w słowo Francesca. — To wstrętne!

— On nie zmyśla, Francesco — włączył się Ross. — Ludzie robią takie rzeczy. Kiedy byłem w Grecji, codziennie rano budził mnie bek kozy, której właściciel...

— I tak w to nie wierzę! — przerwała mu z furją. David i Kate wcisnęli się znowu między dyskutantów.

Było już prawie zupełnie ciemno. Wzdłuż esplanady zabłysły światła.

— Robią to nie tylko ze zwierzętami — uzupełnił David.

— Są nawet tacy, którzy mają kopa na punkcie zwłok. Nie pamiętam, jak się to nazywa, w każdym razie kończy się na „filia”.

— Koprofilia? — podsunęła Dido.

— Nekrofilia — skorygował Larry. — Na szczęście jest to dość rzadkie zбочzenie, jednak...

— Zamknij się! — Francesca zerwała się na równe nogi.

— Zamknij się, do diabła! Jesteście wstrętni! Wszyscy! Wstrętni kłamcy! To nie może być prawda, ani to o zwierzętach, ani o trupach! Wszystko to kłamstwa! Przestańcie wymyślać te świństwa! Dość tego!

Każdemu słowu towarzyszyło wściekle tupnięcie, wzbijające tumany piasku, który sypał się wszystkim na głowy.

— Hej, Francesca, przyhamuj — odezwała się Dido — mówiliśmy tylko, że...

— Milcz! To ohydne! Jesteście odrażający!

— Och, błagam o wybaczenie, wasza lordowska mość! — wycedził lodowatym tonem Ross. — Obiecuję, że odtąd będę prosił cię o pozwolenie, kiedy przyjdzie mi ochota coś powiedzieć.

Aiden, który podczas tego sporu przyglądał się bacznie Francesce, dźwignął się teraz z miejsca i podszedł do niej — powoli i bardzo spokojnie. Obronnym gestem podniosła rękę, on jednak wcale się tym nie zrażając, zbliżył się jeszcze bardziej i zaczął wydawać łagodne szeleszczące dźwięki, jakimi uspokaja się spłoszone konie.

— Już dobrze, Francesco, nie będziemy już o tym mówić. Już dobrze. Wszystko w porządku. Uspokój się, moja droga.

— Nie przestając do niej przemawiać, otoczył ją ramionami i otulił swoją peleryną. W pierwszej chwili zeszywniała, ale potem coś musiało się w niej przełamać, bo nie broniła się przed nim, gdy przyciągnął ją do siebie bliżej i zaczął gładzić jej włosy.

— Niezły bajer, Aiden — rzucił sardonicznie Ross.

— Hej, Francesca, baw się dobrze pod tą peleryną! — zakpiła Anna.

Aiden popatrzył po wszystkich z lekkim odcieniem pogardy.

— Ależ z was jeszcze dzieci! — rzucił z politowaniem. — Nie potraficie zrozumieć, że ktoś może mówić serio? Oj, ludzie, ludzie! Czas dorosnąć!

# ROZDZIAŁ 18

## TERAŹNIEJSZOŚĆ

Kate wydawało się teraz, że to wszystko działo się sto lat temu.

Obudziła się nagle, drżąc na całym ciele. Długo nie mogła zasnąć, a gdy wreszcie nawiedził ją sen, nie przyniósł jej ulgi. Narzuciwszy szlafrok na ramiona, podeszła do okna i spojrzała w aksamitną ciemność. Od strony willi — pewnie z któregoś z rozpiętych tam wielkich namiotów — niosły się dźwięki pianina i harmonijny chór młodych głosów; śpiewano, i to całkiem dobrze, fragment jakiejś opery Verdiego. No tak, dla tych młodych muzyków to ostatnia już noc w ośrodku. Czy można spać w taką noc, kiedy ma się osiemnaście lat? Nic dziwnego, że wołą się bawić. Co to za opera? Ach tak, *Nabucco*, chór żydowskich niewolników. Ta dzisiejsza młodzież jest jednak lepiej wykształcona, niż my byliśmy w tym wieku, pomyślała trochę cierpko. Co ja wtedy wiedziałam o Verdim? Czy w ogóle o nim słyszałam?

Znów wstrząsnął nią dreszcz, owinęła się więc ciaśniej szlafrokiem. Ta ciemność... Tak niedawno ktoś ukryty w mroku oddał do niej zdradziecki strzał... Nawet dwa. Mógł ją zabić... A teraz ten sen o Francesce. Promiennie uśmiechnięta zbliżała się do niej z wyciągniętymi rękami, ale gardło, mój Boże, podcięte miała tak głęboko, że głowa ledwo trzymała się ciała, a na szyi straszną krwawą kryzę. Przypominając to sobie, Kate poczuła mdłości. Biedna Francesca. Była taka wrażliwa, taka bezbronna psychicznie, a nikt z nas tego nie widział. Jak mogliśmy być tacy ślepi? Ach, ta głupota młodości!

Impulsywnie chwyciła swój żakiet i spodnie. Ci młodzi ludzie tam w dole są tacy sami... Trzeba tam iść. Trzeba im powiedzieć, jak strasznie kruche jest życie i jakie bezcenne. Niech nie powtarzają naszych błędów. Błędów, których można było uniknąć, nie dopuścić do tego nieszczęścia. Musiał istnieć na to jakiś sposób. Gdyby im o tym powiedzieć...

Nie, to kompletny nonsens. Rzuciła ubranie na łóżko, a sama opadła na fotel. Jak by to wyglądało, gdyby w środku nocy wtargnęła nagle do namiotu i zaczęła ich ostrzegać? Pomyśleliby, że zwariowała. No pewnie. Rozczochrana angielska Kasandra. Rozhisteryzowane babsko. I cóż by im mogła powiedzieć? Że jeśli los zsyła nam coś dobrego, nie wolno tego lekceważyć? Że trzeba cieszyć się każdą chwilą i pamiętać... o czym? A zresztą czy to prawda, że można zapobiec nieszczęściu? Czy wtedy, przed laty, można było ocalić życie Francesce? Czy istniał taki moment, gdy wystarczyłoby zmienić jedną jedyną decyzję, aby wszystko potoczyło się inaczej? Jeśli nawet był taki moment, to jak go teraz odnaleźć? To przecież szukanie igły w stogu siana. Próbowwała tego tyle razy, starając się zrozumieć, dlaczego doszło do tragedii — i nigdy się nie udało. Nigdy.

Pochyliła się naprzód i podparłszy podbródek pięściami, wbiła spojrzenie w podłogę. To spotkanie z Simoną wywołało tyle wspomnień — o Francesce, o ludziach, którzy byli wtedy we Florencji. Pomyślała, że i ona sama, i wszyscy ci ludzie byli straszliwie naiwni. A wydawało im się, że są tacy mądrzy! Włoczyli się po Florencji w tych swoich postrzępionych łachach, jakby byli jej właścicielami, a

ich mądrość, ach, śmiechu warte! Poruszali się, jedli, pracowali, ale wszyscy żyli jak we śnie. Czym była ich ówczesna egzystencja? Ekscytującą grą; jakby to najpiękniejsze ze wszystkich miast świata zamieniło się nagle w wielki plac zabaw urządzony specjalnie dla nich, a naprawdę byli tylko naiwnymi dziećmi stojącymi przed linią boiska znacznie większej i ważniejszej gry, o której nie mieli pojęcia, choć wydawało im się, że wiedzą już o niej wszystko.

Jakiż to był dziwny i jaki niezwykle okres! Z tego wszyscy zdawali sobie sprawę. Życie bez rygorów, bez żadnej odpowiedzialności było tak cudowne! Najbardziej świadomy tego był David, który wciąż powtarzał: kujmy żelazo, póki gorące. Wiedział, że gdy tylko powróci do domu, będzie musiał podjąć pracę w firmie ojca — i pewnie dlatego tak chciał się nacieszyć tą krótką chwilą wolności.

Ona, osiemnastoletnia Kate Holland, wiedziała już wtedy, że nie spełni życzeń swych rodziców: nie będzie „nabierać doświadczeń” w kolejnych szacownych firmach, czekając, by ktoś ją poślubił. Ktoś, kto pod każdym względem będzie przypominał ojca. Nie, taki model życia już jej nie wystarczał. Te krótkie tygodnie bez rygorów i zobowiązań przyniosły jej coś bezcennego: rozbudziły w niej wreszcie ambicję. Jeszcze przed tym ostatnim tragicznym weekendem rozumiała, co jest jej powołaniem i zarazem największym pragnieniem: chciała żyć w otoczeniu pięknych przedmiotów, przywracać im dawną świetność. Czyż to nie dziwne, że wśród brudu, błota i zniszczeń odkryła w sobie wrażliwość na piękno?

Nie aż tak dziwne, jak by się mogło wydawać. Powódź odarła Florencję ze złotego blasku, ale jej prawdziwe piękno, sama jego istota, pozostały nietknięte. Im, brudnym aniołom od błota, wydawało się nawet, że jest teraz „prawdziwsza”, niż będzie za parę miesięcy, gdy na lśniących czystością ulicach pojawią się znowu gromady turystów. Bardzo podobne odczucia towarzyszyły im również, kiedy zaczęli myśleć o swym dawnym i obecnym życiu. To, które prowadzili tutaj, z dala od rodzin i znanego otoczenia, też wydawało im się „prawdziwsze” i znacznie bogatsze od tego, co zostawili za sobą. Pozwalali sobie trwać w tym złudzeniu mimo niewesołych faktów, które powoli wychodziły na jaw — choć ciągle jako pogłoski: że u brata Anny stwierdzono niedawno białaczkę, że rodzice Dido są u progu rozwodu i że będzie to bardzo nieprzyjemna sprawa, że Jenny doznała poważnego urazu kręgosłupa, po którym trudno jej będzie wrócić do zawodu, a Larry nie jest wolnym i beztroskim intelektualistą, za jakiego pragnął uchodzić. Hugo dowiedział się od kogoś z Enfield, że ich uczony kolega ma tam żonę i malutkie dziecko.

Na tak niewygodne szczegóły nie było jednak miejsca w ich „anielsko”-floreńskim świecie. W krainie baśni i przygód nie zdarzają się takie rzeczy.

Jaką ogromną siłę miała ta iluzja! Wydawało im się, że są niezniszczalni, że póki żyją w tym magicznym świecie, nie może im stać się nic złego.

Wierzyli, że są wolni i absolutnie bezpieczni.

A później? Co działo się z nimi później? Tego już Kate nie wiedziała. Los zetknął ją tylko z Davidem, i to dopiero ostatnio. Po śmierci Franceski zerwała wszelkie kontakty z członkami florenckiej grupy, pozbyła się też owych naiwnych iluzji. Po śmierci Franceski wszystko się zmieniło.



# ROZDZIAŁ 19

## DUCHY

Kate zmiotła resztki talku ze swego fragmentu ściany i rozejrzała się po mrocznym wnętrzu. Gdzie się podziewa Francesca? Minęło już pół godziny, odkąd wymknęła się na papierosa, i wciąż jej nie ma. Trzeba jej poszukać. Zdjęła z głowy szalik, który teoretycznie miał chronić włosy przed wszędobylskim talkiem, i wyszła na słońce, pozostawiając za sobą białą chmurę pyłu. Mimo że zbliżał się marzec, na placu przed baptysterium wciąż jeszcze było prawie pusto, toteż od razu dostrzegła Francescę: siedziała w kawiarnianym ogródku po przeciwnej stronie placu i — och! towarzyszył jej Mario!

Kate na ten widok wpadła nagle w furię. Jak ona śmie chyłkiem wymykać się z pracy, nie pytając nikogo o zgodę! myślała wściekle, zupełnie nie zdając sobie sprawy, jak irracjonalne są te jej pretensje. Jak śmie spotykać się z Mariem, nie tylko nie prosząc jej o towarzystwo, ale nawet nic jej nie mówiąc! A on! Przyjeżdża sobie do Florencji i nie raczy jej o tym uprzedzić! Przecież to ona, Kate, miała na jego prośbę pilnować Franceski, więc co znaczy ten dzisiejszy przyjazd? Co się z nim dzieje, do diabła!

Wciąż jeszcze nie rozumiejąc, że gryzie ją zazdrość, zaczęła działać bez zastanowienia. Okrążywszy ostrożnie plac, podkrađła się do nich od tyłu i stojąc za plecami pary winowajców, próbowała podsłuchać, o czym to tak żywo rozmawiają. Och, gdyby trochę lepiej znała włoski, nie byłoby z tym problemu, a tak z całej gwałtownej przemowy Maria zdołała wyłowić zaledwie dwa słowa — „głupia zabawa”. Gdy Francesca powiedziała hardo, że to nie żadna zabawa, ale jej nowe życie, machnął tylko ręką z irytacją. No i bardzo dobrze, pomyślała zjadliwie Kate. Pewnie tak naprawdę chciał zobaczyć się ze mną, a nie z nią, doszła na koniec do wniosku. Ciekawe, co robi, kiedy mnie zobaczy?

— Hej, Francesca! — zawołała z uśmiechem, udając, że dopiero co ich spostrzegła. — Wydawało mi się, że to ty, i rzeczywiście!

Francesca sprawiała wrażenie, jakby na jej widok poczuła ulgę, Mario natomiast wydawał się trochę speszony. Gdy spotkały się ich spojrzenia, zmarszczył lekko brwi, przekazując jej bezsłowny, acz wyraźny komunikat: uważaj. Jasne, pomyślała, mam udawać, że się nie znamy. Ten konspiracyjny sygnał, który był zarazem przypomnieniem, że łączy ich wspólny sekret, podniósł ją mocno na duchu — poczuła koło serca miłe ciepło. Przyciągnąwszy sobie krzesło od sąsiedniego stolika, spytała z udanym ożywieniem:

— Mogę się do was przysiąść?

— Oczywiście — zapewniła ją Francesca. Mario odwrócił głowę. Kate zauważyła, że leciutko tupie nogą; widziała to już parę razy, gdy był z czegoś niezadowolony. Wyciągnął z kieszeni wymiętą paczkę papierosów, wystukał jednego i dosyć nerwowo zapalił.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — kontynuowała Kate.

— Ależ skąd! — brzmiała odpowiedź Franceski. Mario nic nie powiedział, zerknął tylko na nią z ukosa. A gdyby tak go trochę sprowokować?

— Czy to nie ten „znajomy”, który kiedyś zaczepiał cię na ulicy? — spytała, przypatrując mu się bacznie. — Czyżby znowu trzeba cię było ratować?

Francesca podniosła ubieloną brew:

— Ty odpowiedz, Mario. Trzeba mnie ratować? Wzruszył ramionami, po czym chłodno spytał po angielsku:

— Ty mnie nie przedstawisz swojej przyjaciółce?

— Ależ tak, naturalnie. Kate, to jest Mario Bassano. Znam go od bardzo dawna i... — i nagle urwała. — Znam go od dawna — powtórzyła po pauzie — i tyle chyba wystarczy. Mario, przedstawiam ci Kate Holland, moją — tu zawahała się lekko, lecz widząc zachęcający uśmiech Kate, zakończyła z naciskiem: — moją bardzo dobrą przyjaciółkę.

Mario wyciągnął rękę.

— Dzień dobry, Kate 'Ollande. — Zabrzmiało to tak, jakby widział ją po raz pierwszy.

— Miło mi cię poznać — odrzekła Kate w taki sam sposób. Z uściśniętej przez Maria ręki uniosła się chmurka talku, och, ale te mrówki, które równocześnie przebiegły jej przez całe ramię, nie miały z tym nic wspólnego. To ten uścisk wywołał między nimi coś w rodzaju krótkiego spięcia. On także musiał to poczuć, bo cofnął rękę takim gestem, jakby go coś ukłuło. — Przepraszam — zaśmiała się Kate, trochę za ostro i trochę zbyt głośno. — Masz teraz cały rękaw umazany talkiem.

— Talkiem?

— Czyścimy nim ściany — wyjaśniła rzeczowo Francesca.

— Nie wiesz, z kim masz do czynienia — uzupełniła Kate. — Właśnie uściśnąłeś rękę jednemu z sześciorga wykwalifikowanych miotaczy talku. Na całym świecie jest nas tylko szóstka, wyobrażasz sobie? Florencka specjalność. Można ją opatentować.

— Czy to przerwa na herbatę? — spytała Francesca na widok białych postaci wyłaniających się z baptysterium.

— Tak. Możemy odświeżyć papieroskiem nasze biedne płuca.

Mario podsunął jej paczkę.

— Powiedz mi, Kate, jak długo ty jesteś w Italii? Zawahała się lekko, słysząc to pytanie, bo doskonale przecież znał odpowiedź, natychmiast jednak podjęła grę:

— Prawie osiem tygodni. Przyjechałam tu zaraz po Bożym Narodzeniu.

— I jak się tobie podoba nasza *Firenze*?

— Och, ja po prostu uwielbiam Florencję! Dla mnie to najpiękniejsze miasto świata mimo tego błota i gruzu.

Uśmiechnął się na to:

— *Firenze* ma szczęście, że ma *angeli dell'alluvione*, co dla niej pracują.

Kate czuła, że za tym, co powiedział, kryje się więcej uznania dla jej zdolności aktorskich niż pracy na rzecz Florencji. A ją rzeczywiście wciągnęła ta gra w udawanie nieznanomych. Było w niej coś niezwykle podniecającego.

— No a ty? — zapytała. — Mieszkasz we Florencji?

— Nie. Moim domem jest Lucca. Ja pracuję w *ospedale*.

— Doprawdy? — zręcznie sfingowała zdziwienie. — Jesteś więc lekarzem?

— Tak. Mam dyplom *dottore* od jednego roku.

— Jesteś lekarzem ogólnym czy też może jakimś specjalistą? — Uśmiechnęła się w duchu, zadając mu to pytanie.

— Ja pracuję w specjalności neurologia. Za dwa lata będę... hm... psychiatrą.

Kate oczywiście dobrze o tym wiedziała. Podczas ostatniego spotkania, które odbyli przed trzema dniami, kazała mu kilkakrotnie powtórzyć słowo „psychiatra”, bawiła ją bowiem jego wymowa. Każdą sylabę wymawiał oddzielnie.

— Mario będzie wspaniałym psychiatrą — włączyła się nagle Francesca. — Ma prawdziwą słabość do wariatów.

— To moja praca.

— Pewnie dlatego jest tak oddany mojej rodzinie. Wiesz, Kate, zanim tu przyszedł, starał się mnie namówić na wizytę u moich krewnych.

— Uch! — skrzywiła się Kate. — Nie rób tego!

— Ty nie rozumiesz, Kate, jakie to ważne — jął przekonywać ją Mario — żeby ona zrobiła wizytę w domu swojego stryja w ten weekend. Jej rodzice jadą. On jest bardzo chorym człowiekiem. *Ospedale* nic już nie może zrobić. Rak rozszedł się po jego kościach. A Francesca... Ona musi go odwiedzić, zanim on umrze.

— Nie wiedziałam, bardzo mi przykro, Francesco — bąknęła Kate.

— Niepotrzebnie. Chcę, żeby umarł. Powoli i tak boleśnie, jak to tylko możliwe. Zasłużył sobie na to.

Nawet Kate była zszokowana treścią i tonem tej wypowiedzi.

— Francesco, ty nie możesz tak mówić o swoim stryju — upomniał ją Mario.

— Mówię to, co czuję. Dość mam hipokryzji, kłamstw i udawania. I nie będę już brać w tym udziału. Nie mogę i nie chcę. Nienawidzę Zio Toniego i nie wstydzę się do tego przyznać. Jest zły do szpiku kości, a to, że jest chory...

— Dość! — przerwał jej Mario. — Jeśli ty nie chcesz zrobić tego dla swego stryja, zrób to dla rodziców. Oni też jadą tam w weekend. To dla nich wielka okazja... hm... to znaczy sprawa. Bardzo ważna.

— Nie pojedę, już ci to mówiłam. — Francesca niecierpliwie rozejrzała się dookoła. — Czy tu nie ma żadnej obsługi? Idę do łazienki — oznajmiła, podnosząc się z miejsca. — Jeśli przypadkiem pojawi się tu jakiś kelner, możecie mi zamówić *espresso*. — Z tymi słowy weszła do baru.

Kate wydała głośne westchnienie ulgi:

— *Ciao*, Mario. Jak mi idzie?

— Bardzo dobrze — odrzekł, spoglądając na nią w zamyśleniu.

— Niezła zabawa, co?

— Kate, ja myślę, że ty byś mogła mi pomóc.

— Ale jak? — Podobał jej się sposób, w jaki jego spojrzenie przesunęło się po jej twarzy. Było to tak przyjemne, że prawie zapomniała o Francesce i jej sprawach. Przecież to moja przyjaciółka, przywołała się do porządku. A Mario... Co ja o nim wiem? Ale jest tak pociągający...

— To bardzo ważne — odezwał się znowu — żeby ona pojechała tam z rodziną. Teraz. W ten weekend. *Molto importante* dla niej przede wszystkim.

— A jeśli ona nie chce?

— W sercu ona chce. I przecież to tylko jeden dzień. Może dwa. A wielka różnica na całe jej życie.

— Dlaczego to takie ważne?

— Ona ci powie, jak będzie chciała.

— Więc czego chcesz ode mnie? Co ja mam zrobić?

— Mów do jej rozsądku. Zrób tak, żeby ona pojechała do willi Beatrycze.

— Willa Beatrycze? — Kate знаła tę nazwę. Gdy Francesca dołączyła do zespołu, profesor Fuller zaczął ją indagować o właściciela tej willi, sugerując, że może to być jej krewny, a Francesca... Francesca zaprzeczyła. Kate już wtedy miała wrażenie, że nie mówi prawdy.

— Tam mieszka jej stryj — wyjaśnił Mario.

— A nazywa się...?

— Signor Bertoni.

— Czy on ma prywatną kolekcję sztuki?

— *Certo*. To bardzo sławna kolekcja.

— Dlaczego Francesca nie chce go odwiedzić?

— Oni mieli wielką kłótnię, zanim ona pojechała do Ameryki.

— Francesca była w Ameryce?

Nim jednak Mario zdążył odpowiedzieć, w ogródku pojawiła się Francesca, a za nią bardzo skruszony kelner. Kate odczekała do chwili, aż przyjmie od nich zamówienie, a potem spytała obojętnym tonem:

— Jaka jest ta willa Beatrycze? Chyba nic mi o niej nie mówiłaś.

— Nic szczególnego — padła szybka i sucha odpowiedź.

— Jak żadne inne miejsce — równocześnie powiedział Mario. — Sytuacja... nie!... lokalizacja jest najpiękniejsza w świecie. Kate, ty powinnaś tam jechać z Francescą.

— Nie sądzę, aby Kate mogła zainteresować taka podróż.

— Ależ wprost przeciwnie, już sama nazwa kojarzy mi się z magią.

— Chyba z czarną magią — mruknęła Francesca.

— Poza tą wyprawą do Viareggio w ogóle nie widziałam włoskich krajobrazów — kontynuowała Kate — a bardzo bym chciała zobaczyć.

— Koło willi jest całkiem inaczej niż tu — spieszenie zapewnił ją Mario. — Dużo gór, lasów i rzek. Tobie by się podobało.

— Nie ma o czym mówić, skoro nie zamierzam tam jechać — warknęła Francesca.

— A La Rocca, gdzie mieszka jej stryj, to bardzo starodawna wieża — mówił dalej Mario, jakby jej nie słyszał.

— Więc kto mieszka w willi Beatrycze? — Kate doszła do wniosku, że lubi wymawiać tę nazwę.

— Jest pusta — odrzekła Francesca. — Korzystają z niej moi rodzice, kiedy jadą z wizytą do stryja.

— Pusta chata... — zamyśliła się Kate.

— Będzie tam też Simona — wtrącił Mario.

— Simona? — Obwiedzione na biało oczy Franceski zrobiły się nagle ogromne.

— Kim jest Simona? — zainteresowała się Kate.

— To moja siostra — odrzekła Francesca z tęsknym wyrazem twarzy. — Mogłaby mnie tu odwiedzić? — błagalnie spytała Maria.

Gdy przecząco pokręcił głową, całe jej ożywienie znikło.

— Jak myślisz, czy twój stryj pozwoliłby urządzić imprezę w tej willi? — zniecka spytała Kate. — Z tego, co słyszę, to idealne miejsce na zabawę. Moglibyśmy wybrać się tam wszyscy. Co myślisz o jednodniowej wycieczce, takiej jak do Viareggio? Jenny i Dido wyjeżdżają już za dziesięć dni, reszta też pomału zbiera się do odlotu, warto byłoby na koniec urządzić przyzwoite pożegnalne party.

Mario wyraźnie spochmurniał — Kate zdecydowanie posunęła się za daleko.

— Party to niedobry pomysł — oświadczył sucho. Francesca przeciwnie, wydawała się zachwycona.

— A mnie się podoba — powiedziała z szerokim uśmiechem. — Ale czy się zgodzą?

— Żartujesz? Będą skakać z radości!

— Nie, nie rób tego — próbował powstrzymać ją Mario.

— Kate, to naprawdę fantastyczny pomysł! Ożywimy trochę tę chałupę! Urządzimy taki happening, jakiego te mury jeszcze nie widziały! — Oczy Franceski błyszczały z uciechy. Widać było, że każdy protest Maria budzi w niej tylko coraz większą przekorę.

— Ale twoi rodzice...

— Przyjeżdżają zawsze w niedzielę, a my pojedziemy w piątek. Będziemy mieć dwa wieczory, żeby sobie poszaleć, a przed ich przyjazdem zdążymy wszystko posprzątać. Naprawdę myślisz, Kate, że to wypali?

— Na pewno.

— Ale twój stryj... — jęknął Mario.

— Och, przestań się martwić moim stryjem! Spełnię swój rodzinny obowiązek, a że się trochę zabawię, to przecież nic złego. I wilk będzie syty, i owca cała. Och, Kate, miałaś genialny pomysł! — Francesca usiadła wygodniej i zaczęła popijać kawę. Jej twarz zabawnie przysypana białą mączką promieniała z uciechy.

Mario bynajmniej nie podzielał jej entuzjazmu dla „genialnego” pomysłu Kate. Wręcz przeciwnie, był wściekły na obie dziewczyny: ten fatalny pomysł jeszcze bardziej skomplikuje sytuację, jakby i bez tego nie była dość trudna! Nie dawało mu to spokoju przez całą drogę do Lukki. Jeśli Francesca pojawi się w willi z bandą tych swoich niesławnych przyjaciół, będzie to gorsze, niż gdyby nie pojawiła się wcale. Ścisnął kierownicę, aż zbielały mu ręce. Niech to szlag!

Jak ona może być tak lekkomyślna! Ale to wina rodziców. To oni stworzyli te głupie pozory bogactwa bez żadnych realnych podstaw i przez to Francesca w sprawach finansowych jest jak małe dziecko. Dlatego nie rozumie sytuacji. A cała jej przyszłość zależy od tego, co zrobi jej stryj: zostawi posiadłość jej lub Simonie czy zapisze wszystko kuzynowi. Nikt przecież nie wymaga od niej żadnych ofiar. Chodzi jedynie o to, żeby przez tych parę tygodni, które jeszcze zostały choremu, zachowywała się tak, jak życzą sobie rodzice. A ona? Traktuje mnie jak wroga, bo próbowałem jej to uświadomić. Mario westchnął ciężko. Przecież wie, że ją kocham, że chcę tylko jej dobra, więc czemu tak wszystko utrudnia?

Już w pobliżu Lukki jego mikroskopijny fiacik utknął za jakąś ogromną cysterną wypływającą z siebie kłęby czarnego dymu. Zamknął okno, aby odciąć się od tych trujących wyziewów, niewiele to jednak pomogło. Te małe *topolino* mają jedną zasadniczą wadę: są niewiele większe od koła dużej ciężarówki, przez co głowa kierowcy znajduje się niestety na najgorszej wysokości, pomyślał z przykrością. A jego płuca już i tak ucierpiały od skażeń, których pełno w powietrzu Florencji. Zerknąwszy po sobie, zobaczył na rękawie białą smugę, którą pozostawiła tam ręka Kate. Jej dotyk podziałał na niego jak porażenie prądem. Zaiskrzyło między nimi... No to co? Nie zamierzał jej uwodzić, ale jeśli ona ma ochotę, to czemu nie? Można by to nawet wykorzystać...

Mario doskonale wiedział, że większość jego rodaków — z wyjątkiem może tych nielicznych, którzy wybrali celibat — traktuje coroczny najazd zagranicznych turystek jak istny dar niebios. Nie ma się czemu dziwić, pomyślał. Włoskich dziewcząt pilnują rodziny, natomiast te ponętne Szwedki, Angielki i Amerykanki sprawiają takie wrażenie, jakby w ogóle nie miały ojców ani braci. Paradują po ulicach w samych biustonoszach i króciutkich szortach i nawet do kościoła próbują wejść ubrane jak na plażę. No i nieźle umieją się bawić. Niektóre podobno przyjeżdżają tu wyłącznie w poszukiwaniu przygód, gdyż męskim przedstawicielom tych północnych ludów brakuje temperamentu. Mówi się, że pod tym względem Włosi są dużo lepsi.

W szkolnych czasach Maria wszyscy jego koledzy obstawiali dworce i główne atrakcje miasta, czekając na pierwsze wiosenne turystki, by zapaść w tę barwną ławicę... Był to fascynujący sport, popularny jak piłka nożna. Wszyscy go uprawiali.

On sam nigdy nie miał na to czasu. Jako nastolatek całą energię poświęcał jednemu tylko celowi: chciał się wyrwać z rodzinnej dziury i zostać lekarzem w wielkim mieście. Dni i noce wypełniała mu praca. Dopiero teraz po raz pierwszy w życiu nadarzyła mu się taka okazja, w dodatku bardzo nęcąca — pociągała go ta cudzoziemka. Tylko że to niezbyt dobry moment; w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek powinien się skupić na realizacji swoich głównych celów. Co za złośliwość losu, że musiało go to spotkać właśnie teraz!

Francesca udała się do baru, aby zadzwonić do willi. Kate poszła z nią. Cóż za hałas panował w tym barze! W telewizji szła amerykańska opera mydlana, której zdubbingowane dialogi mieszały się z głosem Gilberta Becauda z grającej na całą moc szafy. Człowiek nie słyszał tu własnych myśli. Francesca tymczasem uzyskała już połączenie, ale wydawała się jakaś dziwna. Ramiona jej nagle obwisły, a głos tak się zmienił, że trudno go było rozpoznać. Był to teraz zdyszany, słaby głosik małej dziewczynki. Kate była jednak zbyt pochłonięta czym innym, by się dłużej nad tym zastanawiać. Uchwyciwszy słowa „moi przyjaciele... może troje lub czworo”, uśmiechnęła się w duchu: nie bądź taka skromna, bo jeśli wieść się rozniesie, tak jak to było przed urodzinami Jenny, to zwali się cała gromada!

— *Grazie* — powtórzyła kilkakrotnie Francesca tym swoim dziecięcym głosem. — *Arrivederci*. — Odwiesiwszy słuchawkę, uśmiechnęła się szeroko i mrugnęła okiem. — Załatwione. Jedziemy w piątek wieczorem.

— Fantastycznie! — zaśmiała się Kate. — Prawdziwe przyjęcie w prawdziwie królewskiej chacie. Chodźmy powiedzieć wszystkim.

Mario w tym samym czasie również korzystał z publicznego telefonu.

— Signor Bertoni? Mówi Mario Bassano. Rozmawiałem z Francescą... Tak, ma się dobrze... Nie, obiecałem jej, że nie powiem, gdzie jest, ale... wiem, wiem, że dla państwa to bardzo trudna sytuacja... Proszę posłuchać: udało mi się ją namówić na przyjazd do willi w ten weekend... tak... jest tylko jeden problem. Chce jechać tam w piątek wieczorem i zabrać kilku przyjaciół... Tak, ma teraz nowych przyjaciół. Chodzi o to, że może nie zechce zostać do niedzieli. Pan przecież wie, jak trudno przewidzieć, co zrobi... Och tak, oczywiście, bardzo chce zobaczyć Simonę... à propos: jak się miewa pańska młodsza córka? Och, to doskonale. Zastanawiałem się właśnie, czy nie mogliby państwo przyjechać trochę wcześniej, to znaczy w sobotę, a nie dopiero w niedzielę? Wtedy na pewno zastaną ją państwo na miejscu... Uhm, miałem nadzieję, że państwo tak zrobią... Nie, to nie żaden kłopot... Bardzo się cieszę, że będę mógł pomóc... Wiem, jakie to dla państwa ważne, zwłaszcza obecnie... Dobrze. A więc do zobaczenia.

Mario odłożył słuchawkę z uczuciem mdlącego ssania w żołądku. Dlaczego tak jest, że choć człowiek postępuje słusznie, czuje się potem jak zdrajca? Zrobił to dla dobra Franceski, ale czy ona zechce to zrozumieć? No trudno, musi być mądry za dwoje.

Zamierzał jechać prosto do domu, teraz zmienił jednak zdanie i poszedł do baru, gdzie zamówił sobie dużą *grappę*. Skrzywił się trochę, gdy mocny trunek sparzył mu gardło. Mam nadzieję, pomyślał, że Francesca nigdy się nie dowie, co zrobiłem.

Kate półprzytomnie wstała z łóżka, aby pójść do łazienki. Nie wiedziała, która to godzina — druga czy trzecia nad ranem — ale co za różnica? Tak czy inaczej była to wciąż jeszcze głucha noc. Z uchylonych drzwi łazienki biła smuga światła. Ktoś pewnie zapomniał zgasić...

— Hej, jest tam kto? — spytała na wszelki wypadek.

Odpowiedzi nie było. Położyła już rękę na klamce, gdy ze środka dał się słyszeć głuchy jęk, a potem wyraźne odgłosy torsji.

— Źle się czujesz? — spytała niewidoczną ofiarę mdłości.

— Kate?

Głos był słaby, lecz na pewno należał do Franceski, pchnęła więc drzwi i zobaczyła swoją przyjaciółkę skuloną przy toalecie. Wyglądała na chorą. Twarz miała zielonkawoszarą, do czoła przylepione mokre pasma włosów.

Kate uklękła obok i objęła ją ramieniem.

— Coś ci zaszkodziło? Co jadłaś?

— Nie, to nie to. Nie mogłam zasnąć. Zaczęłam myśleć o jutrze i... zebrało mi się na wymioty.

— Z powodu tego wyjazdu?

— Tak.

— Nie martw się. — Kate poczuła ulgę, że chodzi o taki drobiazg. Prawda, że jej także zdarzało się denerwować, kiedy miała wydać przyjęcie, ale wszystko zawsze kończyło się dobrze. — Zobaczysz, ludzie będą się świetnie bawić — powiedziała uspokajająco. — Ty w ogóle nie musisz nic robić, wystarczy, że tam będziesz...

— Och, Kate, źle mnie zrozumiałaś, to nie o to chodzi... Chodzi o... o ten dom. I mojego stryja. Zwłaszcza o niego.

— Ale czemu? Nie może być przecież aż taki zły. A dom, z tego, co słyszałam, jest bajeczny.

Francesca odwróciła się twarzą do ściany.

— Ty nic nie rozumiesz... — powiedziała szeptem.

Kate rzeczywiście niewiele z tego rozumiała, ale znając Francescę, wiedziała, że i tak się niczego nie dowie, postanowiła zatem skupić się na konkretach.

— Nie będziesz już wymiotować? Przyniosę ci ręcznik. Jak się trochę odświeżysz, od razu poczujesz się lepiej.

— Pobiegnę do pokoju, w którym mieszkały wraz z Anną, i po chwili wróciła z wodą kolońską, flanelową myjką i ręcznikiem. Francesca biernie poddała się jej zabiegom; pozwoliła umyć sobie twarz i ręce, a potem natrzeć je wodą kolońską, którą Kate obficie pokropiła ręcznik.

— Mm, jak dobrze. Dziękuję ci, Kate.

— Lepiej chodźmy do łóżka. — Kate ziewnęła szeroko.

— Jutro rano będziesz jak nowa.



— Nie... poczekaj... wciąż strasznie mnie mdli... — jęknęła Francesca i chwyciwszy Kate za rękę, pochyliła się znowu nad muszlą. Skończyło się tylko na skurczach żołądka.

— Powiedz mi, o co ci chodzi? — zniecierpliwiała się Kate.

— Przecież to niemożliwe, żeby ten twój stryj był takim potworem. I co złego może być w domu? Zupełnie tego nie rozumiem.

Francesca chwyciła ręcznik, wytarła sobie usta i z zamkniętymi oczami oparła się głową o ścianę. Po chwili powoli otworzyła oczy.

— Uwierz mi, Kate, to naprawdę zły człowiek.

— Źle cię traktował?

— Och nie, zawsze byłam jego faworytką. Dawał mi wszystko, czego chciałam. Moja matka mi mówiła, o co mam go prosić. Ale ja nigdy nie lubiłam przebywać w jego towarzystwie, nawet oddychać tym samym powietrzem... Już jako małe dziecko czułam, że jest w nim coś takiego... od czego człowiek dostaje gęsiej skóry.

Po tych słowach zapadła długa cisza. Kate jak zwykle w takich sytuacjach mogła tylko domyślać się reszty, tym razem jednak zdecydowała się spytać:

— No i? Co takiego ma w sobie twój stryj?

— On... — zaczęła Francesca i urwała. — Nic takiego — powiedziała po pauzie. — Po prostu go nie lubiłam, nic więcej. Pewnie nadawaliśmy na różnych falach.

Nic więcej? Dla Kate było jasne, że Francesca nie mówi wszystkiego i że to, o czym nie chce mówić, musi być najważniejsze. Gdyby ją trochę przycisnąć... W łazience było jednak zimno, a ona tak już pragnęła znaleźć się w ciepłym łóżku. Postanowiła zatem chwilowo odłożyć sprawę. Jutro będzie na to dość czasu.

— Nie musisz u niego siedzieć godzinami — powiedziała tylko. — Wpadniesz na parę minut, i koniec. Poza tym nie będziesz sama. Będzie nas cała gromada.

— Ważne, że ty będziesz ze mną. Och, Kate, bez ciebie bym w ogóle tam nie pojechała. Przy tobie jestem spokojna. Działasz na mnie jak balsam.

— To dobrze — uśmiechnęła się Kate, mile polechtana tym, co usłyszała. — Zobaczysz, że będzie fajnie.

— Tak myślisz?

— Jestem pewna.

— Wiesz, że ocaliłaś mi życie tam na moście?

— Nno... może i tak. Chodźmy już spać, co? Jestem wykończona.

— Dobrze — zgodziła się Francesca. Z pomocą Kate podniosła się na nogi i trzymając się jej ramienia, pozwoliła wyprowadzić się z łazienki. — Ufam ci, Kate — powiedziała, pociągając nosem. — Nikt nigdy nie zrobił...

Och nie! Kate wołała nie słyszeć tego, co Francesca chce jej powiedzieć. Owszem, było to bardzo miłe, nagle jednak poczuła, że ich zażyłość stałaby się przez to zbyt bliska i pewnie zaczęłaby jej ciążyć, tak jak to bywa ze zbyt dużą odpowiedzialnością. Czowała, że nie jest gotowa wziąć na siebie takiego ciężaru.

— Daj spokój — powiedziała żywo. — Każdy by tak postąpił. To nie było nic wielkiego.

— Dla mnie było — odrzekła Francesca. Powiedziała to z ogromnym przekonaniem. — Całe moje życie się zmieniło, a ty mówisz, że to nic wielkiego?

Kate nie miała pojęcia, co powiedzieć. Czemu ta dziewczyna tak lubi dramatyzować? Potrafi przez to popsuć każdą zabawę, myślała, wślizgując się pod koldrę. Jedziemy przecież tylko na przyjęcie, o co więc tyle hałasu?

## ROZDZIAŁ 20

### WRÓBEL W GARŚCI

Skryty w rowie przed wzrokiem kierowców, David czujnie śledził poczynania dziewczyn, które stojąc na poboczu, próbowały „ustrzelić jelenia” za pomocą dobrze znanych sztuczek. Kate działała metodą wytrawnej autostopowiczki: ustawiona twarzą pod wiatr, który malowniczo rozwiewał jej włosy, błyskała fragmentami obnażonych łydek spod prowokacyjnie podwiniętych dżinsów. Francesca z wystawionym do góry kciukiem zmysłowo kręciła biodrami. Choć znajdowali się teraz na mało uczęszczanej drodze, David był pewien, że wkrótce złapią okazję, bo czyż jakikolwiek kierowca płci męskiej potrafi się oprzeć pokusie podwiezienia takich pasażerek?

On sam miał cichą nadzieję, że uda mu się w ten weekend dokonać istotnych postępów w swych stosunkach z jedną lub drugą. Willa, do której właśnie próbowali dotrzeć, wydawała się doprawdy idealnym miejscem dla takiej akcji. Zakochany był chyba znów w obu, gdyż było mu właściwie wszystko jedno, z którą z tych dziewczyn wyląduje w łóżku. Wybór byłby trudny, więc może lepiej zdać się na los szczęścia...? Jego babcia mawiała w takich sytuacjach, że lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu, ha, tylko która jest wróblem? Obie w dodatku były tak atrakcyjne... Miał wprawdzie niejasne przeczucie, że gdyby się związał z Francescą, narobiłby sobie kłopotów, ale do diabła, tym akurat nie ma się co martwić! Za tydzień czy dwa wraca do Anglii i nigdy jej już pewnie nie zobaczy, więc kłopot z głowy, a jaka by to była satysfakcja! Francesca to przecież najbardziej fascynująca kobieta, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia. A jej dzisiejsze zachowanie przeczy stanowczo werdyktowi Rossa; o nie, ona nie jest frygidą. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że na dłuższą metę lepsza byłaby Kate: mają wiele wspólnego i mógłby ją widywać po powrocie do Anglii, ale w tym momencie nie było to dla niego najważniejsze. Doskwierało mu napięcie seksualne. Powiedział sobie, że musi je rozładować, i to koniecznie w ten weekend.

Na drodze ukazał się właśnie samochód — trochę większy od przeciętnej ogrodowej taczki. Kate błysnęła nogą, Francesca zaczęła wywijać biodrami — i kierowca przycisnął hamulec. David przezornie

pozostał w rowie, obserwując przebieg negocjacji. Dopiero gdy Francesca otworzyła drzwi, zdecydował się wyleźć z ukrycia. Kierowca, wyraźnie uszczęśliwiony nadzwyczajnym uśmiechem losu w postaci aż dwóch pięknych kobiet, wciągnął powietrze na widok wysokiego młodzieńca o budowie środkowego napastnika, cóż jednak miał zrobić? Przełknąwszy rozczarowanie, grzecznie zgodził się zabrać nadprogramowego pasażera. Zażyczył sobie tylko, żeby Kate usiadła z przodu.

David posłusznie wcisnął się na miejsce obok Franceski. Nie było to łatwe, gdyż całe tylne siedzenie miało wielkość łazienkowej półki. Do licha, pomyślał zgryźliwie, to samochód w sam raz dla pigmejów! Zmuszony był właściwie siedzieć na Francesce, ona jednak nie miała nic przeciwko temu, ha, wydawało się nawet, że ją to bawi. Tylko jak tu wykorzystać taką sytuację, kiedy człowiek siedzi zgięty w pałąk, dotykając kolanami brody? Na pocieszenie powiedział sobie, że i tak jest lepiej niż poprzednio, gdy zabrała ich półciężarówka. Dziewczyny siedziały w szoferce, a on na odkrytej skrzyni razem z dwoma psami, wielką bańką nafty i stertą drewnianych bali, które na każdym zakręcie staczały mu się na nogi.

— Ale samochód! — odezwała się Kate. — Mini morris to przy nim rolls-royce.

— To fiat 500 — mruknął David. — *Topolino*.

Kierowca, który nie znał angielskiego, wyszczerzył zęby i pokiwał głową.

— „*Topolino*” znaczy „myszka” — dodała Francesca.

— Myszka! — zaśmiała się Kate. — Czyż to nie rozkoszne? A jakie wygodne! Zamiast garażu wystarczy mu pudełko od zapalek. A skoro samochód to symbol falliczny, co myślicie o naszym kierowcy?

— Mario też ma taki! — zachichotała Francesca.

— Jaki Mario? — zainteresował się David, odpowiedzi jednak nie usłyszał.

— Podobają mi się te myszki — oznajmiła Kate.

— Spróbuj usiąść z tyłu — burknął David. Tak już zeszytniał, że zaczynał wątpić, czy potrafi o własnych siłach wyleźć z tej piekielnej klatki. Będą pewnie musieli rozebrać ją na kawałki, inaczej przyjdzie mu tu umrzeć.

— I co teraz?

— Tu już nie złapiemy żadnej okazji.

Na polecenie Franceski kierowca topolina wysadził ich na pustym skrawku drogi, w najrzadziej zaludnionej okolicy, jaką można sobie było wyobrazić. Przejechali kamienny mostek, który sprawiał takie wrażenie, jakby nikt po nim nie chodził przynajmniej od dwustu lat, i tu właśnie Francesca powiedziała „stop”. No i stali tu teraz, mając za plecami spokojnie płynącą rzekę, a po obu stronach drogi strome lesiste wzgórza. Jak okiem sięgnąć, nie widać było żadnych zabudowań. I ta głucha cisza! Raz tylko z oddali dobiegł ich ryk osła.

Kate na ten widok straciła całą pewność siebie.

— To naprawdę są Włochy? Nie miałam pojęcia, że coś takiego jeszcze istnieje.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmiła Francesca, podnosząc swój plecak.

— To znaczy gdzie?

— Zobaczycie. Idziemy.

Szybkim krokiem ruszyła przed siebie. Kate uniosła brwi i zerknęła na Davida; odpowiedział jej grymasem, który mógł uchodzić za uśmiech. Pomyślał, że oboje czują się pewnie tak samo: jak Ziemianie porwani z rodzinnej planety i wrzuceni nagle w sam środek kosmicznej pustki. Ale to dobrze: taka sytuacja może ich do siebie zbliżyć, a przy odrobinie szczęścia będzie mógł z tego skorzystać. Powodowany tą myślą, otoczył ramieniem jej plecy, i ruszyli w ślad za Francescą. Uszli może kilometr, gdy ich przewodniczka skręciła w prawo, w miejscu gdzie od drogi odbijał wybetonowany trakt prowadzący na zbocze wzgórza. Przez dalsze czterysta metrów Francesca ostro wspinała się w górę, po czym raptownie stanęła. Kiedy się z nią zrównali, zobaczyli, że ścieżka nagle się tutaj rozwidła.

— Pójdziemy tędy — oświadczyła Francesca, wskazując w lewo. — Droga jest trochę dłuższa, ale z tej ścieżki najlepiej widać willę.

Kate tęsknie spojrzała w prawo.

— Może widoki zostawimy sobie na później? — zaproponowała nieśmiało.

Francesca jednak bez słowa skręciła w lewo.

— Czemu nie poprosiłaś kierowcy, żeby podwiózł nas jeszcze kawałek? — jęknęła Kate po jakichś pięciu minutach. — Mówił, że może nas zawieźć nawet pod same drzwi.

— Lepiej się przejść. A poza tym mój stryj nie lubi, żeby po jego ziemi jeździły obce samochody.

Kate stanęła w pół kroku.

— Więc to wszystko należy do niego?

— Tak, to jego posiadłość.

— Cała ta góra?

— Uhm, ale to raczej wzgórze niż góra. I jeszcze kilka innych.

— Jasny gwint!

Kate znów wymieniła spojrzenia z Davidem i nic już nie mówiąc, zaczęli znowu mozolnie wspinać się w górę. Przez kilka minut słychać było tylko zgrzytliwy odgłos ich kroków na suchej nawierzchni ścieżki. Powietrze pachniało — zwłaszcza po trujących wyziewach Florencji. Gdzieś na zboczach wzgórza przepięknie śpiewały ptaki. Na kolejnych zakosach ścieżki odsłaniały się nagle widoki na płynącą poniżej rzekę, a potem znów otaczały ich tylko gęsto rosnące drzewa. Drzewa i cisza.

David milczał, bo to, co tu widział, przeszło jego oczekiwania. Spodziewał się zwykłej imprezy w którymś pustym domu, a znalazł się w takim cudownym zakątku! Czuł się jak odkrywca nowych wspaniałych łądów.

— Gdzie my jesteśmy? Chyba na innej planecie — odezwała się Kate, zupełnie jakby czytała mu w myślach.

Francesca przystanęła w skrajnym punkcie kolejnej „agrafki”.

— Teraz patrzcie.

Stojąc po obu jej bokach, spojrzeli we wskazaną stronę. Widać tam było idealnie białą willę, usadowioną jak ptak na grzędzie nad opadającą gwałtownie kaskadą skalistego zbocza. Powyżej znów rosły drzewa — ciemne cyprysy i jaśniejsze od nich dęby skalne o szarzielonych liściach — nad wszystkim zaś górował nagi postrzępiony szczyt w kształcie ostrego zęba.

— Och, jaka piękna! — szepnęła Kate.

— Aż za bardzo — mruknął David. — Osiemnasty wiek?

Francesca nie odpowiedziała. Wpatrywała się w willę z wyrazem dziwnej niechęci; można było pomyśleć, że nie chce iść dalej. Zrobiła krok w stronę Davida i wsunęła mu rękę pod ramię, a on poczuł, że ręka ta drży.

— Nie przypuszczałam, że jeszcze tu kiedyś wrócę — powiedziała cicho.

Kate pochłonięta widokiem willi, nie zauważyła, jak to zostało powiedziane.

— O Chryste, gdyby moja rodzina miała taki dom, mieszkałabym w nim do śmierci.

Francesca mocniej uchwyciła się ramienia Davida. Wydawała się przerażona. Pomyślał, że to bardzo dziwne, korzystając jednak z okazji, objął ją i przytulił.

— Na przyjęcie to naprawdę fantastyczne miejsce — powiedział najbardziej uspokajającym tonem, na jaki go było stać.

Popatrzyła mu w twarz, a jego znowu zdumiały jej oczy; były naprawdę niesamowite. Usta również — jak to się stało, że przedtem tego nie widział?

— Może to jednak nie był dobry pomysł — szepnęła.

— Może powinniśmy wrócić do Florencji?

— Daj spokój! — krzyknęła Kate. — Chcesz nas teraz splawić? Wszyscy są już w drodze.

— Mogli zmienić zdanie.

— Coś ty! Tak się na to cieszyli.

— No cóż... skoro miałby to być dla nich taki wielki zawód, to zostaniemy... — niepewnie odrzekła Francesca. — Ale tylko na jedną noc, dobrze?

— Jasne.

Francesca przyciągnęła do siebie Kate i objęła ją wolną ręką.

— Teraz mi lepiej — powiedziała, wybuchając zbyt głośnym śmiechem. Wydawała się bliska hysterii. — A w ogóle czym ja się martwię? Mam przecież dwoje strażników. Zaopiekujecie się mną, prawda?

— A niby po co potrzebna ci ochrona? — zachnęła się Kate.

David przeciwnie, był bardzo zadowolony. Miał przy sobie dwie piękne kobiety, a przed sobą jakże obiecujący weekend! W taki weekend wszystko się może zdarzyć. Nawet to, że dane mu będzie dokonać wyboru. Poczul się nagle niezwykle silny. Potrafi obronić Francescę przed wszystkim, łącznie ze strachem, który nie wiadomo czemu budzi w niej ten dom. Pragnął wziąć w ramiona tę piękną bezbronną dziewczynę i strzec jej do końca życia.

— Nic się nie martw, Francesco, zaopiekujemy się tobą — powiedział gorąco. — Będziesz przy nas bezpieczna.

— Wzięli nas za lesbijki! — zaśmiała się Anna, odrzucając z twarzy długie włosy. — Było ich trzech i jechało nam się wygodnie, bo samochód mieli luksusowy, alfa romeo, ale gdy się uparli, że musimy iść z nimi na drinka, trzeba było coś zrobić, no i Dido załatwiła sprawę. Zaczęła głaskać mnie po kolanie, mówiąc, że jesteśmy *amiche special*, specjalnymi przyjaciółkami. Od tej chwili dali nam spokój.

Dido uśmiechnęła się z satysfakcją. Patrząc na jej wysoką sylwetkę, krótko obcięte włosy i twarz bez śladu makijażu, nietrudno było zrozumieć, dlaczego mężczyźni dali się nabrać.

— No a czemu tu siedzicie?

Po dotarciu do willi grupka Franceski zastała dziewczyny na schodach. Obok nich leżały plecaki.

— Bo nas nie chcą wpuścić — odparła Dido. — Kto wie, może już usłyszeli, jakie z nas przyjaciółki — zachichotała.

— Dzwonimy — włączyła się Anna — a tu jakieś głupie krówsko mówi przez drzwi, że nic tu po nas. I to jakim tonem! Zupełnie jakby była panią tego domu! Tłumaczymy tej babie, że nas zaprosiłaś i że zaraz tu będziesz, ale gdzie tam, groch o ścianę.

Francesca nie wydawała się tym zdziwiona. Odłączywszy się od swych „strażników”, wbiegła na schody, ostro załomotała do drzwi, a potem krzyknęła coś po włosku. Drzwi otworzyły się natychmiast — „krówsko” musiało stać po drugiej stronie. Francesca, nie przestając wydawać poleceń, skinęła na przyjaciół, że mają iść za nią, a sama jak burza wtargnęła do środka. Kate obserwowała ją z niedowierzaniem. Czy to ta sama Francesca, która podczas rozmowy ze stryjem mówiła głosem nieśmiałej dziewczynki? I kto by pomyślał, że potrafi poskramiać niesforną służbę! Nie do wiary!

Gdy razem z Davidem i dziewczynami dotarła do chłodnego i mrocznego holu, Francesca nadal łąła służącą — przysadzistą kobietę w czarnej workowatej sukni. Miała ona tylko pięć widocznych zębów, ale za to jakich! Były to prawdziwe dzieła sztuki: każdy z tych olbrzymów osobno tkwił w dziąśle, a ilość złota, z której był zrobiony, wystarczyłaby na obrączkę. Kobieta nie przestawała protestować przeciwko inwazji nieproszonych gości, ale Francesca ani myślała ustąpić, i to najwyraźniej ona była tutaj panią. Kate przypuszczała, że zębata gospodyni będzie długo jeszcze tak gadać, ale robi, co się jej każe.

Anna, która jeszcze przed chwilą wydawała się urażona niemiłym przyjęciem, wpadła teraz w uniesienie na widok wspaniałego wnętrza:

— A niech mnie! Można paść z wrażenia! Niewiarygodne! Patrzcie na te obrazy! Te rzeźby! W takiej willi musiał pewnie mieszkać Byron. Albo George Sand. Wyobrażaliście sobie coś takiego! Przecież to istny pałac!

— Mam was oprowadzić? — spytała niepewnie Francesca, jakby trudno jej było uwierzyć, że ten dom może kogokolwiek zainteresować. — Jeśli tak, to zostawcie tutaj plecaki.

Propozycję przyjęto z entuzjazmem, rozpoczęło się więc zwiedzanie, któremu co chwila towarzyszył czyjś okrzyk: „Ale bomba!” „Niesamowite!” „Bajeczne!”

O tak, dom robił wrażenie, ale na imprezę nie nadawał się tak idealnie, jak można byłoby przypuszczać. Był zbyt duży, zbyt przytłaczający i strasznie bezosobowy. Wszystkie pokoje miały nazwy wywodzące się od ich stylu — pokój fresków, pokój złożony, pokój z boazerią — jakby to było muzeum. Sypialni nie dane im było zobaczyć — gospodyni w tym punkcie okazała się nieugięta. Nie otworzy pierwszego piętra, oświadczyła, chyba że Francesca uzyska pozwolenie stryja. Francesca spojrzała na nią brzydko, powiedziała jednak kolegom, że będą musieli zadowolić się parterem.

Ach, nawet parter był o wiele za duży dla ich kilkusobowej grupki. Po jakichś trzydziestu minutach powiększyła się ona jeszcze o dwie osoby — przyjechali Jenny i Larry. Przywiózł ich jakiś podstarzały bankier, którego Larry przez całą drogę próbował wciągnąć w dyskusję o twórczości Pirandella i Herberta Marcusego. Kate żałowała, że wciąż brakuje Aideny; może gdyby pograł na gitarze, zrobiłoby się weselej, a tak zaczynała już niemal tęsknić za Florencją, za ich ciasnym pokoikiem, który w porównaniu z tym domem wydawał się tak pełen życia! Tu było jak w mauzoleum. Żeby ożywić ten pałac, trzeba by sprosić stu gości. Wnętrze było piękne, ale nie takie jak trzeba, żeby się dobrze bawić. Ściany ziały chłodem — chłodem starych opuszczonych domów — oświetlenie było kiepskie, a muzyka też nie najlepsza, bo przywieźli za mało płyt. Skupiwszy się w grupkę, zaczęli dyskutować, gdzie tu ustawić adapter, i w końcu zainstalowali się w pokoju fresków. Na ścianach płaśły tu pulchne nimfy, obrzucając się szarfami i girlandami z kwiatów, doszli więc do wniosku, że do hulanki i tańców to najbardziej odpowiednie miejsce. Francesca wyrwała parę butelek wina ze szponów nieżyczliwej gospodyni o całkiem niestosownym dla niej imieniu „Angelica”, jedzenia było jednak bardzo mało, a nikomu nie przyszło na myśl, że trzeba przywieźć coś ze sobą.

— Mogę pójść do najbliższej wioski i kupić trochę prowiantu — zaofiarował się David, na co Francesca odrzekła, że do najbliższej wioski jest ponad osiem kilometrów, więc zanimby tam doszedł, zamknięto by już wszystkie sklepy.

— Mogłabyś przynieść coś od stryja — zasugerowała Anna, która przed chwilą wyznała Kate, że zdążyła się już zakochać w tej wspaniałej posiadłości i zamierza zobaczyć tu wszystko, co się da. — Jak chcesz, mogę pójść z tobą.

— Nie! — twardo ucięła Francesca.

— Nie zamierzasz go więc odwiedzić? — zapytała Kate, pamiętając o prośbach Maria. Zrobiło jej się nieswojo na myśl o umierającym właścicielu willi. A my bawimy się w jego domu, chociaż go w ogóle nie znamy... Poczula się nagle jak intruz.

— Może pójde tam jutro — niechętnie odrzekła Francesca. — Zależy, jak się będę czuła.

— Czy to daleko?

— Do La Rokki? Dziesięć minut drogi pod górę.

— Zupełnie nie rozumiem, jak można mieć taki dom i mieszkać gdzie indziej! — zawołała Anna.

— Kiedyś tu mieszkał — obojętnie odrzekła Francesca — ale mu było za chłodno, więc na zimowe leże przeniósł się do La Rokki. Aż któregoś wiosny nie chciało mu się przeniosić z powrotem. A teraz umiera i już tu nie wróci. — Na chwilę zapatrzyła się gdzieś przed siebie. — Teraz już nic nam nie robi.

Kate pomyślała, że to osobliwy sposób wyrażania się o bliskim krewnym. Poszukała wzrokiem Davida, ale on w tym momencie prosił Francescę do tańca. Piosenka, którą śpiewał Bob Dylan, nieszczególnie się do tego nadawała, tamci dwoje jednak nie zwracali na to uwagi. Francesca bardzo ochoczo wsunęła się w ramiona partnera, a on opiekuńczo zamknął ją w ciasnym uścisku. Kate, patrząc na to, poczuła złość.

Antyczny gong obwieścił przybycie kolejnych gości.

— Och, świetnie! — zawołała Francesca, uwalniając się z objęć Davida. — To pewnie Aiden lub Hugo.

Tylko ich jeszcze nie było. Aiden z powodu dziwnego wyglądu miał pewnie trudności ze złapaniem okazji, Hugonowi natomiast nie udało się zwolnić z pracy, dlatego wyruszył z Florencji o wiele później niż inni.

Nie był to jednak żaden z nich.

Kate poczuła ciepło w całym ciele, gdy do pokoju wszedł Mario — w dżinsach i czarnym swetrze. Po raz pierwszy uświadomiła też sobie, jaki to przystojny mężczyzna!

— A cóż ty tu robisz? — spytała Francesca. Zabrzmiało to niezbyt uprzejmie.

— Zaprosiłaś mnie, nie pamiętasz? — odrzekł z uśmiechem.

— Co to za jeden? — spytał David.

— Przyjaciół Franceski — poinformowała go Kate.

— Znasz go? Zawahała się lekko.

— Nie bardzo. — Ale chętnie poznałabym go bliżej, dopowiedziała w duchu.

— Od razu widać, że nigdy nie wywalał mułu z piwnic, nie mówiąc już o rzucaniu talkiem o ściany — zauważył z przekąsem David.

Kate ze zdziwieniem spojrzała na swego kolegę. David na ogół był życzliwy ludziom, chyba że miał naprawdę istotny powód, by nie darzyć kogoś sympatią.

— Nie jesteś przypadkiem zazdrosny?

— Też coś! A niby o co? — parsknął ze złością.

Ciekawe, po co zjawił się tutaj Mario, dumiała Kate. Chce mieć na oku Francescę? A może... może to mnie chciał zobaczyć?



# ROZDZIAŁ 21

## NA LODZIE

Kate była w dobrym humorze. Wbrew początkowym obiekcjom impreza wyglądała na udaną, a sprawił to głównie Mario. Przywiózł nie tylko kilka wielkich butelek wina, chleb, ser i salami, którego obsceniczny kształt i rozmiary stały się powodem do żartów, lecz co najważniejsze, dwa tuziny płyt — wprawdzie przeważnie Beatlesów i Everly Brothers, ale teraz nikt już na to nie narzekał. Podziałął też jak balsam na Angelicę, która na jego widok uśmiechnęła się tak szeroko, że pokazała światu jeszcze dwa złote zęby, po czym obdarzyła młodego *dottore* słoikiem oliwek oraz całą tacą serów, które przedtem skrzętnie ukryła.

Nie tylko na Angelicę podziałął urok pana doktora.

— Nie ma nic bardziej pociągającego niż piękny a skromny mężczyzna — stwierdziła z uznaniem Dido. — Większość urodziwych facetów jest tak zachwycona sobą, że nic więcej dla nich nie istnieje.

Piękny? zdziwiła się Kate. Nigdy dotąd nie myślała tak o Mariu, teraz jednak spojrzała na niego z nowym zainteresowaniem. Larry swym piskliwym głosem referował mu właśnie sformułowaną przez Lainga teorię schizofrenii; Mario grzecznie słuchał wykładu, chociaż było rzeczą oczywistą, że wie na ten temat znacznie więcej niż sam „wykładowca”, po czym równie uprzejmie przeprosił i poszedł pomóc Annie nakrywać do stołu.

— Czemuż to Francesca tak długo trzymała go pod korcem? — dopytywała się Jenny. — Jest coś między nimi?

— Kiedyś było — odrzekła Kate. — Teraz są tylko przyjaciółmi.

— Frajerka — orzekła Dido. — Ale dobrze wiedzieć, że jest wolny. — Po tych słowach ruszyła do Maria, aby pomóc mu przy zmianie płyty.

Ku cichej irytacji Kate Mario natychmiast dał jej się wciągnąć w niezwykle żywą dyskusję o zespołach The Rolling Stones i The Beatles. Pytanie brzmiało: który jest lepszy? Niewiele myśląc, postanowiła się do nich przyłączyć, aby przerwać to irytujące sam na sam.

— Nie wiedziałam, że lubisz muzykę pop. Uśmiechnął się do niej.

— Ja lubię każdą muzykę, która jest dobra.

— W takim razie musisz przyznać wyższość Rolling Stonesom — oświadczyła Dido.

Miał na ten temat zupełnie odmienne zdanie, lecz wyraził je z takim wdziękiem, że choć Dido zazwyczaj w sposób wręcz dogmatyczny trzymała się swoich poglądów, tym razem, o dziwo, była bliska kapitulacji.

Kate z trudem hamowała wściekłość: jak on może być tak miły dla Dido! Traktuje ją całkiem tak samo jak mnie, a poznali się ledwie pół godziny temu! myślała z gorzką zawiścią.

Robiło się już ciemno, kiedy przyjechał Aiden. Jenny w tym momencie tańczyła akurat z Larrym. Och, była w swoim żywiole! Jako tancerka dopracowała się własnego stylu — każdy jej ruch odznaczał się wężową gracją i bijącą w oczy zmysłowością. Larry najwyraźniej był tym podniecony, co jednak skłaniało go tylko do jeszcze większego gadulstwa, a jego szarpane ruchy bardziej służyły podkreśleniu własnych wypowiedzi niż czemukolwiek innemu. Gdy utwór się skończył, Jenny pobiegła powitać Aidena i po paru minutach poszła z nim na parkiet. Teraz Larry z kolei obserwował ich ze śmiercią w oczach. Aiden w przeciwieństwie do niego poruszał się bardzo oszczędnie, zostawiając wolne pole Jenny i od czasu do czasu akcentując dyskretnie którąś z jej tanecznych ewolucji.

Mario ze szklaneczką w ręku przyglądał się tańczącej parze. Kate marzyła o tym, aby z nim zatańczyć, ale gdy już prawie miała go poprosić, zabrakło jej nagle odwagi. Czemu on tego nie robi? zadawała sobie pytanie.

Atmosfera w sali gęstniała od erotyzmu, a jej coraz trudniej było usiedzieć na miejscu.

— Zatańczysz? — zwróciła się do Davida, który stał w pobliżu, popijając wino.

— Bardzo chętnie.

Lecz gdy tylko zrobili parę kroków, Kate zrozumiała, jak fatalny popełniła błąd. Była dobrą tancerką, nie mogła jednak równać się z Jenny. Przy takiej rakiemie każdy amator wyglądałby niezdarnie. Mario podobnie jak wszyscy nie odrywał oczu od jej wirujących bioder. Gdy w pewnym momencie przypadkiem podchwycił spojrzenie Kate i uśmiechnął się do niej zachęcająco, pogorszyło to tylko sprawę.

W muzykę wdarło się nagle jakieś donośne brzęczenie — okazało się, że to telefon. Gospodyni, którą Dido zdążyła już nazwać Zębową Wróżką, wywołała Francescę do holu, a Kate, widząc, że Mario też zmierza ku drzwiom, pospieszyła za nimi. Po sekundzie dołączył do nich także David.

— To Hugo — powiedziała Francesca, przysłoniwszy dłonią ustnik telefonu. — Dojechał do Dorabo i tam utknął. Na ostatnim odcinku miał bardzo niemiłą przygodę. Jakiś typ próbował go zgwałcić, więc nie chce już ryzykować. Pyta, czy moglibyśmy skombinować mu jakąś taksówkę. Poślę po niego Dina.

— Nie, ja zabraniam! — zawołał Mario. — Dino tak prowadzi, że to katastrofa.

— Kto to jest Dino? — próbowała dowiedzieć się Kate, nikt jej jednak tego nie wyjaśnił.

— Ma licencję — obstawała przy swoim Francesca.

— Licencję na zabijanie — skrzywił się Mario. — Ja pojedę.

— Proszę bardzo. Słyszałeś, Hugo? Powiedz dokładnie, gdzie jesteś. Aha, znam tę kafeterię. Mario przyjedzie po ciebie za jakieś dwadzieścia minut.

Kate w tym momencie doszła do wniosku, że to dla niej szansa zaanektowania Maria. Nie do końca zdawała sobie sprawę, dlaczego tak bardzo jej na tym zależy, nie miało to jednak znaczenia. Pragnęła mieć go wyłącznie dla siebie, i tylko to było ważne.

— Pojadę z tobą i dotrzymam ci towarzystwa — rzuciła z uśmiechem.

— Ja też — powiedział natychmiast David, który krążył po holu jak rozdrażniony niedźwiedź.

— Nie musisz — bąknęła Kate, której było to nie na rękę.

— Pojedziemy wszyscy — zdecydowała Francesca, odkładając słuchawkę.

— To jest mały samochód — całkiem niepotrzebnie oznajmił Mario, gdy we czwórkę wyszli już na zewnątrz, a on stanął przed swoim wozem.

Ku prawdziwej uldze Kate David zrejterował na ten widok.

— Nie, dziękuję, mam na dzisiaj dosyć chińskich tortur. Nie jedź, Kate. Nie wiesz, co to znaczy siedzieć z tyłu.

Wykonał już ruch, aby wziąć ją za ramię, ale wywinęła mu się zręcznie i czym prędzej wsiadła do kabiny.

— Ja poprowadzę — powiedziała Francesca, wyciągając rękę po kluczyki.

— Ty już wypiąłś — zachnął się Mario.

— Nie tyle co ty. — Posłała mu kpiący uśmiech, taki od ucha do ucha. — A poza tym jesteś zmęczony. Przejechałeś już dzisiaj sporo kilometrów i w dodatku masz za sobą nieprzespaną noc.

— Nie spałeś? Dlaczego? — włączyła się Kate.

— Bo miał nocny dyżur — odrzekła Francesca, biorąc od Maria kluczyki. Kate znów poczuła irytację: ona tyle wie o jego życiu, a ja prawie nic! Jej przyjaciółka tymczasem usiadła za kierownicą. — Uwielbiam takie małe autka! — stwierdziła z rozbawieniem. — Są całkiem podobne do tych elektrycznych zabawek w lunaparkach!

Włączyła stacyjkę, Mario usiadł obok i żwawo ruszyli na dół.

— Szkoda tylko, że ma takie słabe światła...

— Jest noc — wyjaśnił Mario po włosku; w jego głosie brzmiało znużenie. — Powinnaś włączyć długie. Tu masz przycisk.

— Teraz lepiej — mruknęła Francesca; wrzuciła trzeci bieg, po czym z piskiem opon pokonała bardzo ostry zakręt.

— Dlaczego wybrałaś tę drogę? — Kate stwierdziła nagle, że rozumie prawie każde słowo, choć Mario mówi po włosku. Czyżby rozumiała go lepiej niż innych?

— Bo jest krótsza — odrzekła Francesca po angielsku.

— W nocy lepiej jechać tą drugą. Zwolnij trochę, tu jest niebezpiecznie.

— Wcale nie jadę za szybko. Tak ci się tylko zdaje, bo to strasznie mały samochód.

Kate zaczęła chichotać. Samochód? To śmieszna dziecienna zabawka, a nie prawdziwy samochód! Zabawkom nie zdarzają się wypadki, każdy to wie.

— Co on powiedział? — spytała, gdy z brawurową prędkością przejechali kolejną agrafkę. Tym razem nie zrozumiała gniewnej reprimendy Maria.

— Że to strome zbocze i że możemy się zabić, jeśli nie zwolnię.

Kate uśmiechnęła się do siebie. Czym on się martwi? To przecież willa Beatrycze. Prywatna droga i prywatny teren. W tym magicznym świecie nic złego stać się nie może. Czowała się lekka i dziwnie radosna,

do czego w znacznej mierze przyczyniła się bliskość Maria. Te śmieszne autka, myślała, mają jedną ogromną zaletę: to, że siedzi się tuż obok siebie! Prawie dotykała nosem tyłu głowy Maria. Z trudem zwalczyła gwałtowne pragnienie zanurzenia ręki w jego gęstych włosach, które chyba mocno urosły od czasu pierwszego spotkania? O tak, są teraz o wiele dłuższe. Nie śmiała ich jednak dotknąć. Musiała się zadowolić wdychaniem jego zapachu — specyficznej woni męskiego ciała, wody kolońskiej i czegoś jeszcze... ostrego i antyseptycznego. To pewnie mydło, którego używa się w szpitalu...

Mały fiacik wpadł w jakąś dziurę, a gdy z niej rażno wyskoczył, Kate tak rzuciło do przodu, że uderzyła ustami w głowę Maria. Odchylił się od niej i spojrzał do tyłu:

— Nic ci się nie stało, Kate? Francesco, uważaj, zbliżamy się do głównej drogi. Zwolnij!

— W nocy po tej drodze nikt nie jeździ — odrzekła beztrąsko. Samochód wyskoczył z zakrętu niczym elektryczny zając. Minęli miejsce, gdzie ich wysadzono po południu, i z impetem wtoczyli się na wąski mostek. Kate kątem oka zdążyła uchwycić błysk wody — i znaleźli się po drugiej stronie. Teraz już Mario nie musiał prosić o zredukowanie prędkości. Wznosiło się przed nimi wzgórze, którego stromizna znacznie przekraczała moc małego fiata. Francesca chcąc nie chcąc musiała zejść do dwójki, a potem nawet do jedynki. Kate kiwała się jak wańka-wstańka, zachęcając samochód, aby jechał szybciej.

Byli już blisko szczytu, gdy nagle kabinę zalało jaskrawe światło.

— Co się tam dzieje? — spytała Francesca. Kate zerknęła do tyłu.

— Właśnie wylądował statek kosmiczny. Jest tuż za nami. Francesca przykryła dłonią lusterko.

— Dlaczego trzyma się tak blisko? Nic nie widzę przez te światła.

Mario odwrócił się do tyłu, niemal dotykając twarzą twarzy Kate, która uśmiechnęła się promiennie.

— To jakiś duży wóz — powiedział po angielsku.

— Każ mu się cofnąć. Denerwują mnie te światła.

— To głupi kierowca. Ja spodziewam się... hm... że on wkrótce opuści tę drogę.

Mario się mylił. Gdy znaleźli się na szczycie wzgórza, obcy wóz wciąż jechał za nimi — w odległości kilkunastu centymetrów od ich tylnego zderzaka.

— Dlaczego ten drań nie przygasi światła? Nic nie widzę!

— Zjedź na bok. On ma potężną maszynę i chce cię wyprzedzić.

— Dlaczego mam mu ustępować? On nie ma prawa tak jechać! — rzuciła ze złością Francesca.

Kate również przestało się to podobać. Opuściło ją już całe rozbawienie, a w jego miejsce pojawił się lęk. A jeśli ten z tyłu to wariat, który bawi się z nimi w kotka i myszkę? Doszła do wniosku, że to nic zabawnego jechać takim dziecinnym autkiem, gdy do gry włączają się prawdziwe wozy, które nie uznają żadnych reguł.

— Uważaj, Francesco! — zawołała. — Pamiętaj, że siedzę z tyłu. Jeśli w nas rąbnie, to najpierw we mnie.

— Powiedz, Kate, jak on wygląda. Pomachaj do niego, żeby się cofnął. Od tych świateł zaczyna mnie boleć głowa.

Kate odwróciła się do tyłu, ale poza oślepiającym blaskiem nic więcej nie mogła dostrzec.

— Zwolnij! — zakomenderował Mario takim tonem, że Kate ze zdumienia zamrugła oczami. Nigdy w ten sposób nie mówił. Francescę musiało to też zaskoczyć, bo posłusznie wypełniła polecenie.

— No, jedź — mruknęła przez zęby. — Wyprzedzaj, skoro tak ci pilno. — Niestety, nic się nie zmieniło, światła nawet nie drgnęły. — O, niech cię diabli porwą! W co ty się bawisz, łajdaku? — krzyknęła, mrużąc oczy przed blaskiem.

Byli w tym momencie na szczycie długiego pagórka. Przed nimi błyszcząły światła doliny, a dalej wznosiły się kolejne wzgórza.

— To jakiś szalony wieśniak — stwierdził Mario. — Zatrzymaj się, ja pojedę.

— Nie! — Francesca gwałtownie dodała gazu. — Czas dać draniowi nauczkę!

— Co ty robisz?

Odpowiedzi nie było. Kate miała wrażenie, że słyszy, jak ich małe autko wydaje westchnienie ulgi, gdy pokonawszy szczyt wzgórza, rażno ruszyło w dół zbocza. Francesca tymczasem z pośpiechem zmieniała biegi — aż do najwyższego — kompletnie ignorując Maria, który krzychał coś do niej po włosku. Zacisnąwszy ręce na kierownicy, pędziła na łeb na szyję po pełnej zakrętów drodze. Jeśli chciała w ten sposób pozbyć się swojego prześladowcy, był to daremny wysiłek. Mały fiat wypruwał z siebie całą moc, podczas gdy tamten jechał sobie spacerkiem, zachowując ciągle tę samą odległość. Kate stanowczo przestało to bawić.

— Przyhamuj, na litość boską! — krzyknęła.

— Ty też chcesz, żebym zwolniła?

— Tak!

— Proszę bardzo. — Głos Franceski nabrał wysokich tonów. — Uwaga, podróżni! Hamowanie awaryjne! Proszę się przygotować!

— Nie!! — wrzasnęli równocześnie Mario i Kate.

— Stop! — Francesca z impetem wcisnęła hamulec.

Kate gwałtownie poleciała naprzód. Maria rzuciło na deskę rozdzielczą; w ostatniej chwili zdążył wyciągnąć ręce, w przeciwnym razie uderzyłyby twarzą w szybę. Kabinę zalało światło, pisk hamulców i ryk klaksonu. Przez ułamek sekundy Kate była pewna, że kraksa jest nieunikniona. Wyobraziła już sobie to miażdżące uderzenie, po którym przestanie istnieć. Sparaliżowała ją panika. Nie mogła wprost uwierzyć własnym oczom, gdy światła tamtego wozu przesunęły się w lewo i wielki krążownik, nie przestając trąbić, ominął przeszkodę, po czym zaczął się od nich oddalać. Po chwili zniknął im z oczu za kolejną agrafką.

Mario podniesionym głosem mówił coś po włosku — bardzo szybko i bardzo gniewnie. Kate trzęsła się jak galareta; czuła, że cała ocieka potem. Nie musiała znać włoskiego, aby wiedzieć, co doktor Bassano wytyka Francesce — sama miała ochotę powiedzieć jej coś do słuchu.

Francesca z rękami na kierownicy głośno chwyciła powietrze.

— Wiedziałam, co robię — mruknęła hardo. — Nic nam nie groziło.

Mario najwyraźniej był innego zdania.

— Teraz ja prowadzę — oświadczył, nie wdając się w dalszą dyskusję. Oboje z Francescą wysiedli z wozu, każde zapaliło papierosa, a potem zamienili się miejscami.

— Dałam mu nauczkę, prawda? — rzuciła Francesca, gdy ruszyli dalej.

— Tak — warknął Mario. — Bardzo głupią. Kate prawie została zabita. Ty się zachowujesz jak szalone dziecko. Ten samochód nie jest do zabawy.

Przez resztę drogi milczeli, nerwowo paląc papierosy. Kate stopniowo zaczynała się uspokajać; rytm serca i oddech powoli wracały do normy.

Dorabo było malutkim miasteczkiem, niewiele większym od wioski — z jedną uliczką, dwoma baremami i kościołem. Musieli po południu przejeżdżać przez tę miejscowość, Kate przykucnęła więc przy bocznej szybie, próbując rozpoznać jakiś znajomy fragment. Było to jedno z wielu ubogich włoskich miasteczek — teraz puste i tajemnicze, z pozamykanymi na noc drzwiami i oknami domostw. Właściwie nie było tu nic ciekawego, ale szok wywołany niedoszlą kraksą i nagłą świadomością, że mogła już nigdy nie zobaczyć tego miejsca, podziałały na nią w dziwny sposób: ten moment i to miasteczko wydały jej się nagle niesłychanie ważne. Pragnęła wryć sobie w pamięć każdy najdrobniejszy szczegół.

Mario zaparkował przed barem, jego fiat był jednak tak niski, że Kate, nawet odchylając głowę z boku na bok, aby lepiej widzieć, mogła dostrzec za ledwie połowę dróżki prowadzącej do wejścia, kilka par męskich nóg oraz dno oszklonej lodówki z napojami orzeźwiającymi. Niewiele tu było do zapamiętania.

— No i jak tam — spytała z uśmiechem Francesca — dobrze się czujesz, Kate? Idę teraz po Hugona. Zaraz wrócę.

Gdy zostali sami, Mario wyciągnął z kieszeni drugą już dzisiaj paczkę papierosów. Kate jeszcze nie widziała, żeby tyle palił.

— Jak myślisz — spytała cicho — czego chciał ten facet? Prowadził z nami jakąś grę?

Mario głęboko zaciągnął się dymem.

— Nie wiem, ale Francesca... To jest zwariowane dziecko. Ona myśli, że ma... magiczne życie, że nic jej się nie może stać. I to się źle skończy. Wiem to w moich kościach.

Kate delikatnie dotknęła jego wijących się włosów. Tak bardzo pragnęła to zrobić! Było to tylko muśnięcie, a jednak sprawiło, że prąd jej przeszedł przez ramię. Była pewna, że jemu też. Gdy nakrył dłonią jej rękę, poczuła tak gwałtowną falę pożądania, jakiej nie doświadczyła jeszcze nigdy w życiu. Złękła się, że zemdleje.

— Nie powinieneś się tak martwić — powiedziała miękko. — Francesce nic się nie stanie. Odpręż się, Mario.

— Nie, Kate, to takie ważne, że ja muszę się martwić.

— Dlaczego? Przecież jej chyba nie kochasz? Cofnął rękę.

— Wszyscy jesteście jak dzieci — powiedział z irytacją.

— Dlatego że się bawimy?

— Jak głupie dzieci.

Poczuła się tak, jakby jej dał w twarz.

— My przynajmniej umiemy się bawić — odrzekła z urazą, wciskając się w najdalszy kąt wozu.

W tym momencie ktoś otworzył drzwi, przez które wtargnęła najpierw fala zimnego powietrza, a potem w otworze ukazała się szyjka gigantycznej butli.

— Mój Boże, biedny Hugo — rozległ się głos Franceski. — Złapał mercedesa, którego kierowca omal go nie zgwałcił. Co za potwór! Oświadczył, że jest wielką figurą w jakimś tam koncernie rybnym, jakby go to mogło usprawiedliwić! Wyobrażacie sobie?

— Cześć wszystkim! — odezwał się Hugo, ładując się do środka w ślad za swoją butlą, której korek omal nie trafił Kate w oko. — Dzięki za ratunek. Już myślałem, że przyjdzie mi wędrować pieszo.

Opowiedział im o swej przygodzie, ale Kate słuchała tylko jednym uchem. Woląла myśleć o Mariu. To, że ją odepchnął, uczyniło go w jej oczach jeszcze bardziej pociągającym. Było to doprawdy dziwne, bo nie miała zwyczaju tracić głowy dla opornych mężczyzn. Czyżby aż tak się zmieniła?

## ROZDZIAŁ 22

### NA TARASIE

Prawdziwa awantura pomiędzy Mariem i Francescą wybuchła dopiero po powrocie do willi. Kate przypuszczała, że nadal jest na nią wściekły z powodu ryzykanckiej jazdy. Nie chciało jej się słuchać ich kłótni, lecz myśl, że nie jest jedyną osobą potraktowaną tak szorstko przez Marię, sprawiła jej pewną przyjemność. Hugo, który nienawidził podniesionych głosów, czym prędzej umknął do sali z nimfami, gdzie na widok jego olbrzymiej butli tkwiącej pod pachą jak lanca rozległ się gromki aplauz. Kate miała już pójść w jego ślady, gdy Francesca chwyciła ją za ramię:

— Nie odchodź, Kate! Powiedz mu, że nie jest moim panem i władcą!

— Nie możesz sama mu tego powiedzieć? — odrzekła Kate, szczerze zdziwiona tą dosyć osobliwą prośbą.

Mario w tym momencie zaczął znów wygłaszać jakąś gwałtowną tyradę, na co Francesca odpowiedziała równie gwałtownym i równie gniewnym potokiem słów. Z jej licznych *non vado* i *non voglio* łatwo było wywnioskować, że Mario usiłuje nakłonić ją do czegoś wbrew jej woli.

Odgłosy ich kłótni musiały dotrzeć do uszu rozbawionych gości, bo w holu zjawił się David.

— Co tu się dzieje? — zagadnął Kate.

— Nie mam pojęcia! — Ze swymi krzaczastymi brwiami i budową sportowca wydał jej się nagle bardzo atrakcyjny; był nie tylko wysokim i przystojnym chłopcem, lecz przede wszystkim kimś dobrze

znanym, kto w żadnych okolicznościach nie nazwałby jej głupim dzieckiem. — Wiesz co? Niech to sami załatwią. Chodźmy stąd.

David zmarszczył brwi i ku jej rozczarowaniu dotknął ramienia Franceski:

— Co się stało, skarbie?

— Powiedz coś ode mnie temu panu! — zawołała po angielsku, obracając się w jego stronę. — Powiedz mu, że nie jest w stanie mnie do tego zmusić!

— Do czego?

— Powiedz mu po prostu, że mam dosyć kurwienia się dla rodziny! — krzyknęła ze łzami w oczach. — Nigdy już tego nie zrobię! Przenigdy!

— Co ona powiedziała? Nie rozumiem tego słowa! — zawołał Mario. Sądząc po wyrazie twarzy, mówił prawdę.

David, otoczywszy ramieniem Francescę, syknął ostrzegawczo:

— Radzę ci zostawić ją w spokoju.

— Ty nie rozumiesz...

— Rozumiem, że ktoś nam tu psuje zabawę — odrzekł zimno David, przytulając do siebie Francescę, która w jego uścisku zaczęła się powoli uspokajać. — Już dobrze, kochanie. Nie musisz spełniać niczyich rozkazów. Rób tylko to, co sama chcesz robić. Coś mi się zdaje, że masz ochotę zatańczyć.

— Zatańczyć?

— Właśnie. — Ręka Davida przesunęła się w górę, pod włosy Franceski, i zaczęła delikatnie pieścić jej kark, a on spojrzał z triumfem na Maria, uśmiechnął się lekko i dodał:

— Oj, ludzie, i po co tracić czas na kłótnie? Zacznijmy się wreszcie bawić.

— Francesco! — błagalnie zawołał Mario. Odpowiedziała po włosku, krótko i chyba dosadnie, a potem roześmiała się głośno i odpłynęła do sali w czułych objęciach Davida.

Przed samymi drzwiami odwróciła się jeszcze w stronę Maria.

— Zapamiętaj sobie — powiedziała po angielsku — że nie jesteś moim właścicielem. Ani ty, ani nikt inny. Nikomu już nigdy nie pozwolę się tak traktować.

David pocałował ją w czubek głowy.

— Słusznie! Tak trzymaj!

Kiedy zniknęli w zadymionej sali, Mario zaklął głośno. Kate jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie — tak wściekłego i sfrustrowanego.

Zamierzała i ona dołączyć do towarzystwa, lecz po kilku krokach przystanąła.

— Powiedz mi, Mario, o co wy się kłóćcie?

Musiał być tak pochłonięty konfliktem z Francescą, że chyba zapomniał o całym świecie, bo zamrugał oczami jak człowiek wyrwany ze snu.

— Francesca robi ruinę ze swego życia — powiedział z gorzkim uśmiechem.



— A nie wydaje ci się, że może trochę przesadzasz? — spytała Kate pojednawczo. Przyjechała tu po to, żeby się zabawić, ale jak tu się bawić w takich warunkach? Atmosfera stała się zbyt ciężka. Gdybyż ten Mario zechciał się trochę odprężyć, westchnęła w duchu. Byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby mu mogła pokazać, jak się to robi, bała się jednak kolejnej odprawy.

Nie odpowiedział na jej pytanie; wzruszył tylko ramionami i skierował się w stronę wyjścia.

— Chyba nie uciekasz, co?

— Muszę zawizytować jej stryja.

— A co z przyjęciem?

— Może przyjdę później.

— Poczekaj. Nie rozumiem, o co ci chodzi. Powiedz, co tu się dzieje.

Stanęli u szczytu schodów, gdzie Mario zapalił dwa papierosy i podał jednego Kate. Zauważyła, że drżą mu ręce. Do licha, pomyślała, dość tych tajemnic! Muszę się wreszcie dowiedzieć, co tu jest grane.

— O co wam poszło? Francesca powiedziała, że nikt już nie będzie nią rządził. Możesz mi to wyjaśnić?

— Francesca... ona robi wielką *esagerazione*.

— Przesadza? I dlatego mówiła o kurwieniu się dla rodziny?

— Nie wiem. Nie rozumiem tego słowa. Co to znaczy?

— Tyle samo co prostytutka. Uprawianie seksu za pieniądze.

Na twarzy Maria odbił się szok.

— *Certo*, ja nieraz myślę, że Francesca to szalona kobieta.

— Jestem jej przyjaciółką. Nie chcę, żeby ktoś ją denerwował czy straszyl.

— Prawdziwa przyjaciółka by jej pomogła, a ty jej pozwalasz wszystko wyrzucić.

— Wyrzucić? Niby co?

— Pokażę ci. Chodź.

Biegając przy murze żwirowaną ścieżką poprowadził ją na tyły domu, gdzie rozpościerał się kamienny taras z widokiem na leżącą poniżej dolinę. To jego marmurowe balustrady zobaczyła wtedy, w połowie drogi do willi, gdy Francesca powiedziała „patrzcie”. Choć słychać tu było stłumione odgłosy zabawy — rozmowy i śmiechy, nad którymi górowała piosenka „Cathy's Clown” — wydawało się to blade i trywialne w porównaniu z tym wszystkim, co miała teraz przed oczami. Ten bezludny włoski krajobraz z odległymi wzgórzami pod wysoką kopułą gwiazdzistego nieba, przesycony zapachem ziemi, palonego drewna i liści, miał w sobie jakiś pierwotny majestat. Daleko w dole lśniła wstęga rzeki, do której zbliżało się teraz niewielkie pojedyncze światło. Ktoś pewnie jechał na rowerze; za mostkiem zwolnił.

— Jest pięknie? — zapytał Mario.

— Bardzo.

— To należy do stryja Franceski.

— A on umiera...

— Tak.

— Ma dzieci?

— Nie.

— Więc kto odziedziczy to po jego śmierci?

Mario nie odpowiedział. Rzucił na ziemię niedopałek i starannie zmiądzzył go obcasem.

— Francesca?

— Nikt nie wie. On robi z tego wielki sekret.

— Ale Francesca może być jego spadkobierczynią?

— Ona była zawsze jego... hm... ulubienicą. Od długiego czasu.

Kate miała wrażenie, że rozproszone fragmenty łamigłówki układają się wreszcie w zrozumiały obraz. Może jeszcze niepełny, ale brakujące kawałki lada chwila wskoczą na miejsce. Zrozumiała teraz wiele zachowań Franceski, które dotąd tak ją dziwiły.

— Może pieniądze nie są dla niej tak ważne, jak sobie wyobrażasz.

Niecierpliwie machnął na to ręką.

— Ona nic nie rozumie. Jej się zdaje, że ponieważ... hm... dobrze bawi się we Florencji razem z tobą i twoimi kolegami, to stworzyła sobie inne życie. Sama. Bez rodziny. I że tak będzie dalej. Ale to fantazja. Ona nie może być zawsze *angelo del fango*.

— Ale może pracować. Może sama ułożyć sobie życie. Tak jak ja i moi koledzy.

— Ona nie jest taka jak wy.

— Skąd wiesz? Nie obserwowałeś jej przez te ostatnie tygodnie. Praca we Florencji wszystkich nas trochę zmieniła, ale u Franceski wywołało to naprawdę bardzo głęboką zmianę. Ona teraz dopiero zaczęła odkrywać siebie, dowiadywać się, kim jest naprawdę. A w ogóle co cię to obchodzi, czy odziedziczy forszę swego stryja, czy nie? I wiesz, co ci powiem? Zachowujesz się tak, jakbyś miał w tym własny interes.

— Chcę dobrego życia dla Franceski.

— Ja także, ale czy o tym decydują pieniądze? Spójrz na jej stryja. Czy ta wielka fortuna przyniosła mu szczęście? Nie, bo do szczęścia trzeba czegoś więcej. Trzeba robić to, na czym ci zależy, żyć wśród ludzi, którzy cię kochają i szanują, żeby gdy przyjdzie koniec...

— *Basta!* — przerwał jej gniewnie. — Dosyć. To dobre dla piosenek. W prawdziwym życiu tak nie jest. Ty przekupiłaś Francescę tym wariackim gadaniem. I nic cię nie obchodzi, że robisz jej krzywdę.

— Ja przekupiłam Francescę? Ja jej robię krzywdę? I kto to mówi? To ty ją tu przywlokłeś wbrew jej woli, choć wiesz, że nienawidzi tego domu! My tylko chcemy, żeby była sobą i żeby była szczęśliwa! I tak było przez te ostatnie tygodnie. Gdybyś ją wtedy widział, sam byś się o tym przekonał!

Na długą chwilę zapadła cisza.

— Kate — odezwał się wreszcie Mario — gdy ty jesteś gniewna, jesteś *molto bella*.

Zaskoczył ją tym komplementem, nie pozwoliła jednak wybić się z uderzenia.

— Z jakiej racji uważasz, że masz prawo wtrącać się w życie Franceski? Czy ty ją kochasz?

Tym razem cisza trwała jeszcze dłużej. Kate zaczynała już myśleć, że obraziła go tym pytaniem i odpowiedzi nie będzie, w końcu jednak odrzekł z westchnieniem:

— W przeszłości tak, ja ją kochałem, ale teraz... — urwał i spojrzał Kate w oczy z takim wyrazem twarzy, że przeszedł ją dreszcz. — ...teraz — zakończył ciszej — nie jestem już taki pewny.

Kate wstrzymała oddech: teraz powie jej wszystko. Czemu Francesca uciekła z domu, dlaczego wtedy, na moście, była tak zrozpaczona, z jakiego powodu ten weekend ma dla niego tak wielkie znaczenie i co właściwie łączy go z Francescą, lecz za tym wszystkim kryło się jeszcze jedno pytanie, kto wie, czy nie najważniejsze: czy między tym, że nie jest już pewien swych uczuć do dawnej ukochanej, a tym, w jaki sposób spogląda jej teraz w oczy, istnieje jakiś związek?

— Nie mówmy już o Francesce — wyrwało jej się.

— Chcesz, żeby mówić o tobie?

— Możesz nic nie mówić.

— W ogóle nic?

— Tak.

Stała nieruchomo, gdy pochylił się ku niej, a kiedy poczuła jego usta na swoich, zamknęła oczy. Gdy opasał ją ramionami, jej ciało przylgnęło do niego takim ruchem, jakby była lekka jak piórko, jakby to powiew wiatru wdmuchnął ją w jego w objęcia. Och, gdyby mogła pozostać w nich już na zawsze!

Całował ją coraz mocniej, coraz natarczywiej, jakby zbyt długo tłumiona namiętność zaczęła wreszcie zrywać wszelkie tamy. W niej także rosło pożądanie, a wraz z nim triumfalne uczucie, że pokonała przeszkody, że jest już bliska zwycięstwa, choć gdyby ją zapytano, co lub kogo pozostawia w pobitym polu, nie umiałaby odpowiedzieć.

To on rozluźnił uścisk i spytał nieco przekornie:

— Tobie się to podoba, Kate?

— Może — odrzekła tym samym tonem, choć na całej skórze czuła ciarki. — Spróbujmy jeszcze raz, żebym się mogła upewnić.

Ujął jej twarz w obie dłonie i przyciągnął do siebie. Czuła we włosach jego palce, a jego pocałunki... och, przekraczało to wszelkie jej oczekiwania. Nawet sobie nie wyobrażała, że można doznawać takich uczuć, tak potężnych i tak niezwykłych. Było to jak latanie i zarazem tonięcie. Pragnęła, by trwało wiecznie... by fala niosła ich dalej. Czuła, że i on tego pragnie, może nawet bardziej niż ona. Jego męskość gniotła ją w dół brzucha, coraz silniej domagając się spełnienia. Jak cudownie byłoby poddać się sile tych pragnień...

Tym razem to ona odsunęła się od niego — zabrakło jej tchu. Wargi nabrzmiały jej od pocałunków. Mario głośno łąpał powietrze.

— I co, Kate? Podoba ci się? — zapytał znowu.

Była zbyt podniecona, aby zauważyć, że zabrzmiało to szorstko, a nawet wręcz obraźliwie.

— Tak! — odrzekła radośnie. — Bardzo!

Gdy jednak spróbowała go pocałować, a on oburącz chwycił ją za głowę i osadził w miejscu, zamarła, zdumiona jego siłą i gniewnym wyrazem oczu.

— To lubisz robić ze swoimi angielskimi chłopakami?

— Co?

— Lubisz się pieprzyć?

— Co takiego? — Zdumienie zapało jej dech.

— Chcesz łatyńskiego kochanka?

Kate zachłysnęła się powietrzem.

— Jak śmiesz, ty draniu! — krzyknęła. Nie chciała płakać, lecz łzy same trysnęły jej z oczu.

Wciąż trzymał ją jak w imadle, nie przestając zarazem chciwie śledzić wyrazu jej twarzy.

— Dla ciebie to jest gra? Głupia dziecinna gra?

— Co ty gadasz!

— Nic nie wiesz o świecie Franceski, ale przyjeżdżasz tutaj i wygłaszasz wielkie przemówienia. Pomagasz jej niszczyć przyszłość. Dla ciebie to jest zabawa. Jak pieprzenie się z cudzoziemcem.

Kate wywinęła się z jego uścisku i z wściekłością trzasnęła go w twarz.

— Jak śmiesz tak mówić! To ty ją chcesz omotać, cholerny zbrojeńcu! I cóż takiego możesz mi zarzucić? Mnie nie zależy na forsie jej stryja! Dla mnie liczy się tylko Francesca! O Jezu! Jak mogłeś...! — urwała, bo zdławił ją szloch.

Chwycił ją za rękę. Zaczęła mu się wyrywać, był jednak za silny.

— Kate, proszę... — Nie dała mu skończyć, wściekła na siebie, że płacze, że okazała mu słabość.

— Puść mnie! — wrzasnęła. — Dlatego że sam masz popieprzone we łbie, myślisz, że wszyscy są tacy jak ty! Puść mnie, ty gadzie!

— Kate... — puścił jej rękę. — Może ja jestem w błędzie, ale...

— Pewnie że jesteś, do cholery!

— Kate!

Odwróciła się od niego i pędem pobiegła do domu. Wciąż trzęsła się na całym ciele, a serce waliło jak młotem — z wściekłości, upokorzenia i tłących się nadal resztek pożądania, choć budziło to teraz w niej wstyd. Od razu po wejściu do sali z nimfami zaczęła szperać wśród porzucanych butelek, dopóki nie znalazła takiej, w której pozostało jeszcze trochę wina. Pokój wydawał się większy — niektóre pary zdążyły się już ulotnić. Francesca poszła gdzieś z Davidem, a Jenny z Aidenem. Larry z ponurą miną siedział przy adapterze. Ujrawszy Kate, spróbował wciągnąć ją w dyskusję o wkładzie Wenecji w rozwój myśli i sztuki renesansu, lecz gdy na niego warknęła — chwalić Boga zamilkł. Siedziała pod ścianą z papierosem w ręku, kiedy odnalazła ją Francesca.

— Gdzie byłaś? — spytała Kate na jej widok.

— W kuchni. Namówiłam Angelicę, żeby poszła spać. Niech się tu nie kręci. Ma pokój na piętrze. Widziałaś gdzieś Maria?

— Nie — sucho odparła Kate. I oby nigdy więcej nie pokazał mi się na oczy, pomyślała. — A ty widziałaś Davida?

— Nie.

Uśmiechnęły się do siebie. Impreza dogorywała. Wino wysączone do ostatniej kropli, każdej płyty wysłuchano z dziesięć razy. Larry zasnął przy adapterze. Dido drzemała na szezlongu, na waleta z jakimś irlandzkim mechanikiem imieniem Fergus. Nie było jasne, skąd się tu wziął, ale co za różnica? Hugo spał już twardo w fotelu w samym kącie pokoju. Obok, oparta o ścianę jak strzelba, stała jego wielka opróżniona butla.

— Jestem wykończona — westchnęła Francesca.

— Ja też. Szkoda, że nie mamy łóżek.

— W *camerino* są poduszki... — niepewnie odrzekła Francesca.

— Co to jest „*camerino*”?

— Pokażę ci.

Był to mały pokoik w środkowej części domu. Z tego, co w świetle latarki udało się Kate zobaczyć, nie było tu okien. Ani żadnych mebli. Na podłodze leżały ogromne płaskie poduszki.

— Światła też tu nie ma?

— Nie jest potrzebne. — Francesca podniosła dwie poduszki i podała je Kate. — Weźmiemy te.

— Do czego służy ten pokój?

— Stryj trzymał tu swoje najwartościowsze obrazy. Teraz są w tamtym domu. Chodźmy już, Kate. W tym pokoju dostają gęziej skórki.

Dlaczego? Kate uważała, że to bardzo ciekawe pomieszczenie. I wcale nie groźne. Miało kształt ośmiokąta i do dwóch trzecich wysokości wyłożone było piękną boazerią. Między panelami widniały luki, w których kiedyś musiały wisieć obrazy. A jak sprytnie zrobione były drzwi!

— Popatrz — powiedziała — gdyby zamknąć te drzwi, trudno byłoby je znaleźć, tak dokładnie wpasowane są w boazerię.

— Nie zamykaj! — w głosie Franceski brzmiał lęk. — Nienawidzę tego pomieszczenia! Chodźmy stąd!

Znalazły sobie pokój odległy od sali z nimfami o całą długość korytarza, rozłożyły tam poduszki na podłodze i padły na nie w ubraniu, narzuciwszy na siebie jakiś koc wygrzebany skądś przez Francescę. Kate wciąż jeszcze nie chciało się spać.

— Jak ci poszło z Davidem? — zapytała. — Zdawało mi się, że coś się między wami dzieje.

— Tak, ale nie wyszło.

— A o co kłóciłaś się z Mariem? Francesca westchnęła.

— Od czego mam zacząć?

— Czy on cię kocha?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Kate już myślała, że Francesca zasnęła, gdy wreszcie padła odpowiedź:

— On myśli, że tak, w każdym razie...

— Co: w każdym razie?

— Chce się ze mną ożenić.

— Ożenić? — powtórzyła ze zgrozą Kate. Przerażała ją sama myśl o tym, że można tak młodo ugrzęznąć w małżeństwie. — Boże, cóż za okropny pomysł!

— Cóż, kogoś przecież trzeba poślubić.

— Dlaczego?

— Nie wiem, po prostu tak to już jest, że ludzie się pobierają.

— Och, ale nie teraz! Może po trzydziestce... Francesca zachichotała:

— Myślę, że Mario pogodził się już z myślą o bardzo długim narzeczeństwie, choć wcale go to nie cieszy. Dobranoc, Kate — dodała wesoło.

— Śpij dobrze, Francesco.

Zaczynało świtać, gdy Kate obudził jakiś dźwięk. Francesca siedziała obok, z trudem łapiąc oddech. Widać było, że jest przerażona.

— Odejdź! — wykrztusiła. — Daj mi spokój! Nie zrobię tego! Nieee!

Kate sennym ruchem poklepała ją po ramieniu.

— Hej, Francesca! Obudź się! Nie ma się czego bać, to tylko sen.

Trochę to trwało, nim Francesca oprzytomniała, ale w końcu z głębokim westchnieniem wyciągnęła się znów na posłaniu.

— Co to było? — spytała Kate.

— Ach, nic takiego, po prostu zły sen. Śpij, Kate.

# ROZDZIAŁ 23

## NASTĘPNY RANEK

David obudził się w fatalnym stanie: z obrzydliwym smakiem w ustach i podchodzącymi raz po raz do gardła falami mdłości. I gdybyż to był tylko zwykły kac! Niestety, dolegliwościom fizycznym towarzyszył gigantyczny kac moralny, i to było stokroć gorsze. Na myśl o minionym wieczorze ogarniało go przygnębienie na zmianę z niesmakiem i złością — do siebie i całego świata. Szczególnie własna osoba budziła w nim takie obrzydzenie, że po prostu chciało się rzygać!

Gdy wieczorem wyrzął przez okno i zobaczył Kate całującą się z tym śliskim włoskim doktorkiem, omal nie wyszedł z siebie. Tak gwałtownie odwrócił się od okna, że wpadł na Annę, która też sprawiała wrażenie, jakby ktoś ją zostawił na lodzie, no i zaczął z nią tańczyć — głównie po to, by nie pognać na taras i nie zrobić z siebie jeszcze większego durnia. Był przekonany, że dojdzie do czegoś z Francescą, i co się okazało? Że był jej potrzebny tylko na chwilę, bo miała dość kłótni z tym cholernym włoskim przyjemniaczkiem. Po paru tańcach usłyszał „*arrivederci*, Davidzie” — i już jej nie było. Poszła się bawić z kim innym. Najgorsze, że przez nią stracił też szansę z Kate. Z tego, co widział przez okno, nietrudno było domyślić się dalszego ciągu. Był pewien, że ten gładki doktorek nie zmarnuje takiej okazji.

Wciąż jeszcze bił się z myślami, czy jednak nie dać mu w pysk, gdy zauważył, że Anna jest naprawdę sexy, zwłaszcza w tak bliskim kontakcie. Może i wyglądała jak postać z wiktoriańskiej wersji opowieści o królu Arturze, ale swym tańcem mogłaby skusić świętego. Wiła się wokół niego jak wąż, niedwuznacznie dając mu do zrozumienia, że nie miałyby nic przeciwko paru pocałunkom, postanowił więc spróbować — z prostej ciekawości. Z jej reakcji nie sposób było odgadnąć, czy podoba jej się to, czy nie, po chwili jednak odchyliła się do tyłu i patrząc na niego dość zachęcająco, oznajmiła:

— Znam miejsce, gdzie moglibyśmy być sami. — Po tych słowach wzięła go za rękę i poprowadziła w głąb domu.

Był to mały pokój na tyłach, służący chyba za składzik; po jednej stronie stały jakieś pudła, po drugiej zielone polowe łóżko przykryte paroma kocami. Pewnie sprawiło to wypite wino, że olśniło go dopiero w tym momencie, co mu ofiarowano i że jest tego więcej, niżby się mógł spodziewać. Zrobił krok w stronę Anny, zamierzając ją pocałować, ale ona zdejmowała już sweter, widząc więc na podłodze jasnozieloną skarpetkę, pochylił się, by ją podnieść. Druga leżała obok.

— Wygląda na to, że ktoś nas uprzedził — zauważył z lekkim skrepowaniem.

Kiedy się wyprostował, miała na sobie już tylko majtki i stanik — niewiarygodne, że można się rozebrać w takim tempie! — nie był to jednak koniec niespodzianek. Gdy ogarnięty szczerym podziwem wciąż jeszcze stał jak słup soli, dzierżąc w garści parę jasnozielonych skarpetek, ona rozpięła mu suwak i wprawnym ruchem zapuściła rękę pod jego bokserki.

Potem już wszystko potoczyło się niezwykle szybko — jak w przyspieszonej wersji pornofilmu.

O wiele za szybko, pomyślał już po, lecz gdy napomknął o tym Annie, stwierdziła, że wcale nie — jej zdaniem było całkiem dobrze. Komunikując mu tę opinię, zaczęła już wkładać spodnie.

— Pomyślałem tylko — powiedział, nie widząc jej twarzy, bo zasłaniały ją włosy — że moglibyśmy spróbować jeszcze raz, trochę wolniej.

W milczeniu potrząsnęła głową, a on zauważył, że wkłada te jasnozielone skarpetki.

— To twoje?

— Uhm.

Poczuł się jak dętka, z której ktoś nagle spuścił powietrze.

— Kto tu był z tobą?

— Larry. — Widział teraz jej twarz; nigdy jeszcze nie wydała mu się tak dziecinna i tak żałosna.

— Larry? Myślałem, że on i Jenny...

— Jenny poszła się przespać z Aidenem.

— O Jezus! — David z takim impetem opadł na łóżko, że rąbnął głową o ścianę. Cholernie go zabolalo i pewnie dlatego stał się paskudnie brutalny.

— Często bywasz nagrodą pocieszenia? Całkiem już ubrana popatrzyła na swoje buty.

— Po prostu wciąż czegoś szukam — powiedziała cicho.

— We mnie chyba tego nie znalazłaś?

— Nie. — Było to smutne „nie”. Obdarzyła go lekkim uśmiechem, co uznał z kolei za nagrodę pocieszenia dla siebie, i wyszła z pokoju. Przez chwilę słyszał jeszcze jej nierówne kroki oddalające się w głąb korytarza.

Z głuchym jękiem stoczył się z łóżka i zaczął naciągać spodnie. Ale się porobiło! Miał ochotę napluć sobie w gębę za ten nieszczęsny incydent. Och, gorzej już być nie mogło! Prędko, byle jak i bez smaku — całkiem jak w barze szybkiej obsługi. Bez żadnych uczuć, bez odrobiny ciepła. Najbardziej jednak nękało go to, że Anna nie była właściwą osobą. Jak mógł do tego dopuścić? Gdyby to zrobił z Francescą, wszystko byłoby w porządku, ale naprawdę cudownie mogło być tylko z Kate. Teraz dopiero, siedząc na brzegu łóżka, uświadomił sobie, jak desperacko jej pragnie. Przez kogo wszystko tak się popieprzyło? Część winy ponosiła chyba Kate, wołał jednak całością obciążyć Maria. Był wprost chory z zazdrości na samą myśl o tym, że ci dwoje są teraz razem.

Miał już włożyć buty, rozmyślił się jednak w pół gestu. Z rezygnacją zwałił się na łóżko i zapadł w ponury sen.

Kiedy wreszcie wyłonił się z graciarni, świat zasnuty był mleczną bielą. Nocą znad rzeki uniosła się mgła, kiedy więc otwarto okiennice, pokoje wypełniło niesamowite półświatło, w którym wszystkie wnętrza wydawały się jeszcze większe, zimniejsze i bardziej bezosobowe. Odgłos kroków na marmurowych posadzkach brzmiał głucho, ludzkie głosy rozpraszały się gdzieś bez echa, jakby grzęzły w czymś gęstym i lepkim.



Nikt nie spędził tej nocy zbyt wygodnie. Na tle tego, czym musieli zadowolić się inni, połowe łóżko Davida mogło uchodzić za luksus. Wciąż jeszcze nie doszedł z sobą do ładu, poczuł się jednak odrobinę lepiej, gdy się okazało, że Kate i Francesca spędziły tę noc we dwojkę na jakichś twardych poduszkach. Hugonowi powiodło się gorzej: spał na dwóch zsuniętych krzeselkach w stylu Ludwika XV, które z wolna zaczęły się rozsuwać, wisiał więc między nimi jak hamak, aż w końcu wyśladował na posadzce. Maria nie było i nikt nic o nim nie wiedział.

Ranek był chłodny, a gorąca woda skończyła się zaraz po pierwszej kąpieli. Gospodyni, u której próbowano interweniować, oznajmiła triumfalnie, że na powtórne ogrzanie zbiornika trzeba będzie czekać kilka godzin, jeśli jednak miała nadzieję przepłoszyć w ten sposób niemiłych intruzów, to spotkał ją srogi zawód. Dla nich nawet te niedogodności stanowiły element wielkiej przygody, a złośliwostki Zębowej Wróżki pobudzały ich tylko do śmiechu. Przeciągając się i ziewając, zaczęli dla rozgrzewki pić kawę, wzmacniając ją solidną dawką nikotyny.

A potem ruszyli na zwiedzanie willi. Zaraz po przyjeździe każde z nich uznało na swój sposób, że to bardzo interesujące miejsce, ale wtedy oglądali to wewnątrz z punktu widzenia swych potrzeb; całe to wewnątrz stanowiło w ich oczach coś w rodzaju sceny dla planowanej imprezy. Teraz jednak mogli się przekonać, że nie jest to bynajmniej tekturowa dekoracja, ale solidna budowla, pełna charakteru i tak wielkiego uroku, że graniczył on doprawdy z magią. Niektórzy dopiero teraz spostrzegli, że wzdłuż domu rozciąga się szeroki taras z przepięknym widokiem na dolinę i okoliczne wzgórza. Ciekawe, kto to zbudował, zastanawiał się David. Jakiś bogaty kupiec? A może wyniosły arystokrata obsługiwany przez setki lokajów? Bez względu jednak na to, kim byli dawni właściciele, powiedział sobie w duchu, teraz pewnie przewracają się w grobach, widząc taką bandę barbarzyńców przewalającą się po ich siedzibie.

Tymczasem skacowani barbarzyńcy, piastując w rękach kubki z dobroczynną kawą, skrupulatnie zwiedzali pokój po pokoju. Niewiele w nich było mebli, ale za to olbrzymie, a ich wartość musiała być równie ogromna. Takie meble widuje się w muzeach lub budynkach użyteczności publicznej, myślał David — ale w prywatnym domu? Wprost nie mieściło mu się to w głowie. Gdy jednak wyraził głośno swe uwagi, Francesca zbyła je wzruszeniem ramion.

— To same resztki, które nie zmieściły się w La Rokce — rzuciła lekceważąco. — Najlepsze sztuki stryj zabrał z sobą.

Jeremy, który dobrze znał się na rzeczy jako syn właściciela sklepu z antykami, uśmiechnął się nieco przekornie.

— Nie wydaje mi się — powiedział, klepiąc marmurową złoconą konsolę — żeby takie „resztki” można było nabyć na pchlim targu.

Największy podziw Davida wzbudziły obrazy. Nigdy by nie przypuszczał, że można posiadać takie skarby i trzymać je w domu! Tym razem odpowiedź Franceski była jeszcze bardziej zdumiewająca. Wydawała się, owszem, zadowolona z wrażenia, jakie wywarła na nim ta kolekcja, lecz wyraźnie zaniżała jej wartość.

— To tylko drugi sort — powiedziała, wskazując machnięciem ręki dwa szesnastowieczne wizerunki świętych. — Naprawdę dobre obrazy ma u siebie stryj.

— Ale to oryginały, prawda?

— Naturalnie. Po co miałby kupować podróbki? Najwidoczniej nie przyszło ci na myśl, że są ludzie, których nie stać na nic więcej, pomyślał David.

— Więc to prawdziwy Tiepolo? — zapytał, rzuciwszy okiem na plaketkę pod jakimś niewielkim portretem.

— Tak, ale nie najlepszy.

Dido parsknęła zduszonym śmiechem. David wiedział, co to oznacza: Dido dokonuje kolejnego zapisu w swym mentalnym rejestrze osobliwości, pod hasłem „Idiosynkrazje bogatych przyjaciół”.

Ulegając namowom Kate, udali się następnie do ośmiokątnej sypialni bez okien. Francesca wyjaśniła, że domownicy nazywają go *camerino* i że tutaj stryj trzymał najlepsze obrazy, kiedy mieszkał w willi Beatrycze. Pozwoliła wszystkim wejść do środka, lecz sama została przy drzwiach.

— Co to były za obrazy? — spytała Dido, obrysowując palcem widoczny na ścianie kontur wiszącego tam kiedyś płótna.

— Dwa Veronesy, Rafael, Piombino... reszty nie pamiętam.

David gwizdnął cicho. Sam nie wiedział, co wprawia go w większy podziw: wymienione przez Francescę nazwiska czy to, że potrafiła zapomnieć o innych.

— Uważajcie! — zawołała Kate. — Zamknę teraz te drzwi, a wy spróbujcie je znaleźć. Wątpię, czy wam się to uda. — Miała właśnie to zademonstrować, kiedy drogę zastąpiła jej Francesca.

— Nie, Kate, daj spokój. Nie znoszę tego pokoju, kiedy drzwi są zamknięte. Dostaję klaustrofobii.

— To zostań w holu. Sama im pokażę.

Francesca wzruszyła ramionami, ale wycofała się na korytarz. Davidowi coś kazało wyjść za nią. Ta dziewczyna od początku budziła w nim ciekawość, a odkąd zobaczył ją w tym domu, który musiał odegrać jakąś ważną rolę w jej życiu, intrygowała go coraz bardziej. Sam dom zresztą nasuwał też wiele pytań, na które brakowało odpowiedzi.

Zza drzwi dochodził jedynie stłumiony szmer głosów. Widząc napięcie w twarzy i ruchach Franceski, David zapalił dwa papierosy — dla siebie i dla niej — po czym fingując obojętność, spróbował zagać rozmowę:

— Ja też nie przepadam za ciasnymi pomieszczeniami, a ten pokój w dodatku jest jakiś niesamowity. Wyobrażam sobie, że starożytni Rzymianie w takich właśnie miejscach zamuroywali swe niewierne żony.

Ku jego zdumieniu Francesca zbladła jak płótno i gwałtownym szarpnięciem otworzyła drzwi.

— Wychodźcie! — krzyknęła. — Dość tego! Prędzej!

— Co się stało? — Zaalarmowani dzwiczącą w jej głosie histerią, wszyscy naraz rzucili się do wyjścia.

— Nie chcę, żebyście tam byli!

— Dlaczego? — spytała oszołomiona Dido. Inni też wydawali się zakłopotani.

— Po prostu nie chcę! — Francesca była bliska łez.

— Cholera — mruknął Ross. — Już myślałem, że gdzieś się pali.

Wciąż jeszcze z lekka zbici z tropu niezrozumiałym zachowaniem swojej przewodniczki, ruszyli dalej.

Większa część obrazów wisiała w długiej galerii na tyłach domu. Okiennice były tu stale zamknięte dla ochrony przed słońcem, teraz jednak Francesca wpuściła do wnętrza trochę mętnego światła. Na widok zgromadzonych tu płócien rozległ się szmerek uznania.

— Jakim cudem ten człowiek, to znaczy twój stryj, dorobił się takiej kolekcji? Musi być chyba bajecznie bogaty?

— Jest bogaty — przyznała Francesca — przypuszczam jednak, że większość tego, co tu wisi, kupił po prostu za bezcen. We Włoszech są ludzie, którzy w czasie drugiej wojny światowej dorobili się ogromnych fortun, a on... on był jednym z nich. Kiedy komuś jest obojętne, po której znajduje się stronie, nietrudno robić kokosowe interesy. Okazje same pchają się do rąk. Myślę, że tak właśnie zdobył tę posiadłość. To stary łajdak bez żadnych skrupułów. Zawsze był taki — powiedziała z pogardą

— Gust też ma szczególny — odezwała się Dido.

— Co masz na myśli?

— Przyjrzyjcie się tym obrazom. Przedstawiają same okropności, tortury, gwałty, podcinanie gardeł. Widzicie tu choćby jednego anioła czy martwą naturę?

Uwaga Dido zainicjowała osobliwe współzawodnictwo: komu uda się znaleźć najstraszliwszą scenę.

— Tutaj smażą na grillu jakiegoś biednego łotryka! — zawołał Aiden.

— To święty Wawrzyniec, patron Florencji — wyjaśniła Francesca — a pieką go nie na grillu, tylko na specjalnym ruszcie, czyli wielkiej kratownicy, pod którą pali się ogień.

— Tak czy inaczej jemu niezbyt się to podoba.

— A co to za gołe ślicznotki? — zapytał Hugo. — Wyglądają jak hostessy z plaży dla nudystów.

— Przeczytaj tytuł.

— Ach, tak. „Porwanie Sabinek”.

— Zostały zgwałcone przez towarzyszy Romulusa, współzałożyciela Rzymu.

— W tym pokoju, gdzie byliśmy wczoraj, też wisi obraz przedstawiający akt gwałtu — dodała Jenny.

— Och, a tutaj kobieta niesie na półmisku jakieś okropieństwo, które wygląda jak dwie meduzy, obawiam się jednak, że to jej piersi — skrzywiła się Kate.

— A tego byk przebił rogiem! — pisnęła Anna.

Zdaniem Davida konkurs wygrał jednak inny obraz. Przedstawiał nagiego człowieka zwisającego głową w dół z gałęzi, do której przywiązany był za kostki. Kilku ludzi stojących pod drzewem przyglądało mu się z zainteresowaniem. Jeden z nich trzymał w ręku nóż.

— „Darcie pasów z Marsjasza” — odczytała Dido. — Mają zamiar spuścić mu manto?

— Nie — odrzekł David. — Będą go żywcem obdzierać ze skóry.

— Żartujesz!

— David ma rację — potwierdziła Francesca. — Marsjasz był satyrem, na tyle zuchwałym, że chciał współzawodniczyć z bogami, i za to spotkała go kara. Stryj ma jeszcze jedną wersję tej sceny. Jest to drewniana rzeźba, nie większa od mojej pięści, ale tak doskonała, że widać wszystkie szczegóły. Marsjasz przewieszony jest przez sanie, którymi wożono skazańców na miejsce straceń, a oprawcy zaczynają zdejmować już z niego skórę. Robią to z taką łatwością, jakby obierali mandarynkę.

— A ofiara jeszcze żyje?

— Z początku tak.

W galerii zapadła cisza.

— Dobrze, że ten malarz tego nie pokazał — odezwała się Jenny. — Pewnie miał więcej litości.

— A ja myślę, że to, co widzimy, jest gorsze — powiedziała Kate. — To straszne, gdy wiemy, że za chwilę spotka nas coś takiego. Ciarki mnie przechodzą, kiedy na to patrzę. — Rozejrzała się dookoła, a podchwyciwszy spojrzenie Davida, dodała cicho: — Najstraszniejszy jest moment, gdy cała makabra jest jeszcze przed nami.

# ROZDZIAŁ 24

## SKUTERY

Około południa mgła zaczęła miejscami pękać i w „okienkach” zabłysło słońce. Wszyscy się gdzieś rozeszli, jedynie Aiden samotnie siedział na tarasie, grając jakąś hiszpańską, klasycznie brzmiącą melodię. Widząc Larry'ego i Jenny powracających z wycieczki po okolicy, łypnął na nich ze śmiercią w oczach. Pod wpływem ich entuzjastycznej relacji, że ogród jest nawet ciekawszy niż willa, David zainicjował wyprawę badawczą.

Ten ogród różnił się wręcz diametralnie od wszystkiego, co w jego pojęciu można było nazwać ogrodem, a wisząca nad ziemią szara kurtyna mgły, usiana złotymi plamami blasku, pogłębiała jeszcze tę odmienność. Nie było tu ani trawników, ani kwiatowych rabat, tylko mnóstwo tarasów i ścieżek, niekiedy szerokich, kiedy indziej tak wąskich, że trzeba było iść gęsiego, obwiedzionych różnymi rodzajami żywopłotów, a kończących się to jakimś posągami czy urną, to znów zapierającym dech w piersiach widokiem. Zwisające z sąsiednich szczytów pasma przejrzystej mgły poetycko nastroiły Annę, która wykrzyknęła z emfazą, że cała natura spowiła się dzisiaj w szyfonowe szale.

— Wiesz co — odezwała się Dido — kłopot z tobą polega na tym, że człowiek nigdy nie wie, czy kpisz, czy mówisz serio.

Widząc na twarzy Anny ten sam beznadziejnie żaloszny wyraz, który zaobserwował też wkrótce po ich łózkowych wyczynach, David zapragnął ją jakoś pocieszyć.

— Chciałbym kiedyś przeczytać któryś z twoich wierszy.

— Naprawdę? — Wydawała się zdziwiona jego prośbą.

— Tak.

— Swoje wiersze pokazuję tylko wtedy, kiedy je uznam za dobre — odrzekła dumnie, lecz po chwili dodała ciszej:

— Tylko że jak dotąd żaden taki nie był.

— Wobec tego poczekam, bo wierzę, że będzie.

— Dobrze — odrzekła obojętnie, skręcając w kolejną ścieżkę.

Poczuł coś w rodzaju zawodu. Ich krótkie sam na sam w graciarni nie było zbyt romantyczne, ale na litość boską, coś przecież się stało! Powinno to było wytworzyć między nimi jakąś więź, a ona go traktuje jak kogoś obcego!

Mocno tym zdegustowany postanowił poszukać Kate. Znalazł ją w najdalszym zakątku ogrodu, gdzie nie było już ciemnych, strzelistych cyprysów, tylko niskie zarośla i niewielkie drzewka. Stała razem z Francescą na brzegu obszernej niecki do złudzenia przypominającej naturalny amfiteatr ze wspaniałym widokiem na rzekę.

— Cóż za fantastyczne miejsce! — wykrzyknęła z zachwytem. — W życiu nie widziałam czegoś podobnego. Popatrz, Davidzie — powiedziała, kiedy stanął jej tuż za plecami — można by tu zbudować teatr. Pomyśl, prawdziwy teatr pod gołym niebem! Wystarczyłoby tylko wydrążyć w zboczu miejsca dla publiczności i gotowe!

Francesca wybuchnęła śmiechem.

— I któż by tu przyszedł? Nie mówiąc już o tym, że ktoś by to musiał zbudować.

— Może miejscowi.

— Trochę nam tu brakuje sąsiadów, nie uważasz? — Zatoczyła ręką po bezludnych wzgórzach.

— Można przecież ściągnąć ludzi z zewnątrz. — Kate coraz bardziej zapalała się do swego pomysłu. — Mogłabyś na przykład otworzyć jakąś letnią szkołę, a do budowy obiektu skaptować ludzi pracujących we Florencji, którzy chętnie wyrwaliby się gdzieś na weekend.

— Takich jak ty?

— No jasne! Nie zdążyłabyś mrugnąć okiem, a już bym tu była. Założę się, że David też, prawda, Davidzie? Pomógłbyś budować teatr? Wiedziała, że tak — roześmiała się, gdy skinął głową. — Przecież to zbrodnia, żeby taka willa tyle czasu świeciła pustkami. Tu powinno być pełno ludzi!

Widać było, że Francesca zaczyna poważnie traktować ten pomysł.

— A wiesz, Kate, ty masz rację. Naprawdę chciałabyś mi pomóc? Zaczynam myśleć, że razem mogłybyśmy zupełnie odmienić to miejsce, przekształcić je w coś pożytecznego.

— Czemu nie? — Kate uśmiechnęła się szeroko.

— To wspaniały pomysł — włączył się David, któremu perspektywa powrotu do Anglii wydała się nagle zabójczo nudna, bo niby co go tam czeka? Każą mu się ostrzyć i zapędzą do nauki tak „fascynujących” rzeczy, jak środki do czyszczenia garderoby, zarządzanie całą siecią punktów usługowych i tak dalej. Za jakiś czas zacznie już tyle zarabiać, że ożeni się z jakąś ładną dziewczyną z włosami do ramion i aksamitną przepaską, a w weekendy będzie grywał w golfa i chodził do tego samego pubu. Upajające! Ale czy musi tak być? A gdyby tu zostać i pomóc Francesce w realizacji jej marzeń? Popatrzył na Kate. W jej oczach błyszczał taki entuzjizm! Wiedział, że i ona nienawidzi myśli o powrocie, o tej otumaniającej pracy, którą chcą jej narzucić rodzice. A gdyby zostali tu oboje? Razem z Francescą? We trójkę na pewno zdołaliby sobie ułożyć o wiele ciekawszą przyszłość.

— Ty też tak myślisz, Davidzie? — spytała Francesca. — Byłoby cudownie, gdyby nam się udało stworzyć coś dobrego z całego tego... bólu, strachu, okropności...

— Jakiego bólu?

— To... — Francesca nagle urwała. David czuł, że pragnęła im wyznać jakąś długo skrywaną tajemnicę, i właśnie w tej chwili musiał pojawić się Mario! Poczul, że zalewa go nienawiść. Ten cholerny doktorek! Wciąż wyrasta, gdzie go nie posieją, i zawsze po to, żeby wszystko popsuć.

Francesca na widok intruza kopnęła jakiś kamyczek, odprowadziła go wzrokiem na miejsce upadku i wtedy dopiero podniosła oczy.

— *Ciao*, Mario.

— *Ciao*, *tutti*.

David zauważył, że Mario skinął głową Francesce i jemu, pominął natomiast Kate.

— Gdzie byłeś? — spytała Francesca. — Myśleliśmy, że już wyjechałeś.

Okazało się, że około dziesiątej wieczorem poszedł złożyć wizytę właścicielowi domu i zapewnić go przy okazji, że w willi nie dzieje się nic złego.

— Powiedziałem, że wszyscy twoi przyjaciele są *molto* czarujący i godni szacunku — oznajmił z lisią miną, na co Kate zauważyła chłodno, że nie mógł powiedzieć nic innego, bo byłoby to oszczerstwo.

Okazało się również, że kiedy wrócił z La Rokki, Angelica zaprowadziła go tajnie do którejś z zakazanych sypialń. No jasne, pan doktor musiał przecież porządnie się wyspać! Dlatego jest taki świeżutki, wypoczęty i wygolony, myślał David. Och, z jakąż rozkoszą starłby mu z gęby ten obleśnie przymilny uśmiezek! Doprawdy nie pamiętał, czy kiedykolwiek ktoś budził w nim taką mściwość!

Pocieszające było tylko to, że Kate także zdawała się darzyć niechęcią wczorajszego amanta. Ciekawe, co się stało po tych czułych słówkach i namiętnych pocałunkach na tarasie?

Doktorek jednak niedługo zachował rezerwę. Już po chwili zwrócił się do Kate takim tonem, jakby chciał jej wynagrodzić jakąś przykrość.

— No i jak się tobie podoba włoski ogród?

— Jest piękny — odrzekła, nie patrząc mu w oczy. — Dyskutowaliśmy właśnie nad przyszłością willi Beatrycze. W jaki sposób można by ją wykorzystać.

— W przyszłości?

— Tak. Zastanawialiśmy się, co zrobić, by to miejsce mogło służyć ludziom. Jak widzisz, nie wszyscy są tak opętani myślą o pieniądzach jak ty.

Wzruszył ramionami i zwrócił się do Franceski:

— Odwiedzisz teraz swego stryja?

— Dobrze, skoro sobie tego życzysz — odrzekła, wyraźnie zaskakując go tą odpowiedzią — ale Kate i David pójda z mną. Zgadzacie się?

David nie miał pojęcia, co tu jest grane, wystarczyła mu jednak kwaśna mina doktoroka, by natychmiast wyrazić zgodę:

— Jasne! Bardzo chętnie.

Gdy parami ruszyli w stronę domu — Mario z Francescą, a on z Kate parę kroków z tyłu — zapytał zniżonym głosem:

— Gdzież to cię nosiło tej nocy?

— Niedaleko — odparła wymijająco. — A ciebie?

— Och, tak mnie podcięło, że padłem. — Czyżby wiedziała o Annie? pomyślał, widząc jej spojrzenie. Było w nim niedowierzanie i jakby lekka ironia.

Zbliżając się do willi, usłyszeli dziwny hałas dochodzący od strony podjazdu.

— A to co? — spytała Kate. — Brzmi całkiem jak kłótnia dwóch maszyn do szycia.

— Przestań — jęknął David — bo skończysz jak Anna.

— Znaleźli vespy — rzuciła przez ramię Francesca.

Miała rację. Okrążywszy róg domu, zobaczyli Larry'ego i Aiden na dwóch malutkich skuterach. Jenny usadowiona na schodach — na pelerynie Aiden — przyglądała się ich popisom. Larry, którego pajęczce odnóża śmiesznie sterczały na boki, z natchnioną miną deklamował fragmenty „Hiawathy”, choć jego piskliwy głosik tonął w warkocie silników. Na widok kolegów obaj jeźdźcy zatrzymali swe maszyny.

— Jakie fajne! Zawsze miałam ochotę przejechać się na czymś takim! — zawołała Kate.

— No to chodź! Zaraz ci pokażę, jak się je prowadzi — odrzekła ze śmiechem Francesca, gdy Aiden usłużnie zeskoczył z siodełka.

— A co z Zio Tonim? — wtrącił się Mario.

— Och, przecież pamiętam! — zawołała niecierpliwie.

— Zadzwoń do niego i powiedz, że zaraz przyjdę. Będzie miał trochę czasu, żeby wpaść w lepszy nastrój. Spójrz, Kate, tym tutaj przyspieszasz, a tym zatrzymujesz, i tyle, nic więcej nie musisz robić.

— Ale ty zaraz przyjdiesz? — nadal nudził Mario.

— Przecież powiedziałam!

Pokręcił głową z niezadowoleniem, skierował się jednak na schody; przed samymi drzwiami raz jeszcze zerknął na Francescę, i w końcu zniknął im z oczu. David z cichą satysfakcją odnotował tę drobną porażkę doktorka i zaczął przyglądać się Kate, która właśnie powoli ruszyła z miejsca. Śmieszyły go te małe skuterki; uważał je za zabawki, w dodatku mocno przechwalone — on sam miał w domu prawdziwą raketę marki BSA — ale skoro te harce irytują tamtego, to świetnie!

Zakończywszy solową rundkę po podjeździe, Kate zachęciła Jenny do zabawy i teraz obie, jadąc ramię w ramię, triumfalnie zatoczyły trzy kółka. Po tej udanej próbie nabrały już tyle odwagi, że zaczęły jeździć coraz szybciej, a ich piski i śmiechy wywabiły z domu całe towarzystwo, które zainstalowało się na schodach, aby obserwować ich wyczyny.

— Jeździ się na nich zupełnie jak na kucykach. Może byście się pościgały? — zaproponowała Anna, która ku zdumieniu wszystkich obecnych okazała się tak namiętną miłośniczką tych małych koników, że przez cały czas pobytu w katolickiej szkole z internatem miała ze sobą swego ulubieńca. Później dopiero tę końską namiętność zastąpili chłopcy.

Za jej namową David i Aiden zgodzili się służyć za pacholki, aby zawodniczki wiedziały, w którym miejscu mają nawracać, a potem im samym pozwolono wsiąść na skutery. Dla urozmaicenia wyścigu mieli w locie zbierać gałązki z jednej strony podjazdu i układać je w stertę po drugiej.

W trakcie tej zabawy Francesca podbiegła nagle do Davida.

— Mario wraca! Pozwól mi usiąść za sobą.

— Mam cię zawieźć do stryja?

— W żadnym razie! Tu jest dużo fajniej. Pościgajmy się jeszcze trochę!



— Jak sobie życzysz — odrzekł uszczęśliwiony, a gdy objęła go w pasie, jego satysfakcja sięgnęła szczytu.

Stojący na schodach Mario wymachiwał rękami, krzycząc coś po włosku.

— Czego on chce?

— Wciąż truje o stryju.

— Takie to pilne?

— Wcale nie. Stary potwór może poczekać.

— Może by tak urządzić turniej? — zawołała Dido, pokazując dwie stare miotły znalezione w jakiejś komórce. — Kto kogo wysadzi z siodła.

— Dla mnie bomba! — krzyknął Aiden. — Siadaj za mną, i jazda! Pokonamy ich wstępnym bojem.

Dido jednak bała się wszystkiego, co miało tylko dwa kółka, miotłę chwyciła więc Kate i zajęła miejsce za Aidenem.

— Gotowa?

— Tak!

— No to jazda!

Dwie vespy ruszyły na siebie, lecz miotły chybiły celu.

— Stop! — wrzasnął Mario, zbiegając ze schodów, lecz gdy spróbował zatrzymać Davida, oberwał miotłą po kostkach. Francesca wprawdzie krzyknęła „uważaj!” było już jednak za późno. Wycofał się więc jak niepyszny, nie przestając krzyczeć po włosku, choć nikt już teraz nie zwracał na niego uwagi.

— Jestem Audrey Hepburn w „Rzymskich wakacjach”, a ty będziesz Gregorem Peckiem — zawołała Kate do Aideny.

— A my jesteśmy z *La Dolce Vita!* — krzyknęła Francesca. — Niech żyje „Słodkie życie”!

David śmiał się jak wariat. Nie bawił się tak od wieków, a rozpacz włoskiego doktora spływała mu miodem po sercu.

Podczas drugiego najazdu miotła Kate trafiła go w nogę, tak że omal się nie wykopyrtnął, udało mu się jednak utrzymać w siodle. Francesca z zapalem zachęcała go do boju, brykając w tył i w przód na siodelku, musiał więc mocno się starać, żeby nie jechać zygzakiem. Widownia podzielona na dwa obozy gromko dopingowała zawodników. Nie bawił się tylko Mario.

— Co wy robicie? — krzyczał. — Czyście oszaleli?

— Tak! — odkrzyknęła Francesca. — Wszyscy jesteśmy szaleni, i bardzo nam z tym dobrze! Możesz nam tylko zazdrościć!

Resztki mgły już opadły i zaczęło się robić gorąco. Przed kolejnym pojedynkiem jeźdźcy zatrzymali się na chwilę, by pozrzucić swetry, a Kate i Francesca mocniej uchwyciły miotły.

— Raz, dwa i trzy! Napróżd! — rozległ się okrzyk widowni.

Tym razem miotła Kate trafiła Davida w biodro, Francesca zaś zbyt późno wycofała swoją i któryś z ostrych patyków drasnął Aideną w głowę. Spod jego żółtych włosów popłynął strumyczek krwi, co widzowie powitali wrzaskliwą owacją.

— Przestańcie! — wołał Mario, biegnąc w stronę skutera Franceski. — Przestańcie, zanim ktoś będzie ranny!

— Chcesz przestać, *Dolce*? — zapytał David.

— Nie! Jedź!

David wyrwał do przodu, sprawnie omijając Maria, i zatrzymał się obok Aideny i Kate. Och, gdyby zamiast tej śmiesznej zabawki miał pod sobą własną maszynę, to dopiero byłaby frajda!

— Co teraz? — spytał Aiden, ocierając z czoła krople krwi.

Coś w jego tonie wzbudziło w Davidzie ducha rywalizacji. Obaj równocześnie włączyli silniki, dla obu stało się jasne, że to już nie będzie zabawa. David stwierdził też satysfakcją, że po porannym kacu nie zostało śladu. Umysł miał jasny i czysty jak kryształ.

— Może teraz pościgamy się na serio? — rzucił zachęcająco.

— Dokąd?

— Do głównej drogi.

— Dobra. Tam i z powrotem.

— Z miotłami?

— Bez mioteł.

— Rzućcie je gdzieś, dziewczyny.

— Okej, możemy jechać.

— Na twój znak ruszamy.

— Start!

Powoli ruszyli z miejsca — jeden obok drugiego.

— Stójcie! — wrzasnął znów Mario. — Kate, Francesca, przestańcie! Te skutery to nie są dziecinne zabawki!

— Szybciej, bo nas zatrzyma! — syknęła Francesca, puszczając oko do Kate.

David dodał gazu i jego pojazd odskoczył od przeciwnika. Gdy zaczęli zjeżdżać w dół zbocza, zdumiała go zwrotność tych malutkich maszyn i to, że z taką łatwością wykonują każdy żądany manewr. Zerknąwszy do tyłu, stwierdził, że Mario już ich nie ściga, choć wciąż wykrzykuje jakieś przestrogi.

— Niech się wypcha! — zaśmiała się Kate.

— *Viva „La Dolce Vita”!* — krzyknęła Francesca.

— Niech żyją „Rzymskie wakacje”!

David uświadomił sobie nagle, że pragnie wygrać ten wyścig, i to za wszelką cenę. Ukradkiem zerknął na Aidenę. Na dziwnie teraz nagiej twarzy przeciwnika, z której wiatr odgarnął żółtą grzywę,

malował się wyraz determinacji. On też chce zwyciężyć, pomyślał. No i bardzo dobrze! Tym fajniej będzie go pobić.

Trzy czwarte trasy w dół zbrocza przejechali łeb w łeb, postanowił więc zaatakować: gwałtownym skretem zbliżył się do rywala, licząc, że go przestraszy i zmusi do przyhamowania.

— No nie! To faul! — krzyknęła Kate.

— Co ty wyprawiasz? — sploszyła się Francesca, w taki sposób przerzucając ciężar ciała, że aż zniosło ich na drugą stronę.

— Uważaj! — syknął przez zęby, bo na moment wybiła go z rytmu, a jazda po tej drodze wymagała pełnej koncentracji. W wielu miejscach, zwłaszcza na ostrych zakrętach, grunt upadał stromo, nie wolno więc było popełnić żadnego błędu, jeśli miał bezpiecznie dojechać do mety i wygrać ten wyścig. I wygram, powiedział sobie.

Dojeżdżając do głównej drogi, ich tandem miał z dziesięć metrów przewagi, lecz stracił ją przy nawrocie. Aiden nie tylko zrównał się z ich vespą, lecz zaczął ją nawet wyprzedzać. Rozgorzała zacięta walka. Pod górę jechało się wolniej — skuterkom brakowało mocy. David nie szczędził im przekleństw. Na własnym motorze pokonałby tę górę śpiewająco. Dziewczyny jednak bawiły się świetnie.

— Ale fajnie! — krzyknęła do Kate Francesca, mocniej ściskając go w pasie. — No powiedz, czy to nie cudowne?

— Bomba! Zaraz wam damy w skórę!

— A niech tam! Nic mnie to nie obchodzi! Kocham cały świat! — Tak gwałtownie wyrzuciła w górę rozpostarte szeroko ramiona, że omal nie stracił równowagi. — Kocham wszystkich! Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa! Pragnę...

Dalszy ciąg zdania utonął w ryku klaksonu — tuż za nimi pojawił się jakiś samochód.

— O Boże, tylko nie to! — głos Franceski opadł do szeptu. Przycisnęła się do pleców Davida, jakby chciała się za nimi schować.

— Co się tam dzieje? — Jego pytanie zagłuszył znów ryk klaksonu, po którym obaj z Aidenem zatrzymali się na poboczach, zostawiając wolny środek drogi.

Kilka metrów za nimi jechał wielki mercedes, długi i czarny jak karawan. Gdy majestatycznie przepływał między dwoma skuterami, David zauważył w nim trzy osoby — dwie na przednim siedzeniu, trzecią z tyłu. Samochód przejechał jeszcze ze dwa metry, po czym zatrzymał się na środku drogi, nikt jednak z niego nie wysiadł.

— Psiakrew! — jęknęła Francesca. Całe jej rozbawienie znikło. — Mieli przyjechać dopiero jutro.

— Twoi rodzice?

W milczeniu skinęła głową.

Dwoma krótkimi sygnałami kazano im podjechać bliżej. David już chciał usłuchać, lecz jego partnerka ścisnęła go z taką siłą, że coś zabolęło go w środku.

— Nie! Zaczekaj!

Chyba po minucie z otwartych drzwi mercedesa wyłonił się elegancki pantofelek na wysokim obcasie, potem dwie smukłe nogi w cieniotkich pończoszkach i na koniec cała, niesłychanie wytworna kobieta. Przypominała Francescę, ale to rodzinne podobieństwo nie tyle je łączyło, co uwydatniało istniejące między nimi różnice. Podczas gdy w twarzy Franceski odbijała się cała gama uczuć, rysy tej kobiety przypominały maskę. Owszem, bardzo piękną, była to jednak uroda porcelanowej figurki — chłodna, bezosobowa i martwa.

Matka Franceski, kompletnie ignorując trójkę kolegów swej córki, zawołała rozkazująco:

— Francesca, *vieni qui!* — chodź tutaj!

David patrzył na nią ze zdumieniem: ta kobieta na widok córki nawet się nie uśmiechnęła!

Mimo że Francesca zsunęła się z siodełka, nie kwapiła się podejść do wozu; to tamta zrobiła jeden krok w jej stronę.

— O Boże, dziewczyno, jak ty wyglądasz! Co ty u diabła wyprawiasz?

— I tak tego nie zrozumiesz, ale ci powiem — odrzekła Francesca, hardo podnosząc głowę. — Bawię się, słyszysz? Tak, mam, to się nazywa zabawa. Bawię się z moimi przyjaciółmi.

— *Che stupida!* — warknęła signora Bertoni. — Wyglądasz jak tramp. Natychmiast wsiadaj do wozu. Zio Toni czeka z obiadem.

— Będę jadła obiad z przyjaciółmi.

Signora nie raczyła zaszczycić „przyjaciół” bodaj przelotnym spojrzeniem, co świadczyło wymownie, że dla niej niegodni są nawet pogardy, że jednak Francesca ani myślała się poddać, w negocjacjach nastąpił impas. Przerwał go dopiero męski głos dobiegający z wnętrza samochodu, z którego zaraz potem wysiadła jakaś dziewczyna. Davida zamurowało, gdy zobaczył przed sobą młodszą, pulchniejszą i brzydszą replikę Franceski. Różniła je zwłaszcza fryzura i zęby: ta miała włosy obcięte na pazia i gładko szesane z czoła pod atłasową przepaskę, a zęby mocno wystające, ale kości policzkowe były takie same jak u siostry, a jasnozielone oczy równie piękne jak oczy Franceski.

Zerknąwszy niepewnie na matkę, dziewczyna uśmiechnęła się do starszej siostry.

— *Ciao, Cesca* — powiedziała niemal szeptem.

Z twarzy Franceski zniknął wyraz upor, ustępując miejsca bezbrzeżnej czułości.

— *Ciao, Simona!*

W następnej chwili rzuciły się sobie w objęcia — i świat przestał dla nich istnieć. David miał wrażenie, że Francesca nawet nie zauważyła, co się dzieje, gdy matka zapędziła obie do wozu i zamknęła za nimi drzwi. Mercedes powoli ruszył pod górę.

— Dobra robota! — orzekł Aiden ze szczerym podziwem.

— Nie uważacie, że ta kobieta to istna Cruella de Vil? — zapytała Kate.

Kiedy wrócili do willi, nie zastali tam ani Franceski, ani mercedesa, a co dziwniejsze, nikt nie zauważył, żeby obok przejeżdżał jakiś wóz. Nie bardzo wiedząc, co z sobą począć, zaczęli żartować, że Francescę porwali kosmici.

# ROZDZIAŁ 25

## DRZWI

Ktoś był za drzwiami.

Ocknąwszy się z drzemki, Kate miała wrażenie, że śni jej się koszmar. Zwykle bywa odwrotnie: odzyskując przytomność, człowiek czuje ulgę, że dławiąca go zhora była tylko snem, tym razem jednak groza czaiła się tutaj, w pokoju gościnnym La Rokki, i była tak bardzo realna! Ktoś stał za drzwiami. Tak wyraźnie czuła jego mroczną obecność, jakby był z nią tu, w tym pokoju.

Kto to jest?

Z trudem pokonując ból w kościach, dźwignęła się z krzesła, na którym zmorzyła ją senność, i cicho podeszła do drzwi. Nerwowo zacisnąwszy połę szlafroka, stanęła nieruchomo, czekając... na co? Powinna przecież otworzyć drzwi, lecz było to teraz zadanie ponad jej siły. Wiedziała, że to do niej niepodobne, nigdy nie była tchórzem, a jednak w tej najciemniejszej godzinie nocy odbiegła ją cała odwaga.

Z tak wielkim napięciem wsłuchiwała się w ciszę, że każdy najlżejszy szelest wywoływał w niej falę paniki. Skrzypnęła deska? Ktoś skrada się po korytarzu? Ktoś przesunął po chodniku bosą stopą? A teraz? Czyżby sięgał teraz po klamkę...? Na litość boską, powiedziała sobie ze złością, otwórzże wreszcie te drzwi! Przywołując na pomoc tyle odwagi, na ile było ją stać, położyła rękę na gładkiej metalowej gałce...

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. W holu nie było nikogo, lecz gdy spojrzała w głąb korytarza, zobaczyła czy może wydawało jej się, że widzi, jakiś cień znikający za rogiem.

Czym prędzej zatrzasnęła drzwi. Czyżby sobie to uroiła? Wystarczyło kilka godzin w tym domu, żeby tak puściły jej nerwy? Żeby stała się nagle osobą, która boi się własnego cienia?

Pewna, że tej nocy nie uda jej się już zasnąć, wróciła na krzesło — trzeba jakoś doczekać świtu. Nie chciała przywoływać wspomnień — pojawiły się same. Ten ostatni tragiczny weekend... Gdyby wróciła do Florencji od razu po przyjeździe rodziców Franceski! Powinna była wyjechać. Wszystko zależało od tej jednej jedynej decyzji, choć wtedy wydawała się mało ważna. To niesprawiedliwe, że taka błaha decyzja może wywołać tak straszliwe skutki. Coś powinno ostrzegać człowieka przed niewłaściwym wyborem, pokazywać mu, co się stanie, jeśli zlekceważy ów sygnał... Gdyby po tym wyścigu natychmiast pojechała do Florencji, straciłaby wprawdzie najpiękniejszą noc swego życia, ale warto byłoby ją stracić, gdyby dzięki temu Francesca wciąż żyła. Gdyby tak się stało, gdyby wyjechała wraz z innymi, ostatnim wspomnieniem tamtego weekendu byłaby Francesca na skuterze, Francesca obejmująca Davida, roześmiana, beztroska, szczęśliwa jak nigdy w życiu.

A tak... Stało się to, co się stało.

# ROZDZIAŁ 26

## INTRUZI

Coraz bardziej nękało ich przykre uczucie, że stali się tu intruzami. Francesca zniknęła, jej rodzina również, nie było nawet Maria. Po beztróskim nastroju niedawnych wyścigów nie zostało śladu. Kate wraz z innymi wałęsała się z kąta w kąt, niepewna, co dalej robić, podczas gdy Angelica wściekłym jazgotaniem popartym gwałtownymi gestami dawała do zrozumienia każdemu, kto jej się nawinął, że pora się wynieść. Dido i Jenny, które w tym czasie odbyły kolejną wycieczkę, wróciły z wiadomością, że pod samym szczytem widziały coś w rodzaju średniowiecznej baszty i że na parkingu stoi tam czarny mercedes, a obok topolino Maria i jakiś nieznany samochód.

Parę osób postanowiło od razu wracać do Florencji, gdzie jak mówiono, miała tego wieczoru odbyć się jakaś szalowa impreza — podobno w okolicach Santa Croce. Około trzeciej, kilka minut po wyjściu pierwszej grupki, przed willę zajechał mercedes. Wysiadła z niego matka Franceski, która nie tracąc czasu na grzecznościowe formułki, zaczęła nakłaniać do wyjazdu pozostałą część towarzystwa. Robiła to bezbłędnie — z zachowaniem wszelkich pozorów. Była uprzejma, chwilami nawet przyjacielska, lecz to, co chciała przekazać niepożądanym gościom, było całkiem jasne: zabawa skończona, nie macie tu po co siedzieć.

Angelica promieniała szczęściem — porządek został przywrócony. Błyskając w uśmiechu całym garniturem złotych zębów, z takim zapalem rzuciła się do sprzątania, że już po kilku minutach wszystkie śpiwory, plecaki i kurtki wały się bezładnie w holu.

Signora Bertoni nie przestawała tymczasem rozplýwać się w uprzejmościach:

— Jak zamierzacie wrócić do Florencji? — spytała swym ochryplym od czterdziestu gauloise'ów głosem (tyle wypalała ich dziennie), co w połączeniu z typowo amerykańskim akcentem mogło być nawet powabne, gdyby treść jej wypowiedzi była nieco miłsza. — Zamówić wam taksówkę? Mam nadzieję, że bawiliście się dobrze? Może w przyszłości zechcecie znów nas odwiedzić? — Słowom tym towarzyszył łaskawy uśmiech, lecz zimne zielone oczy mówiły wyraźnie: „po moim trupie”. Ta kobieta wyglądała jak manekin, a działała jak bezwzględnie skuteczny automat.

Kiedy pod wpływem tej „miłej” perswazji dwie pary

— Dido z Aidenem i Jenny z Larrym — zdecydowały się opuścić willę, w holu pozostali już tylko Kate i David. W domu był jeszcze Hugo, który postanowił wracać razem z nimi, gdyż po swych bulwersujących doświadczeniach bał się podróżować samotnie, a jakoś przegapił moment odejścia obu duetów. Kate oczywiście wyraziła zgodę, tylko że trio złożone z dziewczyny i dwóch chłopaków niewielkie miało szanse złapania okazji. Gdyby wracała z nimi Francesca, na co mimo wszystko nie straciła jeszcze nadziei, mogliby utworzyć dwie pary. Na to kierowcy przystawali o wiele chętniej.

— Nie możemy zostawić Franceski — oświadczyła.

— Jak dostanie się do Florencji?

Usta signory Bertoni utworzyły cieniutką czerwoną kreskę.

— Moja córka nie wraca do Florencji. Zostaje z nami.

— Więc proszę mi powiedzieć, gdzie ją mogę znaleźć. Muszę się z nią pożegnać.

— Jest zajęta. — Szkarłatne usta wygięły się w uśmiechu zbyt doskonałym, aby mógł być szczery.

— Pożegnam ją w twoim imieniu.

— Chcę to zrobić sama.

— Nie zadawaj sobie tyle trudu.

— Gdzie jest Francesca?

David zaczynał się już denerwować:

— Kate, powinniśmy ruszać. Niedługo zacznie się ściemniać, a o zmroku trudniej o okazję.

— Nie pójdę, póki nie zobaczę się z Francescą. Signora Bertoni przestała się już uśmiechać.

— Z jakiego powodu uważasz, że ona chce cię zobaczyć? Gdyby tak było, sama by tu przyszła.

— Mimo to...

— Chodź, Kate — włączył się Hugo, który właśnie pojawił się w holu. — Zobaczymy się z Francescą we Florencji.

— Ale...

Kate jakoś nie mogła uwierzyć signorze Bertoni. Francesca z takimi oporami zgodziła się tu przyjechać, i to tylko w towarzystwie przyjaciół, a teraz nagle chce tu zostać sama? Wydawało się to mało wiarygodne. I co teraz zrobić? Nie chciała opuszczać przyjaciółki, ale perspektywa pozostania w willi bez kolegów była mało zachęcająca. Co będzie, jeśli Francesca ulegnie żądaniom matki? Musiałaby wtedy samotnie wracać do Florencji... Ale jak się tam dostać? Podróż autostopem bez partnera byłaby zbyt ryzykowna, a żaden inny sposób nie przychodził jej na myśl. Była już bliska kapitulacji, gdy całkiem nieoczekiwanie z pomocą przyszedł jej Mario. Pojawił się nagle w holu i uśmiechnął do niej tak promiennie, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi.

— O, Kate, jak dobrze, że ty jeszcze jesteś! Francesca będzie smutna, jak nie powiesz jej „do widzenia”.

— Właśnie mówiłam to samo.

— Niestety — zaczęła signora Bertoni, ale Mario, który jednym rzutem oka połapał się w sytuacji, zręcznie wszedł jej w słowo:

— Ja wiem, chodzi o powrót, ale to nie problem. Ja odwiozę Kate do Florencji.

— Dziękuję — Kate wydała westchnienie ulgi. Wspólna podróż z Mariem mogła wprawdzie być dość kłopotliwa, bo nie bardzo wiedziała, jak go ma traktować, postanowiła jednak na razie o tym nie myśleć. Będzie na to dość czasu, gdy już wsiądzie do samochodu, a zresztą niewykluczone, że pojedzie też z nimi Francesca. Rodzice nie mogą przecież zatrzymać jej tutaj siłą. Może gdy w końcu odwiedzi tego stryja, na którym tak im zależy, przestaną mieć do niej pretensje.

Signora Bertoni zmuszona była się poddać, lecz spojrzenie, którym obrzuciła Maria, nie wróżyło mu nic dobrego. Śmiał ją wymanewrować, a manewrowanie ludźmi było przecież jej specjalnością!

Kate była już prawie przy drzwiach, gdy drogę zastąpił jej David.

— Jeśli chcesz, mogę na ciebie poczekać — powiedział, marszcząc czarne brwi. — Wrócimy później razem autostopem.

— Nie martw się o mnie — odrzekła niedbale, prawie go nie zauważając. — Spotkamy się wieczorem w Santa Croce — rzuciła przez ramię, gdy razem z Mariem wyszli już na dziedziniec wciąż jeszcze zalany słońcem.

David coś jeszcze powiedział, „do widzenia”, a może, że jednak poczeka albo może mówił to Hugo, ale zajęta czym innym nie zwróciła na to uwagi. Minęła ich obojętnie, bo przecież nie było powodu urządzać wielkich pożegnań czy specjalnie się jakoś umawiać. Nic nie wskazywało na to, że właśnie w tym momencie ktoś podjął decyzję, która miała zaważyć na całym ich życiu. Skąd mogła wiedzieć, że kiedyś te wszystkie drobne posunięcia staną się takie ważne, że trzeba je będzie zbierać kawałek po kawałeczku, by odtworzyć materię wydarzeń prowadzących wprost do tragedii. Wtedy były to przecież błahostki. Kate zapamiętała tylko parę rzeczy: to, że w szybach mercedesa podobnego do wielkiej czarnej ropuchy odbijało się słońce, że David i Hugo gotowi do drogi podnieśli właśnie plecaki, że signora Bertoni wezwała Angelicę i zaczęła wydawać jej jakieś instrukcje.

— Pójdziemy — powiedział Mario. — La Rocca jest niedaleko.

Kate pozostawiła to bez komentarza. Powiedziała sobie, że nie musi z nim rozmawiać bez względu na to, z jakiego powodu postanowił jej nagle pomóc. Chce zobaczyć Francescę i tylko dlatego przyjęła jego ofertę. A poza tym — powinien ją przeprosić.

— Ty się gniewasz, Kate? — zapytał po chwili.

— Jeszcze o to pytasz?

Pozostałą część drogi przebyli w milczeniu, lecz na widok La Rokki Kate zapomniała o złości. Siedziba Zio Toniego, potężna kwadratowa wieża obrośnięta girlandami pnączy, za którą nagi szczyt wzgórza odcinał się ostro od błękitu słonecznego nieba, wyglądała jak stare zamczysko z bajki. Na brukowanym dziedzińcu, tuż przy murze tej iście czarodziejskiej twierdzy, tam gdzie dzikie wino zaczynało dopiero wspinać się na kratę, siedziały dwie siostry, które też wyglądały jak postacie z bajki. Obie miały takie same brązowe włosy i wielkie zielone oczy, lecz jak to bywa w bajkach, jedna była piękna jak poranek, a druga pulchna i brzydka. Ta piękna opowiadała coś siostrze, która najwyraźniej tym oczarowana wpatrywała się w nią jak w obraz.

— Kate, właśnie o tobie mówiłam! — Francesca zerwała się z miejsca i zaczęła ją ścisnąć z taką radością, jakby nie widziały się od wieków. — Poznaj moją siostrę — powiedziała z gorączkowym podnieceniem, podsuwając Kate krzesło. — Chcę przedstawić Simonie wszystkich mych przyjaciół!

— Cześć, Simono.

— Witaj — szepnęła płochliwie Simona.



Młodsza od Kate zaledwie o parę miesięcy, wciąż jeszcze sprawiała wrażenie dziecka, do czego w pewnym stopniu przyczyniał się jej ubiór. Nietrudno było odgadnąć, że to ta straszna matka dobiera jej garderobę. Miała na sobie kraciastą spódnicę do kolan, do tego kremowy bliźniak, a na nogach czarne buciki, ale to nie tylko ubiór nadawał jej taki niedojrzały wygląd. Na twarzy Simony malował się wyraz łagodnego, lecz zarazem bezwolnego dziecka, które ciągle się stara dogodzić dorosłym, nie ośmielając się nawet wyobrazić sobie, że mogłoby czasem zażądać też czegoś dla siebie. W porównaniu z tą dziewczyną Francesca w swych znoszonych dzinsach i męskiej koszuli, z włosami niedbale odgarniętymi za uszy, wydawała się chudą, zuchwałą dzikuską.

— O Kate już ci opowiadałam — zwróciła się do siostry — ale poznasz też innych, Davida, Jenny, Aideną...

— Wyjechali — wtrąciła Kate.

— Co? Dokąd?

— Do Florencji.

— Jak to? Mieliśmy zostać do jutra!

— No tak, ale twoi rodzice przyjechali już dzisiaj. Sytuacja całkiem się zmieniła.

Francesca opadła na krzesło, jakby z niej uszło powietrze.

— Och, to nie fair! Nie powinni byli tego robić, ale to nie moja wina. Nie wiedziałam, że zmienili plany.

— No cóż, teraz już nie ma co o tym myśleć. Za późno. Z całej grupy pozostałam tylko ja. Mario obiecał, że mnie odwiedzi.

— Mario?

— Tak. — Kate rozejrzała się za nim, ale doktor Bassano gdzieś zniknął.

— Powiedz, Kate: moja matka ich wyrzuciła, tak?

— Dała nam do zrozumienia, że nie jesteśmy tu mile widziani.

— Niech ją diabli! — rzuciła z furią Francesca. Po chwili twarz jej złagodniała. — Wiesz, zanim przyszedł, opowiadałam Simonie, jak jest we Florencji. Co robimy w baptysterium, gdzie mieszkamy i tak dalej.

— Brzmi to tak fantastycznie... — wtrąciła nieśmiało Simona, a Kate pomyślała, że z tym płochliwym uśmiechem przypomina Francescę, taką jaka była na początku, i że bijąca w oczy różnica istniejąca dziś między siostrami jest najlepszym dowodem tego, jak ogromnie zmieniła się Francesca, odkąd stała się jednym z „aniołów”.

— Och, Simi, tobie by się tam podobało! — wykrzyknęła z nowym entuzjazmem. — Jestem pewna, że tak by było! Przyjedź na parę dni i przekonaj się sama!

— Mama mi nie pozwoli.

— No to co? Przyjedź bez pozwolenia.

Simona zamilkła, lecz odpowiedź można było wyczytać w jej oczach. Malowała się w nich bezradność i beznadziejna tęsknota.

— Postaraj się, Simi! — mówiła dalej Francesca. — Zaopiekujemy się tobą. Wierz mi, praca we Florencji to coś naprawdę wielkiego. Taka szansa zdarza się tylko raz w życiu!

— Ale mama...

Jak na zawołanie dał się słyszeć zgrzyt opon i przed domem pojawił się mercedes, z którego wysiadła signora Bertoni. Szkarłatny uśmiech powrócił na miejsce, a Kate pomyślała, że tego uśmiechu doprawdy można się bać.

— Cieszę się, Kate — wycedziła chłodno signora — że miałaś okazję pożegnać się z moją córką. To miło ze strony Maria. Teraz zechcesz pewnie już jechać. Gdzie on jest, Francesco?

Francesca udała, że rozgląda się dookoła:

— Nie widzę go, mamó, a ty, Kate? Nie, Kate też go nie widzi. Nikt go nie widzi, mamó — odrzekła z ukrytą kpina. Kate omal nie parsknęła śmiechem: zdania jak z elementarza!

Signora Bertoni z irytacją ściągnęła usta.

— Simono, Zio Toni za chwilę obudzi się z drzemki. Idź do niego i zobacz, czy jest gotów napić się herbaty.

Simona zaczęła podnosić się z krzesła, lecz Francesca chwyciła ją za ramię:

— Zostań, Simi. Zio Toni ma od tego służbę. Przyniosą mu jego herbatkę.

— Wiem, złotko, ale on woli Simonę. Chce ją mieć blisko siebie.

— Ja także. Poza tym nie skończyliśmy jeszcze rozmowy.

— Którą z pewnością można odłożyć na później.

— Nie. Tak się składa, że nie.

Signora westchnęła, po czym przeszła na włoski i krótko powiedziała coś Simonie. Tym razem nie była to już prośba, tylko rozkaz, po którym jej córka posłusznie podniosła się z krzesła.

— Simona, nie idź! — sprzeciwiła się Francesca. — Ona nie ma prawa tobą rządzić, rozumiesz?

— Nie wtrącaj się, Francesco — syknęła jej matka.

— Bo to nie moja sprawa? A właśnie że moja! Ona jest moją siostrą!

— Więc zacznij zachowywać się jak siostra, zamiast jej mącić w głowie.

— Z jakiej racji sobie wyobrażasz...

— *Mamma*, Cesca, proszę was, przestańcie... — Na pulchne policzki Simony wypłynął krwisty rumieniec, w oczach zabłyśły łzy.

— Och, Simi, przepraszam! — Francesca jednym skokiem znalazła się przy siostrze i objęła ramieniem jej zgarbione plecy.

— „Przepraszam”? — pogardliwie warknęła signora Bertoni. — Lepiej byłoby, moja panno, gdybyś najpierw pomyślała, nim coś powiesz, zamiast robić takie zamieszanie. Simono, natychmiast idź do stryja.

— *Non è necessario* — rozległ się męski głos. — Tym razem góra przychodzi do Mahometa. — Powiedziane to zostało gramatycznie poprawną angielszczyzną, ale akcent był nieangielski.

Prowadzony przez Maria, powoli zbliżał się do nich stary przygarbiony mężczyzna, najwyraźniej mocno schorowany. Widać było, że cierpi, a jednak przyglądał im się bardzo bacznie. Twarz miał trupio bladą, a skórę suchą i martwą jak stary pergamin, tylko oczy pozostały bystre i jasne. Mario ostrożnie podprowadził go do krzesła i pomógł mu usiąść. Towarzyszył im mężczyzna w średnim wieku, sympatyczny i bardzo przystojny, który musiał być ojcem Franceski.

Jego żona stała się nagle istnym uosobieniem troski.

— Wygodnie ci, Zio Toni? Przynieść ci drugi pled? — Udajesz, cierpko pomyślała Kate. W twoim głosie nie słyhać ani odrobiny ciepła. — Simona szła właśnie zanieść ci herbatę, prawda, kochanie? — ćwierkała dalej signora Bertoni.

Odprawił ją gniewnym gestem.

— Przestań się kręcić koło mnie, kobieto. Herbatę przyniesie Lucia. Simono, usiądź tu, moja droga. — Popatrzył ostro na Francescę, która hardo wytrzymała jego spojrzenie, a kiedy demonstracyjnie odwróciła głowę, skupił całą uwagę na Kate. — A ty, młoda damo? Kim jesteś?

— Kate Holland. — Spojrzenie tego człowieka budziło w niej lekkie zakłopotanie, postanowiła jednak być dla niego grzeczna. — Jestem przyjaciółką Franceski — powiedziała, podając mu rękę. — Pracujemy razem we Florencji.

Przytrzymał podaną mu rękę, nie przestając szacować jej wzrokiem. Czują, że reszta obecnych ze strachem śledzi tę scenę. Czyżby to, w jaki sposób oceni gościa ten stary, schorowany człowiek, miało dla nich tak wielkie znaczenie? Ona sama wcale się go nie bała, już choćby dlatego, że mając w perspektywie rychły powrót do Anglii, nie planowała kolejnych wizyt w tej willi, a poza tym był i drugi powód. Zio Toni przypominał jej dziadka, surowego człowieka, który lubił myśleć, że drży przed nim cała rodzina, a którego ona owinęła sobie dookoła małego palca, odkąd tylko zaczęła mówić. Starszy pan Bertoni sprawiał podobne wrażenie, w dodatku był bliski śmierci, a miał przy sobie wyłącznie ludzi, którzy chcieli jego pieniędzy. Kate zaczynała mu współczuć.

— Jesteś jednym z tak zwanych *angeli dell'alluvione*?

— Wciąż nie wypuszczał jej ręki z uścisku.

— Tak nas nazywają, choć nie zawsze. Czasami trochę mniej pochlebnie.

Ojciec Franceski uściskał jej rękę według wszelkich zasad bon tonu.

— *Piacere* — powiedział z uśmiechem, lecz był to nic nie znaczący, „zawodowy” uśmiech człowieka, którego jedyna rola w rodzinie polega na tym, że musi być miły.

Zio Toni natomiast... Sposób, w jaki mierzył ją wzrokiem, świadczył dobitnie, że swego czasu musiał być wytrawnym koneserem piękna — we wszelkich jego postaciach!

— Ładna z ciebie dziewczyna — powiedział, na co ojciec Franceski gorliwie pokiwał głową — powinnaś ubierać się jak kobieta, a nie jak robotnik.

Poczuła się trochę nieswojo: wyraźnie rozbierał ją wzrokiem, a przecież już bardzo dawno musiał zaprzestać wszelkiej aktywności seksualnej. Było to dość niesamowite.

— Gdybym poszła do pracy w eleganckiej sukni, już po minucie byłaby do wyrzucenia — powiedziała ostro.

— Tutaj ci to nie grozi. No i jesteś moim gościem.

— Obawiam się, że już niedługo — pozwoliła sobie zażartować.

— Kate musi wracać do Florencji — z pośpiechem wtrąciła signora Bertoni. — Oboje z Mariem mieli właśnie wyjechać.

— *Mamma*, przestań pozbywać się moich przyjaciół! — zawołała Francesca. — I nie zapominaj, że ja też wyjeżdżam. Jedź z nami, Simi — zwróciła się do Simony — choćby tylko na jeden dzień. Zobaczysz, nie pożałujesz.

— Francesca! Przestań natychmiast albo pójdziesz do swego pokoju! — krzyknęła jej matka.

Francesca oblała się rumieńcem; na moment odjęło jej mowę, zaraz jednak wzięła się w garść.

— A któryż to pokój, matko? — spytała z chłodną ironią.

Kate przeraził sposób, w jaki ta kobieta traktuje dorosłą córkę. To po prostu niedopuszczalne, pomyślała.

— Proszę się nie martwić o Simonę — powiedziała pewnie i stanowczo. — Jeśli zechce przyjechać do Florencji, nic złego jej się nie stanie. Będzie pod naszą opieką. Zobacz, jak pracujemy, a przy okazji świetnie się zabawi. — Tak jak poprzednio uznała Zio Toniego za nieszkodliwego staruszka, którego bogactwo stało się jego nieszczęściem, wyzwoliło bowiem w jego krewnych wyłącznie cyniczną chciwość, tak teraz doszła do wniosku, że signora Bertoni to monstrum, które terroryzuje całą rodzinę i trzeba jej przytrzeć rogow. — Pan mi wierzy, *signore* Bertoni, prawda? — zwróciła się do chorego, licząc na jego wsparcie. — Pan wie, że obie z Francescą zadbamy o Simonę i absolutnie nie pozwolimy jej skrzywdzić. Proszę pomyśleć, ile by to dla niej znaczyło, gdyby chociaż przez parę dni mogła popracować dla Florencji! Będzie o tym pamiętać przez całe życie!

— Nie mieszaj się do tego, młoda damo... — zaczęła signora Bertoni, lecz gdy chory uniósł rękę, zamilkła.

— Rezolutna z ciebie osóbką, panno Holland. — W jego oczach błysnęło rozbawienie, nawet uśmiechnął się lekko.

— Widzę, że umiesz bronić swych poglądów — stwierdził, świdrując ją wzrokiem.

Tłumiąc wewnętrzny impuls, który nakazywał jej odwrócić oczy, wytrzymała jego spojrzenie.

— Dziękuję. Uznaję to za komplement. Skinął głową.

— Mamy więc problem, który należy rozwiązać. Ty i Francesca macie zamiar wracać do Florencji i zabrać z sobą Simonę. Ich matka natomiast chce zatrzymać tu obie córki. Proponuję odłożyć decyzję na dwadzieścia cztery godziny. Może zostałabyś u nas do jutra? To tylko jedna noc. Jutro — tu zerknął na signorę — musimy omówić pewne sprawy rodzinne, a potem... kto wie?

— Niestety, mój drogi — odrzekła matka Franceski

— Kate umówiła się już z Mariem, że odwiezie ją do Florencji, a on...

— Doktorze Bassano — przerwał jej w pół zdania — czy pańskie ważne obowiązki bardzo by ucierpiały, gdyby spędził pan u nas jeszcze jedną noc?

— Nie, *signore*, ale...

— A więc ustalone. Koniec dyskusji. Zostajesz, Kate Holland?

— Tak. — Nie mogła opuścić teraz Franceski, a poza tym była ciekawa. Chciała lepiej poznać tę dziwną rodzinę. — Zostaję.

— *Bene, bene*. To dobrze — ucieszył się ojciec Franceski. Signora Bertoni z trudem tłumiała wściekłość, była jednak bezsilna.

— Chodź, Kate! — zawołała Francesca, zrywając się z miejsca. — Pokażę ci twój pokój, a potem opowiemy Simonie o Florencji. Och, jak się cieszę, że zostajesz!

## ROZDZIAŁ 27

### MATCZYNA MIŁOŚĆ

Dewizą życiową Annette Bertoni było: nigdy nie folgować nerwom. Już przed wielu laty, gdy jako młoda i śliczna Annie-Belle Harper dorywczo pozowała do zdjęć, pracując zarazem w jednym z koktajlbarów na Manhattanie, wbiła sobie do głowy, że po to, aby coś osiągnąć, dziewczyna zawsze powinna być miła, wyglądać jak bóstwo i czekać na swoją szansę. Zgodnie z tym założeniem każda utrata samokontroli, a zwłaszcza gniew zmniejszały szanse na sukces, należało ich zatem unikać. W jej wypadku było to konieczne, odkryła bowiem w sobie przerażającą wręcz skłonność do wpadania w furję. Kiedy dowiedziała się prawdy o mężu, zabiłaby go z dziką rozkoszą, gdyby miała pod ręką jakiegokolwiek narzędzie, którym dałoby się to zrobić.

Teraz jednak uznała, że wolno jej trochę popuścić. Napięcia ostatnich paru miesięcy — desperackie wysiłki, by utrzymać się na powierzchni, nadzieje i rozczarowania, bezsenne noce i ta straszliwa bezsilność, przyprawiająca ją niemal o obłąd, wszystko to odbiło się na niej w sposób trudny do wytrzymania. Pozwoliła więc sobie ulżyć i zarazem ukarać zdrajcę. Należało mu się. Niech to będzie dla niego nauczka.

Starła się mówić cicho. Nikt postronny nie powinien był tego usłyszeć. Winowajca milczał, gdy go obrzucała całym swym repertuarem włoskich przekleństw.

— Ach, ty skurwysynu — syknęła z wściekłością, kończąc tę długą litanię — więc tak mi się odpłacasz za wszystko, co dla ciebie zrobiłam? Cała ta sytuacja to wyłącznie twoja wina! Nie chciałeś powiedzieć, gdzie ukrywa się moja córka, i widzisz, do czego doszło? Trzeba było natychmiast zabrać ją

do domu, ale nie, ty byłeś mądrzejszy! A teraz znów robisz to samo! Jak śmiałeś pomóc tej dziewczynie, wiedząc doskonale, że chcę się jej pozbyć? Och, mam ochotę cię zabić!

— Francesca byłaby niepokieszona, gdyby wszyscy jej przyjaciele wyjechali bez pożegnania — odrzekł Mario. Nie wydawał się przestraszony.

— Słucham? Od kiedy wiesz lepiej niż ja, co jest dobre dla mojej córki?

— Annette, ona się zmieniła. Obserwowałem ją przez te ostatnie tygodnie i wierz mi, to nie ta sama dziewczyna, która przed świętami wróciła ze Stanów.

— O tak, cholera jasna! Całkiem nie ta sama! Myślisz, że gdybym wiedziała, co się z nią dzieje, pozwoliłabym jej nadal zadawać się z tą hołotą? Nigdy! Miałeś mi o wszystkim donosić, a ty co zrobiłeś?

— Uważałem, że tak będzie lepiej. Nawet ty musisz przyznać, że nigdy jeszcze nie była tak silna i tak szczęśliwa jak teraz. A wszystko to zawdzięcza tym ludziom, zwłaszcza Kate.

— Zdziwiasz mnie, Mario. Twoja dziewczyna wałęsa się z taką bandą, a ciebie to wcale nie martwi?

— Z początku tak, bardzo mnie martwiło, ale... widzisz, Annette, ja chcę przede wszystkim, żeby była szczęśliwa.

— Szczęśliwa? Nonsens. Osiągniesz tylko tyle, że straci dla ciebie szacunek, za co ja osobiście nie będę jej winić. A teraz słuchaj: trzeba jak najszybciej wyprawić stąd tę dziewczynę — oświadczyła twardo Annette. — Ona jest niebezpieczna.

Ku jej wściekłości Mario roześmiał się głośno, odwrócił i podszedł do okna.

— Niebezpieczna?

Zza okna niewielkiej bawialni, gdzie toczyła się ta rozmowa, dochodziły głosy trzech dziewczyn — okrzyki, śmiechy i kpinki. Widać było, że dobrze im z sobą. Ale dla Annette to rzecz bez znaczenia, pomyślał. Ona nie wie, co to przyjaźń. Ludzie nigdy się do niej nie garnęli. Podziwiali ją, owszem, ale nikt jej nie darzył sympatią. Jej zresztą na tym nie zależy. Dla niej liczy się tylko szacunek. Tylko tego wymaga od ludzi, reszta jest jej całkiem obojętna.

— Kate nie jest niebezpieczna — powiedział cicho i miękko. — To przecież jeszcze prawie dziecko.

— Ty nie masz pojęcia, do czego ona jest zdolna — warknęła Annette. Dobrze widziała wyraz jego twarzy, gdy przyglądał się trzem dziewczynom. — Owinęła sobie wokół palca najpierw Francescę, a teraz ciebie. Ale z Simoną jej się to nie uda! Już ja się o to postaram!

— Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że twoja córka może cię nie posłuchać? Annette, Simona ma już prawie osiemnaście lat! Jak długo jeszcze chcesz ją traktować jak dziecko?

— Zaczynasz mówić jak Francesca. Co w ciebie wstąpiło?

— Nic. Uważam po prostu, że Francesca musi zaznać trochę wolności, nim zechce się ustatkować. Simona również. Czasy się zmieniają, Annette. Kiedyś myślałem tak samo jak ty, ale teraz... Cóż, bardzo mi przykro, że muszę ci to powiedzieć, ale sądzę, że źle postępujesz.

— Jak śmiesz! Kim ty jesteś, żeby wyrokować, co jest dobre, a co złe? Teraz ja ci coś powiem, Mario: ty masz na względzie jedynie Francescę, ale ja nie jestem w aż tak komfortowej sytuacji. Ja muszę brać pod uwagę interes całej rodziny. Wydawało mi się, że zwłaszcza ty powinieneś to rozumieć. Zio Toni długo już nie pociągnie, a ja muszę zadbać o przyszłość.

— To znaczy położyć rękę na jego pieniądzach. A jeśli Francesca ich nie chce? Jeśli nawet Simonie będzie bez nich lepiej?

— Nie wierzę własnym uszom! — Annette wygrzebała z kieszeni paczkę papierosów i nie częstując Maria, łapczywie zaciągnęła się dymem. Ochłonawszy z gniewu, powiedziała z zimnym spokojem: — Posłuchaj mnie, głupcze... Nie robię tego z błahych powodów. Nie po to uganiam się za pieniędzmi, żeby moje córki mogły sobie kupić parę wymyślnych kiecek, pokończyć drogie szkoły czy błyszczeć na wielkich balach. My po prostu musimy się ratować. Utrzymać na powierzchni, rozumiesz? Od tak dawna chwytam się brzytwy, że już zapomniałam, jak wygląda normalne życie. Mówisz, że twoja rodzina ma długi, bo zapożyczyła się na twoje studia. Wiesz, ile tego jest? Świetnie. Dodaj kilka zer do tej liczby, to będziesz miał jakieś pojęcie o naszych. Jeśli Zio Toni nie zostawi nam swego majątku, ta rodzina będzie skończona. *Kaput*. Rozumiesz, co to znaczy? Starta z powierzchni ziemi. Całkowicie i nieodwołalnie.

— Jakoś z tego wybrniesz, Annette. Zawsze dawałaś sobie radę.

— Nie słyszysz, co do ciebie mówię? To będzie koniec. Mój bezużyteczny mąż pewnie się zabije, jeśli ja go w tym nie wyręcę. M u s i m y mieć te pieniądze. Jeśli Francesca wypadnie z gry, a na to właśnie wygląda, zastąpić ją musi Simona. W przeciwnym razie nie mamy szans na przetrwanie.

Mario znów podszedł do okna. Śmiech dziewczyn był tak beztroski, taki zaraźliwy.

— Przykro mi, Annette, że popadłaś w takie tarapaty, ale to nie jest wina tych dziewczyn. Wiesz, że mam nadzieję ożenić się kiedyś z Francescą, jeśli jednak ona chce przedtem nacieszyć się trochę wolnością czy zobaczyć kawałek świata, zrobię wszystko, żeby jej w tym pomóc.

— Stracisz ją.

— Możliwe, muszę jednak podjąć to ryzyko.

— Nie. Nie pozwolę ci na to! — Powiedziane to zostało z taką bezwzględnością, że Mario drgnął z zaskoczenia. Opanował się szybko i stojąc bez ruchu, spojrzał na nią wyczekująco. Annette podeszła do niego i niedbale dotknęła jego włosów, tam gdzie sięgały kołnierza. — Powinieneś się ostrzec — rzuciła. — Niedługo będziesz wyglądał tak samo jak ci *cappeloni*.

— Przestań, Annette.

— Będę robić, co mi się podoba. — Jedną ręką chwyciła go mocno za kark, a drugą dotknęła jego ust.

Odwrócił się odruchowo i otarł je wierzchem dłoni.

— Już tego nie lubisz? — spytała z uśmiechem. — Dlatego, że Francesca byłaby trochę niezadowolona, gdyby poznała nasz sekret? Tym się martwisz?

— Niezadowolona? To by ją zabiło, i ty doskonale o tym wiesz!

— Doprawdy? Może jednak trochę przesadzasz? To prawda, że była nadwrażliwym dzieckiem, takim, które ciężko przeżywa nawet najdrobniejszą przykrość, nie sądzę jednak, aby mogła ją zabić wiadomość, że jej narzeczony, och, nieoficjalny, powiedzmy więc to inaczej, że jej ukochany mężczyzna pocieszał mamusię, gdy córeczka bawiła w Stanach.

— Mówisz tak, jakby łączył nas prawdziwy romans, a zdarzyło się to tylko dwa razy.

— Trzy. Dokładnie pamiętam każde z naszych spotkań, a ty? — Gdy nie odpowiedział, podjęła z pozorną bez troską: — Och, mam nadzieję, że Francesca się o tym nie dowie. To by jej się nie spodobało. Mogłoby nawet wywołać nawrót choroby.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

— To by ją całkiem zniszczyło!

— No rzeczywiście. Musimy zatem mieć pewność, że nigdy się tego nie dowie.

— O czym ty mówisz? Myślisz, że ja bym mógł jej powiedzieć?

Annette niedbale zgmiotła niedopalek. Wszelkie ślady gniewu już znikły. Na twarz jej powrócił uśmiech.

— Och nie, jestem absolutnie pewna, że ty jej tego nie powiesz.

— Więc... Nie, to niemożliwe, nie wierzę! — wykrzyknął. Widząc jednak jej wyzywające spojrzenie, odsunął się od niej na tyle, na ile pozwalał ten pokój, i wtedy dopiero popatrzył jej znowu w oczy. — Nawet ciebie nie byłoby na to stać — powiedział głuchym szeptem.

— Owszem, byłoby mnie stać. Jeśli mnie przyprzesz do muru.

— Ale... Nie rozumiem... Czyżbyś była zazdrosna?

Och, nie trzeba było tego mówić! Syknęła jak wściekły kot.

— Ja? Zazdrosna o własną córkę? Zwariowałaś! Masz zbyt wielkie wyobrażenie o sobie! Od początku uważałam, że Francesce należy się ktoś lepszy od jakiegoś doktorka z zapyziałej wioski! Tylko dlatego zgodziłam się na wasz związek, że nie chciałam jej wpędzać w depresję. Wiedz, że jeśli będę musiała, z największą przyjemnością opowiem jej o twojej zdradzie, nie pomijając najbardziej pikantnych szczegółów!

— A ja zaprzeczę. Ona nigdy ci nie uwierzy.

— Nie? — Opanowała się błyskawicznie i znów błysnęła uśmiechem. — Tak się składa, że mam dowód. Zatrzymałam twoje bileciki.

— Co? — Bezradnym gestem zmierzwił sobie włosy. — Przecież to szantaż.

— Ja wolę to nazwać układem. Albo transakcją handlową.

— Ale... Wiesz przecież, jakie by to wywołało skutki. Nie wierzę, że byłabyś zdolna tak strasznie skrzywdzić własne dziecko.

Popatrzyła na niego z triumfem.



— Nie wierzysz? No cóż, może masz rację, może bym nie mogła. Rzecz jednak w tym, że nigdy nie zyskasz pewności, bo nie ośmielisz się tego sprawdzić. Tak więc, mój drogi, będziesz się obawiał, że jednak mogę to zrobić.

— Ależ to twoja córka...

— Och, daruj sobie to straszne zgorszenie. Już ci powiedziałam, że muszę brać pod uwagę dobro całej rodziny. Nie mogę go poświęcić dla samej Franceski. No więc?

— Francesca nie może się o tym dowiedzieć.

— Doskonale. Zrobisz więc, co ci każe? Skinął głową z rezygnacją.

— Czego chcesz?

— Usiądź, to ci powiem. — Po krótkim wahaniu przysiadł na brzegu krzesła. — Musimy połączyć siły — oznajmiła rzeczowo Annette. — Pierwsza rzecz, którą trzeba zrobić, to pozbyć się tej Angielki. Musisz dziś jeszcze odwieźć ją do Florencji. Trzeba zakończyć tę przyjaźń. Francesca nie będzie zadawać się już z tymi ludźmi. Ma zostać tutaj. I zostanie. Bez ich pomocy nie potrafi mi się przeciwstawić.

— Niewielu ludzi to potrafi — mruknął Mario. — Ale Zio Toni poprosił Kate, żeby została do jutra. A ja nie wiem, czy zdołam nakłonić ją do wyjazdu...

— Jestem pewna, że wymyślisz jakiś sposób. Gdyby mimo wszystko odmówiła, będziesz musiał mi pomóc odsunąć ją od moich córek. Wiesz, że Francesca nadal cię kocha? Znam ją! Udaje teraz obojętną, ale to tylko gra; nigdy tak naprawdę nie zależało jej na nikim innym. A Simona... ta mała traktuje cię jak brata i chyba trochę też się w tobie durzy. Wystarczy, że im szepniesz słówko, i będzie mi dużo łatwiej przykrócić im cugli.

— To wszystko? — Mario podniósł się z krzesła. Annette puściła mimo uszu jego jawny sarkazm.

— Na razie tak. Jeśli będzie coś nowego, nie omieszkać cię zawiadomić.

Kładąc rękę na kłamce, Mario odwrócił się jeszcze od drzwi i blady z tłumionej pasji wycodził przez zęby:

— Sławetna rodzina Bertonic! Wiele dałbym za to, żeby nie mieć z nią nic wspólnego!

Annette zaśmiała się głośno.

— Doskonale cię rozumiem, *mio caro!* — stwierdziła, siadając na stylowym krześle z aksamitnym niebieskim obiciem. Zapaliła kolejnego papierosa i dodała z gorzką ironią: — Ja powtarzam to sobie codziennie, odkąd wyszłam za mąż.

Mario wymknął się z domu tylnymi drzwiami, wybrał szlak prowadzący na sąsiednie wzgórze i wielkimi krokami zaczął się wspinać po zboczu. Szedł tak, dopóki starczyło mu sił. Nie chciał widzieć teraz nikogo, a największym strachem napawała go myśl o Francesce. Czy kiedykolwiek potrafi spojrzeć jej w oczy? Słowo „żał” było za słabe dla oddania stanu jego ducha. Gdyby mógł cofnąć czas... Ach, nie ma co o tym myśleć! Annette Bertoni złapała go w potrzask, z którego nie ma ucieczki.

Usiadł na skale i błędząc niewidzącym wzrokiem po otaczających go wzgórzach, próbował wyłowić z pamięci ten fatalny moment, kiedy to postanowił zostać kochankiem Annette, lecz mimo

wszelkich wysiłków w żaden sposób nie potrafił go uchwycić. Kiedy natknął się na nią po raz pierwszy — była to uroczystość, z której dochód przeznaczony był na cele społecznej opieki medycznej, on zaś popierał tę akcję — rozpaczliwie pragnął się dowiedzieć, dokąd wysłano Francescę, aby jakoś nawiązać z nią kontakt. Nic więc dziwnego, że zabiegał o względy jej matki, jako że to ona najwidoczniej sprawowała rządy w tej rodzinie. Ha, jak się okazało, lubiła być adorowana. Powiedziała mu wtedy, że Francescę bardzo łatwo zranić, więc choć widzi, że jego uczucia są szczerze, musi jednak poznać go bliżej, aby się przekonać, czy naprawdę można mu zaufać.

Zaufanie! Gdy przypomniał sobie teraz, jak go omamiła tym słowem, zrobiło mu się niedobrze. Ale wtedy jej życzenie wydawało się uzasadnione, zgodził się zatem z wysuniętą przez nią sugestią, że powinni się spotkać. I tak się zaczęło. Z czasem zaczął nawet wyczekiwać tych spotkań. Była dowcipna, wytworna, interesowała się jego studiami i pracą, świetnie się z nią rozmawiało.

Pewnego razu podczas lunchu w eleganckiej restauracji

— był to jej ulubiony lokal — zauważył nieśmiało, że ze względu na nią powinni zaprzestać spotkań, bo zaczynają się plotki. Mówi się, że Mario Bassano jest kochankiem signory Bertoni. Ku jego zdumieniu zaczęła się śmiać. Uświadomił sobie wtedy, że te plotki wcale jej nie martwią, wprost przeciwnie, jest bardzo zadowolona, że ludzie przypisują jej tak młodego i szarmanckiego kochanka.

Zaprosiła go potem do siebie pod pretekstem, że chce mu coś pokazać i że sprawa dotyczy Franceski. Jej męża nie było w domu. Wiedział już wtedy, jak bardzo zawiodła się na tym człowieku. Kusił ją drogimi prezentami i obietnicą bogactwa, a po przyjeździe do Włoch okazał się biedny jak mysz kościelna. Pod wpływem jej opowieści Mario zaczął go oceniać tak samo jak ona i darzyć podobną pogardą. Pochlebiała mu rola powiernika tej pięknej a nieszczęśliwej kobiety. I tak oto znalazł się w jej mieszkaniu. Było popołudnie, pora, gdy służba miała wychodne, a miasto zdawało się drzemać w lejącym się z nieba upale.

Pokazała mu poemat napisany przez piętnastoletnią Francescę, pełen myśli o śmierci i czarnej rozpacz. Czemu nie przyniosła go do restauracji? Nasuwające mu się domysły wprawiły go w zdenerwowanie, zaczął więc sobie podkpiwać z tych śmiesznych plotek o ich rzekomym romansie.

Popęłił błąd. „Śmieszne? — spytała żałośnie. Czyżbym była tak nieatrakcyjna?”

Och nie, wprost przeciwnie! Była przecież wyjątkowo atrakcyjna. Czym prędzej zaczął naprawiać gafę, zapewniając ją żarliwie, że jest najbardziej pociągającą ze wszystkich znanych mu kobiet... i była to prawda. Powiedział, że po raz pierwszy w życiu zdarzyło mu się przebywać w towarzystwie tak eleganckiej i tak wyrafinowanej osoby, mimo to ciągle wydawała się niepokieszona. Ta nagła zmiana — w jednej chwili z pewnej siebie, światowej kobiety stała się boleśnie zranioną istotą — kompletnie zbiła go z tropu. Wziął ją w ramiona i zaczął pocieszać. I aby jej dowieść, jak podniecająco działa na mężczyzn, zamknął jej usta prawdziwie namiętym pocałunkiem. I tak wśród kolejnych pocałunków i gorących zapewnień, jak bardzo jest wyjątkowa, minął ten moment, gdy mógł się jeszcze wycofać. Umknęła mu ta chwila — na jego nieszczęście.

Powiedziała, że stało się to trzy razy, a on, że tylko dwa. Nie policzył tego ostatniego, wtedy gdy przypadkiem zauważył list z kliniki, w której zamknięto Francescę. Był przerażony, dowiedziawszy się nagle, że ukochana dziewczyna nie studiuje w college'u, jak go zapewniano, lecz przebywa w prywatnym ośrodku psychiatrycznym. Dlaczego ją tam wysłano? Nie uwierzył wyjaśnieniom Annette, jakoby Francesca bez żadnego powodu zaatakowała stryja, oblewając mu nogę wrzącą wodą. Był przekonany, że sfabrykowano tę historyjkę, i ogarnęła go zgroza: to straszne, że teraz, w dwudziestym wieku, można wciąż jeszcze pozbywać się dzieci — nieposłusznych czy niewygodnych — tak barbarzyńskimi metodami! W tych warunkach ostatnie zbliżenie z Annette było bardzo krótkie i niezbyt czułe. Zamierzał jej powiedzieć, że to koniec, ale chyba wyczuła pismo nosem — i sama zakończyła sprawę. Chciała ratować twarz. Potem już nie było spotkań w restauracjach, on jednak nadal traktował ją z tą samą kurtuazją co dawniej. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak katastrofalnym błędem byłoby zrobienie sobie wroga z Annette Bertoni, choć wtedy nie miał jeszcze pojęcia, do czego zdolna jest ta kobieta.

Cóż, teraz już wiedział. I przeklinał własną naiwność. Dał się uwieść jak głupi żółtodziób. Zaczynał podejrzewać, że mogła to zrobić wcale nie dla jego walorów, ale wyłącznie po to, aby go złapać w pułapkę i w dogodnym momencie uczynić z ich związku narzędzie szantażu. Cóż z niego za psychiatrą, skoro dał się tak łatwo ogłupić? Potem jednak doszedł do wniosku, że jego schizofrenicy i niedoszli samobójcy to bułka z masłem w porównaniu z rodziną Bertonic.

A potem uświadomił sobie z bólem, że utracił Francescę. Po tej okropnej rozmowie niepodobna już było się ludzić, że kiedyś będą mogli ułożyć sobie życie z daleka od jej rodziny. Groźby Annette wisiałyby nad nimi jak kamień, a on cały czas miałby świadomość, że jest wobec nich bezsilny. Francesca by to wyczuła. Czekał na nią trzy lata i czekałby znacznie dłużej, gdyby zaszła taka konieczność, ale dopiero teraz, gdy zrozumiał, że musi odejść, uświadomił sobie w pełni, jak głęboko, jak bardzo ją kocha.

Czy naprawdę nie ma wyjścia z tej pułapki? Rozpaczliwie próbował coś wymyślić. Powiedzmy, że Annette spełni swoją groźbę. Mógłby wtedy po prostu zaprzeczyć, oświadczyć cynicznie, że to bzdury, fantazje chorej kobiety. Jeśli Francesce na nim zależy, o czym w głębi duszy nadal był przekonany, łatwiej da wiarę jemu, mężczyźnie, którego kocha, niż kobiecie, której nienawidzi. No tak, ale małżeństwo oparte na kłamstwie? Cóż by to było za życie? Prędzej czy później prawda wyszłaby na jaw i co wtedy? Kłamstwa i urazy między dwojgiem ludzi to dla związku trucizna, to jego powolna śmierć. Nie, tego by nie wytrzymał.

A gdyby uprzedzić Annette i wyznać Francesce, że mieli romans? Z pewnością strasznie by ją zranił, byłaby na niego wściekła, ale jeśli go kocha — och, znów to „jeśli”! — może by mu z czasem wybaczyła? Może. Równie dobrze jednak mogłaby go znienawidzić, powiedzieć, że budzi w niej tylko pogardę i nie chce go więcej widzieć. Och, nie! To byłoby jeszcze gorsze! Lepiej zerwać teraz, gdy wciąż dobrze o nim myśli, może nawet kocha go równie głęboko jak on ją. Nie ma sensu ujawniać tak wstydlivej tajemnicy, skoro nie jest pewne, czy Annette naprawdę zechce zrealizować swą groźbę. Lepiej pogrzebać tę sprawę na zawsze.

Tak, jedyna możliwość to odejść, chociaż to takie trudne! Ale jaki byłby jego los, gdyby nie zszedł z oczu tej strasznej rodziny? Stałby się pionkiem w każdej nieczystej rozgrywce, która przyjdzie do głowy Annette. Jakież to byłoby upokarzające stać się niewolnikiem tej kobiety! W dodatku ze świadomością, że sam wpakował się w tę sytuację.

Do niedawna uważał, że Francesca przesadza, twierdząc, że nie jest w stanie żyć pod jednym dachem z rodzicami. Teraz zrozumiał, że miała rację. Był jedynym człowiekiem, który mógł ją wyrwać ze szponów tej potwornej matki, a teraz wszystko przepadło. Nie był już w stanie jej pomóc — i to było najstraszniejsze.

Musiał jeszcze wypełnić ostatnie zadanie zlecone mu przez Annette — odwiedzić dziś Kate do Florencji. Tym akurat mógł się zająć bez oporów, a nawet z wielką ochotą. Pragnął już stąd wyjechać. Wyjechać i nigdy nie wrócić. I nigdy więcej nie widzieć Franceski? Poczul ból w sercu, gdy o tym pomyślał. Była jego pierwszą miłością. Jedyną prawdziwą miłością. Nie wyobrażał sobie, aby takim uczuciem mógł obdarzyć jakąkolwiek inną kobietę, cóż, kiedy ta miłość miała niestety zbyt wysoką cenę...

Podniósł się i zaczął schodzić na dół. Trzeba poszukać Kate.

W chwili gdy Mario zamknął za sobą drzwi, pozorny spokój Annette prysnął jak bańka mydlana. Położyła głowę na oparciu krzesła i zamknawszy oczy, próbowała opanować drżenie. Nic z tego. Całe jej ciało trzęsło się tak konwulsyjnie, że gdy chciała podnieść do ust papierosa, popiół obsypał jej bluzkę.

Mój Boże, co on sobie teraz o niej myśli? Ach, bezsensowne pytanie! Wystarczyło przecież popatrzeć mu w oczy, by zobaczyć to morze śmiertelnej pogardy. A tak pragnęła, żeby myślał o niej jak najlepiej. Byli kiedyś nie tylko kochankami, lecz i dwojgiem lojalnych sojuszników. Och, nie miała złudzeń, zostając jego kochanką! Wiedziała, że nie zależy mu na niej tak jak na Francesce, ale przecież... przecież ją podziwiał i było to tak upajające... może nawet bardziej niż to, że jej pragnął...

Wszystko się skończyło. Bezpowrotnie. Najgorsze, że w jego oczach stała się potworem. Bo jaka matka posuwa się do szantażu, do gróźb, że zniszczy własne dziecko? A przecież odpowiedź jest prosta: kobieta w skrajnej desperacji. Matka, która od tak dawna balansuje na skraju przepaści, że już zdążyła zapomnieć, jak wygląda życie normalnej kobiety, takiej, która nie musi budzić się po nocach zlaną zimnym potem ze strachu o jutro. Matka, która latami musiała kłamać, oszukiwać, knuć mniejsze i większe intrygi, by utrzymać rodzinę na powierzchni. Dobrze opanowała tę sztukę, tak dobrze, że Mario nie ośmielił się uznać jej groźby za blef.

Uwierzył, że zdolna jest to zrobić — tak jak przewidziała. Naiwny idealista, który mierzy ludzi własną miarą. Któremu się zdaje, że jeśli ktoś ma trochę mniej skrupułów niż on, to zdolny jest do wszystkiego, nawet do zniszczenia własnego dziecka. Bo to prawda, że gdyby Francesca dowiedziała się o tym romansie, jej chwiejna równowaga psychiczna zostałaby zdruzgotana. Mario jednak nie wie i nawet się nie domyśla, ile dla niej znaczy ta krnąbrna ukochana córka, bez względu na wszystko, co robi. Od tak dawna przywykła grać rolę nieczulej, kłamliwej megie, że chwilami już sama zaczynała w to wierzyć...

Nie tak wyobrażała sobie własne życie. Kiedy przed laty do nowojorskiego baru wkroczył równie przystojny co niefrasobliwy Filippo Bertoni, jakże elegancki w swym uszytym na miarę garniturze, z portfelem wypchanym dolarami, pomyślała, że oto nareszcie pojawił się wyśniony książę. Dopiero gdy po ślubie przywiózł ją do domu, przekonała się ze zgrozą, że była to tylko fasada. Beztronski Filippo urządził sobie półroczną hulankę za pieniądze spadkowe po ojcu — i wydał je co do centa. Czy jednak pustka w kieszeni położyła kres jego wydatkom? Ależ skąd! Pierwsze trzy włoskie słowa, których się nauczyła, brzmiały: „odsetki”, „prolongata spłaty” i „kredyt”. Gdyby nie Zio Toni...

Od początku miał wielką słabość do Franceski, no i nic dziwnego — wyglądała jak mały aniołek. Opłacał jej nauczycieli, doszli bowiem do wniosku, że jest zbyt wrażliwa, aby chodzić do szkoły. Annette nauczyła się z czasem tak zaokrąglać kwoty przeznaczone na jej naukę i inne potrzeby, że mogła z tych nadwyżek utrzymać całą rodzinę.

Zio Toni był stary i bardzo bogaty. Często rzucał mgliste aluzje dotyczące swej ostatniej woli: że szkoda byłoby rozdrabniać posiadłość i że wszystko — to znaczy obrazy i ziemia — powinno pozostać w jednym ręku. Cóż, kiedy były to tylko aluzje — nic konkretnego. Znając jego słabość do Franceski, Annette miała nadzieję, że Zio Toni ją uczyni swoją dziedziczką, ale gdy lata mijały, a konkretów nadal nie było, zaczęła przypominać wygłodniałego psa, któremu kazano leżeć pod suto zastawionym stołem. Te skąpe resztki, które jej rzucano, tylko z najwyższym trudem pozwalały powstrzymać zbliżającą się katastrofę.

A teraz stary krętacz umierał. Lekarze byli zdania, że zostało mu może parę tygodni. Annette nie wiedziała, ile ma pieniędzy — nikt tego nie wiedział — ale sama posiadłość i obrazy warte były fortunę. Och, kilka fortun! Na poczet przyszłego spadku pożyczyła już ogromne sumy, co gorsza na lichwiarski procent, tymczasem Zio Toni zaczął ostatnio dawać jej do zrozumienia, że Francesca zmieniła się na niekorzyść i że nie jest z niej zadowolony. Na swój dziwaczny sposób wybaczył jej incydent z wrzącą wodą, powiedział nawet, że uważa ją za bratnią duszę, bo jak się wyraził, ta dziewczyna potrafi zadawać ból, nie mógł jednak znieść tego, że porzuciła rodzinę, aby uciec nie wiadomo dokąd.

A teraz się okazuje, że przez cały ten czas była tak niedaleko — razem z tą rozwydrzoną bandą pasożytów! Zawsze była niesforna i zawsze sprawiała kłopoty. Całe szczęście, że Simona jest inna. Posłuszna i uległa. W niej teraz cała nadzieja. Musi zastąpić Francescę w sercu stryja i zdobyć jego fortunę. Musi to zrobić dla dobra rodziny!

W przeciwnym razie rodzina Bertonic nie ma żadnych widoków na przyszłość. Ani w ogóle żadnej przyszłości. To będzie koniec.

# ROZDZIAŁ 28

## PRZEBIERANKI

Jeszcze przed wieczorem willa Beatrycze zmieniała się nie do poznania. Angelica jakimś cudownym sposobem zdołała usunąć wszelkie ślady niedawnej imprezy. Z marmurowych powierzchni poznikały lekkie „pieczątki” po kieliszkach i szklankach, w miejsce pustych butelek pojawiły się dzbany z wiosennymi kwiatami. We wszystkich pokojach, jasnych teraz od światła lejącego się do wnętrza przez szeroko otwarte okiennice, w kominkach palił się ogień. Nie zabrakło go nawet w holu. Zniknął zapach zimowej stęchlizny, skarpetek i dymu z papierosów, przegnany przez świeże powietrze i unoszącą się wszędzie woń pasty do czyszczenia mebli. Kate tak zaskoczyła ta zmiana, że skłonna już była uznać nieżyczliwą gospodynię za prawdziwą czarodziejkę, gdyby Francesca nie wyprowadziła jej z błędu. „Nie bądź naiwna — powiedziała. — Zawsze ma do dyspozycji dwie wiejskie kobiety; zjawiają się na każde zawołanie, i to one dokonały tych cudów.” Sama Angelica zamknęła się w kuchni, z której płynęły do holu niezmiernie wprost aromaty. Zanosiło się na istną ucztę.

Kate była zachwycona. Radował ją każdy najdrobniejszy szczegół. Owszem, zdarzało jej się być gościem w luksusowo urządzonych domach, ale nigdy w takim pałacu. Wprawdzie minionej nocy musiała spać na podłodze, za to teraz miała własną sypialnię z istic królewskim łóżem zasłanym bielutką, świeżo wypraną pościelą, miękkie, puchate ręczniki, a na nocnym stoliku butelkę San Pelegrino.

Kiedy Zio Toni wystąpił z tym niespodziewanym zaproszeniem, przypuszczała, że czeka ją noc w jego wieży, okazało się jednak, że nie ma tam zbyt wiele miejsca, a poza tym pan domu z powodu choroby nie siada do stołu z gośćmi, tak więc wszyscy przyjezdni zawsze mieszkają w willi. Dowiedziała się również, że przed kolacją gospodarz zaprasza wszystkich na drinka, co niezmiernie ją ucieszyło: nareszcie zobaczy tę legendarną kolekcję.

Na razie i tutaj czas wcale jej się nie dłużył, zwłaszcza że było o czym myśleć. Mario na przykład stanowił nie lada zagadkę. Dlaczego po tych okropnych obelgach, którymi obrzucił ją wczoraj wieczorem — bez najmniejszego powodu!

— przyszedł jej nagle z pomocą, w chwili gdy ta wiedźma, signora Bertoni, uparła się ją wyrzucić? Zaledwie zadała sobie to pytanie, ktoś zapukał w otwarte drzwi.

— Kate — usłyszała głos Maria — ja muszę z tobą mówić.

— Doprawdy? — spytała chłodno.

— Mogę wejść?

— Proszę.

Wszedł i bardzo starannie zamknął za sobą drzwi. Był tak strasznie spięty, że widać to było w ruchach.

— Ja chyba pojedę dziś do Florencji — oznajmił.

— W porządku. A więc do widzenia.

— Chcę, żebyś ty jechała ze mną.

— Chyba żartujesz?

— Nie, to nie jest żart. Lepiej nie zostawać tutaj z tą rodziną.

— Francesca też jedzie?

— Nie, ona musi zostać.

— Bez niej nie wyjadę — twardo oświadczyła Kate.

— A ty chyba upadłeś na głowę, jeśli myślisz, że pojedę z tobą dokądkolwiek po tym, co zrobiłeś w nocy.

— Ja cię przepraszam. Powiedziałem złą rzecz, ale to nieważne. — Machnął ręką, jakby coś odpędzał. — Ważne, żeby zaraz jechać. Oni tu mają wielkie kłopoty rodzinne.

— Jakie kłopoty?

— To ich sprawa, nie nasza. My nie należymy do rodziny.

Kate przyjrzała mu się uważnie. To dziwne, ale wydawał się szczerzy.

— Zupełnie cię nie rozumiem — powiedziała całkiem zbita z tropu. — Tak ci zależało, żeby tu ściągnąć Francescę, a teraz chcesz uciec i zostawić ją samą? Dlaczego chcesz ją opuścić?

— To nie jest opuszczenie. To dla jej dobra.

— To ty tak mówisz! I dopóki mi nie powiesz dlaczego, nie uwierzę w ani jedno twoje słowo. Zostanę tutaj z Francescą, póki będzie sobie tego życzyć.

Mario zaklął po włosku.

— Głupie dziecko! — powiedział gniewnie. — Ty nie rozumiesz, co robisz. Wracaj ze mną do Florencji. Dla Franceski to najlepsze.

— Bardzo mi przykro, doktorze Bassano, ale mam na ten temat całkiem inne zdanie. A teraz bądź łaskaw wyjść z mego pokoju. Chcę wziąć prysznic.

Wydawał się ciężko strapiony jej decyzją i co dziwniejsze, Kate mogłaby przysiąc, że to prawda. Zdumiał ją jeszcze bardziej, mówiąc, że w takim razie on też zostanie. Zaczęła się z nim sprzeczać, okazał się jednak równie uparty jak ona. Będzie tu siedział dopóty, oświadczył, dopóki z nim nie wyjedzie. W innych okolicznościach byłoby to nawet miłe, ale teraz cała ta rozmowa wprawiała ją tylko w jeszcze większy zamęt.

Gdy po kąpieli zeszła do holu ubrana w te same dzinsy i mocno wymiętą bluzkę, zastała tam Francescę i Simonę kłócące się po włosku z ojcem. Ścisłe mówiąc, kłóciła się Francesca, Simona zaś stała z nieszczęśliwą miną, wtrącając od czasu do czasu jakieś pojednawcze słówko. Maria nie było. Kate po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć się ojcu swojej przyjaciółki.

Signor Bertoni był mężczyzną średniego wzrostu o lśniących brązowych włosach. Na jego sympatycznej twarzy malował się wyraz wiecznego zadowolenia i może przez to wyglądał o wiele młodziej od żony — bardziej jak brat swoich córek niż ich ojciec. Zakłopotana swym nagłym

wtargnięciem w sam środek rodzinnej kłótni, Kate właśnie miała wycofać się chyłkiem, gdy Francesca spojrzała w jej stronę.

— Och, Kate — zawołała po angielsku — nie uwierzysz, co wymyślił sobie nasz ojciec! Każe nam się przebrać do kolacji, i to w co! W spódnice do kolan! Wyobrażasz sobie?

— Bardzo przepraszam — Kate uśmiechnęła się anielsko, czując, że i ten przedstawiciel męskiej części rodziny Bertonich nie potrafi się oprzeć wdziękom młodych kobiet — ale ja niestety mam tylko dzinsy. Nic innego tutaj nie przywiozłam.

— Jakoś temu zaradzimy — uśmiechnął się signor Bertoni.

— Moja małżonka lub Simona chętnie pożyczą ci coś stosownego. Wszystkie jesteście mniej więcej tych samych rozmiarów.

Już sama myśl o pożyczaniu czegoś od signory była na tyle przerażająca, aby nie brać jej pod uwagę, zaś ubrania Simony... Kate wolałaby raczej wdziać na siebie papierową torbę.

— Och, papo, na litość boską! — wykrzyknęła Francesca.

— Nie każ nam wyglądać jak stare babska!

— To niemożliwe. Żadna z was nie mogłaby tak wyglądać bez względu na to, co miałybyście na sobie — zaprotestował szarmancko. — Proszę cię, Cesca, zrób to dla mnie! Przecież to drobiazg, a dla twojej matki miałoby wielkie znaczenie...

— Nie... — zaczęła Francesca, ale nagle włączyła się Simona.

— Och, Cesca, ja też cię proszę! Ten jeden raz! To takie okropne, gdy wszyscy się kłócą! Wiesz przecież, co będzie, jeśli przyjdiesz na kolację w tych brudnych dzinsach. Znasz mamę. Popsuje nam cały wieczór. Musisz ją wciąż denerwować? Przecież to tylko łachy! Czy to takie ważne, co masz na sobie? Sama mi mówiłaś, że nie szata zdoła człowieka.

— Tak, ale... — Francesca zamilkła w pół słowa. Wyglądało na to, że choć wobec rodziców jest nieugięta, nie potrafi się oprzeć żadnej prośbie swojej młodszej siostry.

Tak więc nie dyskutując już dłużej, udały się wszystkie do pokoju Simony, gdzie zaczęły przeglądać przywiezioną przez nią garderobę. Rzeczy te tak daleko odbiegały od wszystkiego, co nosiła Kate, że wprawilo ją to w rozbawienie: tak by mogła ubrać się na maskaradę! Simona również traktowała sprawę z humorem. Kate rozśmieszyła zwłaszcza ciemnozielona sukienka z zakładkami na gorsie i troczkami do wiązania z tyłu.

— Ależ to sukienka dla małej dziewczynki! — wykrzyknęła z uciechą. — Ubierano mnie w coś takiego, kiedy miałam dziewięć lat!

— Matka kupiła mi ją tej zimy — zachichotała Simona. — Czuję się w niej jak kapusta!

— I tak też wyglądasz — stwierdziła Francesca. — Biedna Simi! Może byś przymierzyła coś naszego? Zrozumiesz wtedy, jak się czują anioły od błota.

— Mogę? — spytała płochliwie Simona, ale oczy jej się śmiały do tych zakazanych ciuchów.

Kate i Francesca zaczęły jej prezentować swoje najukochańsze, najbardziej sterane szmaty.



— Patrz, tę koszulę zdarłam z Aideny — pochwaliła się Francesca. — Uch, wciąż jeszcze nim pachnie!

Kate parsknęła śmiechem, przypominając sobie Francescę stojącą na moście w wytwornych lakierkach i niezwykle eleganckim płaszczu. Och, i z tą czarną torebką, którą potem rzuciła do rzeki!

— Proszę, to dopiero są szykowne dzinsy — oznajmiła z powagą, wręczając Simonie swoje spodnie. — Nie prałam ich już cały miesiąc.

Na twarzy Simony odbiło się tyleż zgorzelenia, co i zachwytu.

— Zakonnice mówią, że to grzech chodzić w spodniach z zapięciem z przodu — oznajmiła z oczami błyszczącymi z uciechy. — One w ogóle są przeciwne spodniom.

— Całkiem słusznie — orzekła Francesca. — Materiał ociera ci skórę, a od tego masz nieczyste myśli. No, wkładaj te dzinsy! Zaraz pójdziesz prosto do piekła!

Chwilę później Kate w zielonej sukni, a Simona w jej szykownych dzinsach zaczęły się wdzięczyc przed lustrem.

— Cześć, kapustko!

— O rany, cóż ty masz za spodnie! Z tym rozporkiem z przodu wyglądasz piekielnie sexy!

Żadna z nich w końcu nie włożyła kapuścianej kiecki. Simona, jak się okazało, przywiozła na wszelki wypadek jeszcze dwa komplety sweterków prawie takich samych jak te, które miała na sobie, ubrały się więc jednakowo — w rozszerzające się dołem spódnice i te okropne bliźniaki. Kate wybrała zielony, Francesca jasnoniebieski.

— No, teraz wyglądamy jak chórek — stwierdziła Kate. — Jak się będziemy nazywać? Śpiewające kapustki? A może sweterkowe trio?

Trochę szarżowała, widząc, że Simona patrzy w nią jak w tęczę. Jakby nigdy w życiu nie spotkała mądrzejszej i bardziej zabawnej osoby. A może naprawdę tak było? Pławiąc się w uwielbieniu naiwnej dziewczyny, nie od razu spostrzegła, że te przebieranki nie tylko nie bawią Franceski, lecz działają na nią wręcz przygnębiająco. Odkąd włożyła na siebie obowiązkowy rynsztunek, ucichła i jakby zmaląła.

— Co ci jest? — spytała ją Kate, gdy ruszyły w stronę La Rokki. — Przecież to tylko jeden wieczór.

— Ty tego nie zrozumiesz — westchnęła Francesca.

— Pewnie że nie, jeśli mi nie wytłumaczysz.

— Nie mogę — powiedziała Francesca dziwnie cichym, dziecinnym głosem. — Po prostu nie mogę.

— No cóż, przynajmniej twój Zio będzie z nas zadowolony.

— To tylko pogarsza sprawę — padła ponura odpowiedź.

— Uczciwie mówiąc, moja droga, oni z tobą mają też nielekką — powiedziała Kate. Widząc Zio Toniego w otwartym oknie La Rokki, posłała mu promienny uśmiech. — Twoja matka faktycznie bywa

trochę ostra, ale reszta rodziny nie jest znów taka zła. Simona jest całkiem w porządku, niech tylko nie nosi tej kretyńskiej kiecki, ojca też masz fajnego, a twój stryj to miły staruszek.

Francesca nic nie powiedziała; popatrzyła na nią tylko z jakąś dziwną udręką w swoich pięknych oczach. Dlaczego? Kate nadal nic nie rozumiała.

## ROZDZIAŁ 29

### CENA

Zgięty w pół Umberto Bertoni samotnie zmagał się z bólem — tak strasznym, że trudno go było wytrzymać. Ból towarzyszył mu przez całe życie; wpierw znęcał się nad nim ojczym, później świątobliwi ojczulkowie, usiłujący za pomocą kija wypędzić diabła z księżego bękarta, i w końcu artretyzm, który niszczył go przez całą ostatnią dekadę — nigdy jednak nie był to taki ból. Ten był jak ostrze rozdzierające wnętrzności, jak chmara robactwa pożerająca człowieka od środka, jak przedsmak męczarni czekających go niebawem w piekle. O tak, już wkrótce. Ale jeszcze nie dzisiaj. Po pewnym czasie ból minie. Wiedział to z doświadczenia. Z twarzą zalaną strumieniami potu i zaciśniętymi zębami czekał na moment ulgi. Nie chciał morfiny, jeszcze nie teraz. Musi jeszcze coś zrobić, nim pozwoli sobie odpłynąć, tam gdzie można zapomnieć o męce i strachu.

Ból zaczynał ustępować — lecz jak straszliwie powoli... Kiedy stało się to możliwe, nakazał sobie oddychać normalnie, otarł twarz batystową chustką i bezsilnie opadł na oparcie. Niechby ustąpiło to nieznośne drżenie...

Nawet najgorsza męka w końcu mija — przekonał się o tym wiele razy w życiu, znosząc taki czy inny ból, ale strach to co innego. Ten nie mija nigdy. Teraz nawet było jeszcze gorzej: z każdym mijającym dniem jego przerażenie rosło.

Wiedział, że umiera. Nie musiał pytać lekarzy, wystarczyło mu to, co z godziny na godzinę coraz jaśniej mówiło mu własne ciało. Bał się, ale nie śmierci. Gdyby poległa ona tylko na wyzwoleniu się z tego gnijącego ciała, które stało się jego więzieniem i zarazem bezlitosnym katem, powitałby ją z otwartymi ramionami! To myśl o tym, co będzie po śmierci, przejmowała go grozą. Wizje żarłocznych płomieni i wieczystej męki potępionych, którymi karmiono go w dzieciństwie, zapadały mu głęboko w duszę, a teraz nie opuszczały go ani na chwilę.

Przez całe życie sprzeciwiał się Bogu. Zdobył bogactwo i władzę, aby dowieść swoim opiekunom — tym, którzy w dzieciństwie nie mieli dla niego litości — że jest silniejszy i bardziej inteligentny, niż sobie wyobrażali. Nie pominął też żadnej okazji, aby plunąć w twarz Wszechmocnemu. Nienawidził Go z całej duszy, ale nigdy nie przestał w Niego wierzyć. A teraz oddałby wszystko, gdyby tylko ktoś mu potrafił dowieść, że śmierć to po prostu coś takiego jak zgaszenie światła, a potem nie ma już nic. Tylko ciemność i nicość. Ale nie śmiał w to wierzyć. Byłoby to zbyt piękne.

Był pewien, że po tamtej stronie przygotowano dla niego szczególnie okrutną karę, i gdy dopadała go ta myśl, zaczynał spierać się z Bogiem: dlaczego akurat mnie chcesz ukarać? Nie jestem gorszy od innych. Pokaż mi takiego, co potrafi oprzeć się pokusie, która sama pcha mu się w ręce. Wiesz doskonale, ilu widziałem niewinnych, których uwiodło zło.

Cieszył go każdy taki przypadek. Obserwowanie ludzi sprzeniewierzających się boskim prawom było dla niego najlepszym sposobem zwalczania własnego strachu. Czasami nawet udawało mu się go pozbyć.

Teraz jednak przerażenie powróciło ze zdwojoną siłą, zaczął więc powtarzać sobie znowu, że jeśli nawet popełnił zło, dla którego nie ma przebaczenia, to dlatego, że taka jest natura ludzka. Inni są równie źli, co łatwo można udowodnić.

Poczuł, że zmięta batystowa chustka cała przesiąkła wilgocią, odrzucił ją więc ze wstrętem i sięgnął po srebrny dzwoneczek leżący na małym stoliku. W pokoju natychmiast pojawił się młody człowiek o szerokiej uśmiechniętej twarzy.

— Podaj mi brandy, Dino.

Młodzieniec z pośpiechem napełnił szklaneczkę i włożył mu ją do ręki. Pochłonawszy zawartość jednym haustem, Umberto wydał westchnienie ulgi.

— Teraz mnie oporządź.

Lokaj bez słowa wykonał polecenie: otarł twarz chorego pachnącym ręcznikiem, przyczesał mu włosy i starannie wygładził ubranie. Podniósłszy z podłogi wilgotną chusteczkę, poprawił stojący na stoliku wazonik z białym jaśminem, po czym stanął przed swym chlebodawcą, czekając na dalsze rozkazy.

— Przynieś mi szkatułkę, tę z kości słoniowej.

Zdziwiony, lecz jak zwykle posłuszny, Dino przeszedł na drugą stronę pokoju, gdzie na innym niskim stoliku leżała przepięknie rzeźbiona szkatułka mniej więcej wielkości książki. Gdy postawił ją obok chorego, usłyszał:

— Zimno mi.

Czym prędzej zamknął okno, wziął z otomany kaszmirowy szal, którym okrył swego pana, a potem podsunął mu ręczne lusterko.

Umberto Bertoni skinął głową na znak, że jest gotów.

— Każ jej wejść.

Po kilku sekundach do pokoju weszła Annette. Miała na sobie suknię-futerał z lśniącego niebieskiego jedwabiu, brylantowy naszyjnik i także kolczyki. Gładko uczesane włosy zebrane były w elegancki węzeł. Umberto na jej widok pomyślał jak zwykle, że to bardzo ładna kobieta, o wiele za dobra dla tego trutnia, jego bratanka. Tylko strasznie spięta. Sprawia wrażenie zbyt mocno naciągniętej struny, która lada moment może pęknąć... Dlaczego? Za chwilę pewnie się dowie.

— Jak się czujesz, Zio Toni? — spytała po włosku. — Mogę coś dla ciebie zrobić? Wydajesz się zmęczony.

Gestem poprosił, żeby usiadła.

— Za to ty, droga Annette, jesteś dziś wyjątkowo piękna.

— Dziękuję. — Nerwowym ruchem dotknęła kolczyków i usiadła na niezbyt wygodnym krześle, elegancko krzyżując nogi.

Nieźle te diamenty, pomyślał. Ciekawe, skąd je ma? Pewnie od wdzięcznego wielbiciela. Wiedział, że było ich kilku.

— Mam nadzieję, że na dole wszystko w porządku. Niczego wam nie brakuje?

— Och, nie. Angelica zadbała o wszystko.

— To świetnie. A jak dziewczyny? Zadowolone?

— Tak, dziękuję, obawiam się tylko, że ta przyjaciółka Franceski ma na nie zły wpływ.

— Zgadzasz się z tobą. — Zamilkł na chwilę, by uporządkować powody swej niechęci do tej Angielki. Uśmiechnęła się do niego bez żadnego strachu, i to mu się nie podobało. W jej oczach dostrzegł nawet współczucie, i to podobało mu się jeszcze mniej. No a już słowa „to miły staruszek”, które usłyszał przez otwarte okno, dotknęły go do żywego. Były niewybaczalne. Nigdy w życiu żadna młoda i ładna kobieta nie potraktowała go w taki sposób. Jak zgrzybiałego głupca, jak absolutne zero! Miły staruszek! Zapłaci mu za to! — Może znajdziesz jakiś sposób, żeby się jej pozbyć — powiedział głośno.

— Och, Zio Toni, próbowałam! Na szczęście jutro wraca do Florencji. Ale zanim wyjedzie, postaram się pozbawić ją wpływu, jaki ma na Francescę.

— Jak chcesz to zrobić?

— Mam parę pomysłów, ale jeszcze nie zdecydowałam...

— Może nie będziesz musiała. — Zaczęła coś mówić, ale przerwał jej szorstko. — Na razie dość o tym. Chcę ci coś pokazać.

— Tak? — Och, jaka uległa! Zawsze tak bardzo chce się przypodobać.

— Jest w tej szkatułce. Masz. — Zapuściwszy rękę do kieszeni, wyjął malutki kluczyk zawieszony na jedwabnej nitce.

— Ach, jaka śliczna! — wytchnęła z zachwytem, gładząc koniuszkami palców rzeźbione wieczko szkatułki. — Masz tyle pięknych rzeczy!

Uśmiechnął się do siebie. Idiotka. W ogóle nie zauważyła, co przedstawia ta rzeźba.

— Dzięki, moja droga, a teraz ją otwórz. Obejrzyj sobie zawartość.

Uśmiechając się jak dziecko do gwiazdkowego prezentu, Annette otworzyła zameczek i podniosła rzeźbione wieczko. Widząc paczuszkę owiniętą w kawałek spłowiałego jedwabiu, spojrzała na niego pytająco, skinął więc głową na znak, że ma odwinąć pakiecik. Gdy zrobiła, co kazał, spod śliskiego jedwabiu wysunęło się kilka niedużych zdjęć. Dwa lub trzy były już bardzo stare — miały kolor sepii i zaczynały się zwijać — reszta zrobiona była polaroidem; ich kolory też już wyblakły. Uśmiechając się nadal, ułożyła z nich wachlarzyk na stoliku.

W miarę jak treść fotografii zaczynała do niej docierać, uśmiech stopniowo zniknął z jej twarzy, ustępując miejsca niedowierzaniu, przerażeniu, odrazie... Obserwował to z ogromną satysfakcją.

Takim gestem odrzuciła zwisający jej z nadgarstka kawałek jedwabiu, jakby nasączony był jadem.

— Skąd je masz? — wyjąkała. Widać było, że z trudem powstrzymuje mdłości. — Są odrażające!

— Cóż, może i nie jestem najlepszym fotografem, jednak...

— Chcesz powiedzieć... że sam je zrobiłeś?

— Tak. — Uśmiechnął się jak artysta dumny ze swoich skromnych osiągnięć.

— Ale... Kim są ci ludzie?

— Chodzi ci o imiona? Ta ostatnia dwójka to Guido i Beata, ale reszta... To było tak dawno, w czasie wojny. Jeśli w ogóle znałem ich imiona, to teraz już nie pamiętam.

— Ale... — Obrzuciła fotografie szybkim spojrzeniem i natychmiast odwróciła oczy. Z jej ust wydobywał się płytki, urywany oddech. — Ale dlaczego... dlaczego przechowujesz fotografie trupów?

— Na pamiątkę. To mój album przestępstw. I dokumentacja drogi do sukcesu. Każde z tych zdjęć ma swoją barwną historię. Opowiedzieć ci którąś?

— Nie. — Patrzyła w podłogę, niezdolna już teraz spojrzeć mu w oczy. Wiedział, że w głowie kłębią jej się setki pytań, nie odważy się jednak ich zadać.

— Spójrz na to po lewej — zachęcił ją cicho. Nerwowo zerknęła na zdjęcie. — Zrobiłem je w willi, w *camerino*. Tam umarł ten chłopak. Zamknąłem drzwi, a on nie potrafił ich znaleźć. Czyż nie wygląda spokojnie? Całkiem jakby spał. Chloroform to taka łagodna śmierć... Zawsze przypuszczałem, że tak jest, i miałem rację.

— Dlaczego? — wyszeptała głucho.

— Głupek wszedł mi w drogę. Chciałem kupić ten dom, a on się sprzeciwiał. Jego bracia wyrazili zgodę, ale bez jego podpisu transakcja nie mogła się odbyć. Wiesz chyba, że bardzo nie lubię, gdy ktoś psuje mi szyki. Pewnie dlatego jest to moje ulubione zdjęcie. Chcesz przyjrzeć się bliżej reszcie?

— Nie. Nie każ mi na nie patrzeć. Robi mi się od tego niedobrze.

— Ciekawe... — Spojrzał na nią z widocznym zainteresowaniem. — Francesca mówiła to samo.

— O Jezu! — Annette zerwała się na równe nogi. — Jej też pokazałeś te zdjęcia? Kiedy? Mów, kiedy to było!

— Uspokój się, Annette, nie ma sensu tak się ekscytować. Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, ale na pewno przed jej wyjazdem do Stanów. Mieszkałem jeszcze wtedy w willi, a więc od tego czasu upłynęło z pięć lat albo więcej. Pamiętam, że lał wtedy deszcz i oboje byliśmy trochę znudzeni. Pomyślałem, że moje małe dossier może ją trochę zabawić. Niestety, zareagowała tak samo jak ty. Chyba nawet gorzej.

— Nie mówiła mi o tym — wyszeptała Annette z twarzą zbielełą od szoku.

— Oczywiście, że nie. Nietrudno zmusić dziecko do milczenia.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Lubię dzielić z innymi swoje przyjemności. Francesca to rozumie.

— Dlatego cię zaatakowała! Parsknął zduszonym śmiechem.

— Aha, wrzając wodą. Niezła riposta. Nauczyła się zadawać ból, a ja potrafiłem to docenić.

— Mój Boże, nic dziwnego, że... — Annette zamilkła na moment, jakby nagle przysła jej do głowy jakaś inna okropna myśl. — Słuchaj, Zio Toni, jeśli kiedykolwiek dotknąłeś którejś z moich córek...

— Przestań! — przerwał jej z oburzeniem. — Za kogo ty mnie bierzesz? Za jakieś wynaturzone monstrum? Te dziewczyny to moje ciało i krew! Nigdy bym ich nie skrzywdził!

— Co? — Annette roześmiała się szyderczo. Brzmiało to bardziej jak warknięcie niż śmiech. — Nigdy byś ich nie skrzywdził?! Jak śmiesz tak mówić? A co zrobiłeś mojemu biednemu dziecku? Wiedziałeś, jaka jest wrażliwa, i co? Pokazałeś jej te straszne zdjęcia! Jesteś chory, Zio Toni, chory!

Znów parsknął śmiechem.

— Uważaj, co mówisz, *mia cara*. Chory? Ja umieram! — wykrztusił, śmiejąc się coraz głośniejsze, dopóki nie złapał go atak kaszlu.

Annette wstała z krzesła, by podejść do okna. Wróciła dopiero wtedy, gdy udało mu się złapać oddech. Stojąc przed nim, spytała:

— Po co mi to pokazałeś? Żeby włożyć mi do ręki taką broń? Wiesz, że mogę te zdjęcia zanieść na policję. Jeśli to zrobię, będziesz zrujnowany.

— Daj spokój, Annette, nie jesteś taka głupia. Oboje wiemy, że tego nie zrobisz. Zanimby policja rozpoczęła śledztwo, dawno już byłbym martwy, a jedynym rezultatem twojego donosu stałby się wielki skandal. Wraz z moją reputacją przepadłaby też posiadłość. — Urwał na moment, obserwując zmianę jej wyrazu twarzy, gdy padło słowo „posiadłość”. — Jestem pewien — podjął — że gdy umrę, ty zrobisz wszystko, by opinia rodziny twojego małżonka nie poniosła najmniejszego szwanku, zniszczysz więc zarówno te śliczności, jak i pozostałe, zamknięte w tamtej hebanowej skrzynce. Tu jest ich pięć, tam siedem, razem dwanaście. Ale to trzynastka była zawsze moją ulubioną liczbą. A teraz usiądź i posłuchaj mnie bardzo uważnie.

Annette opadła na krzesło.

— Odpowiedz: dlaczego mi je pokazałeś? Chcę to zrozumieć.

Nie kwapiąc się z odpowiedzią, zaczął poprawiać na sobie szal. Jeszcze pół godziny temu ta kobieta zerwałaby się z miejsca i zrobiła to za niego, teraz ani drgnęła. Wiedział, że brzydzi się go dotknąć, wprost czuł emanujące z niej fale wstrętu. Świetnie. Im silniejszy sprzeciw, tym lepiej. Większa satysfakcja.

— Wiem, jak desperacko pragniesz, abym cały swój majątek zapisał twojej rodzinie — powiedział po chwili.

Ucieszył się, widząc, że drgnęła. Musiało to być dla niej szokujące. Po tylu latach aluzji i niedomówień usłyszeć wreszcie te słowa wypowiedziane jasno i wyraźnie!

— To również twoja rodzina...

— Pragniesz tego od lat — mówił dalej — ale nie znasz ceny, którą zapłaciłem za to wszystko. Pomyślałem, że powinnaś ją poznać.

Nerwowo oblizwała dolną wargę.

— Mówisz o tym chłopcu, który nie chciał ci sprzedać domu?

— O nim i o innych. Bękart taki jak ja, człowiek znikąd, nie osiąga mojej dzisiejszej pozycji bez poświęceń, o czym ty zwłaszcza powinnaś dobrze wiedzieć. Sztuka polega na tym, żeby skłonić innych do ofiar... niech oni to robią za ciebie. Nie zawsze łatwo być bezwzględny — stwierdził, stukając palcem w najbliższą z rozłożonych fotografii. — Wiesz, że to drogo kosztuje. Ja zapłaciłem tę cenę, a ty? Gotowa ją jesteś zapłacić?

— Przyrzeknij, że nigdy nie pokażesz tych zdjęć Simonie.

— Nie mam takiego zamiaru. Nie byłaby to żadna przyjemność. Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie.

— Przepraszam, o co pytales...?

— Czy jesteś gotowa zapłacić wymaganą cenę.

— Ja... nie rozumiem.

— Chcesz mieć tę posiadłość, prawda? Ale do jakiego stopnia tego pragniesz? Czy tak jak kiedyś ja? Czy aby ją zdobyć, gotowa byłabyś na przykład zabić?

— Zabić? — Oczy jej pociemniały. — O czym ty mówisz? — wyszeptała po chwili. — Kogo miałabym zabić?

— Przyszło mi na myśl, że może tę kłopotliwą Angielkę.

— Kate? Tę przyjaciółeczkę Franceski? A cóż ona ma wspólnego z willą Beatrycze?

— Nic, i w tym właśnie tkwi całe piękno takiego czynu. Ta dziewczyna jest po prostu irytująca i... należy się jej pozbyć. Och, moja droga Annette, potraktuj to jak kaprys umierającego. Nie zdobyłem majątku dzięki swym walorom osobistym czy dobrym koneksjom, dlaczego więc miałbym lekką ręką oddawać go spadkobiercom? Nawet ty musisz przyznać, że nie byłoby to sprawiedliwe. Wiem, że pragniesz bogactwa dla swoich córek, ale mnie interesujesz ty i skala twojego pragnienia. Więc jak? Mogłabyś zabić?

— Zabić? — powtórzyła w zadumie.

— Tak.

Przez chwilę wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

— Przestań, Zio Toni, przecież to szaleństwo! Niby jak bym to miała zrobić? Udusić ją gołymi rękami? Zastrzelić? Pchnąć nożem? A potem zrobić zdjęcie? — Omal nie parsknęła śmiechem.

— Uspokój się, Annette, zaczynasz wpadać w histerię. Myślałem, że jesteś bardziej rozsądna. Nikt ci nie każe robić tego własnoręcznie, chyba że sama chcesz. Możesz po prostu komuś to zlecić. Moim zdaniem mógłby to być Dino. Nie jest zbyt bystry, i bardzo dobrze. Tępak nie zadaje pytań. A sposób? Najlepszy byłby wypadek, na przykład samochodowy. Łatwo go upozorować. Wiem, że ci kumple

Franceski urządzili dziś sobie jakieś głupie wyścigi na vespach; to była świetna okazja! Nie szkodzi, nadarzy się inna. Usiądź, moja droga, musimy jeszcze pomówić.

— Nie będę...

— Siadaj! — powiedział takim tonem, że natychmiast usiadła. — No, teraz lepiej — stwierdził z zadowoleniem. — Chcę ci wyjaśnić całą sytuację. Musisz wiedzieć, co zamierzam zrobić. Otóż jutro przyjedzie notariusz, któremu podyktuję ostatnie poprawki do mojego testamentu. Mówię „ostatnie”, bo nie sądzę, bym miał szansę raz jeszcze zmienić decyzję. Od jakiegoś czasu nie jestem pewien, komu zostawić majątek. Wiesz, jeszcze do niedawna zamierzałem uczynić Francescę swą główną spadkobierczynią, ale odkąd zaczęła zadawać się z tymi ludźmi...

— Pracują dla Florencji — wtrąciła z pośpiechem Annette. Uciszył ją ruchem ręki i mówił dalej:

— Francesca odwróciła się ode mnie. Gdy mnie zaatakowała, mogłem jej wybaczyć, ale odkąd poszła własną drogą... przestałem ją brać pod uwagę. Pozostają zatem dwie osoby: Dario, syn mojej przyrodniej siostry, którego nawiasem mówiąc, uważam za niezbyt ciekawego osobnika, i nasza kochana Simona. No, więc jak będzie? Ty przecież nawet nie lubisz tej Angielki.

Annette uśmiechnęła się nagle.

— Wiesz co, Zio Toni? Przez chwilę myślałam, że mówisz serio. Nie wyobrażałam sobie, że stać cię na taki makabryczny dowcip!

— Dowcip? Nigdy nie mówiłem poważnie. Przestała się uśmiechać i powoli podniosła się z krzesła.

— Ty chcesz tego naprawdę... A jeśli odmówię?

— Notariusz otrzyma stosowne instrukcje. Cóż, może ten Dario okaże się godny mojego dziedzictwa? Niespodzianki się czasem zdarzają.

— To, co proponujesz... Przecież to potworność. Wiesz, że w żadnych okolicznościach nie mogłabym...

— Poczekaj, nie podejmuj jeszcze decyzji. Zaskoczyłem cię tą ofertą. Potrzebujesz czasu, żeby ją przemyśleć.

— Nie, Zio Toni, wprost przeciwnie.

— Powtarzam: na razie nic nie mów. Przyjdź do mnie rano. Może wtedy przyniesiesz mi dobre wieści. I pamiętaj: Dino to prawdziwy skarb. Dyskretny, a przy tym niezwykle usłużny.

Popatrzył na nią i stwierdził, że z tą nisko pochyloną głową wygląda jak stara kobieta.

— To wszystko? — spytała.

— Tak. — Rozsiadł się w fotelu, czując z zadowoleniem, że tak wygodnie nie było mu już od dawna. Wciąż z niej ładna kobieta, pomyślał, i dzielna. Strasznie teraz cierpi, ale dobrze to znosi. Cóż, piękno i ból idą w parze, w jego życiu zawsze tak było. — Przyślij mi Dina — powiedział głośno — a my zobaczymy się jutro, zanim przyjedzie notariusz. Dobranoc, Annette, miłych snów.

W milczeniu wyszła z pokoju, wymacując sobie drogę jak ślepa.



Umberto Bertoni uśmiechał się jeszcze, gdy wierny służący przyniósł mu w końcu wieczorną dawkę morfiny. Dobrze było wiedzieć, że przynajmniej jedna osoba będzie mieć dzisiaj gorszą noc niż on.

## ROZDZIAŁ 30

### BEZSENNI

Francesca wyglądała wyjątkowo pięknie. Była znów ubrana odpowiednio, co też miało swoje znaczenie, zdaniem Maria jednak nie tak wielkie jak bijąca z niej radość życia. To szczęście, które odnalazła dzięki aniołom od błota, czyniło ją tak promienną nawet tutaj, w tym znieawidzonym domu. Zmieniła się nawet mowa jej ciała. Zniknęła przygarbiona, zamknięta w sobie dziewczyna; w każdym jej geście, sposobie trzymania głowy odbijały się teraz jej prawdziwe cechy — żywiołowa otwartość i wspaniałomyślność, które wreszcie doszły do głosu. Wszystko to sprawiało, że pragnął jej bardziej niż kiedykolwiek. Powinien był wyjechać zaraz po rozmowie z Kate, a teraz... było już za późno. Nie mógł oderwać oczu od jej uśmiechniętej twarzy. Pragnął spędzić z nią jeszcze ten wieczór, ten jeden ostatni wieczór...

Znalazła go na tarasie, dokąd wymknął się na papierosa.

— Ach, tu się ukryłeś! — powiedziała po włosku. — Ciekawa byłam, gdzie jesteś.

— Nie chciałem ci przeszkadzać. Myślałem, że wolisz być teraz z Simoną.

— Och, bawi się doskonale! Kate opowiada jej o Florencji. — Wsunęła mu rękę pod ramię i lekko je uściśnięła. Opanował się z najwyższym trudem: nerwy miał napięte jak postronki. — Ale tak, to cudowne zobaczyć znowu Simonę.

— Widziałaś ją nie tak znów dawno. W Boże Narodzenie, prawda?

— Tak, ale wtedy było inaczej. Ja byłam inna. Tak strasznie obolała po tej klinice, tak przerażona tym wszystkim, co o mnie mówiono. Teraz jestem o wiele silniejsza... Czuję to, wiesz? A najważniejsze, że widzę przed sobą przyszłość. To naprawdę ogromna zmiana.

— Tak — powiedział gorzko — dobrze jest mieć nadzieję.

— Co ci jest, Mario?

— Nic — bąknął, wiedząc, że mu nie uwierzy.

— Powinnam cię chyba przeprosić. Byłeś taki cierpliwy przez cały ten czas, choć łatwo ci to nie przyszło... Wiedziałam jednak, że zrozumiesz...

— Cieszę się, że jesteś szczęśliwa — powiedział z rozdartym sercem. Mówił prawdę, czemu więc te słowa zabrzmiały tak sucho i jakby nieszczerze?

— Wiem, że gniewasz się na mnie i nie mogę cię za to winić. Nie mam pojęcia, jak to powiedzieć... Wiesz, jak cię traktowałam, ale to tylko dlatego, że byłam tak pewna ciebie i mnie... i naszej wspólnej przyszłości. Wierz mi, tam, we Florencji, zawsze czułam się tak... jakbyś był we mnie, to znaczy przy mnie

— poprawiła się z nagłym rumieńcem. — Tak samo było w tej cholernej klinice. Gdyby nie ty, gdybym nie była pewna, że we mnie wierzysz, naprawdę bym zwariowała. Zamknęliby mnie tam na amen, rozumiesz? Próbuję ci powiedzieć, że jeśli się tak nie stało, to tylko dzięki tobie... i...

— Sza — przerwał jej Mario. — Nic już nie mów.

— Muszę. To bardzo ważne. Musimy stąd wywieźć Simonę. Pojedźcie do Florencji ze mną i z Kate.

— Wiesz, że rodzice się na to nie zgodzą.

— Simona ma już prawie osiemnaście lat! Nie mogą jej wiecznie traktować jak dziecko! I popatrz, jak świetnie się czuje z Kate! Niechby pobyła z nami choć parę dni, zobaczyła, jak żyjemy, poznała całą naszą grupę! Poczulaby wreszcie, że żyje, bo przecież tutaj jest więźniem!

— No nie, to przesada.

— Nie znasz sytuacji. Każą jej być „miłą” dla stryja. Widziałeś, co robi matka? Podsuwa mu ją pod nos. Mdło mi się robi, kiedy na to patrzę. Myślisz, że ze mną było inaczej? „Francesca, idź i zobacz, czy Zio Toniemu się nie nudzi. Pokaż mu ten taniec, którego się nauczyłaś. Pośpiewaj mu trochę. Postaraj się go rozweselić.” A teraz to samo chcą zrobić z Simoną, ale nic z tego! Nie pozwolę mu położyć na niej łapy! Muszę zabrać ją do Florencji! Tylko w ten sposób mogę przeciwdziałać ich zakusom. Potrzebna mi jest jednak twoja pomoc. Proszę cię, Mario, ty jeden przynajmniej uwierz, że mam rację!

— Nie, Francesco, nie proś mnie o to.

— Dlaczego?

— Nie powinienem się mieszać w wasze rodzinne sprawy.

— Och, ale ty nie wiesz... Nigdy ci o tym nie mówiłam... Nie mogłam, ale teraz... Teraz nie mogę pozwolić, żeby ten potwór zdobył taką władzę nad Simoną, jak kiedyś nade mną. Nie pozwolę mu jej skrzywdzić, raczej go zabiję!

— Daj spokój, co ty mówisz? Przecież to stary, umierający człowiek. Jak ktoś taki mógłby skrzywdzić twoją siostrę?

— Ty go nie znasz. On... on ma fotografie — powiedziała półgłosem.

Mario omal się nie roześmiał.

— *Mia cara*, i jakąż to krzywdę mogą jej wyrządzić zdjęcia?

— Nie śmiej się, Mario, to naprawdę poważna sprawa. Właśnie z tego powodu oblałam go wrzątkiem. On... pokazał mi te zdjęcia... chciał zrobić mnie swoją współniczką... Ty nie wiesz, jaka to makabra...

— To, co mówisz, nie ma sensu. Jeśli tak było, czemu nie powiedziałaś mi wcześniej?

— Nikomu o tym nie mówiłam. Ja... On mi nie pozwolił. Te zdjęcia były takie... okrutne — wyznała cichutkim głosem dziecka. — Przedstawiły... ludzkie zwłoki. On sam je fotografował. Podobno zabił tych ludzi, tak mówił. Chciał mi opowiedzieć, jak to zrobił. A niektórzy... niektórzy z tych pomordowanych byli jeszcze prawie dziećmi.

— Mój Boże! — Mario przez chwilę nie był w stanie powiedzieć nic więcej. Przed oczami stanęła mu młoda dziewczyna szlochająca na ławce w padewskim parku. Była taka niewinna, tak krucha psychicznie i tak udręczona! Nie mieściło mu się wprost w głowie, choć jako psychiatra widział już przecież niejedno, że ktoś mógł z premedytacją wywołać tak ciężki uraz w psychice młodej dziewczyny. Ten ktoś w dodatku był przecież jej krewnym. A jeśli to jednak prawda? Jeśli ten człowiek rzeczywiście popełnił te potworne zbrodnie, rejestrując je potem na zdjęciach? Nie, to niemożliwe, nie ma sensu nawet o tym myśleć! W swej praktyce lekarskiej miał do czynienia z wieloma ludzkimi fantazjami, skłonny więc był sądzić, że signor Bertoni wszystko to wymyślił. Nasuwało się pytanie — po co? Może chciał przstraszyć Francescę?

— Uwierzyłaś mu? — spytał.

— Sama nie wiem. Powiedział, że niektórzy z tych ludzi umarli tutaj, w *camerino*. Samo to było dość makabryczne, ale jeszcze gorszy był sposób, w jaki o tym mówił. Jakby uważał, że chcę to wiedzieć. Jakbym była cichą współniczką, która pragnie znać wszystkie szczegóły.

Prawda to czy nieprawda, jedno jest pewne, myślał Mario: to, co zrobił ten stary, przyprawiło ją o ciężki uraz, czemu zresztą trudno się dziwić. W porywie czułości i współczucia otoczył ją ramionami.

— Moje biedne kochanie — wyszeptał, przytulając ją do siebie tak mocno, że poczuł bicie jej serca. — Nie zamartwiaj się już o Simone, coś wymyślimy. — Ogarnęła go furia na tę koszmarną rodzinę. Musi być jakiś sposób, żeby się od nich uwolnić!

Pochylił się nad nią i zaczął całować, a ona po chwili odpowiedziała mu tak żarliwie jak chyba nigdy od czasu, gdy jej ojciec przyłapał ich w jego kwaterze. I nie były to już pocałunki młodziutkiej naiwnej dziewczyny. Miał teraz w ramionach dojrzałą, świadomą swych pragnień kobietę. Była tak podniecająca! Na moment dał się ponieść temu uczuciu, nagle jednak obudziła się w nim podejrzliwość. Gwałtownie wypuścił ją z objęć.

— Gdzie się nauczyłaś tak całować?

— To znaczy jak? — spytała jak człowiek wyrwany ze snu.

— Z języczkiem. Całujesz jak dziwka, jak te cudzoziemskie zdziury.

Odsunęła się lekko i spojrzała mu w oczy.

— We Florencji — odrzekła z absolutną szczerością. — Całowałam się z paroma chłopakami. Nic więcej jednak nie było.

Nie chciał jej wierzyć. Z głębi domu dobiegł go akurat głos Annette wzywający ich na kolację i znów ogarnęła go złość na tę cholerną rodzinę. Nie spotkało go od nich nic oprócz bólu. Pragnął już tylko się od nich uwolnić. Francesca też go zawiodła. Zaczął podejrzewać, że wymyśliła całą tę historię ze stryjem, by uzyskać jego pomoc i współczucie. Fotografie! Czy one w ogóle istnieją? A ci chłopcy we Florencji? „Nic więcej nie było.” Ma jej wierzyć na słowo? Czy jeszcze kiedykolwiek mógłby jej zaufać? A gdyby na dodatek dowiedziała się o tym romansie z Annette...

— Niby czemu mam ci wierzyć? — zapytał chłodno.

— Bo to prawda. Po cóż bym miała ci kłamać?

— Potrafiłbym znaleźć parę powodów — odrzekł tym samym tonem co poprzednio, starając się zarazem nie ulec słabości na widok jej zaskoczenia, a potem urazy i żalu. — Chcesz, abym ci pomógł wywieźć stąd Simoneę, więc próbujesz mnie oczarować. Tak, moja droga, zwyczajnie mnie wykorzystujesz, jak zresztą wszyscy w tej waszej rodzinie.

— Ja cię wykorzystuję? Co ty mówisz?

W drugim końcu tarasu ukazała się właśnie Annette.

— Ach, tu jesteście! Kolacja gotowa, możecie już przyjść do jadalni — oznajmiła kwaśno. Jej ostry głos niemal ucieszył Maria. Dobrze, że jesteś, pomyślał, ułatwiasz mi sprawę.

— Świetnie wiesz, o czym mówię, Francesco — rzucił oschle.

— Ależ... O psiakrew, moja matka. Porozmawiamy później. Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, ale źle mnie oceniasz — odrzekła ze smutkiem Francesca.

Patrząc, jak spieszenie idzie w stronę domu, Mario miał wrażenie, że wpada w otchłań ciemności, w jakąś przerażającą pustkę, w którą zamieni się świat, gdy nie będzie w nim jego ukochanej. Najgorsze, że ona sama nawet się nie domyśla, co naprawdę oznacza ta rozmowa — że to coś więcej niż zwykła sprzeczka zakochanych. Jest tak pewna jego miłości — bo dlaczego miałaby w nią wątpić? — że myśl o rozstaniu nie przyszła jej nawet do głowy. Nie wie, że jego jutrzejszy wyjazd na zawsze zakończy ich związek.

Odrętwiała z rozpaczony powlókł się za nią do domu.

Podczas kolacji podanej w pokoju z freskami przydzielono mu miejsce u jej boku. Nie odezwała się do niego ani słowem, do innych właściwie również. Siedząca naprzeciw Kate sprawiała dla odmiany wrażenie, że cieszy ją każdy moment spędzony w tym towarzystwie. Gdyby nie był tak pochłonięty myślami o własnym nieszczęściu, szczerze by ją podziwiał. Raz przynajmniej miała na sobie przyzwoite rzeczy; zielony bliźniak i koralowy naszyjnik, pożyczone pewnie od Simony, korzystnie uwydatniały jej rumianą cerę. Nie była tak piękna jak Francesca, emanował z niej jednak dobry humor i jakaś ożywcza witalność.

Wyczuwając napięcie panujące wśród członków rodziny, starała się robić wszystko, co możliwe, aby wieczór okazał się udany. A umiała uderzyć we właściwą strunę wobec każdego ze współbiedników. Wobec ojca Franceski była zalotna — na tyle, aby mu pochlebić, nie posuwając się jednak ani o krok dalej, tak że nawet Annette nie mogła jej nic zarzucić. Wobec samej Annette zachowywała się z szacunkiem, acz bez lęku; w razie różnicy zdań nie wahała się bronić swego zdania, zaskakując tym panią domu, dla której taka postawa była czymś zgoła niezwykłym. Do Franceski odnosiła się z czułością; widząc, że przyjaciółkę wyraźnie coś gnębi, starała się na wszelkie sposoby wprowadzić ją w lepszy nastrój. Simoneę już wcześniej podbiła swoim urokiem. Patrząc na te dwie dziewczyny, trudno wprost było uwierzyć, że dzieląca je różnica wieku wynosi zaledwie parę miesięcy. Kate wydawała się

znacznie dojrzała, mimo to ani razu nie pozwoliła sobie na żaden protekcjonalizm wobec młodszej siostry Franceski.

Największe jednak wrażenie wywarł na Mariu jej stosunek do Zio Toniego, kiedy nieco wcześniej wpadli do La Rokki na drinka. Krewni starszego pana mieli zwyczaj skakać koło niego na dwóch łapkach, zachowując zarazem uczuciowy dystans, Kate tymczasem traktowała go tak, jak traktuje się starego, biednego człowieka umierającego powolną i bolesną śmiercią. Jako że tylko ona nie spodziewała się po nim żadnych korzyści, jej widoczne współczucie tym jaskrawiej obnażało bezwzględną interesowność jego bliskich.

Jej stosunku do własnej osoby Mario nie starał się analizować. Był pewien, że uważa go za wariata, bo cóż może myśleć o człowieku, który ją najpierw obraża, a później chce z nią wyjechać, w dodatku obstając przy tym z uporem godnym maniaka? Cóż, powiedział sobie w duchu, nie jest to wcale dalekie od prawdy.

Mniej więcej w połowie kolacji, gdy zaczęto roznosić sałatkę i sery, zjawił się Dino z wiadomością, że signor Umberto chce pilnie mówić z signorą. Natychmiast zerwała się z miejsca i wyszła. Oczywiście, pomyślał z niesmakiem, złota gęś nie może czekać!

Po kolacji dziewczyny uciekły na górę, a ojciec Franceski zaprosił go do salonu na cygaro i kieliszek brandy. Zaczęła się dyskusja na dwa ulubione tematy Filippa — kobiety i samochody — która trwała dopóty, dopóki Mario nie poczuł, że dłużej już tego nie zniesie. Przeprósiwszy niedoszłego teścia, narzucił na siebie płaszcz i czym prędzej wyszedł do ogrodu.

Wybrał wysadzaną cyprysami ścieżkę, która zaprowadziła go do balustrady ustawionej na skraju zięjącej w dole przepaści. Przez chwilę igrał z myślą, czyby w nią nie skoczyć, ale wiedział, że tego nie zrobi. Tylko ktoś ze szczególnym zacięciem do teatralnych efektów mógłby zaaplikować sobie coś takiego. Napatrzył się dosyć nieudanych samobójstw, by nabrać przekonania, że gwałtowne metody wcale nie są najlepsze. Gdyby postanowił z sobą skończyć, zrobiłby to cicho i schludnie: za pomocą właściwej dawki leków. Po lekarsku, a nie po partacku. Uznał jednak, że nie ma takiej potrzeby. Mimo nienawiści do samego siebie życie nie zdążyło mu jeszcze obrzydnąć.

Utracił jednak Francescę...

Widocznie jęknął głośno, bo z ciemności dobiegły go słowa, „hej, jest tam kto?“, a zaraz potem odgłos odbezpieczanej strzelby.

— *Il dottore!* — odkrzyknął z pośpiechem.

— Ach, *dottore, buona sera*. Dobry wieczór, doktorze. — Z cyprysowej ścieżki wyłonił się mężczyzna z dubeltówką i dwoma psami. Zza wielkiej latarki nie było widać jego twarzy. — Całe szczęście, że pana poznałem — stwierdził nieznajomy, którego wymowa i akcent zdradzały mieszkańca najbliższych okolic — bo inaczej bym pana zastrzelił! — zakończył, wybuchając gromkim śmiechem.

Mario teraz już wiedział, z kim ma do czynienia: to Dino. Był on synem Angeliki i podobnie jak matka od dzieciństwa pracował u Bertonich. Ten młody, mało rozgarnięty człowiek odznaczał się wprawdzie chłopską skłonnością do uśmiercania wszystkiego co żywe, lecz poza tym był. nieszkodliwy.

Ucięli sobie krótką pogawędkę. Dino poinformował doktora, że we wsi rozeszły się plotki o samotnym wilku grasującym po okolicy; podobno pożarł już kilka kurczaków. Po tych informacjach powrócił do sprawy niedawnego incydentu, który najwyraźniej ogromnie go bawił.

— Dobrze, że pana poznałem! Następnym razem niech pan lepiej weźmie latarkę, bo będzie bum-bum! — zawołał, wywijając strzelbą i śmiejąc się jak szalony.

Mario udał, że też go to śmieszy.

— Zostanę tu jeszcze trochę, więc postaraj się mnie nie zastrzelić.

Dowcip ten wywołał kolejną salwę radosnego śmiechu. Gdy rozbawiony Dino zniknął wraz z psami w ciemności, Mario zapalił papierosa i patrząc w wygwieżdżone niebo, pomyślał znów o Francesce i o tych cudownych czasach, gdy zakochali się w sobie. Przeklęty niech będzie dzień, w którym dał się usidlić jej matce!

Spojrząwszy mimo woli w stronę domu, zobaczył, że kolejno gasną światła w oknach — wpierw na parterze, a potem na piętrze. Zostały w końcu tylko dwa — w holu i na podeście. Zostawiono je pewnie dla niego... Zaraz, a jeśli uznali, że poszedł już spać i pozamykali drzwi? Oby tak było, pomyślał. Mógłby pod tym pretekstem od razu wracać do Lukki.

Zapуścił rękę do kieszeni i nie znalazłszy kluczyków, zmiął w ustach brzydkie przekleństwo. No tak, przebijając się do kolacji, opróżnił kieszenie i kluczyki zostały na komodzie. Zrobiło się już bardzo zimno, postanowił więc wracać. Drzwi frontowe zamknięte były na głucho, tylne obok kuchni również, sytuacja wyglądała zatem niewesoło. Zaczynał już tracić ducha, gdy w salonie błysnęło światło. Chwała Bogu, ktoś jeszcze nie śpi. Czym prędzej podbiegł do okna.

Pośrodku pokoju — tyłem do niego — stała Kate w jedwabnym męskim szlafroku sięgającym jej trochę poniżej kolan. Stopy miała bose. Naprzeciw dziewczyny zobaczył Annette wciąż jeszcze w koktajlowej sukni — z rękami na szyi Kate. Kiedy głośno zapukał w szybę, drgnęła i z oczami jak talerzyki szybko opuściła ręce. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha. Kate na jego widok natychmiast podeszła do okna i mocnym pchnięciem podniosła do góry szybę. Podczas tego ruchu zbyt luźno związany szlafrok rozchylił się prawie do pępka, ukazując białe jedwabiste ciało. Pod szlafrokiem była całkiem naga.

— Bardzo ci dziękuję — powiedział, wdrapując się na parapet. — Gdyby nie ty, musiałbym chyba spać w szopie.

— Masz szczęście, że nikt jakoś nie może dziś zasnąć — uśmiechnęła się Kate. Ciaśniej otuliła się szlafrokiem i związała go mocniejszym węzłem.

— Przepraszam, że cię przestraszyłem — zwrócił się do Annette, która odwrócona tyłem zapalała właśnie papierosa.

— Byłam pewna, że dawno już śpisz — mruknęła.

— Chyba straciłem poczucie czasu.

— W przyszłości musisz bardziej uważać.

— Masz rację.

— Zmarłeś — włączyła się Kate. — Signora Bertoni, pozwoli pani, że naleję mu brandy? — Nie czekając na odpowiedź, podeszła do stolika, na którym pojawiła się dziś srebrna taca z całą baterią butelek wczoraj głęboko ukrytych przez zapobiegliwą Angelicę. Mario z upodobaniem przyglądał się jej dolnym partiom obciągniętym śliską tkaniną szlafroka.

— Ja bym chyba wolał kawę.

— Więc musisz ją sobie sam zrobić — rzuciła sucho Annette. — Angelica już śpi.

— Mmm, kawa, doskonały pomysł — mruknęła Kate.

— Chętnie się napiję, a pani? — spytała, zmierzając za Marietti do kuchni.

Annette odprowadziła oboje niechętnym spojrzeniem.

— Nie. Idę do łóżka.

W kuchni wszystko lśniło czystością; na kontuarze piętrzyła się porcelana i sztuce do jutrzejszego śniadania. Kawę i czajnik znaleźli dość szybko, trochę czasu zajęło im natomiast rozpalenie ognia. Może i dobrze, gdyż te zwyczajne czynności złagodziły nieco wzajemną rezerwę. Gdy wreszcie w całej kuchni zapachniało kawą, Kate powiedziała nagle:

— Ani rusz nie mogę rozgryźć signory Bertoni.

— Nawet nie próbuj! — skrzywił się Mario.

— Nie żartuj. Pewnie pomyślisz, że zwariowałam, ale naprawdę się ucieszyłam, kiedy nagle pojawiłeś się za oknem. Mimo że nas nieźle wystraszyłeś.

— Byłaś zadowolona?

— Och tak, naprawdę mi ulżyło. Ona tak dziwnie się zachowywała. Kiedy zeszłam na dół, siedziała w salonie, paląc papierosa i patrząc w przestrzeń. Z początku mnie nawet nie zauważyła, a gdy wreszcie dotarło do niej, że tu jestem, stała się nagle taka serdeczna, jakby zobaczyła dawno nie widzianą przyjaciółkę. Tylko że był to zwykły pic na wodę.

— Co to znaczy „pic na wodę”?

— Fałsz, udawanie. Zaczęła wypytywać mnie o rodzinę, co zamierzam robić, jak poznałam Francescę i tak dalej.

— Jesteś przyjaciółką Franceski, więc jest ciekawa.

— Tak, chyba tak... — Kate niewidzącym wzrokiem zapatrzyła się w czajnik — ...a jednak...

Mario czekał cierpliwie, aż znów zacznie mówić. Gdyby to od niego zależało, wolałby zapomnieć o istnieniu Annette Bertoni, ale Kate coś wyraźnie zaniepokoiło w zachowaniu tej kobiety, niech więc sobie ulży. Może go to oderwie od własnych problemów.

— Masz rację — powiedziała wreszcie — że każda matka chce poznać przyjaciół swych dzieci, jednakże signora Bertoni... jej wcale nie o to chodziło... Tak dziwnie mówiła o tym, jak wyglądam, o moim ubraniu...

— Ona jest tradycyjna. Staroświecka. Nie rozumie waszej miłości do dżinsów i minispódniczek.

— Wiem, ale... wciąż tak uparcie trzymała się tego tematu. I biżuterii... zaczęło się od tego naszyjnika Simony... — nerwowo dotknęła koralu. — Powiedziała, że koniecznie powinnam mieć jeszcze kolczyki. Do kompletu... a ja... mnie się wydawało, że cała ta gadanina jest tylko pretekstem, żeby... żeby mnie dotknąć. — Roześmiała się z zakłopotaniem. Mario po raz pierwszy widział ją w takim stanie; zawsze była bardzo pewna siebie, a teraz sprawiała wrażenie kompletnie zagubionej. — Pomyślisz pewnie, że mi odbiło, jeśli powiem, że zachowywała się jak... jak lesbijka.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Kate, ty jesteś bardzo atrakcyjna, jednak...

— Tak, wiem, że to głupie. Nie mów o tym Francesce.

— Kiedy zobaczyłem was przez okno...

— Wtedy właśnie mówiła, że ma taką obrozę, no wiesz, taki ciasny naszyjnik, w którym byłoby mi bardzo do twarzy. Z pereł czy z diamentów... I że mogłabym go przymierzyć. Była taka... och, nie wiem... tak przymilna, że cierpła mi skóra. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Dajmy temu spokój. Lepiej napijmy się kawy.

— Chcesz tutaj?

— Nie, od tej posadzki zmarzły mi nogi. Chodźmy do salonu, tam są przynajmniej dywany.

W całym domu panowała cisza. W salonie ogień już prawie wygasł z wyjątkiem jednej szerniałej kłody, która też tylko trochę dymiała, lecz gdy Mario dorzucił drugą, ukazało się kilka wesołych iskierok. Kate napełniła filiżanki, usiadła na skórzanej sofie i zaczęła rozcierać sobie stopy. Mario usiadł przy niej.

— Twoje biedne stopki — powiedział. — Są takie zimne. Poruszyła dużymi palcami, wysuwając je w jego stronę.

— Tak, zamarzły na kość.

Z uśmiechem wziął w dłonie jej stopę i delikatnie zaczął ją masować.

— Trochę inna niż ręka — powiedział na wpuł do siebie, a potem cicho zanucił: *Che gelido piedino se lo lasci riscaldar...*

— Znam tę melodię.

— Ja myślę. To jest *La Bohème*, najsłynniejsza opera ze wszystkich. Rączka Mimi jest zimna i Rodolfo rozgrzewa ją. Znasz to.

— Nie, nigdy nie byłam w operze.

— Bo ty jesteś ciemna angielska dziewczyna. — Weź teraz drugą.

— Nie, ta nie jest jeszcze skończona.

— Ale drugiej jest zimno!



— Musi poczekać.

Nadal w skupieniu masował jej stopę miarowym okrężnym ruchem, czując, że sprawia mu to ulgę, że jego udręka z powodu Franceski i tego, co z nią utracił, zaczyna powoli słabnąć. Tak było zawsze: pomagając innym, zapominał o sobie. I tak być powinno. Ta cecha czyniła go dobrym lekarzem. Czuł, że rytmiczny ruch dłoni działa na niego kojąco. Kate w dodatku miała piękne stopy, prawda, że trochę brudne, ale dobrze umięśnione i giętkie.

— Teraz druga — zakomenderował, kładąc na kolanie tę pierwszą.

Nic nie powiedziała, pozwoliła mu jednak kontynuować masaż.

— Koniec — oświadczył po kilku minutach, obrzucając ją szybkim spojrzeniem.

Leżała na plecach, łapiąc powietrze małymi, płytkimi haustami. Oczy miała szeroko otwarte. Wydała mu się tak pociągająca, jak chyba żadna ze znanych mu kobiet. Pragnął ją objąć, przytulić się do niej, uciec od swego żalu...

— Ach, Kate... — szepnął ochryple i nie bardzo wiedząc, co robi, zaczął ją całować.

— Nie! — uchyliła się przed nim i usiadła. — Nie tym razem! Mam dość twoich gier, doktorze Bassano!

— Kate, ja przepraszam.

— Pij kawę.

— Dobrze. — Podciągnął do góry szlafrok, który zsunął jej się z ramienia. Nie protestowała. Po prostu siedziała w milczeniu, sztywno wyprostowana. — Czyj to szlafrok? — zapytał, żeby coś powiedzieć.

— Ojca Franceski. Już go nie nosi.

— Ładnie ci. — Chwycił jakiś fragment śliskiej tkaniny i potarł ją między palcami, a potem ostrożnie pogładził jej szyję tuż poniżej ucha. Nie odsunęła się od niego. Szlafrok zaczął znowu zsuwać jej się z ramion.

Aby na to nie patrzeć, sięgnął po filiżankę.

— Powiedz mi, Mario, czego ty chcesz? — spytała ostro.

— Ja... nie wiem — odrzekł z westchnieniem.

— Więc się zastanów, do diabła! Wciąż robisz to samo! Najpierw mnie całujesz, a później obrażasz albo całkiem przestajesz dla ciebie istnieć! — powiedziała gniewnie, zauważył jednak, że czubek nosa jej się zaróżowił, jakby zbierało jej się na płacz.

Przez chwilę obracał w palcach filiżankę, po czym odstawił ją na stolik.

— W tym momencie, Kate, ja najbardziej chcę się przytulić. Więcej nic.

— Dlaczego?

— Po prostu chcę.

Przyjrzała mu się bacznie. To, co zobaczyła, musiało ją przekonać, że chyba jest szczerzy, bo wzrok jej złagodniał.

— Więc dobrze, możesz mnie objąć — powiedziała i sama wśliznęła mu się w ramiona.

Położyli się potem na sofie, a że była dość wąska, przytulił się mocno do leżącej obok dziewczyny — po prostu żeby nie spaść — i wdychając zapach jej włosów, rozkoszował się ciepłem jej ciała. Po chwili mruknęła, że chce zgasić światło; ktoś może zejść na dół, a nie byłoby dobrze, gdyby ich zobaczył, wstali więc oboje. Ona wyłączyła światło, on dorzucił kłodę do kominka. Wróciwszy na sofę, długą chwilę leżeli w milczeniu, więc pomyślał, że pewnie zasnęła. Zaczął delikatnie gładzić ją po włosach, a potem jego ręka jakby sama z siebie ześliznęła się na jej ramiona.

— Mario? — mruknęła sennie.

— Czy ja przeszkadzam ci spać?

W taki sposób zmieniła pozycję, że ich twarze znalazły się tuż obok siebie. Chciał ją pocałować, lecz zasłoniła się ręką.

— Nie chcesz?

— Najpierw mi powiedz, jak to jest z Francescą. Wciąż nie wiem, co was łączy, a nie chcę zrobić nic takiego, co by mogło jej sprawić przykrość.

— Długi czas ją kochałem — powiedział po chwili milczenia — ale teraz koniec. Koniec na zawsze.

— Czy to cię smuci?

— Tak. Bardzo.

— A ją?

— Nie. Myślę, że ona skończyła ze mną, kiedy pojechała do Florencji, żeby zostać aniołem od błota.

W ciemności nie widział jej twarzy, ale poczuł, że się uśmiecha, a potem pocałowała go w usta.

— Och, te okropne anioły! Nie smuć się, Mario.

Po dłuższej serii pocałunków zaczął pieścić jej piersi, brzuch, uda, całe jej rozkosznie gładkie ciało. Pragnął jej tak bardzo, że prawie zapomniał o Francesce, rodzinie Bertonic i swej niewesołej sytuacji. Ale to ona spytała:

— Zrobimy to tutaj?

— Co?

— Będziemy się kochać?

— Jesteś za młoda. Nie mogę się z tobą kochać.

— Tym się nie przejmuj, nie jestem dziewicą. Biorę pigułki.

— *Certo?* — Zupełnie nie rozumiał tych cudzoziemek, jednakże ostatnia dzieląca ich jeszcze bariera zaczęła się mocno już chwiać, a on nie potrafił znaleźć powodu, dla którego miałby sobie odmówić spełnienia swych skrytych pragnień. Chciał tego aż do bólu, od chwili gdy ujął w dłonie jej stopę, a może zaczęło się to jeszcze wcześniej? — Naprawdę chcesz tego, Kate?

— Naprawdę.

Gdy w nią wszedł, była mokra z pożądania i och! nigdy czegoś takiego nie przeżył! Cała jego desperacja i ból rozplynęły się we wspólnym rytmie ich ciał. Jeszcze przez chwilę słyszał jej oddech przerywany raz po raz westchnieniem rozkoszy, a potem sam się zatracił i dał ponieść fali.

Kiedy się ocknęli, zapalił dwa papierosy i usiadł na brzegu sofy wpatrzony w czerwony odblask dogasającego ognia.

— Czemu ty mnie okłamałaś? — spytał łagodnie.

— W czym cię okłamałam?

— Że już to robiłaś. To był twój pierwszy raz.

— Nie, naprawdę. Byłam już z mężczyzną, ale... ale nigdy nie było tak jak dziś.

— Jaka to różnica?

— Przedtem nie rozumiałam, czemu ludzie robią koło tego tyle szumu. Teraz wiem.

Przyciągnął ją do siebie i mocno opasał ramionami. Był jej niewypowiedzianie wdzięczny. Tak hojnie go obdarowała, w chwili gdy życie straciło dla niego wszelki sens. Dzięki niej nabrał nadziei, że świat się nie kończy na rodzinie Annette Bertoni.

— Już późno — powiedział — chodźmy do łóżka.

Związała rozchełstany szlafrok i poszli na górę. Na palcach minęli pokój obu sióstr i małżeńską sypialnię Annette. Pokoje jego i Kate znajdowały się naprzeciw siebie w przeciwległych końcach korytarza.

— Ja śpię tutaj — wyszeptał Mario, przystając.

— Wiem. Masz podwójne łóżko.

— Kate, moja najdroższa Kate... — Objął ją znowu i zaczął całować. Miało to być pożegnanie, ale nagle wziął ją na ręce, zaniósł do swego pokoju i łagodnie położył na łóżku.

## ROZDZIAŁ 31

### ZAPISANE W PAMIĘCI

Zanim Kate opanowała metodę wypierania z pamięci zbyt bolesnych lub niechcianych wspomnień, zadawała sobie nieraz pytanie, czy to możliwe, by oboje z Mariem w jakiś sposób wiedzieli, że ktoś tam w górze ofiarował im tylko tę jedną noc? Można by pomyśleć, że wszystko, co w trakcie zalotów przeżywają zakochane pary, zostało skondensowane i zamknięte w tych kilku godzinach — zbyt cennych, żeby je tracić na sen. Dowiedzieli się o sobie takich rzeczy, jakich inni dowiadują się zwykle dopiero po dłuższym czasie; poznali sekrety intymnych pieszczot, swe marzenia i upodobania i tę cudowną przyjemność niekończących się rozmów o niczym, których nigdy nie dosyć kochankom. Gdyby Kate miała czas wyobrazić sobie wcześniej, jak to będzie, spodziewałaby się pewnie, że czeka ją noc z mężczyzną

wyszkolonym w sztuce miłości, który odkryje przed nią nie znane jej dotąd obszary, lecz gdy na krótko przed świtem kochali się po raz drugi, była to dla nich obojga odkrywczą wyprawa w nieznane.

Leżała potem z głową na jego ramieniu, napawając się swoim szczęściem.

— Zaraz rano — szepnął. — Musisz już iść.

— Tak, wiem. I co dalej, Mario?

— Powiemy Bertoni „do widzenia” i zabiorę cię do Florencji.

— Żal ci ich opuszczać? Zawahał się tylko sekundę.

— Nie, Kate. Myślę, że chyba będę szczęśliwy. Bardzo szczęśliwy z wyjazdu. Ty to sprawiłaś.

Gdy o świcie niechętnie wróciła do swego łóżka, wydawało jej się, że nie tylko cały jej świat uległ tak wielkiej zmianie, jakby nagle stanął na głowie, ale i ona sama nie jest już tą Kate Holland, która przed dwoma dniami zjawiała się w willi. Po raz pierwszy w życiu miała pewność, że naprawdę kogoś kocha i jest przez kogoś kochana.

Położyła się do łóżka tylko dla pozorów — aby stworzyć wrażenie, że w ktoś nim spał — nie wyobrażała sobie bowiem, aby w takiej chwili potrafiła zasnąć. Wydawało się to niemożliwe, a jednak! Kiedy się ocknęła, słońce świeciło z wysoka, a w powietrzu niesło się nieskładne bicie dzwonów z bliższych i dalszych wiosek. Pomyślała, że jest to jej pierwsza włoska niedziela na wsi i że ani w Anglii, ani we Florencji nie zdarzyło jej się słyszeć tak osobliwego chóru: każdy z tych dzwonów miał inne brzmienie i bił innym rytmem, a mimo to tworzyły dziwnie harmonijną całość.

Jednym susem wyskoczyła z łóżka i stanęła przy otwartym oknie, chłonąc zapachy poranka i tę wiosenno-niedzielną mieszaninę dźwięków. Mgła zdążyła już zrzędnąć; nad rzeką snuły się jeszcze białawe pasma oparów, ale tu, na wzgórzu, wszystko tonęło w słońcu. Czując na twarzy jego ciepły dotyk, uśmiechnęła się sama do siebie. Nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa.

Słyszając za drzwiami czyjeś kroki, narzuciła na siebie pożyczony szlafrok i czym prędzej wybiegła do holu. Mario zmierzał właśnie do łazienki. Miał na sobie pasiastą piżamę i skórzane klapki, przez ramię przewieszony ręcznik, a w ręku woreczek z gąbką, lecz mimo tych przyziemnych utensyliów nie stracił w jej oczach uroku. Był dla niej nadal najpiękniejszym ze wszystkich mężczyzn.

— *Ciao*, Mario. Dobrze spałeś?

— *Ciao*, Kate, nie bardzo. Nie wiem dlaczego — powiedział miękko, lecz gdy spróbowała go objąć, gwałtownie odsunął się od niej. — Zwariowałaś? — wyszeptał. — Ktoś może zobaczyć!

— No to co? Czyżbyś się bał — zakpiła — że signora Bertoni nazwie mnie kobietą upadłą i zechce wyrzucić z domu? A niech wyrzuca! Nie zamierzam się nią przejmować!

— Signora Bertoni to nie problem. Ale... hm... Francesca...

— Powiedziałeś przecież, że nic cię już z nią nie łączy.

— Tak, ale ona ma bardzo nerwowy temperament. Jest zazdrosna o swoich przyjaciół. A jeszcze ten dom... On źle na nią działa. Powiemy jej później, we Florencji. Tak będzie lepiej.

— Skoro tak sobie życzysz... — zgodziła się dość niechętnie — ale nie lubię sekretów i nie jestem w tym dobra.

— Wiem. — W jego oczach nareszcie pojawił się uśmiech. — Ty jesteś cudowna bez sekretów i dlatego cię kocham.

Powiedział to tylko raz, właśnie wtedy, w niezbyt romantycznej zresztą sytuacji — oganiając się przed nią ręcznikiem i tym śmiesznym woreczkiem z gąbką. Później miała nawet wątpliwości, czy faktycznie wypowiedział te słowa, czy też sobie je uroiła.

— Kiedy będziemy znów razem? Tylko ty i ja?

— Wkrótce. Pojedziemy razem do Florencji.

— A co z Francescą?

— Myślę, że ona nie zostawi rodziny, dopóki tu będzie Simona. Bardzo kocha swoją siostrę.

Perspektywa podróży we dwoje wprawiła Kate w euforię, niewolną co prawda od lekkich wyrzutów sumienia — że zamierza opuścić Francescę — z tym jednak dość szybko udało jej się uporać. Francesca, powiedziała sobie, jest tak zajęta Simoną, że nie jestem jej teraz potrzebna, a na Mariu już jej przecież nie zależy. Była tego absolutnie pewna. Dla niej samej tymczasem Mario stał się najważniejszą osobą na świecie. Chciała mieć go wyłącznie dla siebie i z niechęcią myślała o wszystkim, co by mogło jej w tym przeszkodzić — nawet na krótką chwilę.

Schodząc do jadalni była przekonana, że przepelniająca ją radość musi być widoczna dla każdego i że wszyscy natychmiast zaczną ją pytać o powód. Tego ranka jednak większość obecnych była tak pochłonięta własnymi problemami, że zwrócono by na nią uwagę chyba dopiero wtedy, gdyby z tej radości nagle zaczęła fruwać. Jedyne Filippo Bertoni nie uległ panującej przy stole atmosferze dziwnego napięcia; wydawał się równie beztroski jak bogowie i nimfy płasający sobie na suficie.

Obie siostry, ubrane w swe skromne bliźniaki i przyzwoite spódnice, wyglądały jak grzeczne panienki, ale w środku kipiały podnieceniem — każda na swój własny sposób. Simona wydawała się zdenerwowana — jak ktoś, kto po raz pierwszy ma odbyć przerażającą, choć z dawna wyczekiwaną przejażdżkę na diabelskim młynie, Francesca natomiast, która z milczącej, nieszczęśliwej istoty, jaką była wczoraj przy kolacji, przekształciła się nagle w prawdziwy gejzer energii, raz po raz wybuchając śmiechem, pozwalała sobie na żarciki i czule droczyła się z siostrą.

— Dziewczęta, dziewczęta — jęknęła ich matka, zapalając kolejnego papierosa — troszkę ciszej, proszę. Głowa mnie boli.

— Masz migrenę, *mamma*? — spytała Francesca dziwnie słodkim głosem.

— Tak, nie mogłam zasnąć... — Signora Bertoni gestem skrajnego znużenia przyłożyła rękę do czoła. Twarz miała szarą, pod oczami czarne kręgi. Nawet nie tknęła jedzenia. Nalała sobie tylko filiżankę kawy, którą teraz sączyła drobnymi łykami.

A dookoła było tak pięknie... Przez pootwierane okna wpadł nagle rześki powiew wiatru, przynosząc z sobą słodką woń wiosny. Gdzieś w dolinie triumfalnie zapiał kogut.

— Powinnaś była zostać w łóżku. Śniadanie mogłyśmy ci przynieść — powiedziała Francesca. Jej niezwykła troska o matkę wydała się Kate podejrzana.

Signora Bertoni nie zwróciła na to uwagi. Z głową opartą na dłoni i zmarszczonym czołem bezwiednie szarpała skórę na policzku, popatrując zarazem nieomal z tęsknotą na Kate.

Gdyby Kate nie była tak pochłonięta swoją miłością do Maria, poczułaby się pewnie nieswojo. Dobrze pamiętała przecież niemiły dotyk kościstych palców signory na swojej szyi podczas tej dziwnej tyrady o kolczykach i naszyjniku, teraz jednak nie miała ochoty zastanawiać się ani nad tym, ani nad powodami nerwowego podniecenia obu sióstr. Zdążyła już dojść do wniosku, że cała ta rodzina uwikłana jest w jakąś tajemniczą grę, której reguły są tak skomplikowane, że nikt postronny nie jest ich w stanie przeniknąć. Wszystko to sprawiało, że pragnęła już tylko jak najszybciej opuścić ten dom.

— Signora Bertoni — powiedziała — chcę podziękować pani za gościnność. Oboje z Mariem wyjeżdżamy dzisiaj do Florencji.

Zmarszczki na czole signory stały się jeszcze głębsze.

— Tak szybko?

— Tak — odrzekła Kate. Wcale mnie tu nie chcesz, pomyślała, więc po co to udawanie?

— O której wyjeżdżacie? — żywo spytała Francesca.

Kate popatrzyła na Maria, który ledwo dostrzegalnie skinął głową.

— Zaraz po śniadaniu — oznajmiła, tłumiąc radosny uśmiech. Przyszłość nigdy jeszcze nie wydawała jej się tak obiecująca.

Czekał na nią w holu, gdy zeszła na dół, gotowa do drogi. Jak przyjemnie było mieć na sobie znowu własne dżinsy i wytartą drelichową bluzę. Rzeczy Simony, porządnie złożone, zostały na łóżku.

— Przepraszam, że tyle to trwało, ale szukałam mojej kraciastej koszuli, której zresztą nie udało mi się znaleźć. Ach, mała strata!

— Powinnaś się ubierać w porządne kobiece rzeczy — zauważył Mario, delikatnie dotykając jej rękawa. — Ale teraz już jedźmy.

— Jeszcze chwileczkę. Francesca i Simona powiedziały, że zaraz zejda, a ja muszę przecież pożegnać signorę Bertoni. Nie wiesz, gdzie ona jest?

— Tutaj — dał się słyszeć głos pani domu. Zaraz potem ona sama wyłoniła się z jadalni. Kate zdumiał jej widok, wyglądała tak staro! Jej perfekcyjny makijaż całkiem nie pasował do tej nagle postarzałej twarzy. — Naprawdę wyjeżdżasz, Kate? — wyjąkała. — Jaka szkoda... Nie masz pojęcia, jak bardzo mi przykro... — Nadal nerwowym ruchem skubała prawy policzek. — Chciałam oprowadzić cię po posiadłości... jest tu tyle miejsc, których jeszcze nie widziałas... my również... nie zdążyłyśmy się dobrze poznać... A ty już wyjeżdżasz... chociaż... może to i lepiej. Może wszystko obróci się jeszcze na dobre... kto to może wiedzieć...

Kate wytrzeszczyła na nią oczy. Co się tu dzieje? Czyżby tej kobiecie pomieszało się nagle w głowie?

— Czy dobrze się pani czuje? — zapytała. Karmazynowe wargi signory ułożyły się w bolesny grymas, który miał być zapewne uśmiechem.

— Troskliwa z ciebie osóbką, Kate Holland — stwierdziła z lekkim sarkazmem, po czym zmrużywszy oczy, wyskubała z rękawa bluzki jakiś kłaczek. — No cóż, widocznie tak musi być — mruknęła chyba do siebie. — Porozmawiam z Zio Tonim... może oprzytomnieje... Nie jest przecież taki zły. I lubi Simonę. Tak, wezmę ją z sobą. Miłe z niej dziecko... na swój sposób... Tak więc jest pewna szansa... zawsze jest jakaś szansa... — Znowu spojrzała na Kate, wpijając w nią oczy tak pełne rozpaczy jak dwie studzienki nieszczęścia. — Jedź więc, Kate... jedź, zanim... — zamilkła, nie kończąc zdania.

Kate zerknęła na Maria. On jako lekarz najlepiej powinien wiedzieć, czy można zostawić w tym stanie najwidoczniej chorą kobietę. Nie wydawał się wcale przejęty.

— Masz rację, Annette, już jedziemy — powiedział z dziwnym uśmiechem, a Kate zdumiała się, słysząc, że mówi jej po imieniu. — Jesteśmy tu ostatni raz.

W tym momencie z góry dał się słyszeć jakiś rumor — trzask zamykanych drzwi i tupot nóg na podeście.

— Czekać! — krzyknęła Francesca. — Poczekać na nas! — Trzymając za rękę Simonę, zaczęła zbiegać ze schodów, wlokąc za sobą dwa małe plecaki.

— Ach, więc tutaj jest moja koszula! — zawołała Kate na widok Simony.

Signora Bertoni raptem jakby oprzytomniała:

— Co tu się dzieje? A cóż to za łachy? Co wy wyprawiacie?

— Wyjeżdżamy! — oświadczyła z triumfem Francesca. — Razem z Mariem i Kate.

— Nie pleć głupstw! — warknęła jej matka. Osobliwe rozkojarzenie nagle jej minęło, ustępując miejsca wojowniczej furii. — I przestań mnie denerwować! Natychmiast wracajcie na górę! Macie się przebrać! Obie!

— Nic z tego, mamó. Jedziemy do Florencji! I nawet nie próbuj nas zatrzymywać! Tym razem ci się nie uda!

— Zobaczymy! Simona, chodź tu zaraz! Francesca mocniej uchwyciła rękę młodszej siostry.

— Nie zwracaj na nią uwagi. Siłą cię nie zatrzyma. Signora Bertoni podeszła do córek i złapała za ramię struchlałą ze strachu Simonę.

— Ty, Francesco, możesz sobie jechać, gdzie chcesz. Wynoś się z tego domu i nigdy nie wracaj, ale wara ci od Simony! Ona tu zostanie!

— Nie!

— Simona, masz się natychmiast przebrać! Idziemy do stryja!

— Nie! — krzyknęła Francesca. — Nie pozwolę ci na to!

Rozwścieczona signora puściła Simonę i z rozmachem uderzyła w twarz starszą córkę. Cios był tak silny, że Francesca zachwiała się na nogach, mimo to ani myślała się poddać.

— A niby jak chcesz mi przeszkodzić? — spytała hardo, choć w tym momencie matka wymierzyła jej drugi policzek.

— Przestań, *mamma!* Mówię ci, przestań! — jęknęła Simona. — Dlaczego ty zawsze ją winisz? To ja chcę wyjechać!

Kate już zdążyła podbiec do Franceski i otoczyć ją ramionami. Na policzkach przyjaciółki widniały dwie krwistoczerwone pręgi, rwał jej się oddech, widać było, że jest w ciężkim szoku.

— Uspokój się, kochana. Jedziesz z nami.

— A Simona...

— Oczywiście — zapewniła ją Kate. — Simona też jedzie.

Mario, który ze zgrozą obserwował całą tę scenę, powiedział coś teraz po włosku i bardzo łagodnie ujął za rękę Simonę. Oskoczyła od matki i stanęła mu za plecami. Było ich teraz czworo przeciw jednej. Signora Bertoni powoli opuściła ręce — wydawała się pokonana. W nagłej ciszy słychać było tylko pochlipywanie Simony ukrytej za plecami Maria.

— Jesteś pewna, że chcesz z nami jechać? — łagodnie spytała ją Kate.

— Tak, całkiem pewna.

— Więc jedźmy.

W milczeniu podnieśli plecaki i ruszyli ku drzwiom

— Kate z ręką na barkach Franceski, Simona trzymając się Maria. Już wychodząc na zewnątrz, usłyszeli okrzyk Annette:

— Simona, wracaj! Nie pozwalam ci jechać!

— Nie możesz nic zrobić, mamó — odrzekła Francesca bez gniewu. Odniosłszy zwycięstwo nad matką, poczuła chyba dla niej litość.

— Kto się nią zajmie? — jęknęła signora. — Ona jest jeszcze dzieckiem.

— Nieprawda, jest już kobietą. Ja się nią zajmę z pomocą moich przyjaciół.

Signora Bertoni zdążyła już wyjść na dziedziniec.

— Przyjaciół? — Głos jej nabrał nagle ostrych tonów.

— A któż to taki, moja ty mądra córko?

— Mario i Kate — spokojnie odparła Francesca — i kilku innych, których nie chciałaś poznać. Uwierz mi, mamó, Simonie będzie z nami dobrze.

— Doprawdy? — Coś w głosie signory kazało Kate na nią spojrzeć, a to, co zobaczyła w mściwie zwężonych oczach, przejęło ją nagłym lękiem. — Powiedz mi, Francesco — mówiła dalej Annette, wymawiając każde słowo z iście morderczą precyzją — czy twój ukochany Mario pieprzy wszystkie twe tak zwane przyjaciółki, czy tylko Kate?

— Nie bądź wulgarna! To, co mówisz, jest wstrętne!

— Francesca trzęsła się cała, widać było jednak, że nic nie jest w stanie zachwiać jej decyzją. — Chodźmy stąd, zanim moja matka wymyśli następne kłamstwo. Mam tego dosyć.



— Ja jestem wulgarna? Ja kłamię? Zapytaj ich, czy to prawda?

— Nie ma potrzeby. Wiem, że nigdy by... — spojrzenie Franceski prześliznęło się z Maria na Kate i nagle jej uśmiech zaczął się rozplywać. Uwolniwszy ramię spod ręki Kate, szepnęła błagalnie: — Powiedz mi, że to nieprawda!

— Francesco, wysłuchaj mnie, proszę! Mario powiedział, że między wami wszystko skończone...

— Och, nie! — Francesca zgięła się wpół, jakby wymierzono jej cios w żołądek, i to znacznie gorszy niż policzek matki. — Nie! Nie!

— Mój Boże, tak strasznie mi przykro... ja naprawdę nie chciałam cię skrzywdzić... — wyjąkała Kate, robiąc krok w jej stronę.

— Nie zbliżaj się do mnie! — powstrzymał ją okrzyk Franceski.

Simona odłączyła się od Maria i podbiegła do siostry. Signora Bertoni stanęła obok córek.

— Wynoś się stąd! — krzyknęła nienawistnie do Kate. — Wynoście się stąd oboje!

— Nie. Teraz nie mogę wyjechać. Francesco, błagam, musisz mnie najpierw wysłuchać — próbowała oponować Kate, lecz odniosło to tylko ten skutek, że Francesca ze szlochom odwróciła się do niej plecami.

— Francesco, proszę cię, jedźmy! — zaczęła nalegać Simona.

— Simona, ani mi się waż! — syknęła jej matka.

— Chodź, Kate — cicho powiedział Mario — nic tu po nas.

— Ale ja nie mogę! Nie możemy tak sobie wyjechać! Muszę...

— Posłuchaj no, moja panno — warknęła signora Bertoni stojąca jak strażnik nad swymi córkami — masz szczęście, że nie zrobiłam tego wczoraj, ale przysięgam Bogu, że jeśli natychmiast nie znikniesz mi z oczu, zabiję cię własnymi rękami! A teraz wynoś się stąd i nie pokazuj mi się nigdy więcej!

Było w tych słowach tyle nienawiści, że Kate przez chwilę skłonna jej była uwierzyć.

— Jedziemy! Zanim ona zrobi coś gorszego... — zdecydował Mario i chwyciwszy ją pod ramię, sprowadził ze schodów.

— Puść mnie!

Otworzył drzwi i nie zważając na dalsze protesty, wepchnął ją do wozu.

— To bardzo niedobre miejsce — powiedział przez zęby, patrząc w stronę domu. — Niedobre dla ciebie i dla mnie.

Kiedy już włączył stacyjkę, dobiegł ich czyjś okrzyk: to Simona wyrwała się matce i pędem ruszyła za nimi.

— Zatrzymaj się, Mario! — wrzasnęła Kate.

— O nie! — Przyspieszywszy gwałtownie, z piskiem opon zaczął zjeżdżać na dół. Kiedy Kate spojrzała w tylną szybę, zobaczyła tylko czyjeś niewyraźne sylwetki przesłonięte obłokiem białego pyłu.

# ROZDZIAŁ 32

## POŻEGNANIA

Sączące się w głąb ciemnej studni bezładne szmery i dźwięki spletały się nad jej głową w coś w rodzaju sieci ratunkowej, której można się było uczepić — i tak zaczęła z wolna wypływać z nicości. Najpierw dotarły do niej te najbliższe: szelest wykrochmalonego płótna — kiedy czyjeś ręce odwróciły ją na bok — piskliwy odgłos podeszwy ślizgającej się po linoleum, niewyraźny gwar obcych głosów, z którego wybijał się czasem czyjś okrzyk „*Sorella sorella!*” lub głucho pokasywanie. Potem z oddali napłynęły inne; te były znane i swojskie — głosy Davida, Dido i Jenny. Myśleli pewnie, że jest nieprzytomna, nie może więc słyszeć ich szeptów. Mówili o jakimś wypadku i o Francesce. O „biednej Francesce”. Zupełnie jakby nie żyła. Och nie, to musiał być sen! To nie mogło się zdarzyć naprawdę. Niemożliwe.

Ból zaczął rozsadzać jej czaszkę.

Nie, to nieprawda. To nie Francesca. Ona nie umarła. Błagam Cię, Boże, niech to nie będzie prawda!

Gwałtownie zapadła się w ciemność.

Głos, który usłyszała, wypływając znów na powierzchnię, był głosem jej matki — czyżby wróciła do domu? Działał na nią uspokajająco, wydawał się jednak tak nierealny w tym szemrzącym morzu włoskich dźwięków.

— Już dobrze, Katie, wszystko będzie dobrze. Wkrótce wyzdrowiejesz.

— Mama...?

— Tak, kochanie, jestem przy tobie.

Trochę niewyraźnie i jakby na skraju pola widzenia pojawiła się nagle twarz matki. I jej czuły, dobrze znany uśmiech.

— Mamo... co się stało... z Francescą?

— Nic nie mów, kochanie, musisz odpoczywać. Wszystko będzie dobrze.

— Ale Francesca...

— Cicho, dziecinko. Nie wolno ci się denerwować.

Mój Boże, a więc to prawda. Walcząc z bólem i ogarniającą ją znów ciemnością, wykrztusiła:

— Powiedz mi, co się stało. Gdzie ja jestem?

— W szpitalu, córeczko. Miałaś wypadek. Na szczęście nie odniosłaś trwałych obrażeń. Wyzdrowiejesz. Lekarze mówią, że wypiszą cię za kilka dni.

— Ale Francesca... i Mario... Gdzie jest Mario? Chcę go zobaczyć. Ja muszę... — Rozdzierający ból głowy odebrał jej jednak przytomność, nim zdążyła usłyszeć odpowiedź, jeśli w ogóle padła.

Głos, który tym razem zabrzmiał jej nad uchem, sprawił, że najchętniej by przed nim uciekła. Zrobiłaby wszystko, byle go nie słyszeć.

— Kate, słyszysz mnie, złotko?

Przy łóżku, cała w czerni, siedziała signora Bertoni. Jedynym nieosłoniętym fragmentem jej ciała była kredowobiała twarz, odcinająca się ostro od czarnego kapelusza i uniesionej żałobnej woalki. Za plecami signory mignęły Kate pełne współczucia twarze — matki i pielęgniarki.

— Dziękuję, że w tych jakże tragicznych okolicznościach zechciała pani tu przyjść — szepnęła pani Holland.

Kate teraz dopiero spostrzegła zapuchnięte od płaczu oczy tej kobiety i po raz pierwszy jej samej po policzkach spłynęły łzy.

— Coś cię boli? — spytała troskliwie signora.

Kate z wysiłkiem pokręciła głową. W tej chwili nic jej nie bolało, a zresztą co znaczy jakikolwiek ból w porównaniu z utratą córki?

— Jak to się stało? — wyszeptała.

— Nie wiesz?

— Nie chcę mi powiedzieć.

— Musisz przecież pamiętać!

— Nie.

— Pomyśl, Kate. Spróbuj sobie przypomnieć.

— To chyba niemożliwe — włączyła się matka Kate.

— Ona nawet nie pamięta, że miała wypadek.

— Doprawdy? — Signora uśmiechnęła się lekko. — Więc ja jej opowiem. Uważam, że powinna wiedzieć. Powiedz mi, Kate — zabrzmiało to dziwnie miękko — naprawdę nic nie pamiętasz?

— Naprawdę.

— Nawet tej kłótni, nim oboje z Mariem wsiedliście do samochodu?

— Tak, to pamiętam — wyszeptała Kate, mrużąc oczy z bólu, bo nagle runęło na nią wspomnienie tej przykrej sceny.

— Pamiętam też coś jeszcze: uderzyła pani Francescę i...

— Zgadza się. Między mną i Francescą... wybuchł konflikt i wtedy wszyscy wyszliście z domu. Pamiętasz, co było potem?

— Tak. — Głos Kate brzmiał teraz silniej. Zaczynała przypominać sobie pewne szczegóły. — Powiedziała pani, że mnie zabije...

— Signora Bertoni — wtrąciła z pośpiechem pani Holland — ona nie wie, co mówi. Jest tak odurzona środkami przeciwbólowymi...

Signora, która właśnie zdjęła rękawiczki, machnęła nimi na znak, że nie czuje się urażona.

— Och, doskonale to rozumiem. Mów dalej, Kate.

— Wsiedliśmy do samochodu.

— A potem?

— Potem ruszyliśmy na dół.

— Tak?

— I... więcej nic już nie pamiętam! Proszę mi powiedzieć, co się stało! Dlaczego Francesca nie żyje?

— To był wypadek, złotko. Chciała zmusić Maria, żeby się zatrzymał, więc wsiadła na skuter i zaczęła was gonić, była jednak zdenerwowana, a wiesz, jak to wpływa na refleks i to, co nazywamy właściwą oceną sytuacji. Sądzę, że w chwili gdy was zaczęła wyprzedzać, musiała stracić kontrolę nad vespą i wpadła na drzewo. Siła uderzenia wyrzuciła ją na drogę, a Mario, chcąc ją ominąć, wykonał taki gwałtowny skręt w prawo, że uderzyłaś się w głowę. Masz szczęście, że skończyło się tylko na tym. Francesca miała go mniej. Zginęła na miejscu. Przynajmniej tak mówi Mario.

— Mój Boże...

— Gdybyśmy mogły być w czymś pomocne... — szepnęła pani Holland, dotykając ramienia signory.

— Och, nie, cóż można zrobić w takiej sytuacji, prawda, Kate? Mnie też niewiele pozostało do powiedzenia, więc chyba cię już pożegnam. — Pochyliwszy się nisko nad łóżkiem, pocałowała Kate w lewy policzek, owiewając ją ostrym zapachem pudru. — Żegnaj, moja droga, i wracaj szybko do zdrowia — powiedziała głośno, a potem cmoknąwszy ją w drugi policzek, dodała syczącym szeptem: — I pamiętaj, że to ty ponosisz odpowiedzialność za wszystko, co się tam stało. Śmierć Franceski to wyłącznie twoja wina. Gdybyś się nie mieszała w nasze rodzinne sprawy, moja córka byłaby cała i zdrowa. Mam nadzieję, że do końca życia będzie ci to leżeć na sumieniu. Pamiętaj o nas, kochanie — zakończyła słodziutkim głosem.

— Raz jeszcze dziękuję pani za wizytę — powiedziała matka Kate. — To naprawdę miło z pani strony.

— Och, nie ma za co — odrzekła signora, naciągając czarne rękawiczki. — Tyle przynajmniej winna byłam Kate.

— Pani wychodzi, córeczko, powiedz jej do widzenia.

— Nie! — krzyknęła przeraźliwie Kate. — To nieprawda!

Słyszała uspokajające słowa matki, a potem znów fragment jej uprzejmej konwersacji z signorą, jakże absurdalnie brzmiącej w tych warunkach, próbowała więc zaprotestować i nagle się okazało, że nie może wydobyć głosu. Gdzie Mario? myślała rozpaczliwie. Tak bardzo był jej potrzebny! Tylko on mógł usunąć tę straszną truciznę, którą ta mściwa kobieta przed chwilą wsączyła jej w umysł. Dlaczego on nie przychodzi? Czyżby nie wiedział, co się z nią dzieje? Z tego wszystkiego dostała ataku hysterii: zaczęła gwałtownie domagać się Maria, a gdy pielęgniarki i matka próbowały ją uspokoić, odepchnęła je,

krzycząc, że Mario pewnie też nie żyje, a nikt tutaj nie chce jej powiedzieć prawdy! Zaaplikowano jej w końcu tyle środków uspokajających, że na kilka godzin straciła przytomność.

Następnego dnia przyszedł David z bukietem goździków. Wydawał się ciężko przybity. Powiedział, że na życzenie rodziny Franceski zabroniono im udziału w ceremonii pogrzebowej. Ma to być uroczystość tylko dla rodziny i garstki najbliższych przyjaciół.

— To niesprawiedliwe — zakończył z głębokim smutkiem. — Dlaczego ci ludzie nie pozwalają nam jej pożegnać? Przecież to tak, jakby winili nas za jej śmierć.

— Może tak jest — szepnęła Kate.

— Przecież to szaleństwo!

— Prawda? Ale łatwiej winić innych niż siebie. Ach, gdybym mogła wyrwać z ich szponów Simone! Wiem, że Francesca byłaby nam za to wdzięczna. Sama niestety nie zdążyła już tego zrobić. Pamiętasz to nasze spotkanie na moście? Nie przyznała nam się, że chciała popełnić samobójstwo, ale ja to wiedziałam! Ona dopiero przy nas poczuła się szczęśliwa i wolna. Po raz pierwszy w życiu, wyobrażasz sobie? I właśnie tego nie może nam darować jej rodzina.

— Mówisz to z taką pewnością...

— Dużo o tym myślałam. Nic innego nie mam do roboty.

— Ale dlaczego? Dlaczego rodzice mieliby nie chcieć, żeby ich dziecko było szczęśliwe?

— To ta jej matka... Jest... jakaś dziwna, chwilami niesamowita i... — Kate nagle urwała, nie znajdując właściwych słów.

— Mógłbym zrozumieć, dlaczego teraz zachowuje się nienormalnie, w końcu straciła córkę, jeśli jednak było tak i przedtem, to już nie wiem... — David zamilkł na długą chwilę ze wzrokiem utkwionym we własne ręce. — Pojutrze wracam do Anglii — powiedział, podnosząc głowę.

— Mówiłeś, że zostaniesz tu do końca kwietnia.

— Tak, ale... teraz to już nie to samo. Nie ma Franceski... ty też wyjeżdżasz. Jenny już wyjechała. I Aiden. Dido pakuje manatki; będzie tu tylko do końca tygodnia.

No tak. Kate uświadomiła sobie w owej chwili, że beztroski świat „błotnych” aniołów rozpadł się jak domek z kart. Pobyt we Florencji stracił sens.

— Mam twój adres — kontynuował David. — Skontaktuję się z tobą za jakiś tydzień. Dido chce zorganizować spotkanie naszej grupy w lipcu lub w sierpniu w Londynie. My moglibyśmy zobaczyć się wcześniej...

— Nie, Davidzie. Nie dzwoń do mnie ani nie pisz. Może ja skontaktuję się z tobą, ale jeszcze nie teraz. Teraz to wszystko jest wciąż zbyt świeże. — Powiedziała tak, nie chcąc mu sprawiać przykrości, wiedziała jednak, że nie dotrzyma obietnicy, i on chyba też to wiedział.

— Nie chcesz nawet kartki?

— Muszę się oderwać od tego wszystkiego. Od wszystkich, którzy ją znali.

Smętnie pokiwał głową.

— Rozumiem. Tobą wstrząsnęło to najbardziej. Byłaś przecież świadkiem jej śmierci.

— Tylko że nic nie pamiętam.

— Dido uważa, że wyparłaś wszystko z pamięci. Podobno umysł ludzki broni się w ten sposób przed strasznymi wspomnieniami, a to, co widziałaś, było makabryczne.

— Możliwe, ale jeśli coś nawet widziałam, to nie potrafię sobie nic przypomnieć. Signora Bertoni twierdzi, że Francesca zginęła na miejscu, ale czy to prawda? Wciąż myślę, że Mario mógł tak powiedzieć, żeby oszczędzić jej bólu.

— Och tak, śmierć była natychmiastowa! — zachnął się David, lecz zerknąwszy na Kate, czym prędzej opuścił oczy. — O Boże! Więc nikt ci nie mówił?

— O czym?

— Jak zginęła.

— Powiedziano mi, że skuter wypadł z trasy, a ją wyrzuciło na ścieżkę. A co? Było inaczej?

— Nie, ale...

— Ale co? Czego mi nie mówicie? Och, Davidzie, ja to muszę wiedzieć!

— To prawda, że ją wyrzuciło — wyszeptał, zwiesiwszy głowę — ale to nie upadek stał się przyczyną jej śmierci.

— Nie...? Więc co?

— Runął na nią skuter. Tak nieszczęśliwie, że... szyba podcięła jej gardło. Właściwie przecięła... aż do kręgosłupa. To była szybka śmierć. Jak na gilotynie.

Kate z trudem zwalczyła mdłości.

— Nie mogę w to uwierzyć... Skąd wiesz, że tak było? Mario wam to mówił?

— Mario? Nikt z nas go nie widział od czasu tamtej imprezy. Ale to prawda. Hugo nam powiedział, a jemu nasz konsul.

— O Boże... — Kate z twarzą zalaną łzami opadła bez sił na poduszki.

— Przepraszam cię, Kate, myślałem, że wiesz.

— Śmierć taka czy inna to zawsze śmierć, a jednak teraz jeszcze trudniej mi będzie to znieść. Sama nie wiem czemu.

— Ja cię rozumiem.

— Gdy pomyślę... że została tak okaleczona... Była taka piękna... a ja... ja ją kochałam...

— Wiem, Kate.

— Zrobisz coś dla mnie, Davidzie? — spytała cicho. — Weź te kwiaty, które mi przyniosłeś — powiedziała, kiedy skinął głową — idź tam, gdzieśmy ją poznali, i wrzuć je z mostu do wody. Zmów za nią modlitwę od nas obojga albo... czy ja wiem? Sam będziesz wiedział, co zrobić. Tylko tak możemy ją pożegnać.

Następnego dnia Mario też się nie pokazał. Lekarze zadowoleni z poprawy stanu pacjentki zgodzili się ją wypisać, a matka Kate zaczęła natychmiast organizować ich powrót do Anglii. Bardziej niż skutki fizyczne wypadku martwił ją teraz fatalny stan ducha Kate.

— W domu od razu poczujesz się lepiej — powiedziała z nadzieją. — Gdy zostawisz to wszystko za sobą.

— Nie mogę jeszcze wyjechać — zaprotestowała Kate, pochłonięta bez reszty tylko jedną myślą: dlaczego Mario jej nie odwiedził? Nadal nie mogła pozbyć się obaw, że jest ranny lub nawet nie żyje, tylko nikt jej nie mówi prawdy. Tęskniła za nim aż do bólu. Wciąż od nowa odtwarzała sobie w pamięci tę wspólnie spędzoną noc — każdy gest, słowo, pieszczotę — i nie potrafiła zrozumieć, jak po tym wszystkim on może trzymać się od niej z daleka, nawet jeśli zależy mu na niej dziesięć razy mniej niż jej na nim. — Już ci powiedziałam — oświadczyła matce — nigdzie nie pojedę, dopóki nie spotkam się z Mariem.

Wybuchła awantura, po której obie dostały bólu głowy, pani Holland przekonała się jednak, że jej córka nie jest już tą Kate, która pozwalała sobą powodować — postanowiła więc działać.

— Odwiedzi cię jutro rano. Musi wziąć sobie wolne — oznajmiła następnego dnia. — A potem wyjeżdżamy, choćby się waliło i paliło! Mamy pociąg o trzeciej. Byłam w tym twoim mieszkaniu i spakowałam już rzeczy.

— Dobrze, mamo.

Mimo to Kate nie wierzyła ani w ten pociąg, ani w swój powrót do Anglii. Była święcie przekonana, że gdy tylko zobaczy się z Mariem, otworzy się przed nią o wiele ciekawsza przyszłość.

Po tygodniu noszenia bezkształtnych szpitalnych koszul trochę dziwnie się czuła we własnym ubraniu. Głowa już jej prawie nie bolała, ale kark wciąż miała sztywny, a nogi jak z waty i tak jak to bywa u wszystkich rekonwalescentów, byle drobiazg pobudzał ją do płaczu.

W szpitalu obowiązywały ściśle wyznaczone godziny odwiedzin, lecz dla Maria zrobiono wyjątek — był przecież lekarzem — przyszedł więc zaraz po rannym obchodzie. Miał na sobie wymięty garnitur, a pod oczami głębokie czarne cienie. Pielęgniarki podekscytowane wizytą przystojnego *il dottore* prześcigały się w uprzejmościach; któraś czym prędzej przyniosła mu krzesło.

— Witaj, Kate. — Zanim usiadł, odsunął krzesło od łóżka.

— Witaj, Mario. — Jej słowa zabrzmiały jak cichy szloch ulgi. Kochała go tak namiętnie, że na jego widok wszystko inne przestało się liczyć, nawet śmierć Franceski. Ważny był tylko on. Już po chwili jednak nawet ona musiała dostrzec, że coś jest z nim nie w porządku. Wyraźnie unikał jej wzroku, a głos miał tak chłodny, że nagle ogarnął ją lęk.

— Wyjeżdżasz jutro do Anglii? — zapytał dość obojętnie.

— Dziś po południu.

— To dobrze, że jedziesz do domu. Dla ciebie lepiej.

Co się z nim dzieje? Czekala na niego prawie cały tydzień, a on... Ten chłodny, zdystansowany mężczyzna w niczym nie przypominał jej Maria. Jak można się tak zmienić w ciągu paru dni?

— Dlaczego nie przyszedłeś wcześniej? Bałam się, że jesteś ranny i nie chcą mi o tym powiedzieć.

— Ja jestem bardzo zajęтым człowiekiem, Kate — skarcił ją takim tonem, jakby nie miała prawa stawiać mu żadnych wymagań. — Wcześniejsza wizyta była niemożliwa — dodał sucho.

Przez tydzień nie znalazł jednej wolnej chwili? Nie mogła w to uwierzyć, a świadomość, że ją okłamuje, sprawiła jej straszny ból. Na inne rzeczy miał jednak czas. Zauważyła na przykład, że włosy obcięte ma bardzo krótko — tak jak na początku ich znajomości.

— Widzę, że coś cię dręczy. Powiesz mi, co się stało? Wydał z siebie coś pośredniego między ciężkim westchnieniem a jękiem.

— Przecież wiesz. Dla rodziny to wielka tragedia. Straszna.

Zalala ją fala ulgi.

Oczywiście, powiedziała sobie, dlatego mnie nie odwiedził! Musiał cały swój czas poświęcić rodzinie Franceski. Oni bardziej potrzebowali jego wsparcia niż ja.

— Jak oni się czują?

Machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: cóż to za pytanie!

— Ciężko im, bardzo ciężko. To dzielni ludzie, ale... stracić córkę, i to w taki sposób...

— Pogrzeb już się odbył?

— Wczoraj. Bardzo piękny. Było mnóstwo kwiatów.

— Signora Bertoni nie chciała tam widzieć nikogo z nas.

Wzruszył ramionami.

— To dla nich ciężkie chwile. Musisz ją zrozumieć.

— Próbuję, jednak to akurat trudno mi zrozumieć. Wiesz, że mnie odwiedziła?

— Tak. Mówiła, że nic nie pamiętasz. To prawda?

— Pamiętam tę kłótnię w holu, to, że uderzyła Francescę i że potem my dwoje wsiedliśmy do samochodu. Wiem, że ruszyłeś z miejsca i dalej już nic. Biała plama.

— Tak jest lepiej. Lepiej, że nie pamiętasz. Ja jestem lekarzem, widzę dużo złych rzeczy, ale jeszcze nie widziałem nic tak okropnego jak jej śmierć... Będę zawsze miał to przed oczami.

— Signora Bertoni powiedziała... — Kate na chwilę zamilkła, niepewna, czy powinna mu to powtórzyć, czuła jednak, że musi zrzucić ciężar z serca, a któż mógłby ją lepiej zrozumieć niż on? — Powiedziała... że śmierć Franceski to moja wina.

Po raz pierwszy spojrzał jej w twarz.

— To nieprawda, Kate — powiedział łagodnie.

— Wiem, ale...

— Widziała śmierć swojej córki. Myślę, że od tego pomieszało jej się trochę w głowie. Dla matki to straszne widzieć taką rzecz. Dla biednej Simony również.



— Simona to widziała?

— *Certo*. Też była na skuterze. Wszystko widziała.

— Myślałam, że Francesca jechała sama... — Kate nagle strasznie rozboleła głowa. Próbowwała coś sobie przypomnieć, ale nic z tego. — Mario — poprosiła — opowiedz mi, jak to się stało.

— Przecież już wiesz.

— Wiem tylko, że Francescę wyrzuciło ze skutera, który na nią upadł i podciął jej... — urwała, niezdolna dokończyć zdania. — Nikt mi nie mówił, że była z nią też Simona. Proszę cię, Mario, opowiedz mi o tym.

— Po co chcesz to wiedzieć?

— Nie chcę, ale... muszę. Ja muszę to wiedzieć, w przeciwnym razie nigdy się z tego nie otrząsnę. — Co ja mówię, pomyślała, z tego się nie da otrząsnąć; będzie mnie to prześladować do śmierci. — Mów, Mario.

— No dobrze. Powiem ci i pójdę. Dobrze, że jesteś już zdrowa i jedziesz do domu. Tak jest najlepiej. A Francesca... Francesca nie żyje, odeszła na zawsze i nic już nie można zrobić — powiedział, zamykając oczy jak człowiek porażony bólem — ale skoro chcesz wiedzieć... Kiedy ja ruszyłem, one usiadły na vespę i jechały za nami. A potem signora Bertoni pojechała za nimi mercedesem, ale ja z początku tego nie widziałem, dopiero później. Francesca chciała nas wyprzedzić, ale tam jest bardzo wąsko, więc skręciłem ostro i wtedy topolino wpadł do rowu, a ty się zraniłaś w głowę. Tylko że Francescę to nie pomogło. Uderzyła z tyłu w mój samochód, obie z Simoną spadły ze skutera, a on upadł na nią. To stało się bardzo szybko. Kiedy przyjechała signora, było już po wszystkim.

— A Simona? Czy została ranna?

— Biedna Simona... — mruknął z prawdziwym żalem. — Nie została ranna na ciele. Nie ma żadnych złamań, tylko parę siniaków, ale ona... ona wszystko widziała.

— Mój Boże, to musi być dla niej okropne. Biedactwo. Czy mogę coś dla niej zrobić?

— Tak, Kate — powiedział po chwili. — Jedną rzecz ty byś mogła dla niej zrobić. I dla całej rodziny.

— Co takiego? Powiedz. Zrobię wszystko.

Podniósł się z krzesła i spojrzał na nią z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu.

— Jedź do Anglii i nigdy tu nie wracaj. Trzymaj się z daleka od tej rodziny. Już zawsze.

Było to jak cios w żołądek.

— Dlaczego? Co ja im zrobiłam? Mówisz tak, jakbyś i ty mnie winił!

— Tak będzie lepiej.

— No a ty? Ty też już nie chcesz mnie widzieć?

— Tak. Między nami koniec.

— Nie myśmy ją zabili, Mario. To nie nasza wina, że nie żyje!

Wzruszył ramionami.

— Wiem, ale... to bez różnicy. Pójdę już.

— Proszę cię, Mario, poczekaj! Powiedz mi jeszcze tylko jedno... chodzi o tę noc... tam, w willi... Nawet jeśli mamy nigdy się już nie spotkać... muszę wiedzieć, czy dla ciebie... ta noc miała jakieś znaczenie, bo dla mnie miała... — Słyszała w swym głosie ton błagalnej prośby; było to strasznie upokarzające, nie mogła jednak nic na to poradzić.

— Dla ciebie było to coś specjalnego, ale dla mnie... Żałuję, Kate — powiedział z westchnieniem — ale dla mnie to nic wielkiego.

Nie! To niemożliwe! On kłamie!

— Nie okłamuj mnie, Mario. Jeśli ci naprawdę na mnie nie zależy, potrafisz znieść to, że już nigdy cię nie zobaczę, po prostu będę musiała, ale jeśli kłamiesz, nie zdołam tego wytrzymać. Przecież choć trochę musiałeś mnie kochać...

— Nie, Kate. To był tylko sen. Twoje marzenie. Ja nie jestem mężczyzną dla ciebie. I nie powinnaś mnie kochać. — Odwrócił się i zrobił krok w stronę drzwi, jakby nie miał już nic do powiedzenia.

— Mario, nie odchódź! Nawet się nie pożegnasz?

Choć stał do niej tyłem, widziała, jak nerwowo zaciska dłonie. Powoli odwrócił się do niej, ujął jej rękę i podniósł do ust.

— Żegnaj, moja śliczna Kate — powiedział łamiącym się głosem. — Bądź zdrowa i szczęśliwa w życiu.

Twarc miał mokrą od łez, a jego spojrzenie... Chciała wierzyć, że w jego spojrzeniu dostrzegła coś bardzo bliskiego miłości.

— Żegnaj, Mario.

Jeszcze przez moment przytrzymał jej rękę, a potem z ukłonem położył ją Kate na podołku, i nie oglądając się już za siebie, z pośpiechem ruszył do wyjścia.

# Część III

## ROZDZIAŁ 33

### POWÓDŹ

Latem 1967 roku do Florencji znowu zjechali turyści. Większość głównych tras została naprawiona, muzea i galerie sztuki na nowo otwały podwoje, na Ponte Vecchio odbudowano zniszczone sklepy. Tu i ówdzie pozostały ślady kataklizmu, lecz już tylko jako ciekawostka. Do dziś zresztą istnieją jeszcze takie miejsca, gdzie na wysokości ponad sześciu metrów widać na murach grubą czarną linię pokazującą wyraźnie, dokąd sięgała brudna powodziowa woda nocą czwartego listopada 1966 roku.

Symbolem tego wszystkiego, co uległo nieodwracalnym zniszczeniom, stało się „Ukrzyżowanie” Cimabuego. Równie trwałych szkód doznała także reputacja kilku osób. Czasem słusznie, czasem nie. Zaraz po katastrofie wyszło na przykład na jaw, że nim Arno wystąpiło z brzegów, jakieś osiem godzin wcześniej otwarto tamę w elektrowni wodnej w Montevarchi. Dyżurny inżynier działał zgodnie z przepisami o ochronie tego obiektu — wzbierająca woda groziła zatopieniem turbin — w owym czasie wszakże zgodnie uważano, iż jego decyzja była jedną z głównych przyczyn katastrofy. Obecnie panuje pogląd, że spuszczenie wody z elektrowni nie miało większego wpływu na rozmiary i zasięg powodzi.

Okazało się także, iż prefekt Florencji bardzo wcześnie otrzymał ostrzeżenie o grożącym miastu kataklizmie, nie przekazał go jednak mieszkańcom ani odpowiednim służbom. Skutek był taki, że jeszcze w dwa tygodnie po powodzi połowa placówek straży pożarnej wraz z całym ich sprzętem znajdowała się nadal pod wodą. Na prefekcie nie pozostawiono suchej nitki. On sam utrzymywał, że ostrzeżenie powodziowe wywołałoby skutki znacznie gorsze niż sama powódź. Podczas panicznej ucieczki — tysiącami stłoczonych samochodów! — zginęłoby więcej ludzi, niż zginęło ich rzeczywiście, dlatego że zostali w domach. Na poparcie tej tezy przytoczył faktycznie znikomą liczbę śmiertelnych ofiar żywiołu.

Byli nawet tacy, dla których ta powódź okazała się dobrodziejstwem. Podczas pierwszego ataku niszczycielskiej fali z Le Murate uciekła cała grupa więźniów. Większość wyłapano, kilku jednak nigdy nie odnaleziono. Pozostali pensjonariusze wpadli natomiast w panikę, pewni, że potopią się w swoich celach. Zapewnienia władz więziennych, że są tu „względnie bezpieczni”, niewielki odniosły skutek. Następnego dnia zamieszki tak przybrały na sile, że policja użyła broni, co w odczuciu mieszkańców wzmogło jeszcze grozę sytuacji i tak już przypominającej czarny horror — jak ją określano w mediach.

Na przykładzie Florencji można się jednak przekonać, że nawet z nieszczęścia wynika czasem coś dobrego. Wielka powódź sprawiła, że stolica Toskanii znalazła się w centrum uwagi całego świata, a bezprecedensowa reakcja światowej opinii publicznej stała się najdobitniejszym dowodem powszechnego przeświadczenia, że Florencja to miasto wyjątkowe, skupiające w sobie wszystko co najcenniejsze w

kulturze całego Zachodu i zarazem najwspanialszy symbol tej kultury. Zaowocowało to ogromnym napływem turystów; Florencja stała się miastem muzeum, obleganym przez rzesze zwiedzających bez względu na porę roku.

Ludzie są równie żywotni jak miasta, a ich losy bywają podobne. Po marcowej tragedii w willi Beatrycze uczestnicy owych wydarzeń poszli własnym drogami, próbując, każdy na swój sposób, uporać się ze swą przeszłością. Trzeba było przecież żyć dalej. Odniesione rany i urazy psychiczne stały się z czasem całkiem niewidoczne. Kate ukończyła studia, została konserwatorem sztuki, dwukrotnie wychodziła za mąż, wychowała dwoje dzieci. Podobnie jak inni byli ochotnicy wypełniła sobie życie mnóstwem pracy i obowiązków, tym wszystkim, co uchodzi za normalne w dzisiejszym świecie pozorów, w którym każdy stara się jak najskrzętniej ukrywać swój ból i udreki. Niekiedy sam czas leczy te ukryte rany, ale bywa i tak, że choć tego nie widać, jątrzą się one latami i w końcu coś sprawia, że ujawniają się nagle — i to z istic niszczycielską siłą.

## ROZDZIAŁ 34

### UROCZYSTOŚĆ

Od rana zanosilo się na upał. I już od dziewiątej drogą wiodącą na wzgórze sunął niekończący się sznur samochodów wiozących gości na uroczystość dziesięciolecia fundacji. Kate była pełna podziwu.

— Usiądź tutaj, żeby cię widziała.

Simona, niedbale elegancka w wąziutkiej spódniczce i szarym jedwabnym żakiecie w wielkie białe grochy, podprowadziła ją do krzesła w pierwszym rzędzie ze znakiem „zarezerwowane”. Złocona sala w willi Beatrycze była już pełna bogatych i możnych, którzy przybyli tu z różnych stron kraju — nawet z Rzymu i Mediolanu — aby wesprzeć fundację lub po prostu tylko się pokazać. Uczestnictwo w takiej imprezie musiało być dla nich swoistą nobilitacją.

Kate nie miała takich ambicji. Gdyby zależało to od niej, wolałaby usiąść z tyłu i raz jeszcze zrekapitulować wydarzenia ostatnich godzin. Niepokoje, które przez większą część nocy nie pozwalały jej zasnąć, rozwiały się wraz ze świtem, tak więc już przy śniadaniu uznała za słuszną wersję Simony, że to półślepy, niedorozwinięty Dino przez pomyłkę wziął ją na cel. Siedząc teraz wśród tłumu szacownych osobistości i pełnych zapału uczestników tegorocznych kursów, zaczynała się już nawet wstydzić swych paranoicznych lęków. Wydarzenia minionego wieczoru, a zwłaszcza szaleńcza ucieczka ze wzgórze wraz z towarzyszącym jej uczuciem zagrożenia, teraz w świetle dziennym wydawały się jakimś niemiłym snem. Jak mogłam być taka głupia, wyrzucała sobie w duchu, nie mam przecież żadnych powodów do obaw. David obiecał, że będzie tu przed południem, a poza tym czyż w tej jasnej, kunsztownie złoconej sali mogło kryć się jakiegokolwiek niebezpieczeństwo? Wszystko tutaj działało kojąco na uszy i oczy —

stłumiony gwar rozmów, goście spokojnie zajmujący miejsca, piękna, słoneczna pogoda. Mimo że dopiero dochodziła jedenasta, było już bardzo ciepło — tak jak to jest we Włoszech pod koniec długiego lata.

Simonę przed chwilą dopadła jedna z administratorek, tłumacząc jej gorączkowo, że trzeba powitać jakiegoś siwowłosego dżentelmena. Zdaniem Kate sprawiał on takie wrażenie, jakby uścisk dłoni przewodniczącej fundacji był dla niego co najmniej aktem nadania szlachectwa. Dopelnivszy tego obowiązku, Simona z pośpiechem czmychnęła od gościa, aby przysiąść znów obok Kate.

— Wynudzisz się dziś jak mops, słuchając tej lawiny pompatycznych przemówień — stwierdziła współczująco. — Przymknij, że nie uciekniesz! — Choć mówiła to lekko, widać było, że straszenie jej na tym zależy. — Kiedy się to skończy, będziemy mogły nagadać się za wszystkie czasy. Mam ci tyle do powiedzenia!

Na pewno nie tyle, ile ja tobie, pomyślała Kate, więc lepiej mnie nie denerwuj. Bez przerwy powtarzasz, że aż palisz się do rozmowy, lecz gdy tylko zostajemy same, umykasz pod byle pretekstem. Wskutek tych dziwnych uników wciąż jeszcze nie zbliżyła się nawet o krok do wyjaśnienia żadnej z dwóch spraw, dla których się tu znalazła: po co właściwie Simona chciała ją tutaj ściągnąć i dlaczego użyła w tym celu aż dwóch zabazgranych obrazów, zamiast zwyczajnie zadzwonić czy napisać list. Nietrudno byłoby przecież namówić dawną znajomą na wizytę w tak wspaniałym miejscu.

— Muszę cię teraz opuścić — poinformowała ją Simona — trzeba zaczynać ten jubel. Och, świetnie, jest Mario. Dotrzyma ci towarzystwa.

Mario na powitanie ucałował je w oba policzki, zaczynając od Simony, po czym usiadł na zwolnionym przez nią krześle.

W białym lnianym garniturze wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać wzięty i wciąż jeszcze przystojny lekarz. Kate wiele by dała, aby się dowiedzieć, jaką właściwie rolę odgrywa Mario w fundacji i co go łączy z Simoną. Ciekawe, pomyślała nie bez lekkiej złośliwości, czy tu w ogóle można się czegoś dowiedzieć.

Simona tymczasem wkroczyła na podium i zajęła miejsce na wprost mikrofonu, między parą jakichś młodych ludzi.

— *Buon giorno*, Kate, dobrze się czujesz? — mruknął półgłosem Mario. — Słyszałem, że ten głupek Dino powrócił do swych starych sztuczek. Bardzo mi przykro, że tak cię wystraszył.

W samej wypowiedzi nie było nic takiego, co by mogło budzić podejrzenie, a jednak coś w tonie Maria czy może drobny dysonans pomiędzy słowem a gestem wzbudziły w Kate nagłą czujność. Przebiegło jej przy tym przez głowę, że to on mógł być nocnym strzelcem. Powiedział jej przecież, że byłoby lepiej, gdyby tu nie przyjeżdżała, i podobno pojechał do domu tuż przed jej ucieczką z La Guardii. Szybko przegnała tę myśl — nie, to niemożliwe.

— Przestraszył mnie śmiertelnie — powiedziała głośno. — Jeśli stale się tak zachowuje, to im szybciej się go pozbędziesz, tym lepiej.

Popatrzył na nią badawczo, nim zdecydował się odrzec bardzo chłodnym tonem:

— Gdyby to ode mnie zależało, dawno by go tu nie było. Niestety, nie ja o tym decyduję.

— Doprawdy? — rzuciła uszczypliwie Kate. — Mnie jednak bardzo zdecydowanie powiedziałeś wczoraj, że byłoby lepiej, gdyby mnie tu nie było.

Wydawał się zbity z tropu, lecz po chwili wybuchnął śmiechem i przez ten króciutki moment był znów tamtym Mariem sprzed lat. Poklepał Kate po ramieniu i uśmiechając się nadal, powiedział zniżonym głosem:

— To była tylko życzliwa przestroga. Ani przez chwilę nie przypuszczałem, że może ci grozić prawdziwe niebezpieczeństwo.

Kate nie zdążyła nic powiedzieć, bo młoda kobieta na podium włączyła mikrofon i gwar na widowni ucichł. Rozpoczęły się przemówienia, oczywiście po włosku. Kate już po chwili zupełnie straciła wątek. Była tak otumaniona po bezsennej nocy, jakby w głowie miała pełno waty. Wszystko wydawało jej się nierealne i wrażenie to stawało się coraz silniejsze. Czyż można było uwierzyć, że siedzący obok świetnie prosperujący lekarz w średnim wieku to naprawdę ten sam mężczyzna, który przed laty wywołał w jej życiu istne trzęsienie ziemi?

Choć wiele szczegółów ostatniego weekendu w willi Beatrycze uleciało jej całkiem z pamięci, inne zaś przyćmiła śmierć Franceski, jedno wiedziała na pewno: to, co przeżyła z Mariem, towarzyszyło jej później przez całe lata, rozjaśniając horyzont życiowy niczym barwna plama na szarości. Kiedy się w nim zakochała — było to takie łatwe! — świat zmienił się nagle w cudowną krainę baśni, mieniącą się wszystkimi kolorami tęczy i tysiącem różnych możliwości. Po powrocie do Anglii była wprawdzie zdruzgotana śmiercią Franceski i utratą ukochanego, mimo to uwierzyła licznym „pocieszycielom”, którzy od świtu do nocy zasypywali ją banałami o czasie leczącym rany i o tym, że nie jedna w morzu ryba, co miało oznaczać, że na Mariu świat się nie kończy. Uwierzyła, że znów się zakocha i cud się powtórzy. Musi się powtórzyć, powiedziała sobie, trzeba tylko cierpliwie poczekać.

Nigdy się nie powtórzył; nigdy nie było tak, jak podczas tych krótkich kilku godzin, więc w końcu zaczęła myśleć, że uległa złudzeniu, że wszystko to sobie uroiła. Czas zejść na ziemię, stać się realistką. Czyniąc zadość tym postanowieniom, poślubiła człowieka, którego właściwie nie kochała, lubiła go jednak i darzyła szczerym szacunkiem. Okazało się niestety, że to nie wystarczy. Zawierając drugie małżeństwo, była starsza i mądrzejsza, więc wiązała z nim mniej oczekiwań. Może nawet za mało. I ten związek zakończył się fiaskiem.

Tak głęboko zatonała w myślach, że kolejne przemówienia sławiące działalność fundacji przepływały obok niej jak woda; słyszała pojedyncze słowa i zwroty — „zasługi dla rozwoju sztuki”, „szanse dla zdolnej młodzieży” — lecz wszystko to było dalekie i mało znaczące. Coraz bardziej natomiast napierała na nią świadomość, że siedzący obok mężczyzna jest tym samym i zarazem nie tym samym Mariem, którego kiedyś kochała.

Rozmyślenia przerwała jej burza oklasków i wiwaty na cześć Simony, która właśnie w tej chwili stanęła przed mikrofonem. Z uśmiechem przeczekała aplauz i zaczęła mówić, początkowo chyba z lekką

tremą, a potem coraz śmiej i coraz goręcej. Czuło się po prostu, że całe swe serce i siły oddaje sprawom fundacji, a sukcesy młodych stypendystów są dla niej najlepszą nagrodą za trudy. Działamy zaledwie dziesięć lat, przypomniła zebrany, a już kilkoro dzieci z niezamożnych rodzin trwale zaznaczyło swą obecność w świecie malarstwa i muzyki.

Kate słuchała tego ze wzruszeniem. Przed oczami stanęła jej nagle nieśmiała dziewczyna z klamrą na zębach, ubrana w groteskową „kapuścianą” suknię. I pomyśleć, że skromna siostrzyczka Franceski jest dziś piękną, dojrzałą kobietą, która potrafiła tak twórczo — i jakże wspaniałomyślnie! — spożytkować swą wielką fortunę! W pełni zasłużyła sobie na ten aplauz! Na myśl o tym, jak dumna byłaby Francesca, gdyby mogła wiedzieć, ilu młodych ludzi zawdzięcza swą przyszłość fundacji noszącej dzisiaj jej imię, poczuła, że ściska ją w gardle.

Simona na moment umilkła i spojrzawszy prosto na Kate, oznajmiła po angielsku:

— Pragnę teraz powitać naszego szczególnego gościa, panią Kate Holland z Londynu, znaną w świecie sztuki z wybitnych osiągnięć w dziedzinie konserwacji malarstwa, zwłaszcza olejów na płótnie. Dzięki niej odzyskało świetność wiele wspaniałych dzieł dawnych mistrzów. Muszę tu dodać, że pani Kate Holland była ukochaną przyjaciółką mojej siostry i już tylko z tego powodu będzie zawsze najmilej witany gościem fundacji. Jest też jednak inny, znacznie ważniejszy powód, dla którego ze szczególną radością witam ją dziś w naszym gronie. Powód, którego ona sama być może nawet nie pamięta.

Na widowni rozległ się szmer: tłumaczono słowa Simony osobom nie znającym angielskiego. Ludzie zaczęli podnosić się z miejsc, by zobaczyć tę cudzoziemkę, której Simona Bertoni poświęca aż tyle uwagi. Samą Kate tymczasem cała ta wypowiedź wprawiła w lekki niepokój: o co chodzi Simonie? Co ona wykombinowała? Chyba nic dobrego. Gdyby przyświecały jej dobre intencje, uprzedziłaby mnie przecież, że szykuje jakąś niespodziankę... Spostrzegła nagle, że nie tylko ona czuje się nieswojo. Mario gwałtownie pochylił się naprzód; w jego twarzy i ciele widać było dziwne napięcie.

— Nigdy o tym nie mówiłam — podjęła z uśmiechem Simona, zwracając się wprost do Kate — ale czułam się często jak oszustka, gdy chwalono mnie za osiągnięcia. Tak, proszę państwa, jak oszustka. Nie wolno przywłaszczać sobie cudzych zasług.

Kate przestraszyła się nagle, że z Mariem dzieje się coś złego: pot strumieniami spływał mu po twarzy i siedział tak jakoś dziwnie... całkiem jak zwierzę sprężone do skoku. W pierwszej chwili pomyślała, że dopadło go jakieś choróbko, już w następnej zrozumiała jednak, że to reakcja na słowa Simony. On się czegoś boi. Tego, co już powiedziała lub może za chwilę powiedzieć.

— Bo skąd wziął się pomysł stworzenia fundacji? — Simona zawiesiła głos. — Otóż przez kilka tygodni przed śmiercią moja siostra i Kate pracowały razem we Florencji jako tak zwane *angeli dell'alluvione*, wszyscy chyba znamy tę nazwę, i to właśnie Kate podsunęła Francesce ten pomysł. „Mogłabyś zamienić to miejsce w coś pożytecznego; na przykład w ośrodek sztuki, który służyłby wielu ludziom”, powiedziała mojej siostrze, a ona powtórzyła to mnie. Koncepcja takiego centrum głęboko zapadła mi w pamięć, więc choć nosiłam się z nią dosyć długo, w końcu nabrała kształtów. A zaczęło się

wszystko od przypadkowej uwagi. Oto jak z małych rzeczy powstają wielkie. Ogromnie się cieszę, Kate, że mogę ci nareszcie podziękować.

Gromki aplauz, którym skwitowano tę wypowiedź, wprawił Kate dla odmiany w głębokie zakłopotanie: mimo wszelkich wysiłków nie potrafiła sobie przypomnieć ani samej rozmowy, ani jej kontekstu. Gdy oklaski w końcu umilkły i na podium wstąpił siwowłosy mówca, który z wielkim zapałem i bardzo kwiecicie zaczął znów wychwalać Simone, zerknęła ukradkiem na Maria. Nie wyglądał już teraz jak powszechnie szanowany i wciąż jeszcze atrakcyjny lekarz; sprawiał wrażenie starego, steranego przez życie człowieka. Z twarzą szarą z wyczerpania osunął się na oparcie.

Doszedł jakoś do siebie, nim skończyły się przemówienia i wręczanie kwiatów kilku paniom pracującym na rzecz fundacji. Najpiękniejszy bukiet z mnóstwa orchidei otrzymała Simona. Po ostatniej laurce ku swej czci natychmiast opuściła podium i podekscytowana jak dziecko na widok gwiazdkowych prezentów, czym prędzej podbiegła do Kate.

— No i jak ci się podobało moje przemówienie? Zrobiłam ci niespodziankę?

— Owszem, ale wyobraź sobie, że ja w ogóle nie pamiętam tej rozmowy...

— Nie szkodzi — Simona ujęła ją pod rękę. — Za to ja pamiętam każde słowo.

Lunch w formie bufetu podano w sali fresków. Pod plafonem ze skąpo odzianymi nimfami zebrało się ze sto osób głośno komentujących uroczystość przy równie donośnym dźwięku wytwornej zastawy i sztućców. Kate na chwilę została sama. — Simone porwał jakiś stołeczny dygnitarz, a Mario gdzieś zniknął — i nagle wróciły wspomnienia tamtej pamiętnej imprezy: podróż autostopem z Florencji, zwiedzanie willi, muzyka i tańce... Jakich to zespołów się wtedy słuchało? The Beach Boys? The Rolling Stones? Prześlizgując się wzrokiem po tłumie gości, bogato zastawionych stołach, kelnerach w wytwornych liberiach, pomyślała, że dopiero teraz panuje tu właściwy nastrój. Nic dziwnego. Ich grupka była za mała, aby wypełnić tę przestrzeń.

— Jeszcze tu jesteś? Myślałam, że po tych nocnych przygodach już cię stąd wywiało.

Kate odwróciła się szybko, choć i bez tego wiedziała, kto przed nią stoi. Nawet na końcu świata rozpoznałaby ten głos, cierpki z niechęci, chrapliwy głos starej palaczki. Annette Bertoni w kremowym kostiumie i takim samym kapeluszu wydawała się straszliwie chuda. Można było pomyśleć, że trzyma się na nogach tylko dzięki hebanowej lasce, ale twarz jej pokrywał perfekcyjny makijaż, a rzadkie włosy ufarbowane były w modne blond-srebrne pasemka. Mimo swej kruchości zdawała się niezniszczalna.

— Słyszała pani o tym?

Annette skinęła głową. Zapomniała już chyba o swym wieczornym wybuchu i była dziś trochę łaskawsza dla Kate, która jednak nie mogła tak łatwo zapomnieć, kto oskarżył ją o śmierć Franceski. Jakież to niesprawiedliwe, myślała z goryczą.

— Dino to osioł. Zawsze był taki — stwierdziła z pogardą signora, podnosząc do ust kieliszek. — I zawsze beznadziejnie strzelał, na szczęście dla ciebie, prawda? — Wybuchnęła chrapliwym śmiechem, od którego Kate przeszły ciarki. Uznała, że bezpieczniej będzie zmienić temat.



— Musi pani być dumna z osiągnięć Simony. Dokonała tu wielkich rzeczy.

Na pomarszczonej twarzy Annette odbiło się szczere zdumienie.

— Dumna? A z czegoż to, na Boga, mam być dumna? Kate zatoczyła ręką po sali.

— Z fundacji. Z tego wszystkiego. — Widząc jednak, że Annette nadal nie pojmuje, o czym mowa, dodała: — Ciekawa jestem, co by powiedział Zio Toni, widząc, na co Simona przeznaczyła jego fortunę.

— Kto?

— Zio Toni. Tak miał chyba na imię jej stryj.

Twarz Annette pociemniała; sprawiała wrażenie, jakby nagle zabrakło jej tchu.

— Ten łajdak — wycedziła z zimną bezwzględnością — siedzi w piekle, gdzie jego miejsce. Mam nadzieję, że nigdy stamtąd nie wyrzy. — Mówiła coraz głośniej, co zaczęło już zwracać uwagę. Parę osób spojrzało w jej stronę. — Bo wszystkie męki, które dotąd wycierpiał ten podlec — krzyczała dalej Annette — to dla niego za mała kara! Zasłużył sobie na gorszą! I ty też! Mam nadzieję, że wkrótce zdechniesz i będziesz gnąć w piekle za to, co mi zrobiłaś!

Kate z desperacją rozejrzała się dookoła. Teraz już mnóstwo osób obróciło się w ich stronę.

— Proszę przestać! Plecie pani głupstwa!

Kątem oka dostrzegła Maria przeciskającego się przez tłum. Chwała Bogu!

— Annette — powiedział cicho, biorąc ją pod ramię — *andiamo*. Pójdziemy?

— Nie dotykaj mnie! — wrzasnęła wściekle. — A w ogóle kim ty jesteś?

Kate mimo woli poczuła litość dla tej kobiety. Od śmierci Franceski minęły lata, a ona nadal nie może znieść nikogo, kto kojarzy jej się z tą tragedią.

— To ja, Mario Bassano. Uspokój się, moja droga, nie wolno ci się denerwować. — Trzymając ją mocno za ramię, dał głową znak komuś stojącemu w drugim końcu sali.

Z tłumu wyłonił się Dino, uśmiechnięty jak zwykle, i zaczął się do nich zbliżać. Kate usunęła mu się z drogi, ale nawet jej nie zauważył — patrzył tylko na swoją panią. Stara dama kipiała gniewem, gotowa wyładować go na każdym, kto ośmieliłby się jej narazić, lecz gdy tylko spostrzegła Dina, wydała westchnienie ulgi, powiedziała mu coś po włosku i uczepiwszy się jego ramienia, spokojnie opuściła salę.

— Co ją napadło? — spytała Kate Maria.

— Zdenerwowało ją pewnie coś, co powiedziałaś.

— Powiedziałam tylko, że musi być dumna z osiągnięć Simony i że jestem ciekawa, co by na to wszystko powiedział Zio Toni. Nie było w tym, jak widzisz, żadnej prowokacji.

Z rozdrażnieniem machnął na to ręką.

— Pozwól, że udzielę ci dobrej rady: nie prowadź już żadnych rozmów z Annette. I nigdy w jej obecności nie wspominaj o Zio Tonim.

— Dlaczego, na litość boską? Myślałam, że...

— Po prostu nie wymawiaj jego imienia. O Francesce też nie wspominaj.

— Naprawdę nie rozumiem...

— Powiedziałem wyraźnie. — Odwrócił się na pięcie i odszedł, jakby postanowił skończyć tę rozmowę, zanim poniosą go nerwy.

— Poczekaj chwilkę — gniewnie syknęła Kate, idąc za nim. — Nie możesz tak sobie odejść!

— Mogę, Kate. Mogę zrobić, co mi się podoba.

Już chciała powiedzieć mu coś do słuchu, gdy zobaczyła Davida. Chwalić Boga, pomyślała, dziwiąc się samej sobie, że widok tej znajomej twarzy i czarnych krzaczastych brwi sprawił jej taką ulgę. Ach, nie tylko ulgę, lecz i szczerą radość. Nareszcie człowiek, który nie ma zwyczaju bez przerwy mówić zagadkami.

## ROZDZIAŁ 35

### PRZYNEŃTA

— No i jak sytuacja? — spytał David.

Służąca, która wniosła jego bagaż, właśnie wyszła i zostali sami we wspaniałej sypialni, gdzie Kate bezsenność spędziła ostatnią noc. Z uznaniem prześliznął się wzrokiem po przestronnym wnętrzu i pięknych antycznych meblach, a potem podszedł do okna i wytknąwszy głowę na zewnątrz, odetchnął świeżym powietrzem. Po długiej drodze dojazdowej miarowo spływał w dół zbocza falujący strumień samochodów, błyskając ognistymi refleksami słońca odbitego w ich tylnych szybach. Goście fundacji wracali do domu.

— Wczoraj wieczorem ktoś chciał mnie ustrzelić.

— Z obiektywu?

— Ze strzelby.

— Żartujesz!

— Bardzo bym chciała... — Kate z westchnieniem usiadła na brzegu łóżka. — Niestety to nie jest żart.

— Ktoś naprawdę do ciebie strzelał? — Davidowi nie mieściło się to w głowie. Jak to? Wielka gala z udziałem stu gości, przemówienia, wiwaty, toasty i wśród tego skrytobójczy zamach? Trudno było pogodzić dwie tak różne rzeczy. Mechanicznym ruchem zdjął marynarkę i niedbale rzucił ją na krzesło. — Jesteś pewna?

— Wszyscy twierdzą, że to wypadek. Nocny strażnik idiota wziął mnie za dziką czy wilka, ale ja...

— Za wilka? Ciebie? — David omal nie parsknął śmiechem, widząc jednak wyraz twarzy Kate, stłumił niewczesną wesołość. — Opowiedz mi dokładnie, jak to było.

Starając się mówić jak najzwięźlejš, streściła mu wydarzenia ostatniego wieczoru: wyprawę na La Guardię z Mariem i Simoną, wypadek Simony i swój powrót do domu, podczas którego zorientowała się nagle, że nie jest sama na zboczu. A potem huknęły dwa strzały. Trafiły gdzieś bardzo blisko, zakończyła,

patrząc na Davida. Minę miał tak sceptyczną, jakby nadal nic nie rozumiał. I rzeczywiście tak było. To jakiś nonsens, pomyślał.

— Jesteś pewna, że nie była to pomyłka?

— Jakoś trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł się aż tak pomylić. Powiedzmy, że pierwszy strzał został oddany przez pomyłkę, ale drugi? Krzyknęłam przecież, żeby uważał, a ten drań znów strzelił!

— Może nie krzyknęłaś. Może tylko o tym pomyślałaś. W takich sytuacjach umysł płata człowiekowi figle.

— Mnie nie. Ja na pewno wiem, że krzyknęłam. „Hej, uważaj! Co robisz?!” Nie było to, jak widzisz, nic oryginalnego, ale brzmiało głośno i wyraźnie.

— Więc myślisz, że ktoś zrobił to z premedytacją?

— No cóż, jeśli wykluczyć pomyłkę... — Kate na chwilę zamilkła. — Ach, nie, to nie ma sensu — powiedziała wreszcie. — Bo z jakiego powodu ktoś by mnie chciał uśmiercić? To musiał być ten nocny strażnik. Może Simona ma rację. Jest pewnie nie tylko półślepy, ale i głuchy jak pień.

Może tak, a może nie, myślał David. Widać było, że Kate jest głęboko wstrząśnięta, a nie należała do osób pozwalających się ponieść fantazjom. To byłoby całkiem nie w jej stylu. Musiało więc być coś na rzeczy.

— A może ktoś chciał cię nastraszyć?

— Dino? Jaki miałby powód?

— Może to wcale nie był Dino — zasugerował David. Kate popatrzyła na niego, pokręciła głową i spytała z przekornym uśmiechem:

— Chwileczkę, mój drogi. Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? Odchodzisz od scenariusza. Powinieneś mi teraz powiedzieć, że nie mam się czym przejmować, bo był to zwyczajny wypadek, i nic mi tutaj nie grozi.

— Mianowałem się twoim przybocznym strażnikiem, a zadaniem takiego gościa jest brać pod uwagę wszelkie ewentualności — powiedział z uśmiechem David. Odszedł od okna i stanął przed Kate.

— Ochroniarz powinien uspokajać swoją podopieczną.

— Ten jest trochę inny niż reszta — zażartował, pochylając się nad nią. — Bardzo się za tobą tęsknił.

Na chwilę zapadła cisza.

— To bardzo dobrze, Davidzie — odezwała się wreszcie Kate. — Ja też za tobą tęskniłam.

Powolnym ruchem wyciągnęła się na łóżku przykrytym spłowiałą jedwabną narzutą, sądząc po wzorze — japońską. Była to szacowna osiemnastowieczna starość, należało więc zdjąć ją z łóżka, ale nie, nie miała na to siły.

— W życiu nie byłam taka skonana!

— Nie zasypiaj, Kate, jeszcze nie teraz. Powiedz mi najpierw, czego się dowiedziałaś. Wiesz już, kto przysłał ci te obrazy?

— Simona.

— Po co?

— Nie mam pojęcia.

— Nie pytałaś jej o to?

— Pytałam, ale co z tego? Bez przerwy powtarza, że musimy porozmawiać, a gdy tylko zostajemy same, znajduje sobie jakiś pretekst i fru! już jej nie ma. — Kate obróciła się na bok i zamknęła oczy. — Lepiej niech się pospieszy, bo rano wyjeżdżam.

— Z tego, co zdążyłem zauważyć, jest tak samo nerwowa jak kiedyś jej siostra — stwierdził David. — Jest do niej podobna, nie sądzisz? — Odpowiedziała mu cisza.

Kate spała.

Niech sobie pośpi, pomyślał i aby jej nie przeszkadzać, udał się do łazienki. Była tak przepastna i tak w niej błyszczało, że chyba się nie zdziwił, gdyby zobaczył nad głową zwisające z sufitu stalaktyty. Stojąc pod strumieniem ciepłej wody zmywającej mu z ciała kurz długiej podróży z Rzymu, szybko przebiegł w pamięci wydarzenia minionej doby. Odwiedziny u córki byłyby całkiem udane, gdyby nie ostatni wieczór. Siedzieli w restauracji nad wielkimi michami *pasta alle vongole*, gdy Lucy ni stąd, ni zowąd zaczęła wylewać mu na głowę istny potok pretensji i żalów, poczynając od swego pierwszego kucyka, który nie miał zadatków na czempiona, o czym on jako ofiarodawca powinien był wiedzieć, kończąc zaś na swych obecnych porażkach, za które także czyniła go odpowiedzialnym. Odwożąc ją do mieszkania, był tak zdumiony tym, co usłyszał, jakby ta jego córka wychowała się w jakiejś nie znanej mu w ogóle rodzinie. Potem nastąpiło łzawe pożegnanie. W tych warunkach z prawdziwą ulgą wsiadł o świcie do swego wypożyczonego wozu, aby ruszyć na północ. Poranna uroczystość w posiadłości Bertonicz stanowiła idealny pretekst do tak wczesnego wyjazdu, oszczędzając mu dalszych wyrzutów i łez.

Przez pierwsze dwie godziny jazdy był tak pochłonięty gniewnym przeżuwanym czarnej niewdzięczności córek, że na otoczenie nie zwracał najmniejszej uwagi. W tym nastroju mógłby zresztą podróżować nawet po Księżycu — i też by niczego nie dostrzegł. Gdy jednak zjechał z autostrady i znalazł się na drodze biegnącej przez wzgórza, zaczęło do niego docierać surowe piękno krajobrazu i nagle zdał sobie sprawę, że zupełnie go nie pamięta, a przecież wtedy, przed laty, musiał jechać tą właśnie trasą. Dziwne, że takie widoki nie zrobiły na nim wrażenia. Za to teraz ogarnął go zachwyty. Ciekawe, jak by to było, gdyby się tu osiedlił.

Taką reakcję budziło w nim każde nowo poznane miejsce. Osiągnął tę fazę życia, w której nowy początek w zupełnie nowym otoczeniu wydaje się najlepszym sposobem obrony przed groźnie już bliską starością. Kilku jego znajomych — równolatków — zafundowało sobie wcześniejszą emeryturę, ograniczając zakres swych życiowych zainteresowań do pielęgnacji ogródków i gry w golfa, ale taki model egzystencji absolutnie mu nie odpowiadał. Nęciły go inne, ciekawsze wyzwania. Nowa kultura, nowe perspektywy, nowe przyjaźnie, nowy język wreszcie, który trzeba będzie opanować — to były teraz problemy, z którymi pragnął się zmierzyć.

Posiadłość Bertonich sprzyjała wprost idealnie tego rodzaju fantazjom. Elementem inspirującym była tu nie tylko klasyczna elegancja willi Beatrycze czy piękno sędziwej La Rokki, lecz także, a może przede wszystkim otaczająca je aura duchowej wielkości. Obecne wydarzenia — sprawa zmienionych obrazów, a teraz jeszcze ta niezrozumiała strzelanina — stanowiły w jego pojęciu nadprogramową atrakcję. Ani przez moment nie wierzył, że ktoś z rozmysłem chciał zabić Kate, ale same spekulacje na ten temat były rzeczą bardzo zajmującą, podobnie zresztą jak snucie hipotez dotyczących przysłanych jej malowideł. To, co się dzieje w tym domu, może i nie jest normalne, powiedział sobie na koniec, ale na pewno nie nudne. Włożył frotowy szlafrok i po cichu wrócił do sypialni.

Kate sztywno wyprostowana siedziała na łóżku, rozglądając się ze strachem dookoła. Była trochę rozczochrana i niezwykle pociągająca.

— Myślałaś kiedyś o tym, żeby zamieszkać we Włoszech?

— Co takiego? — spytała ze zdumieniem. — Gdzie byłeś tak długo? Zaczęłam się już obawiać, że zostawiłeś mnie samą.

— Skądże! Po prostu przyszło mi na myśl, że będziesz wolała czystego strażnika.

Kate spała ledwie kilka minut, a wydawało jej się, że trwało to kilka godzin. Śniły jej się straszne rzeczy — ktoś ją ścigał, ktoś usiłował ją zabić.

— Davidzie — powiedziała cicho — wyjedźmy stąd jak najprędzej. W tym domu cierpie mi skóra.

— Dobrze, Kate, rano wyjedziemy.

— Jedźmy już teraz.

David przysiadł na łóżku i objął ramieniem jej plecy.

— Posłuchaj, kochanie, ja dopiero co przyjechałem. Zostańmy tutaj do jutra! I nie bój się, moja droga, masz teraz swego strażnika. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Przy mnie nie może spotkać cię nic złego.

# ROZDZIAŁ 36

## STRAŻNIK

David i Mario nie darzyli się teraz ani trochę większą sympatią niż za czasów florenckiej powodzi; cała różnica polegała na tym, że z większym poświęceniem starali się ukryć wzajemną niechęć. W ramach tych starań David zaczął wypytywać Maria o jego rolę w powstaniu fundacji, która to rola, jak zasugerował, musiała być pewnie znacząca? Koncepcja i projekt ośrodka, jak również nadzorowanie budowy to wyłącznie zasługa Simony, skromnie wyjaśnił Mario. On na jej prośbę wziął na siebie sprawy finansowe i związaną z tym wszystkim biurokracją. „Krótko mówiąc — zakończył — ona zajęła się samą fundacją, a ja kontaktami ze światem zewnętrznym, z władzą, urzędami i tak dalej.”

To, że Simona nie skomentowała jego wypowiedzi, bynajmniej nie rozproszyło żywionych przez Kate wątpliwości co do roli Maria w całym przedsięwzięciu. Czyżby wmawianie właścicielce obrazów i innych dzieł sztuki, że ich wartość jest o wiele niższa od faktycznej, też należało do twych obowiązków? pomyślała cierpko. Na istnienie takich praktyk miała bardzo konkretny dowód w postaci drastycznie niskiej wyceny dwóch odnawianych przez siebie obrazów. Simona najwyraźniej nie miała pojęcia o prawdziwej wartości odziedziczonej kolekcji, można więc było przypuszczać, że Mario okłamuje ją systematycznie przy każdej transakcji sprzedaży. Było to tym bardziej niepokojące, że większość pieniędzy wydanych na budowę niezbędnych obiektów pochodziła z jednego tylko źródła: sprzedaży obrazów z tej właśnie kolekcji. Kate dowiedziała się tego od Simony. „Sprzedałam na to Cranacha” — powiedziała, pokazując jej piękny basen kąpielowy, kiedy rankiem schodziły do willi. A tak zwana Casa Veronese, czyli wybudowana od podstaw sala ćwiczeń wraz z przyległościami, też nie powstała z powietrza. Jeśli więc Simona zamierza jeszcze coś sprzedać, powinna dokładnie wiedzieć, ile ta rzecz jest warta i w jaki sposób uzyskać możliwie najlepszą cenę. Kate pilno było pomówić z nią na ten temat, cóż, kiedy znowu okazało się to niemożliwe.

Pod wieczór całą czwórką udali się do restauracji położonej w połowie sąsiedniego wzgórza — w odległości mniej więcej dwudziestu minut jazdy od La Rokki. Proponując tę wyprawę, Simona oznajmiła, że potrzebna jest jej zmiana otoczenia, ale Kate podejrzewała, że po wczorajszych ekscesach swej szalonej matki woli raczej nie siadać z nią dzisiaj do stołu. Ona sama mogła tylko przyklasnąć tej decyzji. Niewielka restauracja okazała się całkiem przyjemna, lecz samo jedzenie, choć niezłe, nie umywało się nawet do tych specjałów, którymi uraczył ich kucharz Simony.

Simona przez cały wieczór była dziwnie spięta i wyraźnie rozkojarzona. Wchodząc do lokalu, po raz któryś poinformowała Kate, jak bardzo chce z nią porozmawiać, lecz ilekroć Kate próbowała ją o coś spytać, minę miała taką, jakby nie słyszała, co się do niej mówi. Wyglądało na to, że zmęczyła ją ta uroczystość. Po porannych przemówieniach i lunchu odbył się jeszcze koncert młodych stypendystów, którzy zakończyli swój popis dopiero grubo po piątej, nie mówiąc już o tym, że niemal każdy uczestnik

jubileuszowej gali chciał zamienić z Simoną parę słów lub przynajmniej uściskać jej rękę. Wszystko to trwało tak długo, że ruszając do restauracji, widzieli jeszcze na drodze samochody ostatnich gości.

Gdy zajęli miejsca przy stoliku, Mario w ramach rewanżu uznał za swój obowiązek zainteresować się Davidem, zaczął więc uprzejmie indagować gościa o jego karierę, przekonawszy się jednak dość szybko, że ten rodzaj pytań prowadzi w ślepią uliczkę, skwitował sprawę stwierdzeniem, iż „proces czyszczenia na sucho musi być rzeczą interesującą” i przerzucił się zrezygnownie na bardziej obiecujący temat, czyli plany Davida na przyszłość. Ten w odpowiedzi streścił mu swoje poranne fantazje o domu we Włoszech — najlepiej w jakimś pięknym a odludnym miejscu — a przedstawił je w taki sposób, jakby rzecz została już postanowiona.

— W tym akurat mogę ci pomóc — ucieszył się Mario. — Tak się składa, że znam pewne miejsce spełniające twoje wymagania. Właścicielką jest moja dobra znajoma, która właśnie owdowiała i pilnie chce sprzedać posiadłość. Jest tam stary dom, który oboje z mężem zamierzali gruntownie odnowić, zdążyli jednak zaledwie uporządkować teren, zresztą bardzo pięknie, myślę więc, że cena będzie znacznie niższa od realnej wartości obiektu. To naprawdę wspaniałe miejsce — mówił dalej, opisując cudowne widoki i stare kamienne mury. — Jeśli chcesz, mogę cię tam jutro zawieźć.

Orientując się po minie Davida, że zaczyna ulegać pokusie — wyobraża już sobie pewnie romantyczne przechadzki wśród szemrzących cicho cyprysów i antycznych tarasów rozrzuconych po łagodnym zboczu! — Kate wtrąciła z pośpiechem:

— Przykro mi, Mario, ale my już jutro wyjeżdżamy. Siedząca obok niej Simona ocknęła się nagle z zadumy.

— Tak szybko? Och nie! Nie zdążyliśmy jeszcze porozmawiać!

A czyja to wina? chciała zapytać Kate, pohamowała się jednak i odrzekła w miarę spokojnie:

— Możemy pogadać, kiedy tylko zechcesz.

Mario poruszył się niespokojnie, podtrzymał jednak swoją propozycję:

— Jeśli wpadniemy tam rano, zdążycie jutro wyjechać. To jak? Mam zadzwonić do właścicielki?

— Czemu nie? — odrzekł David.

— Świetnie — wtrąciła Simona — wobec tego my z Kate będziemy mieć dla siebie cały ranek.

Perspektywa spędzenia kilku godzin w towarzystwie Simony i jej matki wprawiła Kate w lekki popłoch. Tylko przy Davidzie czuła się bezpiecznie.

— Jeśli rzeczywiście chcesz obejrzeć sobie tę posiadłość — powiedziała szybko — to ja też pojadę.

Przez twarz Simony przemknął wyraz rozczarowania.

— W takim razie pojedziemy wszyscy — zdecydowała.

— Doskonale — stwierdził Mario.

— Jaką nazwę nosi ten dom? — zainteresował się David.

Mario roześmiał się głośno.

— Chyba niezbyt oryginalną. Bella Vista, ale nazwę można przecież zmienić.

— Słyszałam coś na ten temat — wtrąciła Kate. — Czy nie przynosi to pecha?

— Ten przesąd dotyczy jedynie nazw łodzi — wyjaśnił jej David.

— Powiedz mi, Kate, myślałaś kiedyś o zmianie imienia? — spytała nagle Simona, a gdy Kate odrzekła, że nie, co pewnie oznacza, iż jest z niego zadowolona, jej rozmówczyni nie wiadomo czemu wydawała się dziwnie zmieszana. — Ja nienawidzę swojego imienia — powiedziała ze szczerą niechęcią — i zawsze chciałam je zmienić.

— Więc czemu tego nie robisz? — zaśmiała się Kate.

Mario siedzący naprzeciw Simony łagodnie ujął jej rękę.

— A po co? „Simona” to piękne imię i doskonale do ciebie pasuje. „Czymże jest imię? — wyrecytował z uśmiechem.

— Nazwijmy różę innym imieniem, a ona nie straci swej słodkiej woni.”

Simona gwałtownie uwolniła rękę, dygocąc na całym ciele.

— Niech cię diabli porwą, ty cholerny draniu! — krzyknęła z szaleńczą furją, tym bardziej zdumiewającą, że nie dało się jej niczym uzasadnić.

Mario z pociemniałymi nagle oczami czym prędzej odsunął się od niej.

— *Piano, mia cara* — powiedział cicho. — Uwważaj. Pamiętasz Florydę? Chcesz popełnić znów ten sam błąd?

Tym razem to ona cofnęła się przed nim — jakby jej zadał cios poniżej pasa.

— Musisz to wywlekać? — szepnęła.

— W niektórych przypadkach metoda szokowa daje najlepsze wyniki — stwierdził zawodowym tonem.

— O co chodzi z tą Florydą? — włączył się David.

Mario, uniósłszy brew, spojrzał na Simonę z taką miną, jakby chciał ją skłonić do wyjaśnień. Skłonić czy sprowokować? pomyślała Kate. Była zła na Davida, że się do tego przyczynił. Miała niemile wrażenie, że zadając to pytanie, świadomie zagrał na korzyść Maria. Nie wiedziała, o co tu chodzi, było jej jednak niewymownie przykro, jak zawsze gdy zdarzyło jej się widzieć, że ktoś złośliwie dokucza bezbronnemu przeciwnikowi. Bezbronnemu? zdziwiła się w duchu. Dlaczego w ten sposób myślę o Simonie?

— Daj spokój, Davidzie, to nie nasza sprawa — powiedziała ostro.

— Och, proszę bardzo, jestem pewna, że ubawi was ta opowiadka! — zawołała Simona, hardo podnosząc głowę, choć łatwo było wyczuć, że dotknięta jest do żywego. — Mario ma na myśli niezwykle zabawny incydent, który zdarzył się w pewnym hotelu na Florydzie. Tam właśnie próbowałam go zabić. Wesoła historyjka, prawda? — Oczekała chwilę, a gdy nikt się nie odezwał, dodała nieco ciszej: — I och, mój Boże, jak gorąco żałowałam, że mi się to nie udało!

— Dlatego w Gwatemali spróbowałaś po raz drugi — rzucił Mario lodowatym tonem.

— Drugi czy trzeci? Było to tak dawno, że chwilami wszystko mi się miesza.



— Drugi. Po raz trzeci chciałaś to zrobić w Mysore.

— Rzeczywiście. Teraz sobie przypominam. Medytacje najwyraźniej nie przyniosły spodziewanych rezultatów, prawda? — Simona starała się chyba udawać, że cała ta rozmowa to tylko makabryczny żart.

David dołał sobie wina i zerknął na Maria.

— Naprawdę chciała cię zabić? Tak na amen?

— Och tak! Simona nigdy nie robi nic połowicznie, prawda, moja droga? Gdyby w tych hotelach mieli trochę ostrzejsze noże, nie byłoby mnie tu dzisiaj. Pokazałbym wam blizny, obawiam się jednak, że goście tego lokalu mogliby źle to zrozumieć.

Simona nadal nie mogła opanować drżenia.

— Co on wie o bliznach! — szepnęła tak cicho, że słyszała to tylko Kate. — Najgorsze są takie, których nie widać.

— Był jakiś szczególny powód, by dokonać tego morderczego zamachu, czy też miałaś po prostu zły dzień? — spytał lekkim tonem David, patrząc na Simonę takim wzrokiem, jakby nagle zobaczył kobietę z brodą czy innego dziwoląga: z tych, które kiedyś bawiły gawieź na jarmarkach.

— Przestań, Davidzie! Nie bądź tak cholernie gruboskórny! — zirytowała się Kate. Mierzili ją ci dwaj mężczyźni zabawiający się kosztem Simony, i to z tak widoczną przyjemnością! Co do licha stało się z Davidem? Dlaczego ni stąd, ni zowąd zwrócił się przeciw Simonie? — To naprawdę nie nasza sprawa. A w tej historii ja osobiście nie widzę nic zabawnego — powiedziała ostro, orientując się zarazem błyskawicznie, że jej gwałtowna reakcja pogłębiła jedynie milczące porozumienie obu mężczyzn. Wymienili między sobą uśmieški o nader czytelnej treści: Te kobiety! Nietęgo u nich z racjonalnym myśleniem!

— Więc może ty nam wybierzesz bardziej odpowiedni temat — wycedził David. Widać było, że jest wściekły.

— Masz rację, Kate — odezwał się Mario — nie powinniśmy byli publicznie prać naszych brudów, nieprawdaż, Simono?

Popatrzyła na niego z pogardliwym politowaniem, a potem podniosła rękę i wierzchem dłoni przesunęła po oczach, jakby odgarniała z nich pajęczynę.

— Wiesz co, Mario? Ty nawet powietrze zatrzymasz swym jadem. Trudno przy tobie oddychać.

Uśmiech zniknął mu z twarzy jak zdmuchnięty.

— Bardzo mi przykro, że moja osoba jest ci aż tak niemiła — powiedział, wzruszając ramionami, a Kate ku swemu zdziwieniu wyczuła w tych słowach prawdziwy żal i urazę. Nie miała pojęcia, jak się stało, było jednak rzeczą ewidentną, że role się odwróciły i teraz Simona zdobyła przewagę nad Mariem. Nie sposób było odgadnąć, jaką grę prowadzą ze sobą ci dwoje, lecz dla Kate nie ulegało wątpliwości, że oboje z Davidem są mimowolnymi świadkami dramatu, który ma bardzo długą i bardzo zawiłą historię.

Atmosfera w tych warunkach nie sprzyjała żywej konwersacji. Kiedy zjawił się kelner z pytaniem, czy ktoś chciałby zamówić deser albo kawę, nikt nie wyraził takiego życzenia; wszyscy jednakowo

pragnęli jak najszybciej zakończyć ten wieczór. W drodze do La Rokki panowało milczenie, a gdy Mario zatrzymał samochód przed drzwiami, Simona natychmiast ruszyła do wejścia, nie zapraszając go do domu.

Napięcie opadło z niej dopiero w chwili, gdy usłyszeli oddalający się odgłos silnika. W tym momencie stali jeszcze w holu pod przedstawiającym anioły abstrakcyjnym malowidłem, które Kate na prośbę Simony oglądała zaraz po przyjeździe, ale teraz przy sztucznym świetle wydawało jej się całkiem inne — tajemnicze i niesamowite.

— Masz ochotę na drinka? — spytała Simona, spoglądając na nią znacząco. Jakimś niezwykle sposobem otrząsnęła się ze zmęczenia i nagle nabrała energii.

Błyskawicznie rozważywszy propozycję, Kate doszła do wniosku, że to chyba zaproszenie do rozmowy i że wcale nie ma ochoty na kolejny jałowy dialog. Po bezsennej nocy i całodziennych napięciach czuła się rozbita na kawałki. Zaczynała w dodatku myśleć, że ta dziwna kobieta nie jest chyba zupełnie normalna. Te „mordercze zamachy”, z których dwaj panowie pokpiwali sobie przy kolacji, mogły nie wyglądać tak groźnie, jak je przedstawił Mario, świadczyły jednak dobitnie, że równowaga psychiczna Simony pozostawia wiele do życzenia. Te ciągle huśtawki nastrojów... Wszystko to budziło mnóstwo zastrzeżeń, mimo to Kate czuła, że zdążyła już polubić tę kobietę zarówno za jej lojalność wobec zmarłej Franceski, jak i godną podziwu działalność fundacji. Obiecała sobie, że jutro zaraz z rana powie jej o tych zaniżonych wycenach, ale teraz...

— Dziękuję za drinka, ale jestem wykończona. Odłóżmy to sobie do jutra.

— Na pewno nie masz ochoty? — w głosie Simony brzmiał zawód.

— Ale ja mam — wtrącił się David. — Chętnie bym się napił czegoś do poduszki, więc jeśli potrzebujesz towarzystwa, to jestem do usług.

W co on gra? zdziwiła się Kate.

Simona niedbałym gestem wskazała mu główny salon.

— Proszę bardzo, częstuj się. Znajdziesz tam wszystko co trzeba — powiedziała, ziewając ostentacyjnie. — Ja chyba pójdę już spać. Te galówki mnie dobijają.

Zostawiając Davida w holu, pobiegła za Kate na piętro, ale zamiast skręcić w drugi koniec korytarza, gdzie znajdował się jej pokój, postanowiła widocznie odprowadzić Kate do sypialni. Kate przy okazji stwierdziła, że jej towarzyszka chodzi lekko i cicho jak kot.

— Masz wszystko, czego ci trzeba?

— Tak, bardzo dziękuję — odrzekła Kate z roztargnieniem, bo przyszło jej właśnie na myśl, że to Simona mogła w nocy stać pod jej drzwiami. Te prawie bezszelestne kroki... Tylko po co? Ogarnął ją znów niepokój. Czemu ten David postanowił zostać na dole? Nadal się na nią dąsa za tę reprimendę w restauracji? Och, niechby już przyszedł! Uświadomiła sobie nagle, że nie ufa Simonie... nie ufa jej ani trochę.

— Naprawdę niczego ci nie brakuje? — Simona w tak widoczny sposób ociągała się z odejściem, że stawało się to podejrzanym.

— Naprawdę. Wszystko jest okej. Jestem tylko okropnie zmęczona, więc jeśli pozwolisz, to chciałabym już się położyć.

— Och, oczywiście! — przytaknęła tamta, lecz gdy Kate weszła do sypialni, nie wiadomo kiedy wśliznęła się za nią do środka. — Podoba ci się ten pokój? — spytała takim tonem, jakby były tu dopiero po raz pierwszy. — Jest ładny, prawda?

— Wspaniały, ale teraz...

— Uwielbiam tego Sisleya, a ty? Mario kilka lat temu strasznie mnie namawiał na sprzedaż... Potrzebowaliśmy pieniędzy, już nawet nie pamiętam na co, ale ja w żaden sposób nie umiałam się rozstać z tym obrazkiem. Jest w nim tyle dramatyzmu... To przez to światło.

— Rzeczywiście. — Kate pragnęła się już rozebrać, lecz w obecności Simony byłoby to zbyt kłopotliwe. Na szczęście z holu dały się słyszeć czyjeś ciężkie kroki i do pokoju wszedł David, chwiejąc się lekko na nogach. Na widok Simony groźnie zmarszczył brwi.

— Och, lepiej pójdę już spać! — zawołała. — Dobranoc!

— Dobranoc — odrzekła Kate. David odczekał, aż Simona zniknie za drzwiami, i wtedy dopiero rzucił ochrypłym głosem:

— Cóż za cholerne grubiaństwo!

— Co takiego?

— Najpierw prosi, żeby się z nią napić, a potem zostawia człowieka samego, bo nie ma ochoty z nim gadać! Pieprzone maniery!

— Davidzie, ty jesteś pijany!

— Jak cholera, i co z tego? Nie znoszę złego wychowania! Wielka pani! Niech jej się nie zdaje, że skoro jest taka bogata i wszyscy ci wielcy ważniacy pieją na jej cześć peany, to może mnie traktować jak gówno!

— Przestań, na litość boską! O ile dobrze pamiętam, to ty robiłeś wszystko, żeby jej dopiec. Bóg jeden wie, co się tu dzieje, ale łatwo wyczuć, że nie jest jej lekko, a strojenie sobie z niej żartów to naprawdę ostatnia rzecz, która by mogła poprawić jej nastrój.

Przerodziło się to w końcu w równie ostrą, co kompletnie bezsensowną awanturę. Pierwszą i od razu tak okropną. A Kate serdecznie nie znosiła kłótni. Zanim wyczerpana do ostatka zapadła wreszcie w niespokojny sen, myślała już tylko o tym, żeby rano natychmiast uciec z tego domu.

# ROZDZIAŁ 37

## FRANCESCA

Stało się całkiem inaczej.

— David nic ci nie mówił? — zdziwiła się Simona. — Dziesięć minut temu pojechał z Mariem do Bella Visty.

— Przecież wszyscy mieliśmy tam jechać!

— Mnie powiedział, że się rozmyśliłaś, postanowiłam więc zostać i dotrzymać ci towarzystwa.

A niech to szlag! Kate była wściekła. Zbyt dobrze pamiętała wydarzenia swojej pierwszej nocy w tym domu, aby mogła spokojnie myśleć o spędzeniu kilku godzin w towarzystwie Simony, jej matki i tego podejrzanego Dina. Liczyła na Davida, a on tak ją zawiódł. Oczywiście słówkiem jej nie wspomniał, że zamierza jechać tylko z Mariem. Albo chce ją w ten sposób ukarać za wczorajszą awanturę, albo od początku sobie zaplanował, że odbędzie tę wyprawę bez niej.

Simona przeciwnie, wydawała się ogromnie zadowolona z takiego obrotu sprawy. Piastując w rękę wielki kubek z kawą, siedziała na tarasie, pod którym skaliste zbocze opadało stromo ku dolinie. Było gorąco i parno; w powietrzu snuła się lekka mlecznobiała mgiełka. Kate przeszła powoli przez taras i usiadła na parapecie, wpatrzona nieruchomym wzrokiem w łagodny łuk rzeki błyszczącej daleko w dole. Co za ironia losu, że tak jej obrzydło to miejsce, choć to przecież najpiękniejszy zakątek, jaki dane jej było oglądać. Ale teraz jedynym jej pragnieniem było zadzwonić po taksówkę i jak najprędzej stąd uciec.

— Gdybym wiedziała, że tak cię interesuje ta posiadłość, kazałabym im zaczekać — rzuciła Simona słodko brzmiącym tonem.

Akurat! pomyślała Kate. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że to ty wszystko uknułaś. Już na samą tę myśl poczuła, że rośnie w niej chęć ucieczki. Wyjeżdżam, postanowiła. Wszystko, co dotyczy tych obrazów, mogę jej opisać w liście.

— Mam prośbę, Simono. Mogłabyś zamówić mi taksówkę? Może jest tu jakiś miejscowy, który zawiózłby mnie do Florencji?

— Chcesz zostawić Davida?

— Ma samochód. Dołączy do mnie, kiedy zechce.

— Po co ten pośpiech?

— Posłuchaj, nie chcę być niegrzeczna, ale to moja sprawa. Po prostu chcę wyjechać stąd jak najprędzej.

— Nie możesz teraz wyjechać! — Simona zerwała się z miejsca i podbiegła do balustrady. — Nie zdążyliśmy jeszcze pomówić.

— Możemy zrobić to teraz, czekając na taksówkę.

— Och nie, to za mało czasu!

Kate zaczynała tracić cierpliwość.

— Na litość boską, Simono, jeśli masz mi coś do powiedzenia, to mów teraz albo napisz do mnie w wolnej chwili.

— Kate, proszę cię, nie jedź!

— Podjęłam decyzję i nie mam zamiaru jej zmieniać.

Simona chwyciła ją za rękaw, lecz Kate uwolniła się szorstko i zaczęła iść w stronę oszklonych drzwi do salonu. Już miała wejść do pokoju, gdy dobiegł ją okrzyk:

— A ja nie pozwolę ci jechać! Odwróciła się — i zdrętwiała.

Simona stała na parapecie zwrócona twarzą na zewnątrz. Jej sztywno wyprostowana postać rysowała się ostro na tle zamglonego nieba. W dole ziała przepaść.

— Na Boga, co ty wyprawiasz? Mam już dość twoich gier!

— To nie żadna gra, Kate. Jeśli wejdiesz w te drzwi, przysięgam, że skoczę!

Boże Wszchemogący! Kate nawiedziło nagle wspomnienie Franceski stojącej na moście nad Arno.

— Przestań się wygłupiać!

— Nie, Kate! Jeśli tam wejdiesz, zrobię to. Nie mam nic do stracenia.

— O Chryste! Dlaczego? O co ci chodzi?

— Powiem ci, obiecuję, że powiem, ale musisz tu zostać! Przynajmniej do powrotu Davida. Och, Kate, błagam cię, zostań!

— Zejdź stamtąd!

— Najpierw przyrzeknij mi, że zostaniesz.

Przez moment Kate miała ochotę odwrócić się i odejść — jak najdalej od Simony i jej szalonej rodziny. Już raz dała się wciągnąć Francesce w bardzo podobną grę i prośbę, co z tego wynikło! Mogłaby postawić aż dziesięć przeciw jednemu, że cała ta scena to blef, i gdyby miała odwagę powiedzieć to tej wariatce, szantaż by szybko się skończył, byłoby to jednak zbyt ryzykowne — groźba Simony mogła mimo wszystko być prawdziwa.

— No dobrze — zgodziła się niechętnie. — Zostanę do ich powrotu.

— Obiecujesz?

— Obiecuję. A teraz, do diabła, złaź!

Simona uśmiechnęła się zwycięsko. Rozpostarłszy szeroko ramiona, uniosła twarz ku słońcu i na moment zastygła w tej pozycji jak ptak zbierający się do lotu. Kate ze strachu znów wstrzymała oddech. Odetchnęła, gdy tamta zeskoczyła lekko na taras.

— Ty cholerna idiotko! Mogłaś przecież się zabić!

— Musiałam cię jakoś zatrzymać.

— No więc jestem — warknęła Kate, czując, że trzęsą jej się nogi. — Chciałaś ze mną mówić, więc mów! Słucham!

— Nie tutaj. Chodźmy gdzieś, gdzie nas nikt nie usłyszy.

— No nie, tego nie było w umowie. Zostaniemy tutaj, dopóki nie wrócą Mario i David, a potem wyjeżdżam bez względu na wszelkie numery, jakie jeszcze zechcesz mi wyciąć. Dlatego zacznij mówić, jeśli rzeczywiście masz coś do powiedzenia.

— Jak mogę mówić, kiedy jesteś na mnie taka zła?

— To już twój kłopot, nie mój.

— Och, Kate, przepraszam! Nie chciałam cię straszyć. Kate pominęła to milczeniem — tak bezczelnego łgarstwa nie warto było komentować. Ostentacyjnie przysiadła na samym brzegu fotela, patrząc na Simonę z takim wyrazem twarzy, jakby chciała powiedzieć: no proszę, zacznaj, skoro tak ci na tym zależy. Dla mnie to tylko sposób na zabicie czasu, dopóki nie wróci David.

Simona z westchnieniem usiadła naprzeciwko. Sięgnęła po kubek z kawą, ale odstawiła go na miejsce.

— Czy jako dziecko chodziłaś do cyrku? — spytała, marszcząc brwi.

— Co?! — Kate szeroko otworzyła oczy. Nie przestawała jej zdumiewać wyjątkowa zdolność tej kobiety do stawiania absurdalnych pytań. — Nie mogłabyś od razu przejść do rzeczy? — rzuciła ze zniecierpliwieniem.

Simona puściła to mimo uszu.

— Pamiętam, jak poszłam tam pierwszy raz. Mieszkaliśmy wtedy w Stanach, więc musiałam mieć jakieś sześć czy siedem lat. W cyrku były słonie i tygrysy, ale na mnie największe wrażenie zrobiły akrobacje na trapezie. Pod samą kopułą namiotu zobaczyłam dziewczyny w białych kostiumach nazywanych srebrzystymi cekinami; we włosach miały kity z długich białych piór, takie same, jakimi przystrajano cyrkowe kucyki. Były tam dwie niewielkie platformy, pomiędzy którymi wisiały huśtawki, a na nich potężni mężczyźni zawieszani głowami na dół. Ci ludzie, trzymając dziewczyny za nogi, huścili się z nimi coraz wyżej i w końcu w najwyższym punkcie łuku puszczali je nagle, a one szybowały w powietrzu jak piękne białe ptaki, i w ostatniej chwili, gdy już się wydawało, że spadną i będzie po nich — w tych czasach nie stosowano lin ratunkowych — chwyтали je inni mężczyźni. Wszystko to oczywiście było wyliczone co do ułamka sekundy, a cały numer polegał na wzajemnym zaufaniu. Zrozumiałam wtedy, że nie wolno zrywać się do lotu, jeśli nie masz kogoś, o kim wiesz na pewno, że złapie cię w krytycznej chwili, człowieka, do którego żywisz absolutne zaufanie.

Na moment zamilkła, patrząc z wyczekiwaniem na Kate. Oczy jej lśniły jak dwie zielone latarki.

— Ty, Kate — podjęła cicho — jesteś dla mnie takim człowiekiem. Moją liną ratunkową. Bez ciebie nie potrafię latać.

Kate nadal milczała. Wciąż jeszcze była zła na Simonę i nie miała zamiaru ułatwiać jej zadania, zaczynała czuć jednak ciekawość. Czego właściwie chce ta kobieta?

— Ach, więc tu jesteście!

Obie jak na komendę odwróciły głowy w stronę francuskich drzwi, w których ukazała się właśnie Annette Bertoni wsparta na ramieniu Dina. Miała na sobie kwiecistą suknię z białej krepy, a na nogach

eleganckie sandaalki na niebotycznych obcasach, w których jej chude kończyny wyglądały jak uschłe gałązki. Kate mimo woli ogarnął podziw dla determinacji tej kobiety: ani wiek, ani trudności z chodzeniem nie zmusiły jej do rezygnacji z elegancji i kobiecości. Pewnie nawet w trumnie będzie wyglądała jak z zumała.

— Dzień dobry, mamó — powiedziała Simona, kiedy Dino usadowił jej matkę w fotelu.

— Dzień dobry, kochanie. I tobie, Kate — dodała z uśmiechem Annette. — Smakowało ci jedzenie w restauracji?

— Tak, dziękuję, było bardzo dobre.

Stara dama kiwnęła głową. Wydawała się dzisiaj zupełnie przytomna.

— Próbowalaś *cinghiale*? Giulio słynie z wybornej dziczyzny.

— Nie, jadłam cielecinę.

— Ach tak, bardzo słusznie. — Annette usiadła wygodniej i zaczęła się wachlować jakimś kolorowym tygodnikiem.

— *Cinghiale* jest za ciężkie na taką duszną pogodę. Dino za chwilę jedzie do miasta po mój zegarek — poinformowała Simonę. — Ma ci coś przywieźć?

— Nie, sama tam później pojedę.

Annette powiedziała coś po włosku do Dina, który kiwnął głową i bez słowa zniknął za drzwiami. Zaraz potem pojawiła się służąca z filiżanką czekolady dla Annette.

— Czy możemy zostawić cię samą? — spytała Simona.

— Chciałyśmy pójść z Kate nad rzekę.

— Chcecie sobie popływać?

— Może się zdecydujemy. Jest tak gorąco.

— Ja się chyba zdrzemnę. Idźcie i bawcie się dobrze.

Kate dopiero po chwili zdołała sobie uświadomić, dlaczego ta konwersacja wydała się jej tak niezwykła: po raz pierwszy za jej bytności te dwie kobiety rozmawiały ze sobą normalnie, po prostu jak matka z córką. No tak, normalność w tym domu to naprawdę ewenement.

Simona tymczasem zdążyła już wejść do pokoju. Kate poszła za nią, lecz w salonie twardo przystanąła.

— Już ci mówiłam, że nigdzie nie pójde. Nad rzekę też nie.

— Dlaczego? Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

— Bo wyjeżdżam, jak tylko wróci David. W tym domu musi przecież być jakieś miejsce, gdzie można spokojnie porozmawiać.

— Tak, ale pod dachem jest strasznie duszno, a poza tym... pomyślałam, że chciałabyś zobaczyć rzekę — odrzekła z urazą Simona. Zabrzmiało to tak, jakby ofiarowała Kate coś cennego, a ta odrzuciła jej dar.

Kate otworzyła już usta, by powiedzieć, co o tym myśli, kiedy zadzwonił telefon. Nie chcąc podsłuchiwać, podeszła do głównych drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Dino wsiadł właśnie do ciemnoszarego mercedesa i powoli ruszył sprzed domu. Wciąż się uśmiechał. Poczła lekką ulgę, kiedy wreszcie zniknął jej z oczu. No cóż, pomyślała z ironią, nikt nie lubi, gdy się go bierze za wilka i wygarnia do niego z dubeltówki.

Simona już odłożyła słuchawkę.

— Dzwonił Mario — oznajmiła z widocznym zdenerwowaniem. — Mówił, że obejrzeliby już tę posiadłość, ale są jeszcze inne, które chce pokazać Davidowi.

— Cóż to? Został nagle agentem od nieruchomości?

— Lubi po prostu pomagać ludziom. Wróć dopiero na lunch.

Kate błyskawicznie przemknęło przez głowę, czy przypadkiem nie jest to intryga, która ma na celu powstrzymanie jej od wyjazdu, zaraz jednak powiedziała sobie, że to przecież czysta paranoja: niemożliwe, aby David brał w tym udział. Uspokoiła ją także nieobecność Dina. No dobrze, pomyślała, skoro nie ma Davida, trzeba jakoś spędzić ten czas, niech więc będzie, jak chce Simona, zwłaszcza że jest tak gorąco.

— Wygrałaś — burknęła — chodźmy nad tę rzekę, ale musisz mi pożyczyć jakiś kostium. Mam ochotę sobie popływać.

Po dziesięciu minutach Simona zwiozła je odkrytym autem prawie do końca drogi dojazdowej. Tam zostawiły samochód, skróttem przez zarośla dotarły do głównej szosy, za którą skręciły na ścieżkę prowadzącą do wąskiej kamienistej plaży. Po obu stronach rzeki rosły tu gęsto wielkie stare drzewa.

— Przychodziłyśmy tu często jako nastolatki — powiedziała tęsknie Simona. — Była to dla nas jedyna szansa, aby zażyć trochę samotności.

— Nikt tu nie przychodzi pływać?

— Nasi stypendyści korzystają z basenu, a miejscowi... To nasza ziemia, więc raczej nie powinni, czasem chyba jednak przychodzą. Popatrz. — Podniosła zgniecione pudełko po papierosach i starą puszkę po piwie. — Co za świntuchy z tych ludzi!

Śmieci te były jedyną oznaką ludzkiej obecności. Oprócz sporadycznych odgłosów niewidocznych samochodów — główna szosa biegła znacznie wyżej — słychać było tylko szum wartko płynącej wody; czasami, choć z rzadka, odezwał się jakiś ptak. I na wiele mil dookoła nie widać było żadnych zabudowań. Tak, był to piękny zakątek, lecz przez te ciasno stłoczone drzewa wywoływał też uczucie lekkiej klaustrofobii.

— Tu zawsze czuję ją blisko przy sobie — szepnęła Simona. — Dlatego tak chciałam cię tu przyprowadzić.

Kate poczuła ciarki na grzbiecie. To miejsce rzeczywiście sprawiało wrażenie nawiedzanego przez duchy. Och, ale to przecież głupota, zirytowała się sama na siebie. Zrzuciła pantofle i przysiadła na jakimś głazie, zwieszając nogi do wody. Była lodowato zimna. Jej stopy omywane biegnącymi szybko falami wydawały się dziwnie blade i koślawe.



Simona przykucnęła obok.

— Przed założeniem fundacji też przychodziłam tutaj bardzo często. Wiesz, Kate, strasznie długo biłam się z myślami, co zrobić z pieniędzmi stryja. Chciałam wykorzystać je w taki sposób, żeby jej się spodobało. Nikomu o tym nie mówiłam, ale ty byłaś jej przyjaciółką, więc zrozumiesz... Ona cały czas była przy mnie. Fundacja to nasze wspólne przedsięwzięcie. Bez niej nie osiągnęłabym tego, co widziałas...

— Niepotrzebnie umniejszasz swe zasługi — zachnęła się Kate. — Fundacja to przecież twój pomysł i ty go zrealizowałaś. Nikt tego za ciebie nie zrobił.

— Ale sama nie byłabym w stanie...

— No cóż, Mario pewnie ci trochę pomógł, ale cała koncepcja pozostaje wyłącznie twoim dziełem.

— Czyżby? — Simona podniosła kamyczek i w zadumie cisnęła go w wodę. — Ja nie jestem tego taka pewna. Czasami mi się wydaje, że wraz z jej śmiercią umarła jakaś część mnie, a jakaś jej część stała się mną. A może odwrotnie? Może to ja stałam się nią? Nie wiem... ale to tak, jakby wymieszały się nasze dusze i z dwóch osób powstała jedna.

Kate pomyślała, że to chyba żart, lecz gdy spojrzała na twarz Simony, serce w niej zamarło: ona naprawdę w to wierzy.

— Moja droga — powiedziała z westchnieniem — tak się nie dzieje, to niemożliwe.

— Skąd wiesz? Ja jestem pewna, że od tamtej chwili nie jestem już tą, którą byłam, jedną z sióstr Bertoni, ale mieszanką nas dwóch. Nazwałam fundację jej imieniem, żeby oba nasze imiona były tak samo ważne.

— Ja uważam, że nie masz racji. W twojej głowie powstał ten pomysł i ty nadałaś mu kształt. Wszystko, co osiągnęłaś, jest więc twoją zasługą. Tak to powinnaś widzieć.

— Dlaczego? Jej też się należy przynajmniej trochę tych zasług.

Kate zamilkła. Simona najwidoczniej tak już wbiła sobie do głowy te fantastyczne mrzonki o swej wszechobecnej siostrze, iż żadna próba wyprowadzenia jej z błędu nie ma szans powodzenia.

— Idę do wody! — zawołała.

— Wzięłam dla ciebie kostium.

— Dziękuję, nie trzeba.

Jakoś nie miała ochoty pożyczać czegokolwiek od Simony, a poza tym nikogo tu przecież nie było. Szybko zrzuciła z siebie wszystko z wyjątkiem majtek i ostrożnie weszła do wody. Na dnie leżały ostre kamyki, które przy każdym kroku boleśnie wbijały się w stopy, więc gdy tylko woda sięgnęła jej do pasa, przykucnęła, pozwalając nieść się prądowi. Woda była zimna i rozkosznie orzeźwiająca. Kiedy zrobiło się głębiej, rażno dała nurka, a gdy wychyłała na powierzchnię, Simona była tuż obok.

— Trzymaj się tego brzegu! — zawołała. — Pod tamtymi drzewami prąd jest znacznie szybszy. Popłynemy w górę, tam, do zakrętu, a wrócimy sobie komfortowo; sama woda nas zniesie. — Płynąc

powolnymi ruchami pod prąd, który i tu był dość silny, podjęła przerwany wątek. — Pamiętasz Francescę, wiesz, jaką była idealistką. Ja nie. Mnie interesowali tylko chłopcy, rozrywki i modne ciuchy, chociaż było to dla mnie niedostępne. A może właśnie dlatego? Francesca była inna; ona pragnęła pomagać ludziom, dlatego pojechała do Florencji. Nie bała się ciężkiej pracy ani trudnych warunków.

Kate nie bardzo chciało się teraz rozmawiać, ale trochę ją zirytował ten wyidealizowany obraz Franceski.

— Mówisz tak, jakby była świetlanym wyjątkiem. Pamiętaj, że to samo zrobiły setki ludzi.

— Ale dla niej to było całkiem co innego niż dla osób takich jak ty. Znasz willę Beatrycze; ile widziałaś takich domów? Nasze dzieciństwo bardzo się różniło od wszystkiego, co sama pamiętasz. My nigdy nawet nie chodziłyśmy do szkoły. Nigdy nie musiałyśmy nic robić, bo nikt od nas tego nie wymagał. Nikt nas nie nauczył pracować, a co dopiero w takim błocie i brudzie, w tak prymitywnych warunkach. Nasi rodzice myśleli tylko o pieniądzach i zachowaniu pozorów, ale Francesca nie była do nich podobna. Och, ani trochę! Ona żyła ideałami!

No cóż, myślała Kate, tragiczna śmierć Franceski utrwaliła młodzieńcze uwielbienie Simony dla pięknej siostry. Gdyby nie zginęła w tym wypadku, Simona zobaczyłaby ją w końcu taką, jaka była, zamiast czcić ją teraz jak świętą. Teraz już tego kultu nikt chyba nie zdoła obalić.

— To też nic nadzwyczajnego — powiedziała jednak, prychając wodą. Ciężko było płynąć pod prąd, mimo to oddaliły się już kawałek od kamienistego spłachetka, gdzie zostawiły ubrania. — Każdy dwudziestolatek jest idealistą. To, że Francesca wychowała się w znacznie lepszych warunkach niż większość jej rówieśników, wcale nie oznacza, iż różniła się od nich tak bardzo, jak myślisz. — Dopłynęły właśnie do zakrętu, gdzie było tak płytko, że Kate nagle przeschorowała kolanami po żwirze, przykucnęła więc w wodzie i rzuciła ze zniecierpliwieniem: — Jeśli nasłuchiłaś się od niej opowieści o niezwykłym poświęceniu czy bohaterstwie, to wiedz, że naplotła ci bzdur. Bawiła się jak nigdy w życiu, tak samo zresztą jak wszyscy.

— Mówisz, że ta praca nie miała dla niej znaczenia? Że nie dbała o to, co robi? — oburzyła się Simona. — Nieprawda! To ty pleciesz bzdury! Dbała, i to jak! Wkładała w to całe swe serce. Nie była chciwa ani samolubna...

— Nie była też Matką Teresą, do licha! Pewnie, że pracowała z oddaniem, że obchodził ją dramat miasta, bawiła się jednak przy tym znakomicie. Wszyscy byliśmy tacy. — Widząc po minie Simony, że zamierza znów zaprotestować, Kate dodała szybko: — Jeśli rzeczywiście chcesz znać całą prawdę, to ci powiem, że twoja siostra drażniła nas często jak kolec w tyłku.

Simona głośno wciągnęła powietrze.

— A cóż to ma znaczyć? Niby czym was drażniła?

Kate zawahała się lekko. W żadnym razie nie chciała ujmować niczego Francesce, ale do licha, skoro ten pośmiertny kult siostry wpędził Simonę w tak głęboki kompleks niższości, warto chyba trochę urealnić te jej wzniosłe wspomnienia o zmarłej. Dobrze jej to robi.

— Och, czy ja wiem? — rzuciła ostrożnie. — Najczęściej były to drobiazgi. Po prostu trudno jej się było przystosować. I wszystko brała zbyt serio. Nie wiem dlaczego... Pewnie przez to swoje wychowanie.

— Jak możesz tak mówić! Byłaś przecież jej przyjaciółką!

— To prawda, i bardzo ją kochałam, ale widzisz, w prawdziwym świecie nawet najdrożsi przyjaciele nie są doskonali.

Simona popatrzyła na nią tak dziwnie, że Kate zrobiło się raptem nieswojo.

— Płyniemy z powrotem! — zawołała, rzucając się na głębinę. Simona poszła w jej ślady.

— Naprawdę ją kochałaś?

— No pewnie, do diabła!

Uciekając bezwiednie przed absurdalnymi pytaniami tej zwariowanej kobiety, sama nie wiedząc kiedy, znalazła się pośrodku rzeki, gdzie prąd, jak się okazało, był najsilniejszy.

— Uważaj! — krzyknęła Simona. — Nie odpływaj od tego brzegu!

— Och, tu jest świetnie! — odkrzyknęła Kate. Zrozumiała swój błąd, kiedy już było za późno: gdy zniemacka porwała ją woda i poniosła jak słomkę w dół rzeki. Na próżno usiłowała skrócić do brzegu, gdzie zostawiły ubrania.

— Kate! — krzyczała Simona. — Płyn do drugiego brzegu i złap się gałęzi! Popłynę za tobą!

Łatwo to powiedzieć! Zdradziecki prąd gnał tak szybko, że wszystko migało w oczach. Dosłownie w ostatniej chwili udało jej się dostrzec nisko wiszącą gałąź. Chwyliła się jej oburącz, omal nie wrywając sobie ramion.

— Teraz spróbuj podплыnąć do brzegu!

Zrobiła, co jej kazano, i po paru minutach, nadal trzymając się zbawczej gałęzi, znalazła się w ciemnej spokojniejszej wodzie, nad którą wznosiły się wiekowe drzewa. Było tu mroczno i chłodno. Simona tymczasem gładko pokonała niebezpieczny środek rzeki, bez trudu chwyciła się gałęzi — widać było, że ma w tym wprawę — i spokojnie wpłynęła pod drzewa.

— I co teraz? — spytała Kate, głośno szcękając zębami.

— Naprawdę ją kochałaś?

— Mówiłam ci przecież! — parsknęła Kate z rozdrażnieniem. Po szokującej przygodzie w rzece drżał w niej każdy nerw.

— Mimo że była jak kolec w tyłku? — rzuciła Simona z roziskrzonymi oczami.

— Och, i co z tego? Tacy są wszyscy moi przyjaciele. Powiedz mi raczej, jak się mamy dostać na tamten brzeg.

— Dobre to były czasy, tam we Florencji, prawda?

— Cudowne.

Simona przysunęła się bliżej. Z mokrymi, przylegającymi do głowy włosami i skórą błyszczącą od wody wydawała się gładka i lśniąca jak wydra, a jej wydłużone oczy nakrapiane plamkami sączącego się przez liście światła sprawiały wrażenie jeszcze dłuższych.

— Ty też tak myślisz, co, Kate? Też nigdy tego nie zapomnisz — powiedziała cicho. — Te kilka tygodni we Florencji to był najlepszy okres w moim życiu.

— Chciałaś chyba powiedzieć: w życiu Franceski — mechanicznie sprostowała Kate i nagle prawda objawiła jej się z taką siłą, że omal nie puściła ściskanej w rękę gałęzi. Przestała mówić. Mogła tylko patrzeć.

Ta twarz usiana plamkami światła... Czyja to twarz, tak podobna do twarzy Franceski, a jednak troszeczkę inna...? Kim jest ta kobieta? Wpatrywała się w nią z takim napięciem, że pole widzenia straciło ostrość. Jak przez mgłę zobaczyła, że rysy Simony zaczynają się z wolna rozplływać, a ich miejsce zajmują inne. Że patrzą na nią oczy Franceski, że to jej usta i jej tak znany, niepewny uśmiech. Ta twarz była starsza od tamtej sprzed lat, ale w taki sposób mogła się postarzyć jedynie Francesca.

— To były najlepsze tygodnie mojego życia — powtórzyła półgłosem.

Kate z szoku zdrętwiały ręce. Gałąź sama wysunęła jej się z dłoni, lecz gdy woda zaczęła nieść ją w stronę prądu, ktoś mocno chwycił ją za ramię.

— Uważaj, Kate! Tu naprawdę można się utopić! — Ten głos! To na pewno nie był głos Simony.

— Francesca? — wytchnęła Kate ochryłym szeptem, chwytając się znów gałęzi.

— Poznajesz mnie, prawda? Powiedz, że mnie poznajesz!

— Zielone oczy pociemniały z lęku. — Odezwij się, błagam! Powiedz tylko, że wiesz, kim jestem!

— O Jezu! — jęknęła Kate. Wciąż jeszcze nie mogła mówić.

— Proszę cię, Kate! — Francescę nagle zdławił szloch.

— Tak długo musiałam udawać, że chwilami zaczynałam już wątpić w swoje zdrowe zmysły... i w to, że jestem Francescą... Ale jeśli ty mi wierzysz... O, Kate, po prostu wymów moje imię! Powiedz, że mnie poznajesz!

Kate tak kurczowo ścisnęła gałąź, jakby ten twardy kawałek drewna był teraz jedyną rzeczą, na której można polegać. Wszystko inne tonęło w chaosie. Z najwyższym wysiłkiem starała się wrócić do rzeczywistości, w której żyła kilka minut temu — nic z tego. Tamten świat przestał istnieć, odpłynął gdzieś z prądem. A dokonała tego ta kobieta... Francesca... Nikt poza nią jedną nie mógł tak wyglądać i mówić.

— Och tak, Francesco, wiem, że to ty — szepnęła, szcękając zębami. — Mój, Boże, to niewiarygodne! Ale ja naprawdę ci wierzę! — dodała z pośpiechem, widząc przerażenie w zielonych, szeroko otwartych oczach. — Uspokój się, moja droga. Ja chyba w głębi duszy od początku wiedziałam, kim jesteś.

Co ja mówię? pomyślała. Czując, że aby przetrwać ten zamęt, musi skupić się na czymś znanym i zwyczajnym, spytała łamiącym się głosem:

— Czy teraz zechcesz mi powiedzieć, jak się mamy dostać do ubrań?

# ROZDZIAŁ 38

## NOWA WSPANIAŁA PRZYSZŁOŚĆ

W drodze z Bella Visty do pobliskiego miasteczka, gdzie znajdował się drugi interesujący obiekt — była to przebudowana szkoła — David i Mario zaczęli dochodzić do wniosku, że wbrew wcześniejszej niechęci doskonale się czują w swoim towarzystwie. Nie spieszyło im się do La Rokki, zatrzymali się więc na drinka na głównym placu miasteczka.

Siedząc w miłym cieniu przed kawiarnią, leniwie sączyli chłodne, orzeźwiające piwo. David z zainteresowaniem obserwował ludzi. Tu dwie stare damy w obszernych fartuchach na rozłożystych biodrach, obie z koszykami świeżutkiego chleba, zatrzymały się na pogawędkę, tam znów jakiś starszy mężczyzna w towarzystwie małego chłopca — pewnie wnuka — powoli kroczył chodnikiem, co chwila przystając, by wymienić z kimś parę uwag. Życie toczyło się tutaj tak dostojnie niespiesznym rytmem... Przybyszowi takiemu jak David, znającemu to życie jedynie z tych paru obrazków, wydawało się ono bogate i frapujące. I pewnie przynosi mnóstwo satysfakcji, pomyślał. Oczyma duszy widział już swą przyszłość w tym kraju; wyobrażał sobie, ile piękna potrafi stworzyć wśród starych murów i malowniczych, przeciętych tarasami ścieżek, jak to rankiem będzie wymieniał ukłony z właścicielami miejscowych sklepów, a potem jadł obiad w cieniu owocujących winorośli, jak to córki i przyjaciele nie będą się go mogli nachwalić za wspaniałą kuchnię i gościnność.

— Można tu sobie pożyć, i to cholernie dobrze — powiedział z przekonaniem, pociągając tęgi łyk piwa.

Mario, zmrużywszy oczy, rozejrzał się szybko się po placu, najwidoczniej chcąc sprawdzić, co pobudziło go do tej refleksji.

— Masz rację — stwierdził. — Prawdę mówiąc, bardzo ci zazdroszczę.

— Czego?

— Tego, że masz szansę zacząć od początku. Innym w tym wieku pozostaje już tylko emerytura i starość.

— Ty chyba byś nie chciał zaczynać życia gdzie indziej? Gdzie miałbyś lepiej niż tutaj?

Mario zadumał się nad tym i po chwili odrzekł z uśmiechem:

— Jest takie miejsce. Gdybym mógł sobie wybrać, co chcę, przeprowadziłbym się do Kanady.

— Zwariowałeś? Chyba żartujesz. Ty wiesz, jaki tam jest klimat? I czym, u licha, Kanada przewyższa Włochy?

— Tym, że mógłbym tam zacząć wszystko od początku.

— Ale przecież... — Davidowi na chwilę zabrakło słów.

— Myślisz, że Kate też by tu chciała zamieszkać? — zagadnął go Mario.

— Musielibyśmy ją spytać.

— Racja. Nie ma sensu zgadywać, czego chce kobieta. Wiesz, znam jeszcze jedną posiadłość, która mogłaby ci się spodobać, ale to dosyć daleko. Jeśli jednak się zdecydujesz, chętnie cię tam zawiozę. Moglibyśmy tam też zjeść lunch.

— Sam nie wiem... Obiecaliśmy wrócić przed południem... — David miał i tak już wyrzuty sumienia, że zostawił Kate samą, choć przecież doskonale wiedział, jak bardzo się tego bała. Zrobił to, bo był wściekły z powodu tej awantury, ale teraz coraz bardziej doskwierała mu świadomość, że i sam nie był bez winy. Niepotrzebnie przeholował z piciem; zawsze wtedy chlapanął coś takiego, czego później ciężko żałował.

— Wrócimy na trzecią — uspokajał go Mario. — Zdażycie dojechać do Florencji jeszcze przed kolacją.

— No dobra! — zgodził się David, mówiąc sobie, że przecież nic złego się przez to nie stanie, a ta wycieczka jest ogromnie interesująca. Zaczynał już myśleć, że naprawdę mógłby się tutaj osiedlić.

— Wiesz, czego ci jeszcze zazdrościć? — podjął Mario w drodze do samochodu. — Tego, że masz Kate. Nieczęsto los daje nam drugą szansę.

— O tak, Kate to naprawdę wyjątkowa kobieta. Mam nadzieję, że tym razem nie spaskudzę sprawy. No a jak jest z tobą i Simoną? — Zawsze był ciekaw, w jaki sposób ludziom udaje się z sobą współżyć pomimo dzielących ich różnic, a stosunki tych dwojga wydawały się tak bliskie, zadziwiająco wprost bliskie, zważywszy że przecież niezbyt się z sobą zgadzali... Ale nawet ich konflikty przypominały kłótnie starego małżeństwa.

— My... hm... trudno to wyjaśnić. Byłem żonaty z kim innym... ale Simona zawsze odgrywała w moim życiu najważniejszą rolę... — powiedział z wahaniem Mario. Rozmowa na ten temat nie mieściła się w granicach zwykłej znajomości. Zbyt intymne były to sprawy, aby o nich dyskutować. Nigdy dotąd tego nie robił.

— Simona nie odwzajemnia twych uczuć?

Mario przystanął z ręką na dachu swego samochodu.

— Wiele lat temu wyrządziłem jej krzywdę — powiedział cicho. — Z jej punktu widzenia popełniłem zdradę. Sprawa ta związała nas z sobą, i to do tego stopnia, że żadne z nas nigdy nie czuło się wolne, cóż, kiedy jednocześnie wyrósł między nami mur, który do dziś nas dzieli.

David przekonany, że chodzi o zwykłą niewierność, skwitował to lekkim tonem:

— No cóż, nikt z nas nie jest doskonały. W końcu nawet ona to zrozumie i zapomni o swoich urazach. — W głębi duszy mocno w to wątpił, uważał bowiem Simonę za osobę nerwowo chorą i nie mógł się wprost nadziwić, że jego towarzysz zdołał z nią wytrzymać taki kawał czasu.

— Patrz, twoje drzwi nie były zamknięte — zauważył tymczasem Mario, wsiadając do samochodu — ale jak widzisz, nic nie zginęło. Brak przestępstw to jeszcze jedna zaleta życia w tych małych miasteczkach. — Usadowiwszy się za kierownicą, wsunął kluczyk do stacyjki i spytał niedbałym tonem:

— Ale skoro Kate nie zna twoich planów, to co właściwie skłoniło ją do przyjazdu?

— Nie mówiła ci o tym? Simona przysłała jej do renowacji dwa swoje obrazy — odrzekł bez zastanowienia David.

— Zrobił to właściwie któryś z florenckich marszandów, więc Kate z początku nie miała pojęcia, czyją są własnością, okazało się jednak, że każdy z nich zawiera zaszyfrowaną wiadomość. Na swój sposób dowcipną, choć można też powiedzieć, że dosyć pokrętną, zależy, jak na to patrzeć. Na podstawie tego, co zostało domalowane, Kate zorientowała się w końcu, kto nadesłał jej te obrazy, i postanowiła się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi — zaśmiał się David i w tej samej chwili ogarnął go lekki niepokój: przypomniał sobie, że Kate zabroniła mu mówić o tym komukolwiek. Och, ale przecież ten zakaz nie mógł dotyczyć Maria!

— No i cóż to była za wiadomość?

Coś w tonie Maria ostrzegło Davida przed dalszymi niedyskrecjami.

— Och, nie pamiętam już teraz szczegółów. Nie sądzę zresztą, żeby miały jakieś znaczenie.

Mario zerknął nagle na zegarek.

— Strasznie cię przepraszam! — zawołał. — Na śmierć zapomniałem o swoich zobowiązaniach! Mój młodszy kolega ma dzwonić do mnie o pierwszej w sprawie wypisu pewnego pacjenta. To bardzo ważne. Musimy natychmiast wracać do La Rokki!

## ROZDZIAŁ 39

### NAD RZEKĄ

— Dlaczego? — spytała Kate, kiedy dotarły do miejsca, gdzie zostawiły ubrania. — I co się stało z Simoną?

— To ona wtedy zginęła — odrzekła cicho Francesca. Pomogła Kate wyleźć z wody, a potem podała jej ręcznik. Teraz gdy nareszcie powiedziała prawdę, chciała jak najszybciej wyrzucić z siebie swoją historię, wykrzyzczyć ją całemu światu, a gdyby to było możliwe, wypisać nawet na niebie, widziała jednak, że Kate jest wciąż jeszcze mocno oszołomiona tym, co usłyszała, powinna więc pozwolić swej cennej słuchaczce, swojej „linie ratunkowej”, choć trochę otrząsnąć się z szoku.

— Ale po co to udawanie? — Kate narzuciła na siebie ręcznik i usiadła na brzegu ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt za rzeką. Trzęsła się cała z zimna i emocji.

— Oczywiście z powodu spadku po stryju. Okazało się, że wszystko zapisał Simonie. Na mnie postawił krzyżyk, odkąd wyjechałam do Florencji. Swoją drogą wyjątkowy był z niego dziwak: nie miał mi za złe, że go oblałam wrzątkiem, a dostał szafu, gdy postanowiłam żyć na własną rękę. Ach, mniejsza o to. Ustanowił Simonę swą jedyną spadkobierczynią, z klauzulą, że gdyby coś jej się stało, cały majątek ma przejść na mego kuzyna Daria. Simona nie żyła, więc to on był jedynym spadkobiercą, ale moja matka nie chciała się z tym pogodzić. Jak więc widzisz, nasza sławetna fundacja zbudowana została na oszustwie.

Oszustwie wielkiego kalibru. Pocieszam się tylko myślą, że robię z tych pieniędzy znacznie lepszy użytek, niż zrobiłby Dario. Nakłoniłam rodziców, by na jego dwudzieste pierwsze urodziny przekazali mu część stryjowskiej fortuny. Był to mały Rubens — dodała z uśmiechem — a on całą gotówkę zdążył przepuścić w ciągu pięciu lat. Głównie na prochy. Od tej pory opłacam mu pobyt w ośrodku dla narkomanów.

— Ale przecież twój stryj musiał wiedzieć, która z was nie żyje...

— Nie wiem, czy on w ogóle coś wtedy rozumiał. Dostał wylewu krwi do mózgu, kiedy moja matka powiedziała mu o wypadku. Aż trudno uwierzyć, że tak się tym przejął. Musiał mimo wszystko mieć serce ten stary łajdak... Żył jeszcze kilka tygodni, nie odzyskał już jednak przytomności.

— To niesamowite... — Kate z niedowierzaniem pokręciła głową. — Jak wam się udało wmówić ludziom, że jesteś Simoną?

— Łatwiej, niż myślisz. Ludzie widzą to, co chcą widzieć, albo to, za co im się płaci. Ty patrzyłaś na mnie przez dwa dni ico?

— Ale ja nie widziałam cię od lat.

Jak mam ci to wyjaśnić? myślała Francesca. Od czego zacząć? Wprost desperacko zależało jej na tym, aby Kate dobrze zrozumiała całe jej postępowanie i reakcje, ale wszystko to było tak skomplikowane!

— Spróbuj sobie wyobrazić, jaki był ten pierwszy tydzień, który ty spędziłaś w szpitalu. Wszyscy nasi znajomi byli kompletnie oszołomieni strasznym nieszczęściem, które spadło na naszą rodzinę: śmiertelny wypadek i do tego jeszcze udar stryja. I wszystko to w jednym dniu. W takiej sytuacji ludzie starają się pomóc zrozpaczonej rodzinie, więc gdy moi rodzice poprosili, aby im nie składać kondolencji i nie brać udziału w pogrzebie, nikt nie miał im tego za złe ani się temu nie dziwił. Myślę nawet, że większość przyjęła to z dużą ulgą. Tak wielkie tragedie przerażają ludzi. Musisz też wiedzieć, że moi rodzice nie mieli prawdziwych przyjaciół, a i nam nie pozwalali zawierać bliższych znajomości. Jako dziecko i nastolatka wciąż nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak postępują. Teraz już wiem. Ludzie, którzy mają coś do ukrycia, odcinają się od otoczenia. Naszą tajemnicą było ubóstwo i długi ukryte za złotą fasadą bogactwa, oczywiście kompletnie fałszywą. Wiesz, jak wyglądało życie w naszym domu? Zawsze była to fiesta albo głodówka, zależnie od tego, czy stryj miał ochotę popłacić rachunki, czy nie. Dlatego zamiast chodzić do szkoły, miałyśmy coraz to innych prywatnych nauczycieli, przeważnie całkiem nieprzydatnych, nie miałyśmy natomiast żadnych koleżanek. Niewiele osób nas znało, a ja w dodatku ostatnie trzy lata spędziłam w Ameryce, nikt więc od dawna nie widział nas razem, to znaczy mnie i Simony. Wyjątkiem byłaś ty i nasza grupa.

— To dlatego zabroniono nam iść na pogrzeb.

— Z pewnością. — Francesca na chwilę zamilkła. — Ja byłam na swoim pogrzebie — podjęła cicho. — Wyobrażasz sobie, jak się czułam, patrząc na tych płaczących ludzi, bo trochę ich jednak przyszło, i na tę ukwieconą trumnę? Miałam na twarzy gęsty czarny welon, spod którego prawie mnie nie było widać. Ja też widziałam wszystko jak przez mgłę i chyba mi to zostało. Całymi latami miałam później wrażenie, że patrzę na świat przez ten welon.



— Och, moja droga... Decydując się jednak na tę grę, podjęłaś spore ryzyko... Byłaś pewna, że ci się to uda? — Kate po raz pierwszy, odkąd wyszły z wody, popatrzyła w oczy przyjaciółce.

Widząc wyraz jej twarzy, Francesca uświadomiła sobie nagle, że zupełnie pominęła najważniejszy element sprawy.

— Och, Kate, ja wcale nie chciałam być Simoną! — zawołała. — Pamiętasz chyba, że nigdy nie dbałam o pieniądze!

— Więc czemu się na to zgodziłaś?

— Bo nie miałam innego wyjścia! Gdy Simona zginęła... i to tak potworną śmiercią... coś się ze mną stało. Straciłam poczucie rzeczywistości... Wciąż widziałam tylko ten wypadek: ciebie z głową całą we krwi... wyglądałaś jak martwa... i głowę Simony... — Francesca urwała. Serce biło jej jak oszalałe, w ustach czuła smak octu.

— Już dobrze, Francesco, nie myśl o tym — Kate uspokajającym gestem położyła jej dłoń na ramieniu. — To już minęło.

— Nie, Kate, to nigdy nie minie. Wciąż mnie nawiedza ten obraz, wciąż się zastanawiam, co powinnam była zrobić, żeby się tak nie stało. Żeby ocalić Simonę... — Znow na chwilę zamilkła. — Cóż, pewnie nie mogłam zapobiec jej śmierci, ale ludzie radzą sobie jakoś z tragediami, nawet najstraszniejszymi, i w końcu zapominają, a ja... Mój koszmar się nie skończył, bo przestałam panować nad własnym życiem, przestałam nawet być sobą. Gdybym wtedy miała odwagę przeciwstawić się matce...

— Nie powinnaś się za to winić. Po takich przeżyciach trudno się nie załamać.

— Wiem, ludzie często tym się usprawiedliwiają, ale mój Boże, mogłam być trochę silniejsza. Do dzisiaj się tego wstydzę, prawda jest jednak taka, że poczułam ogromną ulgę, gdy mi zaaplikowano środki uspokajające. Kiedy się ocknęłam, wydawało mi się, że miałam po prostu zły sen. Nic się nie stało, wszystko jest jak dawniej. Oczywiście wcale tak nie było. Powiedziano mi, że Simona nie żyje, ty wyjechałaś do Anglii, a mnie Mario zabiera do Ameryki, gdzie mam powracać do zdrowia. Byłam tak strasznie otumaniona! Teraz wiem, że to przez te środki, którymi mnie faszrowano; lekarze bez umiaru szafowali wtedy tym draństwem. Dlatego nie umiałam jasno myśleć. W tym stanie, nie pamiętam nawet kiedy, podpisałam podobno jakieś dokumenty, które jak mi powiedziano, powinna była podpisać Simona, ale zapomniała czy gdzieś się zawieruszyły. Podobno trzeba to było zrobić „dla porządku”. Wyobrażasz sobie, jak cholernie byłam bezwolna? Istne zombie. Dopiero gdy znaleźliśmy się na Florydzie i nagle zobaczyłam, że mam „niewłaściwy” paszport, Mario mi powiedział, co zrobili.

— Mario też brał w tym udział?

— Och tak, od samego początku.

— Dlaczego?

— Do dziś powtarza, że dla mego dobra, i to właśnie jest najstraszniejsze! Pomyśl, Kate! Wyrządzono mi okropną krzywdę, a on uważa, że powinnam mu być za to wdzięczna! Bo mam pieniądze, bez których jego zdaniem bym zginęła. A to, że straciłam imię? Wielkie rzeczy! Z tą forszą, którą odziedzi-

czyłam po stryju, mogę być przecież, kim zechcę! Imię to rzecz bez znaczenia. Powiedział, że zrobił to wszystko także dla moich rodziców, którzy bez tych pieniędzy niechybnie poszliby na dno. I wiesz, on chyba w to wierzy.

— Dlatego chciałaś go zabić?

— Tak, w tym ohydny hotelu. Boże, jak ja nienawidziłam tego hotelu i tej cholernej Florydy! Nie wiem, czy naprawdę chciałam zabić Maria. Bardziej chyba chodziło mi o to, żeby cierpiał, przynajmniej fizycznie, skoro nie może pojąć, jak ja przez niego cierpię. On zupełnie nie rozumiał, co to znaczy przez całe życie udawać kogoś innego i jaką trzeba za to płacić cenę. Gdyby choć raz powiedział, że mi współczuje, że wie, jakie to straszne, ale on sobie z tego żartował. „Czymże jest imię?” zaczynał mi recytować. „Róża nie straci swojej słodkiej woni...” To nieprawda, uwierz mi, Kate. Imię może być czasem naszym jedynym dobrem. Ale on tego nie rozumiał. I nie zrozumie.

— Mój Boże, musiałaś go naprawdę nienawidzić!

— Nienawidzić? — Oczy Franceski wypełniły się łzami. — O, Kate, gdybyż to było tak proste! Mario to przecież jedyny mężczyzna, którego w życiu kochałam. Myślę, że i on mnie kochał, ale przez to wszystko utknęliśmy w martwym punkcie. Nie mogliśmy ani się rozstać, ani żyć ze sobą... bo była to tylko udreka. Obustronna.

— Jak ci się udało z tego wyrwać?

— Właściwie nigdy mi się nie udało. Ale potem on wrócił do Włoch, a ja postanowiłam zostać za granicą, co zresztą odpowiadało i jemu, i mojej matce. Rozpuszczali tu jakieś niesamowite plotki o stukniętej dziedzicze szalejącej gdzieś za granicą. Dowiedziałam się o tym dopiero po powrocie. Majątkiem zarządzali rodzice. Przysyłali mi pieniądze, a ja podróżowałam. Raz nawet wyszłam za mąż. W Nowym Meksyku. Mój mąż był najmilszym, najczulszym mężczyzną, jakiego można sobie wyobrazić. Nazywał się Paul Denver. Był zwyczajnym facetem, a ja próbowałam być jego zwyczajną żoną, zwykłą Fran Denver. Powiedziałam mu, że zawsze mówiono mi „Fran”, choć mam na imię Simona. Żyliśmy z sobą pół roku. Byłam z nim prawie szczęśliwa, ale po pewnym czasie zaczął mi zadawać coraz więcej pytań; chciał poznać moją rodzinę i tak dalej. Nie mogłam powiedzieć mu prawdy, więc pewnego dnia wyjechałam i zaczęłam znów podróżować. — Umilkła na długą chwilę, nie bardzo umiając wytłumaczyć Kate, jakie były te puste lata, gdy „Francesca” nie istniała, a imię „Simona” brzmiało dla niej jak wyrok śmierci, jak to tylko czasami, pod przybranym imieniem, mogła poczuć się sobą.

W końcu spojrzawszy z ukosa na Kate, rzekła krótko:

— Wiesz, przybierałam różne tożsamości, po prostu żeby się przekonać, jak się będę czuła. Parę razy nawet udawałam ciebie.

— Mnie? — zdumiała się Kate.

— Gdybyś przejrzała kronikę jednego z aszramów w Punie, przekonałabyś się, że niejaka Kate Holland złożyła tam kilka wizyt.

— Z jakiego powodu wybrałaś moją tożsamość?

— Bo zawsze byłaś tak pewna siebie! Zarówno tego, kim jesteś, jak i swego miejsca w świecie. Podczas tej swojej włóczęgi nieustannie sobie powtarzałam: Kate nigdy by się nie znalazła w takim położeniu jak ja. Ona by nie pozwoliła, by ktokolwiek narzucał jej fałszywe role. Jej by nikt nie zniszczył życia. Ja często miałam wrażenie, że się rozpływam i znikam, a ty... ty zawsze byłaś... solidna, zawsze mocno stąpałaś po ziemi. Taką przynajmniej cię zapamiętałam.

— Kiedy widziałas mnie ostatnim razem, chciałam wyjechać z Mariem. Nie znenawidziłaś mnie za to?

— Nie. Ja ci zazdrościłam. Twojej odwagi i zdecydowania. Żałowałam, że sama nie mam ich tyle, żeby wziąć sobie to, co chcę, i nie zważając na nic, wyrwać się na wolność. Ty to umiałaś, a ja? Ja nie potrafiłam nawet zachować swego imienia.

— Mój Boże, jakież to straszne. Mówię o tym, co przeżyłaś.

— Tak — potwierdziła Francesca, teraz jednak czuła, że nareszcie ogarnia ją spokój. Właśnie tego pragnęła przez wszystkie złe lata. Nie współczucia ani litości. Chciała tylko, żeby ktoś ją rozpoznał i po prostu zrozumiał. Czy były to wygórowane żądania? Chyba nie, a jednak minęło pół życia, nim los pozwolił je spełnić. Siedząc teraz półnago nad rzeką, czuła cichą radość: zaczynała jej świtać nadzieja, że może mimo wszystko jej życie nabierze jeszcze sensu.

— Wciąż czegoś nie rozumiem — odezwała się Kate — jeśli uważałaś, że mogę ci pomóc, czemu nie odnalazłaś mnie wcześniej? Dlaczego czekałaś tak długo?

— Byłaś jedyną osobą, do której nie mogłam się zwrócić.

— Daj spokój, dlaczego? Wiesz, że zrobiłabym dla ciebie wszystko. I powiedz mi jeszcze jedno: skoro było ci tak ciężko udawać Simonę... nie mogłaś powiedzieć prawdy?

— Mój Boże, myślisz, że nie chciałam? Marzyłam o tym! Tysiące razy wyobrażałam sobie ten moment, ale Mario ma chyba jakiś szósty zmysł; wyczuwał, co zamierzam zrobić, i zawsze potrafił mi wyperswadować to moje, jak mówił, szaleństwo. Wybuchnie straszny skandal, mówił — to akurat najmniej mnie wzruszało — zostaniemy oskarżeni o oszustwo, a moi rodzice pójdą do więzienia. I tu niestety miał rację. Wciąż mi powtarzał, że dość się już nacierpieli z powodu śmierci Simony, jak więc mam sumienie skazywać ich na coś takiego.

— To była ich wina, nie twoja. Nie miałaś obowiązku płacić za ich błędy.

— Wiem, Kate, ale łatwo to mówić, gdy się stoi z boku. Inaczej to wygląda, kiedy siedzisz w środku i sprawa dotyczy twoich rodziców. Z mego punktu widzenia zniszczyli mi życie, sami jednak byli przekonani, że zrobili wszystko co w ich mocy, aby mnie uszczęśliwić. Czyż nie zapewnili mi bogactwa? W ich pojęciu to przecież podstawowy warunek szczęścia! Nie, nie jest łatwo posłać do więzienia własnych rodziców. Mimo to poszłam kiedyś do naszego rodzinnego adwokata, aby się go poradzić, cóż, kiedy Mario odwiedził go już wcześniej.

— Myślisz, że ten prawnik też brał udział w spisku? Że był przekupiony?

— Nie. Urobiono go bardziej subtelną metodą. Już ci wspominałam, co moja matka opowiadała znajomym: że jestem niezrównowazona psychicznie, o czym miał świadczyć mój zamach na Maria, a przedtem na stryja, i to, że spędziłam kilka lat w klinice psychiatrycznej. Mario zresztą zrobił to samo wczoraj w restauracji, pamiętasz? Ludziom coś takiego wystarczy, by zaczęli cię uważać za wariatkę. Tak też potraktował mnie ten prawnik. Z innymi byłoby tak samo. Gdybym powiedziała publicznie, kim jestem, komu by dano wiarę: szalonej dziedziczce, która opowiada niestworzone rzeczy, czy jej szacownym rodzicom i wybitnemu psychiatrze?

— Ja wierzę tobie, Francesco — powiedziała Kate. Francesca zamilkła. „Ja wierzę tobie, Francesco.” Te słowa były jak balsam, jak uroczysty dźwięk dzwonów niosący dobrą nowinę.

— Dziękuję ci, Kate — wyszeptała.

— Francesco... — powtórzyła z uśmiechem Kate, a ona poczuła, że powraca do niej to imię, że jej dusza i serce biorą je znów w posiadanie. Pragnęła nasycić się tym uczuciem, pozostało jednak jeszcze tyle do powiedzenia. Tyle kłamstw. Trzeba było wyrzucić je z siebie do końca.

— Wiesz, co jest najgorsze, gdy się żyje w kłamstwie? To, że jeśli chcesz omamić innych, musisz uwierzyć w nie sama. Gdy zaświtał mi pomysł fundacji, postanowiłam tu wrócić. Wydawało mi się, że jeśli z tych okropności wyniknie coś dobrego, będzie mi trochę lżej. Nie zdawałam sobie sprawy z innych skutków mojej decyzji, a były one takie, że aby osiągnąć to, co osiągnęłam, musiałam zapomnieć o Francesce i stać się Simoną. Zgodzić się na to. To właśnie ciągle powtarzał mi Mario.

— Musiało ci być ciężko.

— Było, i to bardzo.

— Dlaczego akurat teraz zdecydowałaś się wyjawić prawdę? — spytała po chwili Kate. — Co się zmieniło?

— Spytaj raczej, co się nie zmieniło, bo to jest jeden z powodów mojej dzisiejszej decyzji. Mimo wszelkich wysiłków wciąż nie mogłam pozbyć się uczucia, że jestem oszustką. Pamiętasz tę opowieść o nowych szatach cesarza? Wciąż prześladowała mnie myśl, że prędzej czy później ktoś mnie zdemaskuje. Ile razy stawałam na podium, tak jak wczoraj, zawsze ogarniał mnie lęk, że za chwilę ktoś z widowni krzyknie: „Wiedziecie, kim jest ta kobieta?” Nawet odbierając telefon, spodziewałam się podświadomie, że ktoś z tamtej strony spyta o Francescę. I wiesz, od wielu lat mam na tym tle koszmary. Jeden z nich jest taki: stoję przed lustrem z nożem w ręku i zadaję nim ciosy swojemu odbiciu, ale to nie jest szkło, tylko czyjeś ciało, z którego tryska prawdziwa krew. Miły sen, nie ma co! No ale jakoś to wytrzymałam, dopóki żył ojciec. Gdy umarł, posłałam ci pierwszy obraz.

— „Prawda jest córką czasu”?

— Tak. Właściwie nie wiedziałam, czego od ciebie chcę. Chyba nawiązać kontakt i zobaczyć, co z tego wyniknie. Bo coś musiało wyniknąć. Od początku wiedziałam, że nie zdołam do śmierci żyć w kłamstwie, jednakże póki żył ojciec, chciałam go chronić, oszczędzić mu sądu i hańby. Czasami wydawał mi się taką samą ofiarą intryg mojej matki jak ja. Kiedy umarł, ten argument odpadł. Matka... Sama wi-

działaś, co się z nią stało. Jest w takim stanie, że nikt przecież nie postawi jej przed sądem, a gdyby nawet, żaden sędzia jej już nie skaze.

— Nie myślałaś o sobie?

— Myślałam. Wiesz, ojciec nawet na łożu śmierci nie przestał nazywać mnie Simoną. Przeraziła mnie wtedy myśl, że ja także mogę wkrótce umrzeć i nikt tym razem nie będzie oplakiwał mnie, tylko kogoś, kto nigdy nie istniał. Trudno jest żyć w kłamstwie, ale jeszcze trudniej w nim umierać. Możesz sobie wyobrazić, jak byś się czuła w takiej sytuacji?

— Nie, nie potrafię — uśmiechnęła się Kate, choć nie było w tym wesołości. — Widocznie zbyt mocno stąпам po ziemi.

Francesca podniosła się z miejsca i stojąc na brzegu rzeki, rozłożyła ramiona, jakby chciała objąć cały świat.

— Tak długo wyobrażałam sobie, jak to będzie poczuć się znów Francescą! — zawołała. — I nareszcie nadszedł ten moment. Koniec z udawaniem!

— No i jak się teraz czujesz?

— Lepiej, niż sobie wyobrażałam! — Schyliła się i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

— Rozumiem, że musiałaś się komuś zwierzyć, ale dlaczego wybrałaś akurat mnie? — spytała Kate już w drodze do samochodu.

— Masz coś przeciwko temu?

— Nie, bardzo mi to pochlebia, ale...

— Ale uważasz, że to dziwne? — w głosie Franceski słychać było niepokój.

— Chyba tak.

— No cóż... Osoba, którą wybrałam, chyba nie była prawdziwą tobą. Widzisz, ja przez te lata stworzyłam sobie wyimaginowany obraz Kate Holland. Ta Kate to coś pośredniego między tobą a taką matką, jakiej zawsze pragnęłam: idealną przyjaciółką i powiernicą. Dlatego dopiero po dwóch dniach zdecydowałam się wyznać ci prawdę. Aby zaufać prawdziwej Kate, musiałam ją lepiej poznać.

— Ale dlaczego wybrałaś mnie? Masz przecież innych znajomych.

Weszły akurat w kępę zarośli. Francesca wysunęła się naprzód i zaczęła energicznie przedzierać się przez gałęzie. Dopiero gdy obie wyłoniły się z krzaków, odrzekła:

— Bo jesteś jedynym ogniwem łączącym mnie z osobą, którą zaczynałam być we Florencji, tą, którą mogłabym się stać, gdybym tam wróciła tego dnia, kiedy zginęła Simona. Znasz ten poemat o dwóch ścieżkach?

— Roberta Frosta? Oczywiście. „Leśna ścieżka miała dwie odnogi, a ja...”

— „Wybrałem tę rzadziej wędrowaną”. Ja też musiałam ją wybrać. Ufam, że Pan Bóg nikomu już więcej nie każe wędrować tą ścieżką. Kiedy byłam z wami we Florencji, zobaczyłam przed sobą drogę, którą zapragnęłam iść do końca życia. Cieszyłam się, że wreszcie znalazłam sposób, aby nie stać się taką

istotą, w jaką chcieli mnie zmienić rodzice. Po śmierci Simony wszystko się skończyło. Straciłam swoją szansę. Odebrano mi nawet imię.

Dotarły już do samochodu, wsiadły więc do środka, rzucając za siebie mokre ręczniki.

— I co dalej? Co teraz zrobisz? — spytała Kate.

— To zależy od wielu rzeczy — niepewnie odrzekła Francesca. Ogarnął ją nagle strach. — Ale ty mi pomożesz, prawda, Kate?

— Oczywiście, że ci pomogę.

— To dobrze... — Francesca westchnęła z ulgą. — Muszę najpierw wyjechać na parę dni, tam gdzie nie znajdzie mnie Mario, i ułożyć sobie jakiś plan.

— Boisz się Maria?

— Będzie robił wszystko, żeby mnie powstrzymać, no i nic dziwnego. Jeśli ujawnię prawdę, straci cały swój dorobek, pozycję, reputację, pieniądze, może nawet skończyć w więzieniu.

— Tobie też to grozi. Władze mogą nie uwierzyć, że nie wiedziałaś, co to były za papiery, które podpisałaś po śmierci Simony. Nie boisz się tego?

Francesca omal się nie roześmiała.

— Miałam mnóstwo czasu, żeby to przemyśleć, i wiesz, co ci powiem? Żadne więzienie nie może być gorsze od tych przeklętych kłamstw, w które mnie uwikłano. To dopiero była pułapka!

— Jesteś pewna, że warto podejmować takie ryzyko? Stawka jest wysoka.

— Muszę to zrobić, Kate. Chyba mnie rozumiesz?

— Chyba tak.

Powiedziałaś to niezbyt pewnie, pomyślała Francesca. Widocznie nawet ktoś tak prostoliniorny jak Kate nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego tak bardzo zależy mi na tym, żeby tę resztę życia, która jeszcze mi pozostała, przeżyć jako Francesca Bertoni. Kate po prostu nie potrafi sobie wyobrazić, co to znaczy żyć w kłamstwie, nie budzi się zrana z potem... Przyszedł jej na myśl ten drugi uparcie nawiedzający ją sen. Jest w jakimś domu łączącym w sobie atmosferę willi Beatrycze i La Rokki.

Na twarzy ma piękną maskę, podobną do twarzy Oszustwa, alegorycznej postaci z pierwszego obrazu wysłanego Kate. Nadchodzi moment zdjęcia masek i nagle się okazuje, że to niemożliwe, bo maska przylgnęła do skóry, a może to ciało przyrosło do maski... Dreszcz przeszedł ją na to wspomnienie. Później pomówi o tym z Kate. Na razie wystarczy, że Kate jej wierzy, że zobowiązała się pomóc.

— Musimy być bardzo ostrożne, żeby Mario się niczego nie domyślił — powiedziała, zawracając wóz w stronę La Rokki. — Bo jeśli się dowie... Bóg raczy wiedzieć, co zrobi, żeby ratować skórę.

# ROZDZIAŁ 40

## ANALIZA I WNIOSKI

Zbierało się na burzę. Białe, rozsiane po niebie obłoki co chwila przesłaniały słońce, mimo to wciąż panował dokuczliwy upał. Mario, zajęty tylko jedną myślą, pędził w milczeniu po krętej drodze, nie zwracając uwagi na swojego pasażera. Zdażyć! huczało mu w głowie. Wrócić do La Rokki, nim będzie za późno!

Przy Torrens Heights 89 w Montrealu czekało na niego mieszkanie kupione kilka lat temu. Od początku zdawał sobie sprawę, że póki rodzicom Simony, jak nazywał ją nawet w myślach, może grozić proces o oszustwo, ona będzie milczeć, lecz po śmierci Filippa sytuacja zmieniła się na tyle, że w obawie o swe bezpieczeństwo ułożył sobie bardzo precyzyjny plan ucieczki, plan, który w każdej chwili można było wcielić w życie.

W Kanadzie doktor Mario Bassano przestanie istnieć. Mieszkanie, którego nawet jeszcze nie oglądał, zostało nabyte na nazwisko doktora Guida Neroniego, właściciela kilku okazałych kont finansowych w różnych krajowych bankach. Liczył, że zgromadzone na nich fundusze wystarczą mu w zupełności na wygodne życie do czasu, aż będzie mógł bez obawy sięgnąć po swoje zasoby zdeponowane w Szwajcarii. Udokumentowanie nowej tożsamości kosztowało go sporo zachodu, teraz jednak wszystkie niezbędne papiery, łącznie z *curriculum vitae* pewnego młodego lekarza, który zginął tragicznie w wypadku, miał już u siebie w szufladzie.

Całe to przedsięwzięcie wymagało też mnóstwa pieniędzy. Konstruując przed laty swój plan, Mario przekonał się szybko, że daleko nie zajdzie, dysponując jedynie swoją całkiem przyzwoitą pensją. Potrzebny mu był kapitał. Rozwiązać ten problem pomógł mu niejaki Luigi Rinaldi, mediolański dealer dzieł sztuki, który nie przejmował się zbytnio pochodzeniem obrazów sprzedawanych w jego galerii. Do niego to właśnie zwrócił się Mario z prośbą o wycenę niektórych obrazów Simony, gdy potrzebna jej była gotówka na pokrycie kosztów fundacji. Signor Rinaldi sumiennie wywiązał się z tego zadania — nie licząc kilku wyjątków. Wartość sześciu obrazów została poważnie zaniżona. Dla dwóch spośród tej szóstki zorganizował następnie prywatną aukcję. Klienci zapłacili za nie żadaną cenę — tyle ile były warte — a dwaj pomysłodawcy podzielili się różnicą. Simona rzecz jasna nie miała o tym pojęcia. Tę doskonałą sztuczkę powtórzono znów po trzech latach z dwoma kolejnymi obrazami.

Fatalnie się stało, że Simona, uważając dwa ostatnie za niezbyt cenne, wpadła na pomysł posłużenia się nimi do nawiązania kontaktu z Kate Holland. Wizyta Kate mocno zaniepokoiła Maria: czyżby nadeszła już pora ucieczki?

W ostatnich miesiącach często łapał się na tym, że chętnie by już został doktorem Neronim; jego życie tutaj wymagało tylu kompromisów z sumieniem, że były chwile, gdy osoba doktora Bassano zaczynała w nim budzić odrazę. Obiecywał sobie, że w swym nowym wcieleniu nie popełni już starych błędów.

Być może ograniczy działalność wyłącznie do praktyki prywatnej. Ani przez chwilę nie wątpił, że w nowym kraju potrafi sobie wyrobić równie dobrą markę jak tutaj: jest przecież świetnym specjalistą, a pacjenci cenią go i lubią. Miał nawet w zanadru projekt szkoły technik terapeutycznych, które opracował i sprawdził w ciągu wielu lat praktyki. Mógłby ją otworzyć choćby jutro. Ale nie tutaj. Chciał to zrobić z czystą kartoteką.

Dawno już obmyślił całą strategię: jeśli Simona postanowi zniszczyć to wszystko, co razem osiągnęli, on zniknie z kraju — szybko i bezszelestnie. Wystarczą mu na to dwadzieścia cztery godziny. Pod warunkiem że wyczuje, co się święci. Że nie da jej się zaskoczyć.

Jakaś ogromna, wlokąca się jak żółw ciężarówka uparcie blokowała mu drogę. Było tu tak wąsko i kręto, że od jakichś dwóch kilometrów musiał jechać za jej zderzakiem. Zirytowany do ostateczności, zaklął głośno i nacisnął klakson.

— Aż tak ci pilno? — zdziwił się David.

Na długim, wznoszącym się zboczach kierowca ciężarówki zredukował do jedyńki, wzbijając chmurę białego pyłu. Teraz nie była to już jazda, tylko pełzanie. Zdesperowany Mario, nie bacząc, że znajdują się na zakręcie i że obłok pyłu przesłania mu widok, rąbnął dłonią w klakson i wcisnąwszy gaz do dechy, gwałtownie poszedł do przodu. W tym momencie w chmurze pyłu coś błysnęło, on zaś dosłownie w ostatniej chwili zdołał schować się za ciężarówkę. Z góry z grzechotem przetoczył się jakiś pikap.

— Rany boskie! — krzyknął David. — Chcesz nas zabić?

Mario nie odpowiedział. Pot lał mu się z twarzy strumieniami. Wyprzedzenie tego przeklętego grata stało się teraz dla niego najważniejszą rzeczą na świecie. Więc to Simona zaprosiła tu Kate, okłamując go przy tym bez mrugnięcia okiem! Musiała planować to od dawna, a on nic nie zauważył! Teraz gdy nadszedł czas, aby doktor Neroni rozpoczął swój żywot, Mario zrozumiał, że tego nie chce. Że nienawidzi samej myśli o tym. Miałby zaczynać na nowo w jakimś zimnym kanadyjskim mieście, pozostawiając za sobą wszystko, co ukochał? I cóż by to było za życie wśród obcych ludzi, w zupełnie nieznanym otoczeniu, w kraju, z którym nic go nie łączy? Marna wegetacja. Wygnanie. Straciłby nie tylko swój dom i ojczyznę, lecz i wszystko, co składa się na jego „ja”. Nie wolno do tego dopuścić. Nie pozwoli Simonie odebrać sobie wszystkiego, co nadaje sens jego życiu.

Blady ze strachu i furii, przeklął w duchu idiotę razem z jego cholerną ciężarówką — że też coś takiego może zniszczyć człowiekowi całą przyszłość! — i znów wysunął się trochę zza paki. Sytuacja była lepsza niż poprzednio, włączył więc dwójkę, dodał gazu i z rykiem silnika wyprzedził wreszcie gruchota, przy czym zaledwie o włos udało mu się uniknąć zderzenia ze starszym mężczyzną na vespie, tak zszokowanym tym ryzykanckim manewrem, który omal nie skończył się dla niego śmiercią, że zatrzymał się na poboczu. David skamieniał ze strachu.

— Jezu Chryste! — jęknął. — Co cię opętało?

Mario odrobinę zwolnił.

— Martwię się o Simonę — odrzekł z wymuszonym spokojem.



— I dlatego chcesz nas zabić?

— Chodzi mi też o Kate. Może być w niebezpieczeństwie.

— Kate? W jakim niebezpieczeństwie?

— Powinienem był ostrzec cię wcześniej — westchnął Mario — ale nie wiedziałem, co się święci, dopóki nie powiedziałaś mi o tych obrazach.

David bezradnym gestem przeciągnął ręką po włosach.

— A cóż obrazy mają z tym wspólnego?

— Zrozum, Davidzie, Simona to chora kobieta. Od śmierci Franceski jest, oględnie mówiąc, niezmiernie krucha psychicznie. Pamiętaj, że na własne oczy widziała śmierć swojej siostry. Ten wypadek wyglądał inaczej, jeszcze gorzej, niż się mówiło, niż jej się dzisiaj wydaje. Zadałem sobie niemało trudu, by choć trochę złagodzić jej wspomnienia. Chciałem ją uchronić od koszmarów i na szczęście mi się to powiodło. Nie tylko zdołała całkiem nieźle ułożyć sobie życie, ale można doprawdy podziwiać jej dokonania.

— Czuję, że jest jakieś „ale”.

— Niestety tak. Niechętnie to mówię, i tylko dlatego, że chodzi o Kate. Od czasu tego wypadku Simona cierpi na urojenia. Bardzo niebezpieczne urojenia. Nie dzieje się to stale. Napady szaleństwa przychodzą i odchodzą. Niekiedy przez wiele miesięcy, a nawet lat panuje zupełny spokój i nagle pojawia się jakiś czynnik wyzwalający chorobę. W tej chwili takim czynnikiem stała się wasza wizyta. Podczas nawrotów choroby Simona pogrąża się swoim urojonym światem. Zaczyna wierzyć, że padła ofiarą jakiejś strasznej niesprawiedliwości. Towarzyszy temu chorobliwa obsesja przejawiająca się chęcią ukarania ludzi, którzy wyrządzili jej to straszne zło.

— Ciebie to też dotyczy?

— A jakże! — Mario uśmiechnął się smętnie. — Na jej liście winowajców jestem *numero uno*.

— Zaatakowała cię właśnie z tego powodu?

— Ona chciała mnie zabić, Davidzie, i to aż trzykrotnie. Zawsze udawało mi się jakoś to zatuszować, a gdy czasem w rozmowie wypływa ten temat, żartuję sobie z tego, uwierz mi jednak, że były to próby, które mogły źle się dla mnie skończyć. Gdy ją to napada, jest jak dzikie zwierzę.

— No cóż, bardzo ci współczuję. — David zamyślił się nad czymś. — Nie rozumiem tylko, czym naraziła jej się Kate.

— Była przy śmierci Franceski, więc Simona, podobnie jak jej matka, wini ją za tę śmierć. Oczywiście to zupełnie absurdalne, ale dla niej w tym stanie prawda nie gra roli.

— Jak można winić Kate za śmierć Franceski tylko dlatego, że tam była?

— Nie tylko. Jak zwykle, tak i tutaj jest w tym szaleństwie ziarno prawdy. Powiedzmy sobie uczciwie: gdyby Kate nie było wtedy w willi, Francesca pewnie by żyła.

— Nie rozumiem.

— To dość skomplikowane — odrzekł Mario, zwalniając przed mostkiem, za którym zaczynała się droga do posiadłości Bertonic. — Później ci to wytłumaczę, teraz musimy zażegnać niebezpieczeństwo. O tym, że istnieje, świadczą te obrazy... Skoro zadała sobie tyle trudu, żeby tu zwabić Kate, nie zrobiła tego bez powodu. Możliwe, że chce się zemścić.

— Rany boskie! — powtórzył David.

— Jeśli moje podejrzenia są słuszne, nie powinniśmy byli zostawiać ich samych — stwierdził ponuro Mario. — Kate jest naprawdę w poważnym niebezpieczeństwie. Mam tylko nadzieję, że zdążymy zapobiec nieszczęściu.

## ROZDZIAŁ 41

### POCZĄTEK

— Nie wiem, Kate, czy ja to wytrzymam — westchnęła Francesca.

Siedziała na brzegu łóżka obok otwartego neseseru; leżał w nim tylko trykotowy top.

— Dlaczego tak mówisz?

— To... mnie przerasta. — Słowom Franceski towarzyszył bezradny gest. Teraz gdy minęło uniesienie, czuła się wypalona, pusta i słaba. — Ja... ja się boję, Kate. Tylu ludzi przeze mnie ucierpi... — Nie jestem taka jak ty, pomyślała, patrząc na stojącą przed nią Kate. Jesteś solidna, masz tyle zdrowego rozsądku i tak mocno trzymasz się ziemi, a ja... daleko mi do tego.

— Więc co? Chcesz to dalej ciągnąć? — spytała Kate.

— Przeżyć resztę życia w cudzej skórze?

— Nie — Francesca pokręciła głową — do tego nie mogę wrócić, ale...

— Ale co?

— Widzisz, ja... nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego... — wyszeptała niepewnie. Tak trudno było o tym mówić!

— Tam, nad rzeką, wszystko wydawało się łatwiejsze, ale tu, w jego domu...

— Dlaczego? — Kate uklękła przed nią, tak że ich twarze znalazły się teraz na jednym poziomie. — Twój stryj nie żyje, teraz to twój dom.

Francesca odwróciła głowę, aby nie patrzeć jej w oczy.

— Och, Kate, ty nie wiesz, jak on go zdobył, jak dorobił się swojej fortuny — powiedziała z wysiłkiem, czując w ustach smak żółci. — Pamiętasz *camerino*? On m o r d o w a ł tam ludzi. Miał fotografie ich zwłok i... często je oglądał. On... on się w tym lubował. Mnie także kazał oglądać te zdjęcia. Mówił, że go zrozumie, bo jestem taka jak on... wyjątkowa... To było straszne...

— Mój Boże! — Kate była wstrząśnięta. — Och, ty biedactwo... — W odruchu współczucia wyciągnęła rękę, aby ją przytulić i pocieszyć, lecz Francesca się cofnęła.

— Nie, lepiej mnie nie dotykaj.

— Czemu? — Kate nie mogła tego zrozumieć. Jej przyjaciółka w milczeniu pokręciła głową.

— Gdy zaświtał mi pomysł fundacji — powiedziała — zaczęłam od tego, że kazałam zburzyć *camerino*. Teraz prawie nikt nie wie, że w ogóle istniało.

— Postąpiłaś słusznie. Och, moja droga, nie czuj się winna. Ty nie zrobiłaś nic złego, przeciwnie, zrobiłaś, co mogłaś, aby ten majątek posłużył czemuś dobremu. I tak się stało. Powinnaś być z siebie dumna — powiedziała Kate z przekonaniem.

Francesca chwyciła ją za rękę i mocno je uściśniła.

— Dziękuję ci, Kate — szepnęła z wdzięcznością, czując, że robi jej się lżej na sercu. Nie wierzyła, by kiedykolwiek mogła pozbyć się swego brzemienia, słowa Kate jednak podniosły ją mocno na duchu. — Pytałaś, czy mogłabym wrócić do tego, co było. O nie! Chybabym umarła. Nie chcę już płacić za cudze grzechy. Jestem tym zmęczona.

Kate żywo podniosła się z klęczek.

— W takim razie zacznij się pakować! Może byś pojechała ze mną do Londynu? Mam w domu mnóstwo miejsca.

— Dziękuję, ale to na nic. Jeśli znikniemy razem, Mario natychmiast zacznie mnie szukać w Londynie. A tyle mam do zrobienia! Och, jestem na siebie wściekła! — podniosła się z łóżka i zaczęła wrzucać rzeczy do walizki. — Powinnam była dawno to wszystko obmyślić, a ja wciąż tylko głowiłam się nad tym, jak ci powiedzieć, że żyję. I teraz nie wiem, co robić. Iść na policję? Wziąć adwokata? A jeśli tak, to jakiego? A może lepiej byłoby zamieścić oświadczenie w prasie albo...

— Później — przerwała jej Kate. — Teraz musimy się stąd wydostać. Cholera! Wrócili! — syknęła, widząc przez okno, że przed dom zajeżdża samochód Maria.

Francesca drgnęła. Ogarnął ją strach, lecz natychmiast go pokonała. Strach to uczucie z innej epoki, gdy musiała żyć fałszywym życiem, aby inni czuli się bezpieczni. Nie jestem już tamtą kobietą, pomyślała, od dziś jestem sobą.

— No cóż, Kate — rzuciła z uśmiechem, prostując się na całą swą wysokość — będziemy musiały jeszcze poudawać. Na szczęście już niedługo. Po lunchu Mario pojedzie do domu. Sobotnie popołudnia ma zwyczaj spędzać z córkami.

— On tu nie ma nic do gadania! — Kate wciąż nie rozumiała, jak bardzo skomplikowane są jej relacje z Mariem.

— Cóż to, nie możesz mu powiedzieć, że wybieramy się gdzieś we dwójkę? Na parę dni czy choćby na lunch? Jakże on ma prawo mówić ci, co masz robić?

Francesca schowała neseser pod łóżko. Jak wytłumaczyć Kate, że przez wszystkie te lata Mario wprawdzie trzymał ją pod kluczem, był jednak zarazem najlepszym jej sojusznikiem? Że niesłuchanie trudno będzie jej zerwać tę więź?

— Wiem, Kate, ale na razie zróbmy tak, jak mówię: spróbujmy udawać, że nic się nie stało.

— Jeśli jesteś pewna, że tego chcesz...

— Tak, jestem pewna. Och, Kate! — Francesca gwałtownie rzuciła jej się na szyję. — Jeszcze godzina czy dwie i będę wolna!

Wszystkie jej lęki zniknęły. Wystarczyło uwierzyć, że czeka ją nowe życie, aby przybyło jej nagle odwagi i zdecydowania. Teraz Kate dla odmiany wydawała się mniej pewna siebie.

— Powiedz mi jeszcze jedno: czy to dlatego obie z Simoną ścigałyście wtedy mnie i Maria, że chciałaś wracać ze mną do Florencji? — spytała z wahaniem.

— Oczywiście! Jaki bym mogła mieć inny powód?

— Myślałam, że może chodzi ci o Maria... że kochasz go i chcesz zatrzymać...

— Czy można zmusić kogoś do uczuć? Już wtedy rozumiałam, że to niemożliwe. Tak, byłam na ciebie zła, ale...

— Na twarz Franceski znów wypłynął uśmiech, a Kate pomyślała, że odkąd postanowiła wyrwać się na wolność, chyba nic nie jest w stanie zmącić jej radości na dłużej niż parę chwil

— ...ale moje stosunki z Mariem są tak skomplikowane! To prawda, że byłam zszokowana i urażona, ale jakaś część mego „ja” czuła, że wyświadczasz mi przysługę, usuwając go z mojego życia. Kochałam Maria, na swój sposób kocham go zresztą do dziś, mimo to już wtedy zdawałam sobie sprawę, że przy nim nigdy nie byłabym sobą, a czy istnieje mężczyzna, dla którego warto rezygnować z siebie?

— Dziękuję ci za te słowa. Wiele dla mnie znaczą.

— Chciałam z tobą wracać, bo chodziło mi też o Simonę. Niestety. Jej nigdy się nie udało wyrwać z rąk naszej matki. Może to z mojej strony kliwy sentymentalizm, ale właśnie przez pamięć o niej chcę przyzwoicie przeżyć ten czas, który mi jeszcze pozostał. Jestem jej to winna. Tym razem musi mi się udać! To co? Idziemy na dół?

Z salonu dochodziły męskie głosy. Panowie postanowili widocznie napić się czegoś przed lunchem.

— Mamy przed sobą ostatnie godziny kłamstwa — powiedziała szeptem Francesca, przystając u szczytu schodów. — Jak myślisz, Kate, potrafimy ich okpić?

— Oczywiście. Nie wolno ci tylko wypaść z roli. Bądź ostrożna.

— Jasne — odrzekła Francesca, nie zdając sobie sprawy, że nie potrafi już być Simoną.

# ROZDZIAŁ 42

## POD ANIOŁAMI

Zaraz po wyjściu z sypialni dobiegł je zapach domowej *minestrone*. Francesca westchnęła cicho. Tak trywialna czynność jak jedzenie wydawała się czymś wręcz niestosownym, w chwili gdy całe jej życie miało ulec generalnej zmianie. Ostrożnie postawiła nogę na stopniu: od tego momentu nie wolno jej sobie pozwolić na żaden fałszywy ruch.

— Ach, więc jesteście! Zastanawiałem się właśnie, dokąd was poniosło. — Z salonu wyłonił się Mario ze szklaneczką w rękę. Uśmiechał się niefrasobliwie, ale oczy miał czujne.

— Nie spodziewaliśmy się, że tak szybko wrócić! — zawołała Kate ze szczytu schodów. — No i jak polowanie? Upatrzyłeś sobie coś, Davidzie?

David, który właśnie wyszedł z salonu, ustawił się obok Maria. Francesca spostrzegła, że bacznie ją obserwuje. Och, doskonale знаła to spojrzenie — widywała je dziesiątki razy u nowych znajomych i starych przyjaciół. Takim wzrokiem patrzył na nią każdy, komu Mario „wyznał w zaufaniu”, że ma do czynienia z wariatką. Nie używał oczywiście tego słowa. Potrafił ją zdyskredytować bardziej elegancko, najczęściej w formie pseudofachowych opinii. Wygłaszał je zawsze z udaną niechęcią i zawsze z tym samym skutkiem: każde jej słowo czy gest były odtąd postrzegane przez pryzmat jej rzekomego szaleństwa. Tak właśnie było teraz z Davidem.

— Niezupełnie — odrzekł w odpowiedzi na pytanie Kate. Zabrzmiało to niedbale, trochę zbyt niedbale. — Ale jest jeszcze pewna stara szkoła, którą warto byłoby obejrzeć. A wy? Jak wam minął ranek?

— Świetnie — poinformowała go Kate. — Poszliśmy popływać w rzece. Woda była lodowata, doskonala na taki upał.

— Ty też powinieneś się tam wybrać — wtrąciła Francesca. Słyszała swój drewniany głos, nic jednak nie mogła na to poradzić. Czy ktokolwiek potrafi zachowywać się naturalnie, kiedy biorą go za wariata?

— Zrobiłbym to z rozkoszą, niestety, oboje z Kate wyjeżdżamy zaraz po lunchu.

— Może więc kiedyś przy innej okazji... — Poczula na ramieniu leciutkie dotknięcie Kate i złękła się, że to błąd.

Mario był tak podejrzliwy! W dodatku znał ją na wylot, potrafił wyczuć każdy jej nastrój, a teraz jeszcze ten gest... Zauważył go oczywiście. Musiał też zauważyć, że coś się stało, że w jej psychice zaszła jakaś zmiana... Choć robiła, co mogła, aby zachowywać się „normalnie”, czyli tak jak dotąd, czuła, że górę bierze jej prawdziwe „ja” i że wszyscy obecni to widzą. A zwłaszcza on. Z wymuszonym uśmiechem — dobrze znała ten uśmiech! — rzucił od niechcenia:

— Obie tak wyglądacie... jakby świetnie wam zrobiło to pływanie. Ach, witaj, Annette.

Francesca przeniosła spojrzenie na matkę, która uczepiona ramienia Dina wracała właśnie z tarasu, kompletnie nieświadoma, iż może być obiektem czyjejś obserwacji, całkowicie pochłaniało ją bowiem utrzymanie równowagi na tych śmiesznie wysokich obcasach. Dopiero teraz, gdy wreszcie poczuła się wolna, mogła spojrzeć na matkę inaczej niż dotąd — i nagle zamiast dręczycielki, która zniszczyła jej życie, zobaczyła starą, wychudłą kobietę, tym bardziej żalosalną, że dotkniętą głęboką demencją, coraz wyraźniej odbierającą jej rozum.

— *Buon giorno, mamma.* — Tak bardzo starała się być naturalna, że z wysiłku drżał w niej każdy nerw. — Skoro już jesteś, możemy siadać do stołu.

Przewyciężając pokusę trzymania się blisko Kate, ujęła pod ramię Davida.

— Musisz mi dokładnie opisać te domy, które widzieliście z Mariem — powiedziała z uśmiechem, prowadząc go do jadalni. — I pomyśleć, że możemy zostać sąsiadami! Byłoby wspaniale, prawda?

Stała jeszcze za swoim krzesłem u szczytu stołu, mając po prawej stronie Davida, gdy tuż za plecami wyrósł jej Mario.

— Cóż to się dzieje, Francesco? — rzucił ledwo słyszalnym szeptem.

Drgnęła jak oparzona, lecz natychmiast wzięła się w garść.

— Chciałeś chyba powiedzieć: Simono? Chwycił ją za ramię i obrócił twarzą do siebie.

— Oczywiście! Cóż ze mnie za cymbał!

Wie wszystko! Ach, ta jego intuicja! myślała gorączkowo. Trzeba się stąd wydostać, zanim zdoła udaremnić mi ucieczkę! Zawsze tak było. Miał na to dziesiątki sposobów. Spojrzawszy uważnie na Kate, spytała z udanym niepokojem:

— Moja droga, co się stało z twoim naszyjnikiem? Kate szybkim ruchem dotknęła szyi. Nie przywiozła żadnego naszyjnika, lecz na szczęście zrozumiała, o co chodzi.

— Och, rzeczywiście! — odrzekła podobnym tonem. — Musiałam go chyba zostawić nad rzeką!

— Tego właśnie się obawiałam! Przepraszam was, moi drodzy, ale będziecie musieli zadowolić się własnym towarzystwem. My z Kate jedziemy nad rzekę. Za chwilę wrócimy! — zawołała, robiąc krok w stronę holu, Mario jednak zastąpił jej drogę.

— Przecież to nic pilnego. Nikt prócz nas tam nie chodzi. Naszyjnikowi nic się nie stanie.

— Byłabym jednak spokojniejsza...

— Aż taki cenny jest ten naszyjnik?

— To sznur pereł, który mam po matce. Nie chciałabym ich stracić — oświadczyła Kate.

— Perłowy naszyjnik — wycedził Mario. — Nic dziwnego, że tak ci na nim zależy. Wiesz co, Kate? Ja tam pojedę.

— Nie, Mario, ja to zrobię — zaprotestowała Francesca.

— Wiem, gdzie go szukać.

— Niepotrzebnie chcesz się fatygować — rzucił głosem ostrym jak brzytwa.

— Już ci powiedziałam: ja pojedę! — wybuchnęła Francesca, czując, że opadają z niej resztki Simony. W pokoju nagle zaległa cisza, która zdawała się trwać w nieskończoność. Przerwała ją sama, mówiąc już nieco spokojniej: — To na nic, Mario, jadę.

— Wyjeżdżasz? — Jego twarz straciła wszelki wyraz.

— Tak. — Mówiąc to, poczuła niesłychaną ulgę: koniec udawania. Nareszcie! — Kate, przyniesiesz moje rzeczy? Paszport jest w torebce. Nie ma sensu dłużej tu siedzieć.

— Paszport? — bąknął David.

— Simona! Zastanów się, co robisz! — Mario gwałtownie chwycił ją za ramię. Wyrwała mu się jednym szybkim ruchem.

— Mam na imię Francesca, zapamiętaj to sobie! Od tej chwili tak masz się do mnie zwracać!

— Co tu się dzieje, do diabła? — zirytował się David. Spozregła, że powoli przesuwa się w stronę drzwi, jakby chciał jej zablokować drogę. — Mario, czy to tak się objawiają te urojenia, o których mi wspominałeś?

— Nie wtrącaj się, Davidzie! — zachnęła się Kate.

— Ty nic nie rozumiesz! — rzucił z podnieceniem.

— Ona nie jest całkiem normalna i może być niebezpieczna. Przysłała ci te obrazy, żeby cię zwabić w pułapkę.

Francesca kurczowo uchwyciła się oparcia krzesła. Jeśli Kate w to uwierzy... — pomyślała w panice.

— Nie słuchaj go — poprosiła — to nieprawda. — Odetchnęła z ulgą, widząc pełen zrozumienia uśmiech Kate, ten uśmiech, na który czekała pół życia.

— Wiem, moja droga — dodała jej przyjaciółka. — David po prostu nie zna sytuacji.

Mario nie próbował się usprawiedliwiać.

— Nie rób tego! — zawołał błagalnie. — Nie odrzucaj wszystkiego tylko dla imienia! Jezu Chryste, Simono, przecież to szaleństwo! Pomyśl przez chwilę, nim popełnisz tak okropne głupstwo!

Francesca wybuchnęła śmiechem.

— Czyżbyś naprawdę sobie wyobrażał, że to jakiś chwilowy kaprys? Każesz mi myśleć? A co ja robiłam przez wszystkie te lata? Myślałam! Właśnie o tym! I właśnie podjęłam decyzję! Nieodwołalną, rozumiesz? Nie zatrzymasz mnie, Mario, więc nawet nie próbuj!

— To twoja wina, Kate! — zaatakował ją z furją.

— Wszystko było w porządku, dopóki się tu nie zjawiłaś!

— Odczep się od niej! Kate oczywiście mi pomaga, ale to ja, Francesca Bertoni, podjęłam taką decyzję i odtąd będę sama decydować o sobie. Nie jestem już Simoną, którą owinąłeś sobie wokół palca!

— Czy ktoś powie mi wreszcie, o co tu chodzi? — jęknął bezradnie David.

Nikt nie spojrzał nawet w jego stronę.

Annette, która wsparta na ramieniu Dina wciąż jeszcze stała, chwytając powietrze jak zwierzę wężące niebezpieczeństwo, odezwała się nagle cierpko ostrym tonem:

— Simona! Co to za awantura?

— Nie jestem Simoną — odrzekła twardo Francesca.

— Wiesz, że nią nie jestem, a ja nie zamierzam dłużej udawać. Przykro mi, mammo, dla mnie to trwa już zbyt długo. Nie obawiaj się jednak, ciebie nikt o nic nie oskarży. Jest już na to o wiele za późno.

— Nie jesteś Simoną? — jęknęła z udręką jej matka, rozglądając się po pokoju. — Więc gdzie jest moja córeczka? Coście z nią zrobili?

— Przecież wiesz, że nie żyje. Udawałam ją, bo tego chciałaś, ale już nie mogę. Spójrz na mnie, to ja, Francesca.

— Francesca? Francesca nie żyje... zginęła w wypadku... gdy Kate... — Spojrzenie Annette prześliznęło się wokół stołu i zatrzymało na Kate. Sama Annette zgarbiła się i zmalęła.

— Pomóż mi, Dino — poprosiła słabym głosem — trudno mi stać.

Jej żalosna bezradność tak poruszyła Francescę, że ogarnięta nagłym współczuciem żywo podbiegła do matki.

— Wiem, mammo, że to dla ciebie szok — powiedziała, pomagając jej usiąść.

— Simono... — usłyszała głos Maria i znów w niej zawrzało.

— Mario, do diabła! Już ci mówiłam, jak się nazywam! Masz do mnie mówić „Francesca”!

— Francesca? — Annette spojrzała na nią z wyrazem skrajnej dezorientacji. — Mario? Co teraz będzie? Powiedz! Stracimy wszystko? Czeka nas ruina? — Jej chude palce nerwowo szarpały wiązanie ozdobnej torebki, całej naszywanej paciorkami. — Do licha, wzięłam nie tę torebkę — stwierdziła po chwili płaczkliwie. — Idź, Dino, przynieś mi tę drugą, tę z wyhaftowanym smokiem. Jest w komodzie. No nie stój tak, idź!

— Mammo, on cię nie rozumie. Przynieś torebkę signory — powiedziała po włosku Francesca — tę ze smokiem.

— Tak, tak — niecierpliwie potwierdziła Annette, dodając od siebie coś jeszcze.

— Pójdę po nasze bagaże — oznajmiła Kate.

— Ty z nią wyjeżdżasz? — zdziwił się David, odpowiedzi jednak nie otrzymał.

Mario przerzucił się nagle na włoski.

— Powiedz, *mia cara*, czemu nagle chcesz zniszczyć to wszystko, cośmy razem zbudowali? — zapytał błagalnie.

— Bo wszystko to zostało zbudowane na kłamstwie, a ja nie mogę tak dłużej żyć. Niech wszyscy dowiedzą się prawdy o mnie i mojej rodzinie, i niech się dzieje, co chce! O, jesteś już Kate! Możemy jechać?

— Gdzie Dino? — zaczęła dopytywać się Annette.

— Gdzie moja torebka?



— Zaraz przyjdzie, mamó. — Francesca starała się mówić spokojnie, nie mogła jednak ukryć podniecenia. — Wyjeżdżam teraz na parę dni, ale wrócę. Obiecuję ci, że wrócę.

— Nie chcę ciebie, chcę Dina — oznajmiła kapryśnie jej matka.

— I cóż teraz zamierzasz zrobić? — ironicznie rzucił Mario, blokując sobą drzwi. — Komu i gdzie chcesz objawić tę swoją bezcenną prawdę?

— Powiem ci, gdy się zdecyduję.

— Po powrocie? — Roześmiał się gorzko. — Mnie już tu nie będzie.

— Cóż, w takim razie...

— Proszę cię, *mia cara*, zostań.

— Nie mogę. Muszę to zrobić.

— Nie pozwolę ci na to!

— Nie powstrzymasz mnie, Mario.

— Nie? Pomyśl, moja najdroższa — w jego głosie nagle zabrzmiała czułość — beze mnie nie dasz sobie rady.

Wciąż jej to powtarzał. Że jest nadwrażliwa, że odniosła wiele urazów psychicznych i że zginie bez jego pomocy. Wiedziała, że Mario prędzej czy później to powie, a jednak poczuła, że słabnie.

— Nic podobnego! — dobiegł ją okrzyk Kate. — Francesca świetnie poradzi sobie sama. Twoja pomoc nie jest jej potrzebna!

— Poradzi sobie sama? Odkąd to z ciebie taka ekspertka? — wściekłym ruchem wyrwał jej z ręki neseser Franceski. — Nigdzie nie pojedziesz, słyszysz, Francesco? Aż tak ci zależy na prawdzie, że gotowa jesteś wszystko zniszczyć? No, powiedz!

— Przestań, Mario — przerwała mu Kate. — Cokolwiek powiesz, i tak nic nie wskórasz. Francesca wyjeżdża ze mną.

— Chcesz prawdy? — powtórzył głośnie. — Zmęczyły cię kłamstwa, więc pragniesz, by cały świat się dowiedział, co tu się kiedyś stało? Zastanów się dobrze, czy naprawdę sobie tego życzysz!

Jego głos działał na nią paraliżująco, mimo to powoli skinęła głową. On tymczasem nagle się zawałał.

— Nie każ mi tego robić.

— Oddaj mi mój neseser.

— O nie! Tak łatwo ci nie pójdzie! Myślisz, że możesz po prostu tak sobie odejść? Mój Boże, strawiłem życie, chroniąc cię przed prawdą, a ty mi tak się odwdzięczasz?

— Daj spokój. Nie potrzebuję takiej opieki.

— Nie? Więc jak to się stało, że tak gładko uwierzyłaś kłamstwom? Żyłaś nimi przez wszystkie te lata!

— Ja...

— *Mia cara*, byłaś świadkiem tamtego wypadku! Widziałaś, co się tam stało!

— Ale...

— Wiesz, w jaki sposób zginęła Simona. Widziałas to na własne oczy.

— Powiedziałeś mi...

— Powiedziałem ci to, co chciałaś usłyszeć: że to tragiczny wypadek. Nieprawda. Był to skutek świadomych działań.

— O czym ty mówisz?

— Spytaj swoją matkę. Ona ci powie. Brała w tym udział.

— *Mamma?* — wyszeptała Francesca.

Jej matka jakby zapadła się w siebie — wydawała się chyba o połowę mniejsza. Sprawiała wrażenie zaszczutego zwierzęcia, które wpadło w śmiertelną pułapkę. Rozpaczliwie miętoszyła w rękach dwie torebki — tę z paciorkami i tę ze smokiem, którą w końcu przyniósł jej Dino.

— Pamiętasz, jak szalała po śmierci Simony? — spytał pogardliwie Mario. — No ale nie ma się czemu dziwić. Też bym zwariował, gdybym zabił własną córkę.

— Przestań! — Francesce nagle wróciła zimna krew. — Nie opowiadaj niestworzonych rzeczy. Nie powstrzymasz mnie w ten sposób od wyjazdu.

— Podobno chciałaś prawdy!

— Jakiej prawdy? Przecież to szaleństwo. Niby dlaczego moja matka chciałaby zabić Simonę?

— Och, zabiła ją nieumyślnie, usiłując zabić Kate.

— Mnie?!

— Biedna Simona po prostu weszła jej w drogę.

— Nie słuchaj go, to nonsens! — zawołała Kate, widząc, że Francesca drży na całym ciele. — Mówi tak tylko po to, żeby cię zdenerwować. Chodźmy, nim wymyśli coś jeszcze gorszego.

— Powiedziałem prawdę. Spytaj swoją matkę.

Zalana łzami Annette nadal miętoszyła swoje dwie torebki.

— Powiedział, że taka jest cena — wymamrotała bezradnie.

— Ja w to nie wierzę — powtórzyła Kate.

— Dlaczego, do diabła, ktoś chciałby zamordować Kate? — wtrącił oszołomiony David.

— Nie wiem, dlaczego chciała to zrobić. Zdołałem wydobyć z niej tylko to zdanie: „Powiedział, że taka jest cena”. Diabli wiedzą, co to znaczy. Może była wściekła na Kate za to, że zabiera jej obie córki, a może był inny powód. Chyba już się tego nie dowiemy.

Francesce nagle zrobiło się słabo. Chybaby upadła, gdyby Kate nie przysła jej z pomocą.

— Mama naprawdę tam była... — wymamrotała z wysiłkiem. — W mercedesie...

— A widzisz! Jednak coś pamiętasz! — mściwie syknął Mario.

— Więc jak zginęła Simona? — spytał David.

— Dobrze, powiem wam wszystko, skoro prawda jest tu taka ważna. — Mówiąc to, Mario nie spuszczał oczu z Franceski. — Kiedy Kate i ja ruszyliśmy na dół, Francesca z Simoną wsiadły na vespę i

zaczęły nas gonić. Ty, Francesco, siedziałś z tyłu. I nagle postanowiłaś mnie wyprzedzić. Bóg jeden tylko wie, po co. Głowiłem się nad tym wiele razy i nadal nie mam pojęcia... Działo się to w takim miejscu, gdzie grunt bardzo ostro opada w lewo. Jeden fałszywy ruch, i mogłyście runąć w przepaść. Złakłem się o was, więc ostro zahamowałem i wtedy Kate tak mocno uderzyła głową w szybę, że straciła przytomność na wiele godzin. Mój fiat się zatrzymał, a wy dwie przystanęłyście kawalek dalej. Pewnie usłyszałaś trzask i zaczęłaś zawracać. Nie zwracałem na was większej uwagi, bo myślałem wtedy tylko o tym, żeby zawieźć Kate do szpitala. Wtedy właśnie pojawiła się Annette w mercedesie i rąbnęła w tył mojego wozu. W pierwszej chwili myślałem, że to przypadkowa kraksa, ale gdy wycofała samochód i grzotnęła w nas po raz drugi, zrozumiałem, że działa rozmyślnie. Fiat zaczął się staczać. Simona, widząc, co się dzieje, wpadła w histerię. Zeskoczyła z vespy i pobiegła w górę, aby odwiedzić matkę od kolejnej próby. Annette wystartowała właśnie po raz trzeci.

Myślę, że widząc Simone, próbowała zahamować, ale ze zdenerwowania popełniła tragiczny błąd: zamiast przycisnąć hamulec, z całej siły nadepnęła pedał gazu. Wiem, że krzyczała, gdy mercedes uderzył w Simone. Twoją siostrę wyrzuciło w górę; jej ciało zatoczyło łuk i spadło prosto na szybę ochronną vespy, która niemal odcięła głowę od tułowia. Widziałaś to wszystko, Francesco. Zaczęłaś tak strasznie krzyczeć... Nie można cię było uciszyć. Musiałem zrobić ci zastrzyk. Zanim się ocknęłaś, zdążyłem sfabrykować nieco łagodniejszą wersję tej tragedii. I wiesz co? Ani razu nie podałaś jej w wątpliwość. Taka oto jest ta cenna prawda, którą przed tobą ukryłem. Chciałem ci jej oszczędzić. No i powiedz mi teraz, czy naprawdę sobie życzysz, aby cały świat poznał ten wstydlivy rodzinny sekret? — zapytał głosem wypranym z wszelkich emocji.

Francesca milczała. Zszokowało ją wyznanie Maria, ale było prawdziwe. Po raz pierwszy od tamtej chwili odżyły jej w pamięci wszystkie okrutne szczegóły tragicznej śmierci Simony.

— O Jezu! — wyszeptał David.

— Jeśli mimo wszystko chcesz ujawnić prawdę — podjął z westchnieniem Mario — nie będę ci w tym przeszkadzał. Ukrywając ją, myślałem, że robię to dla twego dobra, dla dobra nas dwojga, ale chyba się pomyliłem. Właśnie przez to wyrósł między nami mur. Proszę cię, Cesca, powiedz, co chcesz zrobić. Obiecuję, że ci pomogę, jeśli tylko będzie to możliwe.

„Cesca"! Jej westchnienie zabrzmiało jak szloch. Nazwał ją tak po raz pierwszy od tylu lat! Od czasów, gdy nie było między nimi kłamstw. Ogarnął ją nagle strach, że może go stracić. Nie chodziło jej przy tym o siebie; wiedziała, że nie jest bezradną istotą, która zginie bez jego pomocy, ale on? Jak on poradzi sobie bez niej?

— A co będzie z tobą?

— Och, mogę zniknąć bez śladu, jeśli mnie w porę uprzedzisz. Myślę, że nie weźmiesz mi tego za złe. — Uśmiechnął się ze znużeniem. — Nie musisz się o mnie martwić.

— A ona? — Francesca wskazała matkę.

— Śledztwo w sprawie śmierci Simony zostało dawno zamknięte. A sprawa oszustwa... nikt już teraz nie tknie twojej matki. Wystarczy na nią spojrzeć. Sama zgotowała sobie prawdziwe piekło na ziemi.

Annette mamrotała coś do siebie, nie przestając gmerać przy zapięciu swej haftowanej torebki. We Francesce budziła w tej chwili tyle samo pogardy co litości.

— O, *mamma!* Dlaczego to zrobiłaś?

— Co zrobiłam? On bardzo krótko był moim kochankiem... — oznajmiła Annette. — Uwielbiał mnie po prostu... tak jak oni wszyscy... ale się go pozbyłam przed twoim powrotem.

— O jakim kochanku ty mówisz?

— O Mariu. Byliśmy...

— Przestań zmyślać! — warknął Mario. — Nie wierz jej, Francesco!

— A któż by mógł w to uwierzyć? Boże, cóż za szaleńczy pomysł! Ty i ona! Wiem, o co jej chodzi: chce odwrócić naszą uwagę od śmierci Simony. Och, mdło mi się robi! Zabiłaś ją, mammo! Zabiłaś rodzoną córkę!

— Ja? — Annette potoczyła dookoła błędnym wzrokiem. — To wina tej kobiety, tej tam... Kiedy tu była poprzednio, straciłam córeczkę... Teraz znów tu jest, a ty... ty chcesz mnie opuścić. Przez nią. Wszystko co złe, to przez nią... — Spojrzała nagle prosto na Kate, a jej ochryply głos nabrał siły. — Ale tym razem nie ujdzie ci to na sucho! O nie! Nie tym razem!

— Uspokój się, mammo. — Francesca zrobiła krok w stronę matki, pragnąc ją zapewnić, że nigdy nie przestanie się o nią troszczyć bez względu na okoliczności, i nagle stanęła jak wryta.

Jej matka, jej biedna szalona matka wydobyla ze swojej haftowanej torebki jakiś gładki niewielki przedmiot. Trzymała go w obu swych szponiastych dłoniach z pierścionkami na wszystkich palcach, tak słabych, że trudno jej było podnieść do ust widelec, ale teraz tkwił w nich całkiem pewnie malutki pistolet, kunsztownie wyłożony masą perłową, którego lufa mierzyła prosto w siedzącą w pobliżu Kate.

Francesca dobrze go znała. W rodzinie często strojono sobie żarty z tego damskiego cacka ofiarowanego Annette przez matkę jej męża, która zwykła była powtarzać swej cudzoziemskiej synowej: „Nigdy nie wiadomo, co cię może spotkać. Podróżując bez męża, musisz zawsze mieć przy sobie broń”. Gdzież ona chowała go przez tyle lat? myślała w popłochu Francesca.

— Annette, odłóż to natychmiast — powiedział Mario cicho, lecz stanowczo.

Udała, że go nie słyszy.

— Kate Holland, nie powinnaś była tu przyjeżdżać

— wyskandowała ochryplym głosem wieloletniej palaczki.

— Ostrzegałam cię, prawda? Dwa razy ci mówiłam, trzymaj się od nas z daleka, ale ty oczywiście nie słuchałaś. Drogo teraz za to zapłacisz. Tak jak ja zapłaciłam...

— Mammo, nie!

Huknął strzał. Brzmiał jak wybuch dziecięcego fajerwerku, ale Kate z oczami okrągłymi z zaskoczenia chybnęła się w tył, chwytając się ręką za ramię, a potem powoli zaczęła osuwać się z krzesła. David w ostatniej chwili zdołał ją uchronić przed upadkiem.

— Co ty wyprawiasz, cholerna wiedźmo! — krzyknęła zdławionym głosem.

Annette, niezadowolona ze swego strzału, cmoknęła cicho i mocniej chwyciła rękojeść, najwyraźniej zamierzając ponowić morderczą próbę.

— Nie!! — Francesca rzuciła się naprzód, Mario był jednak szybszy. Niemal przygniótł Annette do krzesła, i w tej właśnie chwili padł drugi strzał. Mario chrząknął jakoś dziwnie i runął do tyłu jak worek; jego ciało prześliznęło się bezwładnie po marmurowej posadzce, a potem zastygło w bezruchu. — Mario! — krzyknęła dziko Francesca, padając obok niego na kolana. Chwyciła go w objęcia i zaczęła kołysać jak dziecko. Z westchnieniem położył rękę na jej dłoni i uściśnął ją z całej siły. Mój Boże, myślała, kiedyż to po raz ostatni byliśmy z sobą tak blisko?

Zobaczyła, że tuż nad sercem wykwitła mu czerwona plamka...

— Cesca... — wyszeptał.

— Nic nie mów, wszystko będzie dobrze, zaopiekuję się tobą...

Rozejrzała się po pokoju. Kate, pólżąc na krześle, patrzyła na nich z napięciem. W drzwiach jak zahipnotyzowani stali Angelica i Dino, czekając, aż ktoś im powie, co robić. Tylko David zachował się przytomnie. Podszedł do Annette, wyjął jej z ręki pistolet i opróżniwszy magazynek, takim gestem odrzucił naboje, jakby budziły w nim wstręt.

Francesca poczuła, że głowa Maria stacza się jej na ramię, i nagle ogarnęła ją straszliwa panika.

— Ruszcie się wreszcie! Wezwijcie pomoc! Sprowadźcie lekarza! Szybciej, do diabła! Zróbcie coś, na litość boską!

Ranny uśmiechnął się do niej. Jego twarz przybrała dziwny, sinawy odcień, oczy zaczynały zachodzić mgłą.

— Zapominasz, *mia cara*, że lekarz tu jest... i wie, że to koniec... — powiedział z wysiłkiem, a czując na twarzy jej łzy, dodał ciszej: — Zawsze cię kochałem, Cesca. Byłaś moją jedyną miłością. Wiesz o tym, prawda?

— Tak, Mario — szepnęła przez łzy. — Tak, mój najdroższy, zawsze to czułam.

— Miałaś rację... kłamstwo to nic dobrego... ono zniszczyło naszą miłość... a ja... myślałem, że to... dla twego dobra... — jego głos opadł do szeptu. — Przepraszam cię, Cesca. Wybacz mi...

Wciąż jeszcze kołysała go łagodnie, próbując go ogrzać ciepłem swego ciała, ale on już odszedł. Nie zdążył nawet usłyszeć słów wybaczenia.

Potem przyjechał ambulans, a w ślad za nim wozy policyjne, pojawili się ludzie w białych kitlach, z butlami tlenu i środkami opatrunkowymi, po domu zaczęli krążyć policjanci, wypełniając urzędowe formularze. Kate i Francesca siedziały na ławce przy bocznej ścianie domu, obserwując Dina, który pomógł właśnie swojej pani wsiąść do jednego z wozów policyjnych, a teraz uśmiechał się do niej, chociaż jego

uśmiech tym razem przypominał raczej grymas żalu. Francesca patrzyła na to obojętnie; być może kiedyś odnajdzie w sobie trochę współczucia dla matki; teraz budziła w niej tylko grozę.

Wóz policyjny zniknął za drzewami, pozostawiając za sobą rozpraszający się z wolna obłoczek pyłu. Tyle się dziś wydarzyło, a wszystko dookoła wydawało się takie zwyczajne. Wokół wieży krążyły jak zwykle hałaśliwe chmary jerzyków, kompletnie niewrażliwych na toczące się obok dramaty. Gdzieś daleko raz po raz przetaczały się głucho grzmoty, zwiastując nadchodzącą burzę; z zasnutego mgłą nieba niespiesznie kapały wielkie krople deszczu.

— Lekarz chce cię wziąć do szpitala — powiedziała Francesca, obrzucając niespokojnym spojrzeniem zawieszoną na temblaku rękę Kate. Sama była blada i wyczerpana. Sprawiała wrażenie szmacianej lalki zostawionej przez kogoś na ławce.

— Nic mi nie będzie. Ramię trochę mnie boli, ale to nic strasznego. Zostanę z tobą, dopóki sytuacja się nie wyklaruje.

— Naprawdę?

— Pod warunkiem że odprawisz Dina.

— Oczywiście. Odejdą oboje, on i Angelica. To on do ciebie strzelał. Moja matka kazała mu cię nastraszyć, ale ten ślepek tak kiepsko strzela, że skóra cierpnie... Mógł cię zabić. A co z nim? — spytała, wskazując głową Davida, który pomagając sobie rękami, rozmawiał właśnie z policjantem.

— Cóż, jest mu głupio... Ale to przez nieświadomość zachował się tak, jak zachował. Myślę, że wskutek tego przeżył nawet większy szok niż ja. Teraz jest mu przykro i wstyd, że tak bardzo się pomylił co do ciebie. Wiem, że chętnie by został jeszcze jakiś czas, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Myślę, że bardzo chciałby zrehabilitować się w twoich oczach.

Bardziej chyba w twoich niż moich, pomyślała Francesca. Cieszyła się wprawdzie, że los dał tym dwojgu szansę naprawienia dawnych błędów, lecz tym większym smutkiem przejmowała ją myśl, że ona i Mario... No cóż, nie wolno zbyt wiele żądać od losu.

— Jasne, że może zostać — powiedziała żywo — pod warunkiem że nie będzie mnie uważał za wariatkę.

— Nikt już tak nie myśli.

— Dzięki ci, Kate.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— To ci dopiero przyjemność! — Roześmiały się obie, czując, że ogarnia je histeria.

Kate opanowała się pierwsza.

— Co teraz? Myślisz, że odbiorą ci fundację? Wytoczą proces o oszustwo?

— Kto to może wiedzieć. Jedno jest pewne: wszystko, co się zdarzy, zdarzy się mnie. Prawdziwej. Wciąż wydaje mi się, że to cud.

Zobaczyły, że zbliża się do nich David w towarzystwie baryłkowego policjanta z ogromnymi wąsami. Przedstawiciel władzy wydawał się zakłopotany.

— Kate, próbowałem ich od tego odwieść — wyjaśnił David — ale ci panowie mają mnóstwo pytań. Można?

— Oczywiście — odrzekła Francesca. Fatalnie się czujesz w moim towarzystwie, pomyślała z lekkim rozbawieniem. Ciekawe, kiedy ci to przejdzie przynajmniej na tyle, żebyśmy mogli rozmawiać bez pośredników? No cóż, poczekam, ile będzie trzeba.

— Signora Bertoni — odezwał się tęgi sierżant — przepraszam, że panią niepokoję, ale wkradł się tu chyba błąd. Prosiłem, by w tej rubryce wpisała pani swoje imię, a nie imię siostry. O tu, proszę spojrzeć.

Francesca poczuła, że serce zaczyna jej walić jak młotem. Nadszedł moment prawdy, a ją nagle ogarnęły wątpliwości. Może jednak lepiej byłoby pozostawić wszystko po staremu... jeszcze jest czas... Jeśli powie prawdę policji, zacznie się szum, prasa będzie miała używanie... A fundacja? Co się stanie z fundacją?

Poczuła, że Kate ściska ją mocno za rękę.

Muszę, pomyślała, biorąc głęboki oddech.

— Proszę to zostawić tak jak jest — powiedziała spokojnie. — Jutro wszystko wyjaśnię, ale teraz będzie mi pan musiał uwierzyć na słowo. Moja siostra Simona nie żyje od wielu lat. Proszę to zanotować, *signore*, i umieścić w raporcie. A ja — dodała po króciutkiej przerwie — jestem Francescą Bertoni.